NOWY
BESTSELLER

TESSA
DARE

Tessa Dare

Powiedz „tak" Markizowi

Przekład
Katarzyna Przybyś-Preiskorn


AMBER

Korekta
Hanna Lachowska
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© Sofia Zhuravets/iStockphoto
© iLongLoveKing/Shutterstock

Tytuł oryginału
Say Yes To The Marquess

>

ISBN 978-83-241-6820-0

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

1

Och, panno Whitmore, tu jest po prostu okropnie!

Wysiadając z powozu, Clio ogarnęła spojrzeniem wąską brukowaną uliczkę między dwoma składami handlowymi.

– To zwykły miejski zaułek, Anno.

– Cuchnie krwią. Boże wielki, zamordują nas tutaj!

Clio ukryła uśmiech. Jej pokojówka nie tylko po mistrzowsku posługiwała się lokówką, ale miała też niezrównaną, dramatyczną wyobraźnię.

– Nikt nas nie zamorduje – uspokoiła ją i po chwili zastanowienia dodała: – A przynajmniej nie dzisiaj.

Panna Clio Whitmore pochodziła z dobrej rodziny, była doskonale wykształcona i wychowana, a do tego zaręczona z najbardziej obiecującym młodym dyplomatą w kraju. Nikt by się po niej nie spodziewał, że będzie się o północy przekradać podejrzanymi zaułkami z nienaładowanym pistoletem w kieszeni, poszukując najgorszego nicponia w całym Londynie.

Nie, to byłoby nie do pomyślenia.

W związku z tym, kiedy Clio wybrała się na poszukiwanie najgorszego nicponia w całym Londynie, odczekała do południa, wmaszerowała w podejrzane zaułki w towarzystwie lokaja, pokojówki i bynajmniej nie starała się skradać. Broni też ze sobą nie wzięła.

Na co by jej się to zresztą zdało? Zważywszy, że człowiek którego szukała, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ważył sto kilo i był zawodowym bokserem, pistolet – i to w dodatku nienabity – na nic by jej się nie przydał.

Jego pięści były znacznie bardziej zabójczą bronią, i mogła mieć tylko nadzieję, że będą po jej stronie.

Rafe, proszę cię, weź moją stronę. Ten jeden jedyny raz.

Poprowadziła swój oddziałek zatęchłym, wąskim zaułkiem, starannie unosząc koronkowy skraj sukni i uważając, by obcasy półbucików nie uwięzły między nierównymi brukowcami.

Anna przeskakiwała z kamienia na kamień, wybierając najczyściejsze.

– Dlaczego drugi syn markiza skończył w takim miejscu?

– Z własnej woli. Tego akurat możesz być pewna. Lord Rafe wiele lat temu wzgardził londyńską socjetą. Uwielbia wszystko, co prostackie i brutalne.

Clio zamyśliła się w duchu. Ostatni raz widziała Rafe'a Brandona, swojego przyszłego szwagra, kiedy leczył się z ciężkich ran. Nie tylko odniesionych w walce, która zakończyła się najgorszą – i jedyną – klęską w jego karierze, ale również psychicznych – po nagłej śmierci ojca.

Był wtedy załamany. Upadł naprawdę nisko. Ale nie aż tak nisko jak teraz.

– Jesteśmy na miejscu. – Zastukała do drzwi i zawołała: – Lordzie Rafe? Jest pan tutaj? Tu panna… – ugryzła się w język. W takich miejscach lepiej nie przedstawiać się za głośno. – Zajmę panu ledwie parę minut.

Chodzi przecież tylko o podpis. Ścisnęła w garści plik papierów.

Żadnej odpowiedzi.

– Nie ma go w domu – stwierdziła Anna. – Panno Whitmore, wracajmy już, proszę. Najwyższy czas, jeśli mamy przed północą dotrzeć do Twill Castle.

– Jeszcze chwilę.

Clio przysunęła się do drzwi. W środku ktoś był. Słyszała szuranie krzesła przesuwanego po podłodze. I głuche uderzenia.

Był w domu. Tylko nie chciał jej wpuścić.

Przyzwyczaiła się do tego, że traktowano ją jak powietrze. Narzeczeństwo ją tego nauczyło.

Kiedy skończyła siedemnaście lat, lord Piers Brandon, przystojny, szarmancki następca markiza Granville poprosił ją o rękę, ku radości obu rodzin, które od dawna sobie tego życzyły. Uklęknął przed nią w salonie w Whitmore i wsunął jej na palec pierścionek z rubinem. Clio wydawało się wtedy, że to piękny sen.

Okazało się, że jest pewien haczyk. Piers niedawno rozpoczął obiecującą karierę w służbie dyplomatycznej, a Clio była zbyt młoda, by przejąć zarządzanie całym majątkiem. Mają przecież mnóstwo czasu, oświadczył jej wybranek. Nie będzie miała nic przeciwko długiemu narzeczeństwu, prawda?

– Skądże znowu – odpowiedziała.

Z perspektywy czasu zrozumiała, że powinna jednak wtedy udzielić innej odpowiedzi. Na przykład takiej: „Jak długiemu?”.

W osiem samotnych lat później dalej czekała na ślub.

Do tego czasu jej sytuacja stała się obiektem publicznych drwin. Brukowce nazywały ją Panną Niedoczekalską. Wszyscy plotkowali na jej temat. Z jakiego to powodu jego lordowska mość tak zwleka z powrotem do kraju i stanięciem do ołtarza? Czy to ambicja, czy obowiązkowość, czy jakieś rozrywki na boku?

Na przykład związek z jakąś zagraniczną kochanką?

Nikt tego nie wiedział na pewno. Z samą Clio włącznie. Naturalnie, zbywała żartami plotki i drwiny, ale w duchu…

W duchu cierpiała. I była kompletnie osamotniona.

Dzisiaj z tym skończy. Raz na zawsze. Od tej chwili przestaje być Panną Niedoczekalską.

Nacisnęła mosiężną klamkę i otworzyła drzwi.

– Zostańcie tutaj – poleciła służącym.

– Panno Whitmore, przecież to…

– Nic mi się nie stanie. Wiem, on ma okropną reputację, ale przecież znamy się od dziecka. Spędzałam wakacje w domu jego rodziców i jestem zaręczona z jego bratem.

– Mimo wszystko… panno Whitmore… Powinniśmy ustalić sygnał – nalegała Anna.

– Sygnał?

– Ostrzegawcze słowo, które pani wykrzyknie w niebezpieczeństwie. Na przykład „Tanger” albo… albo na przykład „winorośl”.

Clio spojrzała na nią z rozbawieniem.

– A staromodne „pomocy” nie wystarczy?

– No… chyba raczej nie.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się, nie mogąc znieść rozczarowania na twarzy swej służącej. – W takim razie winorośl.

Weszła w półmrok korytarza, a potem do pustego, wysokiego pomieszczenia. To, co tam zobaczyła, sprawiło, że krew zastygła jej w żyłach.

Och, winorośl… – mruknęła pod nosem.

Zamrugała i zmusiła się, by spojrzeć drugi raz. Może to wcale nie był on.

Ale tego profilu nie pomyliłaby z żadnym innym. Krzywa linia nosa, połamanego w wielu walkach. Gęste, ciemne włosy, mocny zarys szczęki, imponujące, szerokie bary… To był lord Rafe Brandon we własnej osobie, przycupnięty na belce, kilka metrów nad podłogą. Trzymał w dłoniach sznur i starannie mocował go do belki. Drugi koniec był już zawiązany w pętlę.

Szubieniczną pętlę.

Rzeczywiście się załamał, tak jak się spodziewała.

Za chwilę zrobi mu się jeszcze gorzej.

Przyszła w ostatniej chwili.

Jej serce zabiło mocniej, w panice.

– Milordzie, nie rób tego. Nie warto.

Spojrzał na nią.

– Panna Whitmore?

– Tak. To ja.

Podeszła powoli, unosząc otwartą dłoń w geście pojednania.

– Panna Whitmore. Clio. Wiem, że nieraz się różniliśmy. A raczej, wszystko nas różniło. Ale jestem tu dla ciebie. I błagam cię, przemyśl to jeszcze raz.

– Przemyśl? – Rzucił jej twarde spojrzenie. – Chcesz mnie powstrzymać przed…

– Tak. Nie rób czegoś, czego będziesz potem żałował. Masz po co żyć.

Zatrzymał się.

– Nie mam żony ani dzieci. Moi rodzicie nie żyją. Z bratem nie rozmawiałem prawie od dziesięciu lat.

– Ale masz przyjaciół, prawda? I wiele pięknych cech.

– Jakich mianowicie?

Do licha. Clio powinna się tego spodziewać. Przebiegła myślą wszystko, czego dowiedziała się o jego życiu w ostatnich latach. Głównie z gazet, więc były to okropne rzeczy. Rafe Brandon był bezlitosny na ringu i bezwstydny poza nim. Jego wytrzymałość w łożu była legendarna, podobnie jak szybkość w walce. Dlatego nosił przydomek Zaprzedany Diabłu.

– Siła – powiedziała w końcu. – To piękna cecha.

Mocniej zacisnął węzeł.

– Woły też są silne. Ale mimo to idą na rzeź, kiedy już nie dają rady ciągnąć wozów.

– Nie mów tak. Wprawdzie straciłeś tytuł mistrzowski, ale nie stałeś się przez to bezwartościowym człowiekiem. – Gorączkowo szukała w myśli argumentów. – Przypominam sobie, że przekazałeś swoją nagrodę na fundusz wdów po poległych żołnierzach. Czy to prawda?

– Pewnie tak.

– Widzisz. Miłosierdzie to najpiękniejsza cnota.

Skończył węzeł i pociągnął go, żeby sprawdzić, czy dobrze trzyma.

– To na nic. Przypadkowy dobry uczynek nie zrównoważy moich grzechów. Weźmy na przykład te wszystkie kobiety, które uwiodłem…

– Ja… – Do licha. Jak tu rozmawiać na głos o takich rzeczach? – Ja…

jestem pewna, że niektórym się to podobało.

Zaśmiał się. Ledwie słyszalnie, ironicznie – ale jednak się zaśmiał.

To dobry znak, prawda? Ludzie nie wieszają się przecież ze śmiechem na ustach. Wprawdzie śmiał się z niej, ale nie powinna się tym teraz przejmować.

– Zapewniam cię, moja panno Whitmore, że wszystkim się podobało.

Opuścił linę na dół, a potem zsunął się z belki i wylądował tuż przed nią. Był bosy, ubrany w szare spodnie i płócienną koszulę, rozpiętą pod szyją. Spojrzenie zielonych oczu rzucało jej wyzwanie, by zapomniała o przyzwoitości… na wiele skandalicznych sposobów.

A to przekorne skrzywienie ust?

To była drwina, bo wiedział, że ona się na to nie odważy.

– Może pani spokojnie odetchnąć – zapewnił ją. – Nie działo się tu nic drastycznego.

Skorzystała z jego rady. Powietrze napłynęło do płuc. Co za ulga…

– Skąd miałam to wiedzieć? Siedział pan na belce, i w dodatku ten sznur z pętlą… – Wskazała gestem dowody. – Co innego mogłoby to oznaczać?

Bez słowa poszedł w drugi koniec pokoju. Podniósł z podłogi płócienny worek z hakiem na czubku. Zaczepił go na linie i mocno zacisnął pętlę.

– Tak wygląda trening. – Uderzył w worek, żeby jej pokazać o co chodzi. – Rozumie pani teraz?

Zrozumiała. I poczuła się nieprawdopodobnie głupio. Kiedy byli mali, Rafe zawsze jej dokuczał, ale ze wszystkich jego sztuczek ta była chyba najgorsza.

– Przepraszam, że pani popsułem zabawę – powiedział.

– Mnie?

– To ulubiona kobieca rozrywka. Wszystkie próbujecie ocalić mnie przed samym sobą. – Popatrzył na nią z wyższością, przechodząc tuż obok.

Zarumieniła się. Łagodnie mówiąc, bo to słowo sugeruje delikatne zabarwienie skóry, a ona czuła, jak pali ją skóra na policzkach. Pewnie po

prostu zrobiła się czerwona jak burak.

Co za podły, złośliwy typ.

Kiedyś w dzieciństwie widziała we wsi bójkę na pięści. Jakiś człowiek kupujący orzechy oskarżył sprzedającego, że oszukuje na wadze. Zaczęli się kłócić, krzyczeć i w końcu przepychać. Nigdy nie zapomni, jak w jednej chwili atmosfera zgęstniała. Wszyscy wokół to poczuli. W powietrzu zapachniało niebezpieczeństwem.

Nigdy więcej nie widziała bójki. Ale podobne emocje zawsze ogarniały ją w bliskości Rafe'a Brandona. Tak jakby nosił je ze sobą, niby walizkę albo laskę. Tylko że w jego przypadku to było napięcie i brutalna siła, którą ledwie trzymał na wodzy. Poczucie niebezpieczeństwa połączone z oczekiwaniem. I ryzyko, że w każdej chwili zasady współżycia społecznego mogą się obrócić wniwecz.

Jego podboje sercowe nie były żadną tajemnicą. Na jego widok tasiemki od gorsetów same się rozwiązywały.

– Myślałam, że pan zrezygnował z płatnych walk – powiedziała tylko.

– Wszyscy tak myślą. Właśnie dlatego mój powrót do sportu będzie taki sensacyjny. I opłacalny.

Był w tym jakiś pokrętny sens, pomyślała.

– A teraz proszę o wyjaśnienie. – Skrzyżował ramiona na piersi. Te potężne, mocarne ramiona. – Co tu pani robi, do licha? Powinna pani mieć dość rozsądku, żeby nie zjawiać się samotnie w takiej okolicy.

– Owszem, mam i wcale nie przyszłam tu sama. Na zewnątrz czeka dwójka służących. – Głupi impuls kazał jej dodać: – I uzgodniliśmy sygnał.

Czarna brew powędrowała do góry.

– Sygnał.

– Właśnie tak. Sygnał – potwierdziła i zaatakowała go, żeby zamknąć temat. – Nie musiałabym tu przychodzić, gdyby można było się z panem skontaktować w inny sposób. Próbowałam znaleźć pana w Harrington.

– Już tam nie wynajmuję pokojów.

– Tak mi powiedzieli i podali ten adres. – Ruszyła za nim do części budynku, która wyglądała na mieszkanie. – Naprawdę pan tu nocuje?

– Kiedy trenuję. Żeby się nie dekoncentrować.

Clio rozejrzała się. Widziała w życiu niewiele kawalerskich mieszkań, ale zawsze wyobrażała sobie, że panuje w nich nieporządek i zapach niemytych przedmiotów – naczyń, tkanin i ciał.

Skład, w którym zamieszkiwał lord Rafe, nie pachniał brzydko. Trocinami, kawą i nutą olejku golteriowego… Ale umeblowanie było naprawdę spartańskie. W kącie dostrzegła proste łóżko, kilka półek i niewielki stolik z dwoma stołkami.

Lord Rafe wziął z kredensu dwa kubki i postawił je na stole. Do jednego nalał nieco sherry. Do drugiego wsypał resztki kawy ze słoika, dodał jakiś aromatyczny syrop z tajemniczej brązowej butelki i wbił trzy surowe jajka.

Obserwowała z dziwną fascynacją, jak mieszał śliską masę widelcem.

– Chyba pan tego nie…

– Nie wypiję? – Podniósł kubek, wychylił zawartość jednym łykiem i z trzaskiem odstawił go na stół. – Trzy razy dziennie.

– Aha.

Podsunął jej sherry.

– To dla pani. Zdaje się, że dobrze pani zrobi.

Clio patrzyła na kubek, czując jak zbiera jej się na wymioty.

– Dziękuję.

– Nie mam nic lepszego. Jak pani widzi, jestem nie najlepiej przygotowany do przyjmowania towarzyskich wizyt.

– Nie zajmę panu dużo czasu, obiecuję. Przyszłam tylko po to, by…

– Dać mi zaproszenie na wesele. Przykro, ale nie skorzystam.

– Co takiego? Nie. To znaczy… Słyszał pan zatem, że lord Granville w końcu wraca z Wiednia.

– Owszem, słyszałem. Również i o tym, że pozwolił pani zaplanować najbardziej ekstrawaganckie wesele, jakie pani przyjdzie do głowy. Sam się

podpisałem pod kredytem.

– Owszem. Skoro mówimy o podpisach… – Clio zacisnęła palce na pliku papierów, który miała w dłoni.

Odszedł od stołu.

– Proszę się streszczać. Nie mam czasu na pogawędki.

Zatrzymał się pod belką, zawieszoną o metr nad jego głową.

Doskoczył do niej jednym błyskawicznym ruchem, a potem zaczął się podciągać na rękach.

Bez końca.

– Proszę mówić dalej – zachęcił ją, dotykając belki brodą. – Mogę rozmawiać w tej pozycji.

On może i mógł, ale Clio miała trudności. Nie była przyzwyczajona do prowadzenia konwersacji z mężczyzną w negliżu, prężącym mięśnie podczas ćwiczeń. Całe jej ciało mruczało z emocji.

Uniosła do ust kubek i pociągnęła ostrożny łyk.

Pomogło.

– Pewnie pan nie słyszał, ale kilka miesięcy temu zmarł mój wujek Humphrey. – Machnięciem ręki powstrzymała go od składania kondolencji. – To nie była nagła śmierć. Dożył późnej starości. Ale ten kochany człowiek zostawił mi coś w spadku. Zamek.

– Zamek? – Rafe wydał basowy pomruk i podciągnął się po raz kolejny. Zastygł na belce, napinając mięśnie, by utrzymać pozycję. – Rozumem, że to jakaś kupa cegieł na wrzosowisku, obciążona długami.

– Szczerze mówiąc, nie. Znajduje się w hrabstwie Kent i jest bardzo piękny. Należał do majątku osobistego wuja. Pewnie pan sobie przypomina, że był hrabią Lynforth.

Wielki Boże, zaczynam gadać głupoty. Weź się w garść, Clio.

– Zatem będzie to świetne miejsce na ślub – powiedział Rafe z wysiłkiem.

– Może i tak. Kiedyś. Dla kogoś. Dzisiaj właśnie tam jadę i zatrzymałam się tu po drodze, żeby…

– Słucham.

Podciągnął się wyżej.

– …żeby właśnie…

– …poprosić o pieniądze.

Podciągnął się jeszcze raz.

– Mówiłem już, że może pani wydać na ślub tyle, ile pani sobie życzy. Proszę przesyłać rachunki administratorom mojego brata.

Clio zacisnęła powieki i otworzyła je znowu.

– Lordzie Rafe, proszę, czy mógłby pan na moment przestać…

– …kończyć za panią zdania?

Stłumiła gniewne warknięcie.

Zatrzymał się w połowie ćwiczenia.

– Proszę mi tylko nie mówić, że czegoś nie zrozumiałem.

Szczerze mówiąc, sama nie wiedziała, jak ma mu to powiedzieć. To było najtrudniejsze.

Za to on mówił dalej.

– Tak jak już pani wyjaśniałem, trenuję. – Każde swoje zdanie podkreślał, podciągając się na belce. – Tak się zachowują zawodowi bokserzy. Koncentrujemy się. Przewidujemy ruch przeciwnika. Reagujemy. Jeśli panią to drażni, proszę być mniej przewidywalną.

– Odwołuję wszystko – wyrzuciła z siebie. – Ślub, zaręczyny. Wszystko.

Zeskoczył na podłogę.

Powietrze wokół nich niemal strzelało iskrami.

Mroczny wyraz jego twarzy powiedział Clio, że tego akurat nie przewidział.

Rafe gapił się na nią zdziwiony.

Nie tak zaplanował sobie nadchodzący miesiąc. Zaszył się w tej dziurze, żeby trenować, przygotowując się do powrotu na ring. Miał się przecież po raz drugi spotkać z Jackiem Dubose i stoczyć największą walkę w swoim

życiu, za największe pieniądze w historii Anglii. Żeby się do tego przygotować, musiał intensywnie szlifować formę, wysypiać się, najadać…

Przede wszystkim zaś nie rozpraszać uwagi.

I kto nagle staje w drzwiach? Panna Clio Whitmore, osoba, która zawsze potrafiła rozproszyć go jak nikt inny na świecie. We własnej osobie.

Zawsze byli przeciwieństwami, od dziecka. On był impulsywny, niegrzeczny, psotny jak szatan. A ona – jasnowłosa, niebieskooka, o porcelanowej cerze przypominała szlachetną angielską różę. Do tego była delikatna i dobrze wychowana.

I słodka nie do wytrzymania.

Jednym słowem – uosabiała cnoty arystokratycznego towarzystwa. Czyli wszystko, czym wzgardził po ukończeniu dwudziestu jeden lat i czego słabości obnażał przy każdej okazji.

Aktualnie najbardziej pragnął obnażyć pannę Clio.

Kiedy był blisko niej, nie potrafił się oprzeć, by jej nie zgorszyć pokazem brutalnej siły. Uwielbiał jej dokuczać i patrzeć, jak jej policzki przybierają niezwykły, egzotyczny odcień różu. Nie raz zastanawiał się, jak by wyglądała, gdyby rozpuścić ten węzeł złocistych włosów, gdyby ich pasma splątały się w miłosnych zmaganiach i zwilgotniały od potu.

Była narzeczoną jego brata. Nie powinien myśleć o niej w ten sposób. Ale poza ringiem bokserskim Rafe rzadko kiedy robił to, co powinien.

Odwrócił wzrok od delikatnej białej koronki ozdabiającej dekolt jej sukni.

– Chyba coś źle usłyszałem.

– Jestem pewna, że usłyszał pan dobrze. Mam tu wszystkie dokumenty. – Rozwinęła plik papierów, które zaciskała w okrytej rękawiczką dłoni. – Moi prawnicy je spisali. Chciałby pan, żebym streściła ich zawartość?

Zirytowany, sięgnął po dokumenty.

– Umiem czytać.

Przynajmniej trochę.

Podobnie jak wszystkie dokumenty przedstawiane mu od śmierci starego

markiza, te również były napisane jak kura pazurem i niemal nieczytelne. Od pierwszego spojrzenia rozbolała go głowa.

Ale to jedno spojrzenie wystarczyło.

Sprawa była poważna.

– Są nieważne – powiedział. – Najpierw powinien podpisać je Piers.

– Owszem. Ale jest ktoś, kto ma jego upoważnienie do podpisywania wszystkiego podczas jego nieobecności.

Spojrzała na niego błękitnymi oczyma.

Nic z tego.

Rafe nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Więc po to pani przyszła. Żebym to podpisał, prawda?

– Owszem.

– W żadnym razie. – Oddał jej dokumenty, podszedł do worka treningowego i wymierzył mu solidny prawy sierpowy. – Piers właśnie wraca z Wiednia. A pani ma przecież planować ślub i wesele.

– Właśnie dlatego chciałam, żeby podpisał pan te dokumenty przed jego przyjazdem. To najlepsze rozwiązanie. Nie chciałabym stwarzać nieprzyjemnych sytuacji a…

– Bo nieprzyjemne sytuacje to moja specjalność.

Wzruszyła ramionami.

– Właśnie.

Rafe opuścił głowę i wymierzył workowi serię błyskawicznych prostych. Tym razem wcale się nie popisywał. Lepiej mu się myślało, kiedy ciało było w ruchu. Walka sprawiała, że jasno myślał, a to właśnie było mu teraz potrzebne.

Czemu Clio chce zerwać te zaręczyny, do diaska? Była debiutantką, wychowano ją jako doskonałą kandydatkę do małżeństwa. Tak samo jak konie gorącej krwi hoduje się do wyścigów. Luksusowy ślub z bogatym, przystojnym markizem powinien być spełnieniem jej najskrytszych marzeń.

– Nie znajdzie pani lepszego kandydata – ostrzegł ją.

– Wiem.

– Na pewno marzy pani o małżeństwie. Co innego mogłaby zrobić pani ze swoim życiem?

Zaśmiała się prosto w kubek z sherry.

– No właśnie, co innego? Przecież kobietom nie pozwala się na rozwijanie własnych zainteresowań ani potrzeb.

– Tak jest. Chyba… – Zatrzymał się w pół uderzenia. – Chyba że jest ktoś inny.

Zamilkła na moment.

– Nie ma nikogo innego.

– To znaczy, że straciła pani cierpliwość. Albo zimną krew.

– Wcale nie boję się ślubu. Nie o to chodzi. Po prostu nie zamierzam wyjść za kogoś, komu na mnie nie zależy.

– Dlaczego pani tak uważa? – Wycelował w worek prawy sierpowy, a potem dołożył mu lewym.

– Bo popatrzyłam sobie w kalendarz. Od jego oświadczyn minęło osiem lat. Gdyby pan pragnął jakiejś kobiety, czekałby pan na nią tak długo?

Opuścił pięści i odwrócił się ku niej, zdyszany. Płuca napełnił mu aromat fiołków. Do diabła ciężkiego, nawet jej zapach był taki słodki.

– Nie. Nie czekałbym.

– No właśnie.

– Ale ja jestem impulsywnym łajdakiem. Piers jest inny. To lojalny, szlachetny syn swego ojca.

Jej brew drgnęła ledwie zauważalnie.

– Jeśli wierzyć brukowcom, ukrywa gdzieś żonę z czwórką dzieci.

– Nie czytuję brukowców.

– Może pan powinien. Często o panu piszą.

Nie wątpił w to. Doskonale wiedział, jakie podłości o nim wypisują, i robił wszystko, żeby rozdmuchiwać te plotki. Dobrą reputacją nie wygrywa się walk ani nie napełnia kieszeni.

– Piers miał swoje powody do zwłoki. To poważny człowiek. – Rafe z trudem zachowywał powagę. Słuchajcie tylko, jak wychwala własnego brata. Rzadko mu się to zdarzało. A raczej nigdy. – Najpierw był na placówce w Indiach. Potem przyszła Antigua. Między tymi nominacjami był w domu, ale ślub się opóźnił.

Spuściła wzrok.

– Byłam chora.

– Właśnie. Potem trzeba było zakończyć jakąś tam wojnę, a później… Teraz, kiedy wreszcie podpisano w Wiedniu te wszystkie traktaty, Piers może wrócić do domu.

– Nie mam do niego pretensji o to, że pracuje – odpowiedziała. – Ani o to, że stał się tak ważną osobą dla Korony. Zrozumiałam po prostu, że ja nie jestem ważną osobą dla niego.

Rafe zakrył twarz dłońmi, tłumiąc gniewne warknięcie.

– Moi prawnicy mówią, że mogłabym złożyć pozew o zerwanie obietnicy małżeństwa. Ale nie chcę wystawiać go na pośmiewisko. Teraz, gdy mam Twill Castle, nie potrzebuję bezpieczeństwa finansowego, jaką daje małżeństwo. Zrezygnujmy z niego po cichu, tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Wcale nie. To nie będzie dobre dla nikogo.

Ani dla Piersa, ani dla Clio.

A już na pewno nie dla Rafe’a.

Po śmierci ojca zawiesił bokserską karierę. Nie miał wyboru. Piers wyjechał, więc Rafe chcąc nie chcąc, znalazł się za sterami fortuny rodu Granville’ów.

Jego żywiołem był ring, a nie biuro. Dobrze o tym wiedział, podobnie jak wszyscy prawnicy i zarządcy, którzy ledwie kryli pogardę. Przychodzili do niego uzbrojeni w foliały, księgi, przedstawiali sprawy wymagające jego uwagi i kiedy poradził sobie z jedną, przedkładali następną. Każda przyprawiała go o irytację. Dosłownie kipiał z urazy, czując się, jakby ktoś

znowu zmusił go do studiowania w Eton.

Był przekonany, że ojciec przewraca się w grobie, pluje robakami na prawo i lewo i cedzi te same, znane mu na pamięć słowa.

„Żaden z moich synów nie będzie niewykształconym prostakiem. Żaden z moich synów nie przyniesie wstydu rodowi”.

Rafe zawsze go rozczarowywał. Nigdy nie był takim synem, jakiego pragnął jego ojciec. Ale żył swoim życiem, samodzielnie zdobył tytuł – wprawdzie nie lordowski, ale mistrzowski. Gdy tylko Piers wróci do Anglii i się ożeni, Rafe będzie mógł wreszcie powrócić na ring i odzyskać swoje mistrzostwo.

Tylko co będzie, jeśli Clio zrezygnuje ze ślubu?

Jego brat globtrotter może zawrócić na pięcie i przepaść gdzieś na kolejnych osiem lat.

– Piers pewnie cały czas miał nadzieję na takie rozwiązanie – powiedziała Clio. – Chciał wyplątać się z tych zaręczyn, ale honor mu nie pozwalał. Pewnie z ulgą przyjmie wiadomość, że to ja zrezygnowałam.

– Nie sądzę. Poza tym ja pani na to nie pozwolę.

– Nie będę się kłócić.

Zwinęła papiery i postukała w kartonową tubę, w której je przyniosła.

– Przepraszam za najście. Muszę się pożegnać. Wezmę te dokumenty ze sobą do Kentu. Gdyby pan zmienił zdanie w sprawie podpisu, będę w Twill Castle. Znajduje się w pobliżu wioski Charingwood.

– Nie podpiszę ich. Co więcej, pani też go nie poprosi o podpis. Gdy się spotkacie, natychmiast się pani zorientuje, że plotki były bezpodstawne. Przypomni sobie pani o powodach, dla których przyjęła pani jego oświadczyny. I wyjdzie pani za niego.

– Nie wyjdę.

– Przypominam, że będzie pani wtedy markizą.

– Nie będę. Nic z tego – odparła.

Jej spokojny, poważny ton zaniepokoił go bardziej, niż chciałby to

przyznać nawet przed sobą. Do diabła, zaczęły mu się pocić dłonie. Tak jakby czuł, jak wyślizguje mu się z garści cała jego kariera, wszystko, na co tak ciężko pracował i wszystko, co nadawało jego życiu jaką taką wartość.

Ruszyła ku drzwiom. Jednym skokiem dopadł jej i złapał za ramię.

– Clio, zaczekaj.

– On mnie nie chce. – Jej głos się załamał. – Nie rozumie pan tego? Wszyscy o tym wiedzą. A ja dopiero po tylu latach dostrzegłam prawdę. Ale koniec tego wyczekiwania. On mnie nie chce, i ja jego też już nie chcę. Muszę zatroszczyć się o moje serce.

Do diabła. Więc o to chodziło. Powinien się domyśleć. Przyczyna jej nagłego oporu nagle stała się równie zauważalna, jak lew na herbowej tarczy Granville'ów.

Rafe był rodzinnym buntownikiem, zaś Piers nieodrodnym synem swego ojca. Sztywnym, dumnym i nieugiętym. A przede wszystkim nie okazującym emocji.

Rafe nie miał wprawdzie nic wspólnego z uczuciami londyńskiej debiutantki, ale doskonale wiedział, jak to jest, gdy człowiek czuje się niechciany przez markiza Granville. Przez całą młodość desperacko wyczekiwał choćby najmniejszej oznaki uczucia lub akceptacji ze strony ojca – i gardził sobą, gdy ich nie dostawał.

– Piers pani pragnie. – Uciszył sprzeciw, pocierając kciukiem jej ramię. Boże, ależ ono było miękkie. – Zapragnie pani. Proszę zaplanować ślub i wesele. Naprawdę, Clio. Bo kiedy zobaczycie się pierwszy raz po tej przerwie, zapragnie pani aż do bólu. Zapragnie zobaczyć panią w tej wspaniałej koronkowej sukni, z kwiatuszkami tu i ówdzie we włosach. Zapragnie zobaczyć, jak idzie pani do ołtarza, poczuć, jak pierś rozpiera mu duma, rosnąca z każdym pani krokiem. A przede wszystkim, zapragnie stanąć przed Bogiem, przed waszymi przyjaciółmi i rodziną, i przed całą londyńską socjetą i ogłosić im wszystkim, że pani należy do niego. Tylko i wyłącznie do niego.

Nie odpowiedziała.

– Pani też tego zapragnie.

Uścisnął lekko jej ramię a potem je puścił i połaskotał ją pod brodą.

– Wspomni pani moje słowa. Doprowadzę do pani ślubu z moim bratem już za miesiąc, nawet jeśli będę musiał sam zorganizować tę cholerną imprezę.

– Co takiego? – Otrząsnęła się z zamyślenia. – Chce pan sam zorganizować ślub i wesele?

Na jej wargach zaigrał uśmieszek, kiedy powiodła wzrokiem po nagich belkach pod sufitem, ceglanych ścianach, meblach zbitych z nieheblowanych desek… a potem spojrzała na niego. Na najbardziej prostacką, nieokrzesaną rzecz w tym pomieszczeniu.

– Prawie zrobiło mi się żal, że ślubu nie będzie – odpowiedziała, odsuwając się od niego. – Bo to byłoby naprawdę zabawne.

2

Jak myślisz, który pokój najbardziej spodoba się Daphne i sir Teddy’emu?

Clio stała w korytarzu między drzwiami do dwóch apartamentów. Niespokojnie wygładziła dłońmi szmaragdowy jedwab nowej sukni.

– Może dać im Błękitną Komnatę, z oknami wychodzącymi na park? A może ten większy pokój, choć widać z niego tylko zacieniony kawałek ogrodu?

Anna pracowicie wyjmowała papiloty z włosów Clio.

– Panno Whitmore, jeśli chce pani znać moje zdanie, to nie powinna się pani tym przejmować. Cokolwiek dla nich pani przygotuje, na pewno będą narzekać.

Clio westchnęła. Miała rację. Phoebe zadowoli każdy pokój, jeśli tylko będzie miał drzwi i świecę, żeby mogła spokojnie czytać. Ale Daphne była taka sama jak ich matka. Nie sposób było jej dogodzić.

– Niech będzie ten. Jest najlepszy.

Błękitna Komnata miała wysokie okna, z których roztaczał się wspaniały widok na śliczne ogrody Twill. Żywopłoty jak namalowane. Niezliczona ilość odmian róż. Altanki porośnięte rozkwitłymi pnączami. A za tym wszystkim łagodnie wzgórza Kentu skąpane w blasku letniego słońca. Pola równie szmaragdowe jak jej suknia. Powietrze pachnące kwiatami i przywiędłą trawą – jakby słońce było magnesem, wyciągającym życie z gleby. Zabierającym wszystko, co zielone i świeże.

Jeśli na jej siostrze coś w ogóle może zrobić wrażenie, to ten pokój. I ten

widok.

I ten cudowny zamek.

Który, dzięki wujowi, należał teraz do Clio.

Twill Castle był jej szansą… szansą na wszystko. Na niezależność. Wolność. Bezpieczeństwo. Przyszłość, która mogłaby już należeć do niej, gdyby Rafe zechciał współpracować.

Nie powinna go w ogóle o nic prosić. Rafe Brandon po prostu nie współpracował z nikim – na tej samej zasadzie, na jakiej lwy nie przytulają się do zebr. To nie leżało w jego naturze. Ten wybuchowy, umięśniony człowiek był stworzony do buntu, sprzeciwu… i podnoszenia ciężarów.

Biały obłoczek kurzu na horyzoncie przykuł jej uwagę. To dwa powozy zbliżały się do żwirowanego podjazdu.

– Już są! – zawołała. – O, mój Boże. Już jadą.

Pobiegła korytarzem ku głównym schodom, po drodze zaglądając do każdego z pokojów.

Wszystko dobrze, dobrze. Doskonale.

Wcale nie doskonale.

Zatrzymała się na schodach i poprawiła przekrzywiony portret. Potem popędziła w dół, najszybciej jak potrafiła, żeby otworzyć frontowe drzwi.

Powozy zatrzymały się na podjeździe.

Z drugiego zaczęła wyskakiwać służba, rzucając się do rozpakowywania kufrów i waliz.

Lokaj pośpieszył otworzyć drzwi rodzinnego powozu.

Pierwsza wysiadła Daphne, odziana w lawendową suknię podróżną i żakiet z dodatkami tej samej barwy – najmodniejszy zestaw tego lata.

Clio ruszyła ku niej, otwierając ramiona.

– Daphne, kochanie. Jak wam się…

Daphne rzuciła znaczące spojrzenie w stronę służby.

– Opanuj się, Clio. Nie zachowuj się jak prostaczka. Jestem utytułowaną osobą.

Choć upłynął rok od jej małżeństwa, Daphne pozostała sobą.

Ponieważ matka inwestowała wszystkie wysiłki w wykształcenie i wychowanie Clio, jej druga, z lekka zaniedbana córka stała się modnisią, uganiającą się za mężczyznami. Wszyscy powitali z ulgą – w pewnym sensie – jej ucieczkę i pośpieszne małżeństwo z sir Teddym Cambournem ledwie w dwa miesiące po debiucie. Jej wybranek był płytkim, powierzchownym dżentelmenem, ale przynajmniej miał dochody i tytuł baroneta. Mogła trafić gorzej.

– Lady Cambourne. – Clio złożyła formalny ukłon. – Witam w Twill Castle. Jestem zachwycona waszym przybyciem.

– Cześć, kluseczko. – Szwagier wymierzył jej zwyczajową sójkę w bok.

– Ależ oczywiście, że przyjechaliśmy – odparła Daphne. – Nie pozwolilibyśmy ci czekać samotnie na powrót lorda Granville. A po jego powrocie trzeba zorganizować ślub i wesele.

Na szczęście w tym momencie wysiadła z powozu jej młodsza siostra, dzięki czemu Clio nie musiała wymyślać odpowiedzi.

– Phoebe, kochana. Tak się cieszę, że cię widzę.

Clio chętnie by ją uściskała, ale Phoebe nie lubiła uścisków. Osłoniła się grubą książką.

– Ale urosłaś tego lata – powiedziała więc tylko jej siostra. – I jesteś taka śliczna.

Szesnastoletnia Phoebe była wiotka, ciemnowłosa, urocza i błękitnooka. Wkrótce stanie się pięknością. Gdyby chodziło tylko o urodę, odniosłaby wielki sukces już podczas swego pierwszego sezonu. Ale Phoebe miała w sobie coś… dziwnego. Zawsze tak było. Clio miała wrażenie, że w głowie jej siostry za dużo się dzieje, i że przez to dziewczynka nie potrafi nawiązać kontaktu z otaczającymi ją ludźmi.

– Bylibyśmy tu parę godzin wcześniej, gdyby nie straszny korek przy Charing Cross – wyjaśnił Teddy. – Przejazd przez ten cholerny most zajął nam dwie godziny. Dwie godziny!

– Myślałam, że się pochoruję od tego smrodu – dodała Daphne.

Phoebe spojrzała na kieszonkowy zegarek.

– Wyjechaliśmy o niewłaściwej porze. Gdybyśmy ruszyli dwadzieścia minut wcześniej, bylibyśmy tu od pięćdziesięciu minut.

– Cieszę się, że przyjechaliście właśnie teraz – powiedziała Clio, prowadząc ich do łukowatego wejścia. – Chodźcie wszyscy.

Daphne przytrzymała ją za rękę.

– Ja wchodzę pierwsza, pamiętaj. Może za miesiąc będziesz markizą, może jestem twoją młodszą siostrą. Ale jako zamężna lady mam pierwszeństwo. Przynajmniej przez kilka następnych miesięcy.

Clio przepuściła ją przed sobą.

– Ależ oczywiście.

Przestronne wejście Twill Castle pochłonęło ich jak rozwarta paszcza. Podziw odebrał im na chwilę mowę.

Nawet czterysta lat temu wiedziano, jak budować, żeby zrobić wrażenie na wchodzących. Hall wejściowy był ogromny – na całą wysokość budynku. Łagodnie zakręcające schody prowadziły wzrok ku górze, coraz wyżej i wyżej. Obrazy i portrety w pozłacanych ramach – bynajmniej nie małe – zajmowały wszystkie wolne miejsca na ścianach, wisząc po cztery albo po pięć w rzędzie.

Po kilku chwilach Teddy cicho gwizdnął.

– Ładny, prawda? – powiedziała Daphne. – Całkiem nobliwy. Tylko szkoda, że jest taki… stary.

– To zamek – odparła Phoebe. – Jak może nie być stary?

Daphne uszczypnęła Clio w ramię, trochę serdecznie, a trochę złośliwie.

– Ale dom jest odbiciem swej właścicielki. Nie pozwól, żeby podkreślał, jak się zestarzałaś. Mogłabyś pokryć te brzydkie kamienne ściany nowymi tynkami. Na przykład francuskimi stiukami. A potem odzialibyśmy i ciebie w nowy jedwab.

Siostra ogarnęła Clio spojrzeniem, które sprawiło, że nowa suknia wydała

jej się nagle byle jaka i pognieciona. Potem zacmokała językiem w sposób przerażająco przypominający ich drogą mamusię.

– Nic się nie martw – dodała, poklepując Clio po ramieniu. – Mamy parę tygodni, żeby to wszystko naprawić. Prawda Teddy?

– Oczywiście – zgodził się. – Spokojnie, kluseczko. Zrobimy wszystko, żeby jego lordowska mość nie zwiał po raz kolejny.

Clio uśmiechnęła się i odwróciła wzrok. Częściowo dlatego, że to był jedyny sposób, by poradzić sobie ze szwagrem, a częściowo dlatego, że coś innego przykuło jej uwagę.

Na karym koniu nadjeżdżał galopem samotny jeździec, wzniecając chmury kurzu na drodze.

– Czy zabraliście ze sobą z Londynu kogoś jeszcze?

– Nikogo – zapewnił ją Teddy.

– Czyżby to był… – Daphne w ślad za nią weszła pod łukowaty portal i zrobiła zeza. – Czyżby to był Rafe Brandon?

Tak jest.

To mógł być tylko Rafe Brandon.

Zawsze był wspaniałym jeźdźcem. Z końmi łączyło go coś w rodzaju zwierzęcego porozumienia. Bliski związek pierwotnych natur.

Jakby na dowód tego zatrzymał konia w galopie na podjeździe bez żadnych okrzyków ani ciągnięcia za wodze, po prostu mocnym naciskiem kolan, które sprawiło, że zwierzę zatoczyło ciasne koło.

Uspokoił wierzchowca jednym słowem i zwinnie zeskoczył na ziemię. Potężne buty zatupały na podjeździe. Miał zamszowe bryczesy. Większość mężczyzn takie nosiła. Ale można się było założyć, że na jego udach ten zamsz napinał się mocniej niż na udach zwierzęcia, z którego został zdarty.

Obszerna peleryna. Czarne rękawiczki. Bez kapelusza. Tylko kaskada ciężkich, kruczych włosów. Szelmowsko zwichrzonych wiatrem.

Był uosobieniem grzechu. Nic dziwnego, że nazywano go Zaprzedanym Diabłu. Lucyfer pewnie płacił mu za reklamę.

– Wielki Boże… – szepnęła Daphne. – Jak myślisz, czy on trenuje takie wejścia?

Clio ucieszyła się, że ktoś dzieli z nią to uczucie.

– Nie wyobrażam sobie, żeby robił jakieś próby na nasz użytek. Chyba po prostu taki jest.

– Nie spodziewałaś się go chyba.

– Nie.

Ale może powinnam.

– Och, tylko nie to. Wygląda na to, że przyjechał na dłużej.

Gdy kurz opadł, dostrzegli, że jego śladem podąża powóz. Tej nocy zamkowe stajnie będą pełne.

– Nie możesz go jakoś odprawić? – spytała Daphne. – To taki prostak i parweniusz.

– W dalszym ciągu jest synem markiza.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Wcale się tak nie zachowuje. Nigdy zresztą taki nie był.

– No cóż, każda rodzina ma swoich oryginałów. – Clio poklepała siostrę po ramieniu. – Pójdę się z nim przywitać. Anna z gospodynią pokażą wam pokoje, żebyście się mogli rozgościć.

Gdy Clio szła, by ich powitać, sylwetka Rafe’a rosła jej w oczach coraz bardziej. Czuła, że się rumieni.

Skinął głową na powitanie.

– Co za niespodzianka – powiedziała. – Widzę, że przyjechał pan z przyjaciółmi.

Z powozu wsiadł szczupły mężczyzna w obszernym płaszczu. Otaczała go aura niewzruszonej życzliwości – niezbędna osobom, przebywającym w bliskim kontakcie z Rafe’em. Pochylił się i wyciągnął z wnętrza najgrubszego, najbrzydszego, najstarszego buldoga, jakiego Clio widziała w życiu. Wielki Boże. Co za biedny starowina. Nawet jego zmarszczki były pomarszczone.

Kiedy tylko pies stanął na ziemi, zrobił pod sobą kałużę.

– To Ellingworth – powiedział Rafe, zdejmując rękawiczki.

Clio dygnęła.

– Dzień dobry, panie Ellingworth.

Rafe potrząsnął głową.

– Ellingworth to ten pies.

– Ma pan psa?

– Nie. Piers ma psa. – Popatrzył na nią tak, jakby powinna była to wiedzieć.

A ona nie wiedziała. To bardzo dziwne. Nie przypominała sobie, żeby Piers kiedykolwiek wspominał o psie. Poza myśliwską sforą, którą jego zarządca trzymał w Oakhaven.

– Pamiątka z czasów Oksfordu – wyjaśnił Rafe. – Wiąże się z nim pewna historia – to miał być jakiś dowcip albo maskotka. Albo jedno i drugie. W każdym razie pies został ze mną. Ma czternaście lat. Wymaga specjalnej diety i stałej opieki. Weterynarz wszystko mi szczegółowo zapisał.

Sięgnął do kieszeni i podał Clio notatki.

Trzy bite strony.

– Dobrze… – powiedziała. – Teraz, kiedy już wiem, że Ellingworth to pies, czy mógłby pan przedstawić mnie swojemu towarzyszowi?

– To jest Bru…

– Bruno Aberforth Montague – włączył się gładko przybyły. – Szlachcic.

Skłonił się i uniósł dłoń Clio do ust.

– Do pani usług.

– Jestem zachwycona.

Szczerze mówiąc, nie czuła specjalnego zachwytu. Ani z powodu tego całego pana Montague, ani Rafe’a.

Kiedy pan Montague wziął psa na smycz i zaprowadził go na trawnik, zaczęła zadawać pytania.

– Czyżby zdecydował się pan wpaść tylko na chwilę, by podpisać moje

dokumenty?

– W żadnym wypadku. Rozmawialiśmy już o tym. Przyjechałem, żeby zorganizować ślub i wesele.

Zamarła.

– Och, nie.

– Och, tak.

Nie panikuj, upomniała się w myśli. Jeszcze nie teraz.

– Wydawało mi się, że pan trenuje. I nie można pana rozpraszać.

– Mogę trenować tu, w Kencie. Wiejskie powietrze świetnie wpływa na kondycję. A pani może ograniczyć zamieszanie do minimum, współpracując ze mną przy planowaniu ślubu. Piers chciał, żeby w ten wielki dzień miała pani wszystko, co pani zechce.

– Mam więc uwierzyć, że sam na to wpadł?

Wzruszył ramionami.

– Mógłby. Do jego powrotu mogę dysponować całą jego fortuną i tytułem.

Teraz, pomyślała. Teraz możesz już panikować.

– Rafe, nie mam czasu na takie zabawy. Nie w tym tygodniu. Właśnie przyjechały moje siostry, i szwagier.

– Wspaniale. Tej trójki gości nie będziemy musieli zapraszać.

Zacisnęła w palcach kartki papieru.

– Dobrze pan wie, że nie będzie żadnego ślubu.

Spojrzał w stronę zamku.

– Powiedziała już pani o tym swojej rodzinie?

– Nie – musiała przyznać. – Jeszcze nie.

– Aha. Więc nie podjęła pani jeszcze ostatecznej decyzji.

– Podjęłam ostateczną decyzję. A pan zachowuje się naprawdę niepokojąco. Wpada pan tu jak wichura na swoim karym koniu. Nieoczekiwanie i niezwykle dramatycznie. Żąda pan planowania ślubu i spełniania całej listy jakichś wymagań.

– Same ze mną kłopoty, zna mnie pani przecież. Ja także panią znam.

Na chwilę zaparło jej dech w piersiach. Ale zaraz przypomniała sobie, że ten pozorny flirt to tylko męskie stwierdzenie faktu.

– Nie zna pan mnie tak dobrze, jak się panu wydaje, panie Rafe Brandon.

– Znam na tyle, żeby wiedzieć, że mnie pani stąd nie wyrzuci.

Rafe obserwował ją z uwagą.

Nie wymagało to szczególnego poświęcenia. Ale dziś miał po temu dodatkowy powód.

Być może Clio jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji co do tego małżeństwa, ale widział wyraźnie, że nie życzy sobie teraz dodatkowej dwójki gości w domu.

A raczej kolejnej trójki gości, jeśli wliczać Ellingwortha.

Naśladując Bruisera, przykucnął przy psie. Był tak stary, że kompletnie ogłuchł, ale Clio nie musiała o tym wiedzieć.

– Nic się nie martw, Ellingworth. – Podrapał go za uchem. – Panna Whitmore jest uosobieniem etykiety i szczodrości. Nie wygnałaby starego, bezbronnego psa na mróz. – Spojrzał na Clio z ukosa. – A może jednak tak.

– Hm. Zdawało mi się, że bokserzy walczą fair.

– Nie jesteśmy na ringu. W każdym razie tak mi się wydaje.

Po chwili zastanowienia postanowił wykorzystać szansę.

– To nowa suknia?

– Ja… – Skrzyżowała ramiona, a potem je opuściła.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

Och, ogromne. Dobrze wiedział, jak ważne są takie rzeczy.

Być może nie miał pojęcia o organizacji ślubów i wesel, ale o kobietach wiedział to i owo. A nawet więcej.

Clio tylko tego potrzebowała. Odrobiny uwagi. Żeby ją ktoś docenił. Czekała tak długo… czuła się niechciana. To była kompletna bzdura. Wystarczyło na nią spojrzeć. Tylko kompletny głupek nie pożądałby takiej kobiety.

Piers nie był głupi.

Niestety, Rafe też nie.

– Do twarzy pani w tym kolorze – powiedział.

Tak było. Zieleń pięknie kontrastowała z jej złotymi włosami i cudownie opinała okrągłe kształty. Jak sen. Sen, do którego nie miał prawa.

Wstał i pozwolił sobie ogarnąć ją spojrzeniem po raz ostatni, od stóp do głów.

Zanim spotkali się wzrokiem, rumieniec na jej policzkach nabrał malinowej barwy. Uśmiechnął się z lekka. Cera Clio Whitmore potrafiła przybrać więcej odcieni, niż miały ich jedwabie w najmodniejszym składzie tkanin. Zawsze kiedy wydawało mu się, że widział je wszystkie, zaskakiwała go inną barwą.

Wyobraź sobie, jak ty zaskoczyłbyś ją w łóżku.

Nie, ty idioto. Nie wolno ci tego sobie wyobrażać.

Ale jak zwykle jego myśli wyprzedziły zdrowy rozsądek. W wyobraźni rozkwita scenka równie wyraźna, jak nieproszona. Clio bez tchu. Naga. Pod nim. Odarta z dobrych manier i zahamowań. Błagająca, by zobaczył, jak i gdzie się jeszcze rumieni.

Zamrugał. Potem zapamiętał ten obrazek i włożył go do przegródki zatytułowanej „Miłe, lecz niemożliwe”. Obok latającego powozu i fontanny z piwem.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

– W takim razie przyślemy nasze rzeczy.

– Nie powiedziałam „tak”.

– Ale nie powiedziała też pani „nie”.

I nie powie. Oboje o tym wiedzieli. Niezależnie od tego, jak bardzo nie lubiła Rafe’a, i jak bardzo chciała, żeby odjechał… sumienie nie pozwoli jej odprawić go od drzwi.

Jej ciche westchnienie rezygnacji poruszyło go bardziej niż powinno.

– Powiem służącym, żeby przygotowały jeszcze dwa pokoje.

Skinął głową.

– Przyjdziemy, gdy skończę rozsiodływać konia.

– Mamy stajennych – odpowiedziała. – Na szczęście cała służba mojego wuja postanowiła zostać ze mną.

– Zawsze sam się nim zajmuję.

Rafe poprowadził wałacha na myjkę, żeby go porządnie wyszczotkować. Zawsze po wyczerpującej konnej przejażdżce – albo po biegu lub walce – potrzebował takich zajęć, żeby się uspokoić. Taka ilość energii po prostu nie była w stanie rozpłynąć się w powietrzu.

Tym bardziej że musiał poważnie porozmawiać z pewną osobą. Osobą, która właśnie przedstawiła się jako wielmożny pan Montague.

– Co za diabeł cię opętał? – zapytał, gdy tylko Clio oddaliła się poza zasięg słuchu. – Co to za pan Montague? Ustaliliśmy, że będziesz moim lokajem.

– To było, zanim zobaczyłem ten zamek. Kurczę, popatrz no tylko!

– Właśnie patrzę.

Zamek robił duże wrażenie, Rafe musiał to przyznać. Ale widział już wspanialsze. W jednym z nich się nawet wychował.

– Chcę mieć swój pokój w tej budowli – oświadczył Bruiser, wskazując na kamienne mury. – Albo jeszcze lepiej własną wieżę. W żadnym wypadku nie będę odgrywał twojego pokojowca. Nie zamierzam tkwić pod schodami i jadać w kuchni dla służby z pokojówkami. Co nie znaczy, że nie doceniam uroczych pokojóweczek. Albo nawet postawnych lokajów.

Cały Bruiser. Przeleciałby wszystko, co się rusza.

– Cóż za liberalne poglądy, panie Bruno Aberforcie Montague.

– Wielmożny panie. Proszę nie zapominać o szacunku.

Rafe robił, co mógł, żeby o tym zapomnieć.

– Jest tu siostra panny Whitmore, lady Cambourne. Razem z mężem, sir Teddym Cambourne’em.

– I co z tego? – spytał Bruiser. – Wiem, że starasz się o tym nie myśleć, ale też jesteś lordem. A ja rozmawiam z tobą bez większych problemów.

– To inna sprawa. Nie zwracam uwagi na swój tytuł. Skończyłem z tym wszystkim wiele lat temu.

– A teraz wracasz. Nietrudne, prawda?

Trudniejsze, niż sobie wyobrażasz.

Do diabła, Rafe czuł się prawie jak oszust, choć wychował się w takiej wspaniałej posiadłości.

– Słuchaj no – powiedział. – Jesteś synem praczki i barmana, i zarabiasz na życie ustawianiem nielegalnych walk. Właśnie wkręciłeś się w towarzystwo ludzi, którzy tak przewyższają bandę, w której się zazwyczaj obracasz, że równie dobrze mogliby chodzić po chmurach. Jak zamierzasz to wszystko ogarnąć?

– Spokojnie. Znasz mnie przecież, z każdym się dogadam. Sprawiłem sobie nowy kapelusz.

Rafe popatrzył na filcowe nakrycie głowy, którym Bruiser kręcił na palcu.

– To jest mój kapelusz.

– Po prostu będę cię obserwował i robił to co ty na tych wszystkich przyjęciach, i tak dalej.

Genialny plan. Rafe sam nie pamiętał całej tej etykiety.

– A to jest moja sekretna broń. – Rozglądając się na boki, wyjął z kieszeni niewielki przedmiot z mosiądzu. – Znalazłem to cacko w lombardzie.

Rafe przyjrzał się bliżej.

– Monokl. Też mi coś.

– Mówię ci, takie przedmioty załatwiają sprawę. Też powinieneś sobie taki sprawić, Rafe. Serio. Ktoś cię ignoruje? Monokl. Ktoś zadaje pytanie, na które nie znasz odpowiedzi? Lustrujesz go przez monokl.

– Naprawdę myślisz, że jeden durny monokl wystarczy, żeby udawać arystokratę?

Bruiser uniósł monokl i spojrzał na Rafe’a przez okular. Z wielką powagą.

Ten idiota niechybnie coś tu zmaluje.

– Tylko nic nie spieprz – ostrzegł go.

– Na pewno nic nie spieprzę. Przecież jestem twoim sekundantem. Zawsze w twoim narożniku.

Tyle że to nie była walka, ale coś o wiele bardziej niebezpiecznego.

Goszcząc w Twill Castle, znajdzie się w obcym dla siebie środowisku. A kiedy czuł się obco, zaczynał się czuć niepewnie. A kiedy czuł się niepewnie, budziła się jego impulsywna, bezkompromisowa natura. I różni ludzie padali jej ofiarą.

Będzie musiał bardzo uważać.

– Kiedy przyjeżdża ten ślubny konsultant? – zapytał.

Bruiser nagle podejrzanie ucichł.

– Zatrudniłeś przecież konsultanta do organizacji tego ślubu, prawda?

– Ależ oczywiście. Nazywa się Bruno Aberforth Montague.

Rafe zaklął.

– Nie do wiary.

Bruiser uniósł dłonie obronnym gestem.

– Skąd miałem wziąć ślubnego konsultanta? Nawet nie wiem, czy w ogóle tacy istnieją. Ale to nieważne. Wszystko się doskonale ułoży. Zobaczysz.

– Wątpię. Wiesz jeszcze mniej o ślubach niż ja.

– Skądże. To nieprawda.

W oczach Bruisera pojawił się ten jasny, pełen emocji błysk, który Rafe nauczył się już dawno rozpoznawać. I obawiać się go.

– Przemyśl to, Rafe. Jestem twoim trenerem i menadżerem. Ciągle zajmuję się takimi rzeczami. Znajduję dwie pasujące do siebie osoby. Rozsyłam wiadomości. Przyciągam tłumy, które koniecznie chcą je oglądać. A przede wszystkim umiem sprawić, że bokser skupia się na walce i myśli o niej na długi czas przedtem. – Z tymi słowy przytknął palec do głowy Rafe’a.

– Bruiser.

– Co tam?

– Zabieraj ten paluch, bo ci go złamię.

Usłuchał i zamiast tego poklepał Rafe’a po ramieniu.

– Takiego ducha walki nam potrzeba.

Rafe energicznie czyścił konia.

– To się nie uda. Wyjdzie z tego jedna wielka katastrofa.

– Uda się, obiecuję ci to. Odziejemy ją w jedwabie, zasypiemy kwiatami i eleganckimi tortami, aż będzie wariować z niecierpliwości. Aż wyobrazi sobie, jak idzie do tego ołtarza. Ja się na tym znam, Rafe. Nikt nie potrafi tak rozgrzać emocji, nikt nie potrafi zrobić takiego widowiska lepiej niż ja.

– Lepiej ode mnie – poprawił go Rafe.

Bruiser uniósł brew i przyłożył monokl do oka.

Rafe powiesił ogłowie na wieszaku.

– Chodźmy do zamku.

Wyszli ze stajni i ruszyli w stronę wiekowej budowli. Tuż przed bramą Rafe zatrzymał się nagle.

– Jeszcze jedno. Nie całuj jej więcej w rękę.

– Nie miała nic przeciwko temu.

Rafe zakręcił się na pięcie i złapał go za klapy.

– Nie całuj jej w rękę.

Bruiser uniósł dłonie w geście uległości.

– Dobra, nie będę.

– Nigdy. Pod żadnym pozorem.

Rafe odczekał chwilę i puścił swego towarzysza.

Bruiser pociągnął go za kamizelkę.

– Podoba ci się ta dziewczyna?

– To nie dziewczyna, tylko dama. Niedługo będzie markizą. Poza tym nie podoba mi się.

– To dobrze – odparł Bruiser. – Bo to by nie najlepiej wyglądało. No wiesz, w końcu jest narzeczoną twojego brata i w ogóle.

– Możesz być pewny, że o tym nie zapomniałem. Tylko dlatego tu przecież jesteśmy.

– Wiem, że podobają ci się piersiaste blondyny. Ale do tej pory żadna tak

nie zawróciła ci w głowie. Co nie?

– Ona jest już zajęta, rozumiesz?

Piers ożeni się z Clio. Wszyscy od dawna o tym wiedzieli. Ten związek był bardzo rozsądny. Ich rodzice tego pragnęli. Piers też. I Clio, choć na chwilę o tym zapomniała.

Rafe też tego chciał. A raczej potrzebował.

– To zresztą nie ma znaczenia – dodał. – Dla niej jestem niedokształconym prostakiem, który ma nieliczne pozytywne cechy. A poza tym… jest taka niewinna i skromna, że pewnie nawet kąpie się w bieliźnie i bez światła. Co ja bym robił z taką kobietą?

Wszystko.

Z taką kobietą mógłby zrobić wszystko. I to nie raz.

– Nawet jej nie dotknę – mruknął. – Nie jest moja. I nigdy nie będzie.

– Jasne. – Bruiser wzniósł oczy do nieba i otrzepał kapelusz z kurzu. – W żadnym razie nie mamy do czynienia z wieloletnim, tłumionym pożądaniem. Jak to dobrze, że wszystko sobie wyjaśniliśmy.

3

Ten jeden, jedyny raz Clio cieszyła się, że ma tak wybredną siostrę.

Zgodnie z przewidywaniami Anny, Daphne i Teddy nie mieli ochoty ani na błękitny pokój, ani na ten większy po przeciwnej stronie korytarza. Zamiast tego wybrali apartament w niedawno zmodernizowanej Zachodniej Wieży.

Clio nie mogła zrozumieć, jak można przedkładać tapety na ścianach nad starożytną atmosferę i wspaniały widok z okien, ale dzięki temu miała dwa wolne pokoje dla niespodziewanych gości.

Zaprowadziła pana Montague do północnego pokoju.

– Mam nadzieję, że będzie tu panu wygodnie.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni monokl, uniósł go do oka i z wielkim namaszczeniem zlustrował pomieszczenie, od gobelinów na ścianach aż po fotel w stylu Ludwika XIV, uratowany z jakiegoś francuskiego *château*.

– Nada się – oświadczył.

– Bardzo się cieszę. Jeśli będzie pan czegoś potrzebować, proszę zadzwonić po pokojówkę.

Clio zamknęła drzwi i wskazała Rafe’owi drzwi do Błękitnej Komnaty.

– Mam nadzieję, że…

– Juhuuu!

Ten stłumiony okrzyk dobiegł ich zza zamkniętych drzwi pokoju pana Montague, a w ślad za nim rozległ się jęk sprężyn i odgłos upadku. Zupełnie jakby ktoś rzucił się z rozpędu na łóżko.

Następnie rozległy się odgłosy kolejnych podskoków. I coś, co brzmiało jak radosne okrzyki.

Clio przechyliła głowę i spojrzała na Rafe’a.

– Czy może pan powtórzyć, skąd pochodzi pan Montague?

– Nic na ten temat nie mówiłem.

Zatrzymała się, nasłuchując kolejnych dźwięków. Za drzwiami przenikliwie skrzypiały otwierane i zamykane drzwiczki szafek.

– Patrzcie no tylko, ile tu miejsca. – Po tych stłumionych słowach zabrzmiał pełen zachwytu gwizd. – Chryste panie, jest nawet barek.

Uniosła brew z pytającym grymasem.

Rafe wzruszył ramionami obronnym gestem.

– To jakiś znajomy Piersa z dyplomacji. Pewnie ostatnio tkwił na jakiejś odległej, zapomnianej placówce. Wie pani, jak to jest.

Nie rozwijając tematu, pokazała mu pokój.

– To nasza Błękitna Komnata. Mam nadzieję, że spodoba się i panu, i pańskiemu psu.

– Już raz mówiłem, że to nie jest mój pies.

Pies, który nie należał do niego, wmaszerował na dywan i padł płasko na brzuch. Z pyska polała się kałuża gęstej śliny.

Rafe był nieco bardziej oszczędny w pochwałach. Obszedł pomieszczenie, przyglądając się wszystkim meblom po kolei. Przesuwał wzrokiem po ich powierzchni, nie zatrzymując się nawet na moment.

– Z okien roztacza się piękna panorama ogrodów i wzgórz, gdyby pan miał ochotę… – Clio przerwała, bo Rafe przykucnął i zajrzał pod szafę. – Milordzie, czy coś jest nie tak?

– Owszem. – Zatrzymał się z pochmurną miną obok łóżka z różanego drzewa. – Na tym łóżku jest dwadzieścia poduszek.

– Nie sądzę, żeby ich było aż tyle.

– Pierwsza. – Wziął z łóżka walcowatą, ozdobioną frędzlami poduszkę. Odrzucił ją na bok. Odbiła się od podłogi i zatrzymała o włos od kałuży śliny

Ellingwortha.

– Druga. – Odrzucił kolejną. – Trzecia. Czwarta.

Jedna po drugiej, przerzucał poduszki z wezgłowia na drugi koniec materaca, gdzie lądowały na nieporządnym stosie.

– Czternasta… piętnasta… – W końcu złapał ostatnią i pogroził nią Clio. – Szesnasta.

– Mówiłam, że nie ma dwudziestu.

– Komu do diaska potrzeba szesnastu poduszek? Człowiek ma tylko jedną głowę.

– Ale dwoje oczu.

– Które zamyka, gdy śpi.

Clio westchnęła.

– Wprawdzie mieszka pan teraz w kupieckim magazynie, ale wiem, że nie urodził się pan w stodole.

Przeszła na drugą stronę łóżka i zaczęła starannie układać poduszki.

– Układa je się dla ozdoby – wyjaśniła. – Symetria jest miła dla oka.

– Jasne. Wszyscy wiemy, co jest najmilsze dla mężczyzny w łóżku. Symetrycznie ułożone poduszki.

Poczuła, jak jej rumieniec z różanego przechodzi w szkarłatny.

– Lordzie Rafe…

– Jeszcze jedno. – Podszedł do umywalki. Pewnie zaraz przyczepi się do miednicy albo skarci ją, że leżą tam aż dwa, Boże broń!, kawałki mydła. – Nie korzystam już z tego tytułu. Proszę mnie nie nazywać lordem. Ani pani, ani służba.

– Lordzie Rafe. – Jej głos zdradzał krańcową irytację, gdy sięgnęła po ostatnią poduszkę. – Staram się być gościnna. Ale to jest mój dom, a nie magazyn handlowy w Southwark. Zaś ja sama – przynajmniej na razie – jestem wciąż zaręczona z lordem Granville. Chyba że zechce pan zakończyć ten związek, podpisując dziś moje dokumenty.

– Nic z tego.

– W takim razie proponuję, żeby zachowywał się pan w sposób godny rodowego nazwiska. Tego samego, do którego tak bardzo chce mnie pan przekonać.

– Właśnie to robię. – Przekręcił głowę, sprawdzając w lusterku stan swego zarostu. – Najlepiej uszanuję to nazwisko, dystansując się od niego.

Clio znieruchomiała.

To niemożliwe, żeby tak myślał. Owszem, walki bokserskie były nielegalne i skandaliczne, ale wszyscy Anglicy zachwycali się tym sportem. Niewątpliwie Rafe wywołałby sensację w klubie Almacka, ale gdyby wszedł do jakiegokolwiek elitarnego klubu dżentelmenów, byłby tam traktowany jak półbóg.

Mimo to…

Jego baryton zabrzmiał ostro, z goryczą.

– Proszę się nie martwić – dodał. – Kiedy pani wyjdzie za mojego brata, będę się trzymał z daleka również od pani.

– Lordzie Rafe…

Strzelił palcami i podszedł do szafy.

– Proszę nazywać mnie po prostu Rafe. Albo Brandon, jeśli pani woli. Od kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, używam tylko tytułów, na które zasłużyłem.

Na które zasłużył?

Aktualnie, zdaniem Clio, zasłużył wyłącznie na tytuł Upierdliwego Lorda. Na litość boską, ten człowiek wykończyłby każdego.

– Rozumiem, że chodzi panu o tytuł czempiona – odpowiedziała, układając poduszki w rządku. – Tylko że on aktualnie należy do Jacka Dubose, prawda?

Odwrócił się do niej. Nagle wyparował z niego cały niepokój. Przestał błądzić wzrokiem i skupił go na niej.

Wyprostowała się, żeby nie myślał, że się boi.

Tylko że po szyi chodziły jej ciarki, a serce biło jak szalone.

Wypowiedział tylko dwa proste, poważne słowa:

– Już niedługo.

Powietrze wibrowało od nieznośnego napięcia.

Żeby zmienić temat, Clio odłożyła na miejsce ostatnią poduszkę.

– Gotowe.

Spojrzał na łóżko. Potem na nią.

– Jest pani idealną parą dla mojego brata.

Nie wiedzieć czemu, poczuła się z tym dziwnie.

Idealna, powiedział.

Idealna para dla Piersa.

Rafe nie miał pojęcia, jakie wrażenie zrobiły na niej te słowa. Te wszystkie lata prywatnej edukacji i nauki etykiety… i jeszcze gorszych rzeczy. O wiele gorszych. Wysiłki matki, która chciała uczynić z niej doskonałą kandydatkę na lady Granville, doprowadziły Clio do choroby. Dosłownie.

Ale znosiła to wszystko bez skargi, rozpaczliwie pragnąc, by wszystkich zadowolić. Nawet nie marzyła, by stać się ideałem. W wieku siedemnastu, dziewiętnastu a nawet dwudziestu trzech lat wszystko by oddała, żeby usłyszeć to, co przed chwilą powiedział.

A teraz, kiedy postanowiła zrezygnować z pogoni za perfekcją… Nagle pojawił się Rafe, i cały ten jego bagaż niebezpiecznych emocji i arogancji.

Jest pani idealną parą dla mojego brata.

Nie potrafiła się odciąć. Powiedziała tylko:

– Niech pan da spokój.

– Rafe. – Do pokoju wpadł zdyszany Montague, trzymając coś w ręku. Chyba nie zauważył Clio stojącej u wezgłowia łóżka. – Rafe, te pokoje są niesamowite. Popatrz na nocnik. Jadałem z talerzy, które były brudniejsze od niego.

– Montague…

– Mówię szczerze. Mógłbym go wylizać. – Zaczął obracać naczynie w dłoniach. – Założysz się?

– Nie.

– Bo wiesz, że bym to zrobił.

– Nie.

Rafe i Clio zgodnie wydali instynktowny jęk desperacji.

Montague zamarł z językiem na wierzchu i brwiami uniesionymi do góry, zauważając w końcu obecność Clio. Odezwał się, zapominając, by schować język:

– Ach. Paooo Wihmoo.

– Panie Montague.

Montague błyskawicznie ukrył nocnik za plecami.

– Ja… właśnie wychwalałem lordowi Rafe, jaki niesłychany porządek jest w tym zamku.

– Owszem.

Clio nie miała pojęcia, o co chodzi z tym całym dziwacznym panem Montague, ale wyczuwała, że daje jej to przewagę nad Rafe'em. A każda taka przewaga była dla niej na wagę złota.

– Porozmawiajcie sobie sami na ten temat, panowie – powiedziała, poprawiając ostatnią poduszkę. – Kolacja jest o siódmej.

Kolacja ciągnęła się w nieskończoność.

Przy pierwszym daniu jeszcze jakoś szło, uznał Rafe.

Innymi słowy, obaj z Bruiserem wybrali odpowiednie łyżki do zupy i żaden z nich nie wywalił wazy.

Potem nadszedł ten kłopotliwy moment, kiedy Rafe podniósł głowę znad pustego talerza i uświadomił sobie, że towarzystwo jest dopiero na etapie drugiej albo trzeciej łyżki.

Clio spojrzała na niego z rozbawieniem.

– Smakowało?

Zajrzał do pustego talerza.

– Była z zielonego groszku, prawda?

– Z karczochów. Z rozmarynowymi grzankami, cytrynową oliwą, podprawiana świeżutką śmietaną.

– No właśnie. To miałem na myśli.

Rafe strzelił palcami pod stołem. Nienawidził tych formalnych kolacji, od chwili gdy osiągnął wiek, w którym pozwala się dzieciom siadać przy stole. Dla niego jedzenie było po prostu paliwem i nie wymagało długich ceremoniałów. Nawet głupie jagnięce żeberka obnoszono wokół stołu z taką pompą, jakby ukończyły Cambridge albo szkołę morską…

– Ile będzie dań? – spytał, gdy służba zabrała wazy i podała półmiski z rybami.

– To zwykła rodzinna kolacja. – Uniosła kieliszek z winem. – Więc tylko cztery.

Psiakrew. Wolałby czterdzieści rund na ringu.

Czuł, że ogarnia go irytacja, a to nigdy dobrze nie wróżyło.

Jakimś cudem przetrwał ryby, ale potem czekały go jeszcze gulasze i pieczenie. Przynajmniej miał coś do roboty, bo poproszono go o krojenie mięsa.

– Zatem, panie Montague, rozumiem, że jest pan prawnikiem? – spytała lady Cambourne, delektując się jagnięcym udźcem.

– Prawnikiem? Boże, za nic. – Bruiser przełknął łyk wina. – Eee… dlaczego pani tak uważa?

– Ze względu na ten tytuł „wielmożny”. Ma on przecież znaczenie. Więc, jeśli nie jest pan prawnikiem, to albo pański dziadek był parem, albo ojciec otrzymał tytuł rycerski. Może pan to sprecyzować?

– Ja…ten… – Wsunął palec pod fontaź i rzucił Rafe’owi błagalne spojrzenie, żeby wyciągnął go z tej kabały.

Zamiast tego Rafe uśmiechnął się tylko, sugerując w ten sposób, żeby sam się wyplątał z tego, w co sam się wpakował.

– Och, niech pan lepiej nic nie mówi. – Daphne z determinacją piłowała wołowinę. – Będę zgadywać. Przecież są inne sposoby zdobycia tego tytułu.

Na przykład szczególne usługi wyświadczone Koronie. Ale czy nie jest pan na to nieco za młody, panie Montague?

Podniósł ten cholerny monokl do oka i przyjrzał się jej uważnie.

– Owszem. Ale różnie to bywa.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Na litość boską. Rafe nie mógł uwierzyć, że ta strategia naprawdę się sprawdza. Czy Daphne Whitmore zawsze była taka głupia? Kiedy widział ją poprzednio, była nastolatką.

Odchrząknął.

– Pochodzenie pana Montague nie ma znaczenia. Mój brat przysłał go do Twill Castle z konkretnym zadaniem. Ma pomóc w przygotowaniach do ślubu.

– Ślubu? – Daphne otaksowała ich przenikliwym spojrzeniem. – Przyjechaliście zaplanować całą ceremonię? Ślub mojej siostry z lordem Granville?

– Tak jest – przytaknął Bruiser. – Lord Granville pragnie, żeby wszystko było gotowe przed jego przyjazdem. I żeby mógł bez zwłoki wziąć ślub z panną Whitmore.

– Ale przecież on wraca już za kilka tygodni – odparła Daphne. – To za mało czasu na zaplanowanie ślubu i wesela. W każdym razie ślubu godnego markizy. Trzeba rozesłać zaproszenia, kupić kwiaty, zrobić dekoracje, zorganizować śniadanie. I suknię.

– Masz rację – przytaknęła Clio – To na nic. Lepiej poczekać do powrotu…

Daphne podniosła widelec, nakazując ciszę.

– Trudne, ale nie niemożliwe. Będziesz potrzebowała pomocy, żeby to wszystko zaplanować. Doskonale się złożyło, że akurat cię odwiedziliśmy z Terrym. Chętnie cię wesprzemy.

– To bardzo miło z waszej strony, ale nie potrzebuję waszej pomocy –

odparła Clio.

Święta racja, pomyślał Rafe.

Clio wcale nie potrzebowała pomocy siostry, żeby zorganizować dużą imprezę praktycznie z marszu. Przecież to ona sama zajmowała się na początku roku pogrzebem starego markiza, bo Rafe był wtedy kontuzjowany i nie mógł jej pomóc. A teraz samodzielnie zarządzała całym zamkiem.

Do diabła, tych szesnaście poduszek, ułożonych symetrycznie jak kamienny krąg druidów, też było dowodem jej talentów organizacyjnych.

Poza tym planowanie wesela miało być atrakcją, która zachęci Clio do ślubu z Piersem i przyjęcia tytułu markizy Granville. To się na pewno nie uda, jeśli sir Burak i lady Bezmózga zaczną się do wszystkiego mieszać.

– Panna Whitmore dostanie wszystko, co zechce – powiedział. – Co tylko jej się zamarzy. Pieniądze nie grają roli.

– Oczywiście – przytaknęła Daphne. – Naturalnie, bacznie obserwuję najnowszą modę, w Londynie i na kontynencie. To będzie najwspanialsze wesele, jakie widziała Anglia w ciągu ostatniej dekady. Po kolacji zaczniemy spisywać listę rzeczy do zrobienia.

– Mogę zacząć od zaraz. – Phoebe odsunęła deser z owoców leśnych, który lokaj właśnie przed nią postawił i wyjęła z kieszeni notesik z ołówkiem.

– Najpierw wybierzmy miejsce – zaczęła Daphne. – Czy w tym zamku jest kaplica?

– Tak – przytaknęła Clio. – I to prześliczna. Myślałam, że zaprowadzę was tam po kolacji. Architektura tego miejsca jest…

Daphne przerwała jej machnięciem ręki.

– Znowu jakieś nudne kamienie i pajęczyny. Czekają od czterystu lat, mogą poczekać jeszcze trochę. W odróżnieniu od twojego ślubu. Mam nadzieję, że jest tu w pobliżu jakiś pastor. Pozostaje więc tylko licencja… Ktoś będzie musiał przywieźć specjalną licencję z Canterbury.

– Ja to załatwię – zgłosił się Rafe.

I tak będzie musiał znaleźć jakiś pretekst, żeby wyrwać się na trochę z tego zamku. Jak to może być daleko? Ze dwadzieścia mil? Świetny biegowy dystans. Potem wynajmie konia i wróci wierzchem.

– Drużbowie już siedzą przy tym stole – powiedziała Phoebe, zapisała coś na kartce, a potem od razu to przekreśliła. – Daphne będzie druhną Clio, a lord Rafe pana młodego.

Słysząc to, natychmiast powrócił myślą z przedmieść Canterbury.

On drużbą?

Nie ma mowy. Byłby najgorszym kandydatem do tej roli.

Clio wstała od stołu.

– Przejdziemy do salonu, miłe panie? Niech panowie napiją się porto w swoim kręgu.

Szklaneczka porto bardzo by się przydała. Rafe zazwyczaj nie pijał mocnych alkoholi, gdy trenował. Ale może warto zapomnieć o tej zasadzie na tydzień.

Pochwycił błagalny wzrok Clio nad morzem lśniących kryształów.

Po krótkim namyśle postanowił nie pić tego porto. Zasady są po to, żeby ich przestrzegać. Szczególnie w tym tygodniu. Żadnych alkoholi mocniejszych od wina. Żadnego objadania się przysmakami.

I żadnych kobiet.

– Tak, przejdźmy już do salonu – powiedziała Daphne. – Zaczniemy spisywać listę gości.

– Ale… – Głos Clio się załamał. – To wszystko dzieje się tak szybko. Nie ma powodu, żeby robić jakieś plany przed powrotem Piersa.

– Owszem, jest bardzo dobry powód, droga siostro – sprzeciwiła się Daphne. – Powód, który trwał osiem lat.

– Nie sprzeciwiaj się, kluseczko. – Cambourne gestem polecił lokajowi, żeby dolał mu porto. – Trzeba jak najszybciej zastawić pułapkę, nadziać przynętę i być czujnym, bo nieraz ci się już wymknął, prawda? Przykuj go do siebie, zanim zwieje. Mam rację, co nie, Brandon?

Zarechotał donośnie z własnego żartu.

Rafe się nie śmiał. Czuł, jak w jego piersi wzbiera znajomy płomień gniewu.

– Mój brat niecierpliwie czeka na ten ślub.

– Proszę mi wierzyć, my też nie możemy się doczekać, aż dojdzie do skutku. – Cambourne pochylił się ku niemu. – Mądrej głowie dość dwie słowie. Kula i łańcuch. Proste, co nie?

Łup.

Dłonie Rafe’a z trzaskiem opadły na blat. Zabrzęczała porcelana. Zadygotały kryształy.

Ludzie szeroko otworzyli oczy.

Odsunął krzesło i wstał.

– Za pozwoleniem.

Musiał natychmiast spojrzeć na coś innego niż na ten przemądrzały uśmieszek sir Teddy’ego Cambourne’a, bo wywróciłby ten cały elegancki stół do góry nogami – z porcelaną, kryształami, srebrem i całym tym towarzystwem.

4

Kiedy Rafe wbiegł na górę, złapał psa, zniósł go na dół na szybki spacerek, potem zaniósł go z powrotem po kamiennych schodach na trzecie piętro i posadził przy kominku w swojej sypialni, jego gniew nieco się już ulotnił.

Teraz czuł się tylko… zagubiony.

Zaczepił jakiegoś lokaja.

– Gdzie jest panna Whitmore z gośćmi?

– W salonie milordzie.

– Świetnie. – Zrobił dwa kroki, zatrzymał się i odwrócił do lokaja. – A gdzie jest salon?

– We wschodnim skrzydle, milordzie. Korytarzem do końca, potem w prawo, w dół po schodach i przez hall wejściowy na lewo, milordzie.

– Jasne.

Ale czy na pewno jasne?

Rafe pośpiesznie ruszył wzdłuż korytarza, żeby nie zapomnieć tej całej litanii wskazówek. Pracowicie nawigował przez plątaninę korytarzy i przejść, potem przyspieszył, skręcił za róg i…

Wpadł całym pędem na kogoś nadchodzącego z przeciwnej strony.

Clio.

– Och…

Impet zderzenia pchnął ją do tyłu, jakby była polnym konikiem odskakującym od boku galopującego konia.

Przytrzymał ją za nadgarstek, żeby się nie przewróciła.

– Przepraszam.

– Nic mi nie jest.

Może i tak było, ale Rafe musiał nieco ochłonąć. Choć zetknęli się ledwie na moment, miał wrażenie, że dotyk jej ciała wycisnął na nim piętno. Wspomnienie ciepła, miękkości i delikatności zagnieździło się w najbardziej niestosownych miejscach jego ciała.

Tu nie wystarczy bieg po schodach. Jutro musi solidnie potrenować. I ostro pobiegać. Poboksować się, popodnosić ciężary. Dużo. I długo.

– Właśnie pędziłem do salonu – powiedział.

– No to pędził pan w przeciwną stronę.

Rafe wzruszył ramionami.

– Ten zamek to istny labirynt. A pani miała siedzieć z siostrami i spisywać listę gości.

– Wymknęłam się. Miałam wrażenie, że był pan… mocno zirytowany, wychodząc. Chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Po tych wszystkich docinkach swojego szwagra, ona przejmowała się samopoczuciem jego, Rafe’a?

Dotknęła jego ramienia.

– Przez całą kolację był pan wyraźnie nieswój. Może pan czegoś potrzebuje?

Boże. Potrzebował całego mnóstwa rzeczy, a co najmniej połowa z nich była zawarta w tym jednym geście. Napomniał się, żeby nie przejmować się za bardzo tą jej dobrocią. Wychowano ją na idealną gospodynię, która zawsze myśli o wygodzie gości.

– Niech pani wyjdzie za mąż – odparł. – Wtedy się uspokoję.

Zawrócili i ruszyli w głąb korytarza.

Westchnęła.

– Te wszystkie plany to absurd. Nie rozumie pan, że nic z tego nie będzie? Nie wspominając już o igraniu z uczuciami mojej siostry.

– W takim razie dlaczego pani sama im nie powie, że chce pani

zrezygnować ze ślubu?

– Przed podpisaniem dokumentów? Nie odważyłabym się na to. Wtedy miałabym całą waszą czwórkę przeciwko sobie. Dziękuję uprzejmie. – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, jak panu wybaczę, że pan tu przyjechał.

– Wybaczała mi pani gorsze rzeczy.

– Na przykład to, że zarezerwował pan taniec na moim debiutanckim balu, a potem pan nie przyszedł? – Pantofelki zastukały po posadzce z wyraźną irytacją. – Dalej jestem o to zła.

– To była przysługa. – Dostosował się do jej tempa, gdy zbliżali się do długiej, wąskiej galerii. – Myślałem o tych urodzinach, kiedy wsadziłem pani rękawiczki do ponczu.

– Jasne. A kiedy miałam osiem lat, a pan jedenaście, przypalił pan moją sukienkę głownią z kominka. – Spojrzała z ukosa. – Ale to było nic w porównaniu z tym upokorzeniem, gdy graliśmy w tenisa pod dachem, w Oakhaven, bo przez cały tydzień padał deszcz. Ograć kogoś cztery razy z rzędu? To kompletny brak kultury

– Miałem ci dać wygrać, bo byłaś dziewczyną? Poza tym chciałem zdobyć srebrny puchar.

– To była stara miedziana forma do budyniu – sprostowała. – W każdym razie zemściłam się, wygrywając z panem wyścig.

Zmarszczył brwi.

– Nigdy nie wygrała ze mną pani żadnego wyścigu.

– Owszem, wygrałam.

– Kiedy?

– Zastanówmy się. – Zatrzymała się na środku galerii. – To było właśnie… Teraz!

Zrzuciła pantofelki, uniosła skraj sukni i popędziła przed siebie. Zatrzymała się dopiero na samym końcu. Z rozpędu pośliznęła się na pastowanej posadzce i dojechała aż pod same drzwi.

– Właśnie. – Spojrzała na niego, roześmiana i zdyszana. – Przegrałeś.

Rafe patrzył na nią, kompletnie oszołomiony.

Jeśli tak wygląda przegrana, to już nigdy w życiu nie chce wygrywać.

Wielki Boże, co za widok. Pasma włosów wymknęły się szpilkom, szyja nabrała różanej barwy… a zdyszany oddech wywierał magiczny wpływ na jej obfite piersi… i była to raczej mroczna, zmysłowa magia.

A najbardziej zmysłowy był błysk radości w jej oczach.

Tej dziewczynie brakuje obycia.

Wszyscy to powtarzali, kiedy tylko ogłoszono zaręczyny. Piers wyruszył do Indii, oddać się karierze dyplomaty, a Clio została w Londynie, żeby nabrać ogłady. Rafe nie miał pojęcia, na czym polega ta cała ogłada, ale z góry mu się to nie podobało. Wiedział, że po paru latach Clio będzie ze szczętem ogładzona. Poddadzą ją takiej tresurze i presji, że nieodwracalnie zatraci wszystko, co było w niej choć trochę niezwykłe i indywidualne.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

Ale dawna Clio wyraźnie przetrwała. Ta Clio, którą lubił, zanim londyńskie smoczyce porwały ją w pazury i usztywniły dziesięcioma warstwami lakieru.

Tą Clio, na którą nie miał teraz nawet prawa patrzeć.

Do diabła. Musi się lepiej pilnować. Naprawdę nie wolno mu się na nią gapić. Przyjechał tylko po to, żeby się upewnić, czy Clio za kilka tygodni pójdzie do ołtarza z innym.

Nie z innym. Z jego własnym bratem.

– Świetnie się razem bawiliśmy – powiedziała. – Zanim nastąpiły te zaręczyny… i wszystko się skomplikowało. A przynajmniej nasza dwójka. Phoebe i Daphne były za małe, a Piers, nawet w tamtych czasach, był już o wiele za stary na takie rozrywki.

– Piers był za stary na rozrywki od chwili, gdy przyszedł na świat.

– A ja nigdy z nich nie wyrosłam. To kolejna oznaka, że do siebie nie pasujemy. – Założyła sobie pasmo włosów za ucho i wzruszyła ramionami. – Za długo byłam grzeczną dziewczyną. Teraz znowu chcę się dobrze bawić.

Nie mów takich rzeczy.

– Wiesz, co jest najlepszą zabawą? Wesela.

Wielki Boże. Dawno nie opowiadał takich głupot.

– Spróbuj, nie pożałujesz. Spełnimy każdy twój kaprys. Będziesz miała gołąbki wypuszczane w powietrze. Łabędzie na jeziorze. Pawie w ogrodzie, jeśli tylko zechcesz.

– Strasznie dużo tych ptaków.

– Zostaw ptaki w spokoju.

– Słuchaj, wszędzie będzie pełno piór. Nie wspominając o kupach.

– W takim razie żadnych ptaków. Zapomnij o ptakach. – Przeciągnął dłonią po twarzy. – Chcę tylko powiedzieć, że będziesz miała wszystko, co zechcesz, a jak czegoś nie zechcesz, to z tego zrezygnujemy. Pieniądze nie grają roli.

Bruiser miał rację. Ślub to coś w rodzaju bokserskiego pojedynku, ale Clio jeszcze nie myślała o wejściu na ring. Musi przymierzyć parę sukni, zaplanować jakieś menu, poczuć, że będzie przedmiotem podziwu i zazdrości, gdy ruszy do ołtarza u boku Piersa. To będzie triumf. Zwycięstwo.

To się uda. To się musi udać. Nie może jej pozwolić na zerwanie zaręczyn.

– To się nie uda, Rafe. – Wróciła po buty.

Starał się nie patrzeć, jak unosi skraj sukni, by wsunąć w nie stopy.

Próbował, ale bezskutecznie.

– Nawet, gdybym dała się przekonać… to przecież wujek Humphrey nie zostawił mi w spadku domku na plaży albo naszyjnika z pereł.

Podskakiwała w górę i w dół, żeby pantofelki się dobrze ułożyły.

Inne części jej ciała też się dobrze układały.

Szczerze mówiąc, torturowała go swoim wyglądem.

– Jestem panią na zamku – powiedziała. – Na moim własnym zamku. Jak może z tym konkurować jakiś głupi ślub, nawet taki bogaty, z cały stadem ptaków?

– No i dobrze, masz zamek. W całej Anglii są zamki. W posiadłościach

Granville'ów też są ze dwa. Jeśli tak ci zależy na wielkich, wspaniałych rezydencjach, zostań panią Oakhaven.

– Nie chodzi mi o dom, tylko… – Spojrzała w róg sali i westchnęła. – Nic nie rozumiesz.

– Czego znowu nie rozumiem? – Uraziła jego dumę, jak wszyscy, którzy podawali w wątpliwość jego inteligencję. Może nie ukończył Oksfordu z wyróżnieniem jak Piers, ale nie był przecież tępakiem.

– Tego się nie da opowiedzieć. Chodź. Spróbuję ci pokazać.

Pokręcił głową.

– Idziemy na dół. Robić listę gości.

– Jeszcze nie. – Podeszła do niego. – Chcesz zrozumieć, dlaczego to miejsce jest inne? I dlaczego ja się zmieniłam? Daj mi szansę, żebym cię po nim oprowadziła, a obiecuję spędzić resztę wieczoru z siostrami w salonie.

Nie ruszył się.

– Tydzień.

– Co takiego?

– Przez cały tydzień będziesz się zachowywać jak posłuszna narzeczona. Będziesz robić listy i menu. Wybierać kwiaty. Przymierzać suknię. Bez żadnego marudzenia i wykrętów.

– Powiedzmy, że się na to zgodzę. Pozwolę ci zostać cały tydzień. Nie będę jeszcze podejmować żadnej ostatecznej decyzji. Ale jeśli pod koniec tego tygodnia w dalszym ciągu będę chciała zerwać zaręczyny, to co? Podpiszesz te papiery?

Wziął głęboki oddech. Szczerze wierzył w moc koronek, jedwabiu i w talent Bruisera, ale prawdę mówiąc, nie miał wyboru. To wszystko nie wzruszy jej wcale, jeśli nie weźmie udziału w przygotowaniach z własnej woli.

– Doskonale – odpowiedział. – Umowa stoi.

– Ręka?

Ujął jej drobną dłoń w swoją i ścisnął raz.

Zacisnęła mocno palce i nie puściła ich.

– Doskonale. A teraz proszę iść ze mną. Nie mogłam się doczekać, aż w końcu oprowadzę kogoś po całym zamku. Zobaczmy, co też nam się przytrafi po drodze na dół.

Kiedy prowadziła go przez galerię, w piersi Rafe’a wezbrały złe przeczucia. Ciągle mu się coś w życiu przytrafiało.

Nagle tydzień wydał mu się nieskończenie długim czasem.

Clio pękała z dumy, prowadząc go przez galerię, a potem spiralnymi schodami w dół.

Kwadrans wystarczy, żeby udowodnić Rafe’owi, że ten zamek nie jest kolejną kupą wiekowych cegieł, szpecącą sielski krajobraz.

Naturalnie był w tym haczyk – trzeba było pokazać Rafe’owi, że Twill Castle ma dla niej szczególne znaczenie.

– Szybko. Tędy – szepnęła, wyglądając na korytarz, żeby się upewnić czy nikt ich nie widzi.

– Ale…

– Pośpiesz się.

Kiedy skręcili w mniejszą, ciemniejszą klatkę schodową, Clio złapała go mocniej za rękę, starając się zignorować to dziwne podniecenie, które czuła za każdym razem, kiedy ich ciała stykały się ze sobą.

Słowo honoru, to jest po prostu śmieszne. Fakt, ten człowiek to skandalista i mistrz romansu. Ale znają się przecież od dzieciństwa, a w dodatku ona niemal od dekady jest narzeczoną jego brata. A poza tym w trzymaniu się za rękę nie ma nic zdrożnego.

Mimo wszystko serce tłukło jej się w piersi, gdy prowadziła go na dół po schodach. U podnóża powiało chłodem i wilgocią. Jedynym oświetleniem było światło zachodzącego słońca, wpadające przez kratę w suficie.

– Widzisz? – Ściszyła głos, gdy cicho przekradali się przez obszerną salę. – Ten zamek ma lochy.

– To nie są żadne lochy.

– Właśnie, że są.

– Za wysoko tu jak na lochy. To po prostu piwnice.

Podeszła do wieszaka z lampą, a z leżącego opodal koszyczka wyjęła krzesiwo.

– Nie psuj zabawy.

Uderzyła krzesiwem. Nie udało jej się skrzesać ognia.

– W tym zamku toczono bitwy. Ma ponad sto lat. W powietrzu jest aż gęsto od historii. Ludzie tu mieszkali, kochali i umierali. Pomyśl o tym.

– Myślę, że naczytałaś się za wiele romansów w stylu płaszcza i szpady w jakimś czasopiśmie. Na całym świecie ludzie od stuleci żyją, kochają się i umierają. I możesz być pewna, że na każdego krzyżowca, który wygrał turniej dla swej damy w tym zamku, przypada setka ludzi, którzy przez całe dekady drapali się w tyłki i robili zawody w sikaniu z murów.

Skrzywiła się i znowu uderzyła krzesiwem.

– Mężczyźni są obrzydliwi.

– Tak jest. Święta prawda – powiedział z namaszczeniem. – Ale bywamy też czasem pożyteczni. Daj mi to.

Wyjął krzesiwo z jej ręki i skrzesał iskrę. Trzymając w dłoniach hubkę, żarzącą się ciepłym, rosnącym blaskiem, wyglądał jak Prometeusz namalowany przez jakiegoś florentyńskiego mistrza. Złotoczerwony blask podkreślał płaszczyzny jego czoła i szczęk, i krzywy zarys złamanego w paru miejscach nosa.

– No cóż, nie jestem mężczyzną – odpowiedziała, nagle niezwykle świadoma swej kobiecości. – Nie zamierzam sikać z tych murów przez całą następną dekadę. Zamierzam zrobić coś z tym zamkiem.

– Niech zgadnę. – Zapalił lampę, a potem przykręcił knot, zmniejszając płomień. – Otworzysz tu szkołę dla podrzutków.

– Co za uroczy pomysł. Ale nie. Jeśli mam utrzymać to miejsce, musi zacząć zarabiać pieniądze. Bez obrazy biednych maluszków, ale sieroty są

mało dochodowe.

Clio wzięła lampę, podeszła do przeciwnej ściany i zaczęła liczyć kamienne płyty.

Jeden, dwa, trzy, cztery…

– Zobacz, co ci chciałam pokazać.

Jeśli to nie zrobi na nim wrażenia, to chyba nic na świecie go nie wzruszy.

Mocno pchnęła piątą płytę. Spory kawał ściany wysunął się na zewnątrz.

– Patrz – powiedziała. – Tajemne przejście.

Wziął od niej lampę i zajrzał w mroczny tunel, wytężając wzrok. Zagwizdał z podziwu, a echo odpowiedziało gwizdnięciem.

– Jasny gwint – powiedział. – Punkt dla ciebie. To fantastyczne.

Nareszcie. Clio pokraśniała z zadowolenia. Bardzo chciała, żeby docenił historię i potencjał tego miejsca, ale to był dopiero początek. Tak naprawdę chciała, żeby dobrze się bawił w tym zamku, tak jak ona sama.

Pomyślała o jego spartańskim portowym magazynie, prostej pryczy i podłodze posypanej trocinami. I o tych oślizłych surowych jajkach.

Naprawdę potrzebował więcej przyjemności w życiu. Ciepłego, miłego domu i rozrywek, które nie kończyły się rozlewem krwi. Własnego kąta godnego istoty ludzkiej, a nie zwierzęcia hodowanego do walki.

– Dokąd prowadzi to przejście? – zapytał.

– Chodźmy, to zobaczysz. – Uniosła brew. – Chyba że się boisz.

Wyprostował się na całą wysokość.

– Przez cztery lata broniłem tytułu mistrza Wielkiej Brytanii w wadze ciężkiej. Jeśli w tym przejściu coś się nawet kryje, to ono powinno się mnie bać.

– No jasne. Pewnie nawet pająki zwiewają na widok Zaprzedanego Diabłu.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Skąd znasz ten pseudonim?

– Och, znam wszystkie twoje przezwiska. Brandon Brutal. Lord Hałaburda. Zaprzedany Diabłu.

– Śledziłaś moją karierę – powiedział. – Dlaczego przyzwoita, dobrze wychowana młoda dama interesuje się światem nielegalnych bokserskich walk?

Clio ogarnęło dziwne zdenerwowanie.

– Nie śledzę ciebie. Czytam gazety. A one często o tobie piszą.

Clio rzeczywiście interesowała się bieżącymi wydarzeniami. I jeszcze historią świata, językami i wieloma innymi rzeczami. Matka na to nalegała. Żona dyplomaty musi na bieżąco wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Szczerze mówiąc, żona dyplomaty wcale nie musiała wiedzieć na bieżąco, co dzieje się w świecie nielegalnego boksu, ale nie mogła się temu oprzeć.

Rafe był dla niej zawsze źródłem fascynacji. Na środku zdawkowego, wymanikiurowanego trawnika, jakim była angielska socjeta, nagle wyrosło to dzikie, szalone pnącze, które nie dało się przyciąć. Bardzo chciała go zrozumieć. Dowiedzieć się, dlaczego odwrócił się od tego świata, dokąd się udał i czy był tam szczęśliwy.

Troszczenie się o Rafe'a Brandona było niebezpiecznym nawykiem, ale jakoś nie potrafiła się od tego odzwyczaić.

– Skoro już mowa o przezwiskach, to odkąd jesteś „kluseczką"?

Skrzywiła się.

– Od kiedy Daphne wyszła za mąż i mój szwagier postanowił nadać nam przezwiska. Phoebe jest kociakiem, a ja kluseczką.

– Głupie przezwisko.

– Nie sposób się nie zgodzić. Ale nie wiem, jak mu dać do zrozumienia, żeby przestał mnie tak nazywać.

– Wiesz, jak? Po prostu mu powiedz: „Przestań nazywać mnie kluseczką".

To nie było takie łatwe. Przynajmniej dla niej.

Weszła w kolejny korytarz.

– Idziemy tym tunelem czy nie?

Przytrzymał ją.

– Tym razem ja poprowadzę.

Podała mu lampę. Schylili się i ruszyli przed siebie. Przejście było wąskie i niskie. Rafe musiał się solidnie pochylić i przeciskać przez najwęższe miejsca.

– Po co to robisz? – wyrwało jej się pytanie. Zadała je, bo byli razem, sami we dwójkę, i nadarzyła się po temu okazja. – Dlaczego walczysz?

Odpowiedział rzeczowo:

– Ojciec wyrzucił mnie z domu bez pieniędzy i szans na spadek. Musiałem jakoś pracować.

– Wiem. Ale przecież nie musiałeś zarabiać w ten sposób. Brutalną walką.

– Aha – przerwał. – Wiem, do czego to zmierza. Chcesz poznać mój tajemny ból.

– Tajemny ból?

– Tak jest. Demony, które mnie dręczą. Mroczny nurt tortur, który kruszy drobiny mojej duszy. O to ci chodzi. Myślisz, że jeśli zamkniesz mnie w swoim ślicznym zamku i obstawisz szesnastoma poduszkami, nauczę się, jak kochać siebie samego i przestanę narażać moje ciało na takie straszne cierpienia.

Clio zagryzła wargi, ciesząc się, że jest ciemno i Rafe nie widzi jej rumieńca. Jeśli poprzedniego dnia przypominał barwą burak, to teraz jest pewnie w odcieniu królewskiej purpury.

– Nie wiem, kto ci podsuwa takie pomysły.

Zaśmiał się.

– Wszystkie kobiety, które do tej pory spotykałem. Nie jesteś pierwsza ani ostatnia.

– Co za rozczarowanie. Czy mogę być chociaż najlepsza?

– Może. – Zatrzymał się i obrócił w jej stronę. – Czy chcesz poznać moją najgłębszą, najmroczniejszą tajemnicę, Clio? Chcę otworzyć przed tobą duszę, ale czy to naprawdę wytrzymasz?

Pewnie zadygotała albo zadrżała, albo zrobiła coś w tym stylu, a on odebrał to jako potwierdzenie.

– A więc słuchaj.

Wstrzymała oddech, gdy pochylił się, by szepnąć odpowiedź prosto w jej ucho. Poczuła ciarki na szyi. Jego głęboki głos wibrował w jej kościach.

– Walczę – powiedział – bo jestem w tym dobry. I zarabiam na tym pieniądze. Taka jest prawda.

Clio to nie przekonało.

Oczywiście w jego słowach było trochę prawdy, ale na pewno nie cała. Kryło się w tym coś więcej, do czego nie miał ochoty się przyznawać. Ani wobec Clio, ani wobec siebie.

Po chwili korytarz zakręcił i zaczął się wznosić.

Otworzyli kolejną płytę i znaleźli się w wąskiej alkowie.

– Gdzie my jesteśmy, do diabła? – Był taki wysoki i postawny, że wypełniał sobą całą przestrzeń.

– Przy bramie wjazdowej. – Clio wcisnęła się w kąt. – To moja ulubiona część zamku.

– Patrz. – Zeskrobał z kamienia nieco mchu. – Tak ci się to podoba?

Spojrzała w górę.

– Widzisz tę dźwignię?

– Jasne.

– Możesz ją pociągnąć?

Podniósł rękę i zacisnął ją na wiekowej rękojeści. Jego wielka pięść idealnie pasowała do uchwytu.

– Pociągnij.

Ściągnął brwi.

– I co się wtedy stanie?

– Nie mogę popsuć niespodzianki.

– Jeżeli ta niespodzianka to kołek wbity w pierś, to owszem, możesz.

– Zaufaj mi. Spodoba ci się to. – Clio stanęła na palcach, położyła dłonie na jego ręce i pociągnęła dźwignię z całej siły.

Wiekowy mechanizm jęczał i skrzypiał.

– A teraz patrz. Szybko!

Wywołała go z alkowy akurat na czas. Ze szpary w wejściowym portyku wysunęła się żelazna krata. Jak olbrzymia, zębata szczęka, która przegryza kamień.

– Cofnij się natychmiast.

Ramię Rafe’a otoczyło ją w talii. Zaklął szpetnie i przyciągnął ją do siebie, odsuwając od kraty, która załomotała o bruk.

Echo zawibrowało w nich obojgu. Clio ogarnęła fala radości. Kochała ten dźwięk, bo oznaczał, że zamek nie był zwykłym domem.

Mieszkała teraz w twierdzy.

– I jak? – spytała. – Niezłe, prawda?

– Całkiem… niezłe.

– Czemu jesteś niezadowolony? – Odwróciła się ku niemu. – Myślałam, że ci się to spodoba. Wiesz, w ilu angielskich zamkach jest działająca krata w bramie?

– Nie.

– Ja też nie – przyznała. – Ale na pewno w niewielu.

W dalszym ciągu jej nie puścił. Obejmował ją w talii, obronnym gestem potężnych ramion. Ich serca biły na wyprzódki, jakby to był jakiś sparring.

Wieli Boże, naprawdę się przejął. Miała tego wyraźny dowód. Poczuła się zarazem bezpieczna i kompletnie bezbronna.

– Rafe – szepnęła. – Przecież ta krata by we mnie nie trafiła.

– Wolałem nie ryzykować.

– Nie powinieneś się tak przejmować. Dobrze wiesz, że jeżeli zerwę te zaręczyny, albo jeśli coś się ze mną stanie, Piers znajdzie sobie inną. Kobiety będą się do niego ustawiać w kolejce. Zapewniam cię, bez trudu znajdzie kogoś na moje miejsce.

Pokręcił głową.

– Oczywiście, że tak – upierała się. – Wiem, że nasi ojcowie chcieli w ten sposób połączyć rodziny. Ale obaj nie żyją, i nie sądzę żeby…

Położył kciuk na jej wargach, żeby ją uciszyć.

– Co za bzdura. Jesteś niezastąpiona.

– Naprawdę? – powiedziała stłumionym głosem.

– Absolutnie. – Przesunął palcem po jej ustach, nie odwracając od nich wzroku. Jego głos zmienił się w niski, niecierpliwy pomruk, od którego ugięły się pod nią kolana.

– Przysięgam ci, Clio. Znajdę sposób, żeby cię przekonać…

W korytarzu rozległy się kroki.

Rafe natychmiast ją puścił i odsunął się od niej.

Nie. Tylko nie to!

Znajdę sposób, żeby cię przekonać…

Do czego, konkretnie chciał ją przekonać? Do swojego punktu widzenia? Żeby przyznała się do błędu? Żeby obejrzała jego kolekcję muszelek i woskowych pieczęci?

Będzie się nad tym zastanawiać przez całą noc.

I myśleć o dotyku jego dłoni. I ust.

– Na litość boską. – W korytarzu rozległ się przenikliwy, charakterystyczny dyszkant Daphne. – Co to za straszne hałasy?

– To tylko brama. – Clio machnęła ręką w stronę wejścia. – Lord Rafe chciał zobaczyć, czy działa.

– Tak jest. A panna Whitmore była tak miła, że mi pokazała. Choć tak bardzo śpieszy się z tymi przygotowaniami. – Spojrzał na nią znacząco. – Bo został na nie tylko tydzień.

Clio nie miała wyboru. Jakoś wytrzyma parę dni snucia ślubnych planów. Co może zrobić innego? Nie ogłosi swojej decyzji o zerwaniu zaręczyn, jeśli nie będzie miała podpisu na dokumencie. Jakoś przecież trzeba zabić czas.

Szczerze mówiąc, zmierzając w stronę salonu, Clio zaczęła się niepokoić, że planowanie nie zajmie całego tygodnia. Przecież proste wiejskie wesele można zorganizować w dzień albo najwyżej w dwa.

Co w tym trudnego?

5

Na mojej liście jest siedemnaście rzeczy do zrobienia. Spisałam też terminarz.

To jedno trzeba było przyznać Phoebe Whitmore. Była niesamowicie produktywna. Przedstawiła mu tę listę przy śniadaniu, zanim zdążył posmakować porannej kawy.

Ile lat miała ta dziewczyna? Szesnaście? Gdyby on w jej wieku miał spisać listę rzeczy do zrobienia, pewnie wyglądałaby tak:

Wykręcić się od nauki.

Pouganiać się za dziewczynami.

Znaleźć pretekst do bójki na pięści.

Ooo, czy to wiewiórka?

Koniec listy.

Kiedy usiadł przy stole, służący postawił przy jego talerzu miskę z trzema nakrapianymi jajkami.

– Do kawy, milordzie.

Rozbawiony, pociągnął się za ucho. Uwadze Clio nic nie umykało. Nie bardzo wiedział, jak potraktować ten sygnał, że myślała o nim dziś rano. Że wyświadczyła mu tę drobną przysługę. On też o niej myślał zaraz po przebudzeniu.

Ale to nie były grzeczne myśli.

W jego wyobraźni była zarumieniona, śmiała się do utraty tchu i ścigali się… w pewnym sensie.

W sensie poziomym.

Krew w nim zakipiała na samą myśl.

Do diabła. Dziś rano musiał przebiec dziesięć mil. Dziesięć mil przez mgliste pagórki Kentu powinny go pozbawić energii tak, żeby zapomniał o cielesnych uciechach.

A jednak coś w nim pozostało.

Szczerze mówiąc, całkiem sporo.

Daphne zabrała siostrze listę.

– Po niektóre rzeczy trzeba będzie posłać do Londynu. Na przykład wzory sukien do przymiarki. Po girlandy i wstążki do dekoracji. Po zaproszenia, papeterie i atrament.

Clio podniosła wzrok.

– Mam atrament.

– Ale nie taki, jak trzeba. Zanim to wszystko tu dotrze, zajmiemy się paroma innymi rzeczami.

– Jedzeniem?

Daphne wpatrywała się w listę.

– Nie, nie. Jedzenie i toasty mogą poczekać. Choć można by już zacząć testować przepisy na poncz.

– Chodziło mi o to jedzenie.

Clio z uśmiechem podała jej talerz białych przypieczonych trójkątów.

– Och. – Daphne wzięła biały i natychmiast wymierzyła go w Rafe'a, jak omaśloną broń. – Skoro już o tym mowa, milordzie, powinieneś zacząć pisać szkic.

– Jaki szkic?

– Toastu. Przecież będzie pan drużbą.

Potem odwróciła się, by rzucić jakieś wskazówki swojemu mężowi, który wędrował wzdłuż kredensu i nakładał jedzenie na dwa talerze.

Tylko nie to. Rafe nie miał zamiaru drużbować swojemu bratu na ślubie. Od dziesięciu lat zamienili ledwie parę słów. W przyszłości też pewnie nie

będą się zbyt często kontaktować. Jedyną rzeczą gorszą i bardziej nieprzyzwoitą od pożądania narzeczonej swego brata byłoby pożądanie żony swojego brata.

Nic z tego, doczeka tylko do końca wesela. Potem przekaże bratu wszystkie obowiązki i zajmie się sobą. Swoim życiem. Swoją karierą. Swoim tytułem.

I swoimi kobietami.

Ostatnio wprawdzie nie było ich zbyt wiele. Nic dziwnego, że miał problem z nadwyżką energii.

– Pójdziemy dziś do pastora, żeby zacząć planować samą ceremonię – ogłosiła Daphne. – Potem zajmiemy się menu.

– Naprawdę musimy zrobić to wszystko dzisiaj? – spytała Clio. – Dopiero co przyjechaliście i jeszcze nie zdążyłam pokazać wam zamku. Mam wielką ochotę zabrać was na spacer po okolicy.

Cambourne z niesmakiem popatrzył przez okno.

– Chyba będzie padało. A ja mam nowe buty.

– Nie ma czasu na takie rzeczy – przytaknęła Daphne. – Lista Phoebe liczy siedemnaście punktów. Nie mniej i nie więcej.

– Czy jesteś pewna, że nie szesnaście, milady? A może osiemnaście? – Bruiser zajrzał jej przez ramię, lustrując listę przez monokl.

Jeśli to cholerne szkiełko przetrwa najbliższy tydzień bez kontaktu z obcasem Rafe’a, to będzie cud.

– Siedemnaście – oświadczył w końcu. – Nie powinienem wątpić w pani słowa, panno Phoebe. Gdzie byśmy byli bez pani genialnej umiejętności liczenia?

– Są tam kwiaty? – spytała Clio. – Na tej liście siedemnastu rzeczy do zrobienia?

– Ależ oczywiście.

– W takim razie możemy pójść na kompromis. Przejdziemy się po ogrodach, a ja zdecyduję, które kwiaty chciałabym do bukietu.

Rafe uznał, że wszystko mu jedno, od czego zaczną. Mogą być kwiaty.

Kiedy ruszyli w stronę letniego ogrodu, podszedł do niego Cambourne. Wbił mu łokieć w bok – zdaje się, że miał być to przyjacielski kuksaniec.

Nie miał ochoty na taką przyjaźń.

– Słuchaj, Brandon. Byłem o parę lat niżej od twojego brata w Eton. Ale ciebie jakoś sobie nie przypominam.

– Bo mnie tam nie było. W każdym razie długo nie zabawiłem.

Rafe wytrzymał niecały semestr ze snobistycznymi dupkami z Eton.

– Wyrzucili mnie za bójki.

– Jasne. Oczywiście.

W sumie to była jakaś tam prawda.

Rafe nigdy nie miał zapału do nauki. Wolał być na świeżym powietrzu, jeździć konno albo uganiać się za stadami szpaków po polach.

Cudem wytrzymał etap nauki domowej, ale w Eton szybko wyprzedzili go wszyscy rówieśnicy. Wstyd mu było, że siedzi na wykładach, choć nie zrobił żadnych zadanych prac, i nie jest w stanie się skupić na tym, co się działo. Był niezdyscyplinowanym barbarzyńcą, stwierdzili wykładowcy, więc zaczął odgrywać rolę, którą mu przypisali. Zaczynał bójki i wygrywał. Wolał wylecieć ze studiów za awantury niż za głupotę.

Znowu ten łokieć.

– Wiesz co? – powiedział Cambourne. – Sam się kiedyś trochę biłem.

– Co ty mówisz.

– Byłem czempionem naszego klubu przez dwa lata z rzędu. – Wydął językiem policzek. – Może byśmy spróbowali, Brandon? Masz ochotę na parę rundek sparringu? Chętnie bym się z tobą spróbował.

Rafe otaksował go wzrokiem. Mocna budowa, czerwona cera, równie czerwona kamizelka i bezczelny uśmieszek. Do tego te uwagi do Clio przy kolacji. Zupełnie, jakby namalował sobie tarczę strzelniczą na pysku.

Rafe z radością by w nią trafił. Z wielką radością.

– Nie, dziękuję – powiedział.

– Oho-ho-ho. – Typek wymierzył mu pięścią w biceps cios, który był jak ugryzienie komara. – Czyżby forma ci spadła? Boisz się kompromitacji przed damami?

Nie. Boję się, że cię zabiję na oczach dam, ty idioto.

Rafe nigdy nie walczył z niewyszkolonymi amatorami, a już na pewno nie z kimś, do kogo żywił osobistą niechęć. Jego przeciwnik byłby wtedy w zbyt wielkim niebezpieczeństwie. Lubił otaczać się nimbem brutala i niebezpiecznego człowieka, ale przecież nikogo by tak po prostu nie zmasakrował.

Być może to gniew zrobił z niego boksera, ale mistrzem został dzięki dyscyplinie. Najlepszą rzeczą, jaką dał mu sport, było nauczenie się, kiedy nie należy bić. Bez tego pewnie dawno wylądowałby w więzieniu. Albo w grobie.

– To nie jest odpowiednie miejsce na sparringi – odpowiedział. – Przyszliśmy tutaj, żeby panna Whitmore wybrała kwiaty do bukietu.

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, pojawiła się Clio z naręczem kwiatów.

– Zrobione – oświadczyła. – Teraz możemy pójść na łąki. W parku są sarny i jelenie.

Podszedł do niej.

– To niemożliwe, żebyś się tak szybko uwinęła.

– A jednak. Pan Montague był tak miły, że pomógł mi ściąć te kwiaty.

Spojrzał na kwiecistą gęstwinę w jej rękach. Niektóre pąki jeszcze nie rozkwitły, inne zrzuciły już połowę płatków. Były tam róże… a do tego jakieś białe badyle, i żółte, zebrane w grona. Nie znał ich nazw.

– Obiecałaś współpracować przy robieniu planów.

– Przecież współpracuję.

Zanim zdążył coś na to odpowiedzieć, przyłączyła się do nich Daphne.

Wyjęła kwiaty z dłoni Clio i cmoknęła karcąco.

– To się do niczego nie nadaje. Okropne. Koszmarne. I zupełnie

nieodpowiednie. Kompletnie. Montague, czy pan nie ma żadnego pojęcia o języku kwiatów?

Kwiaty miały jakiś język? Boże wielki. Rafe nie znał nawet ich nazw w zwykłej angielszczyźnie.

– Każdy kwiat ma inne znaczenie. A ten okropny bukiet mówi kompletnie nieodpowiednie rzeczy.

Daphne zaczęła wyjmować z niego kwiat za kwiatem i rzucała je po kolei na ziemię.

– Żółte róże to zazdrość. – Wyrzuciła róże.

– Prymulki? Niestałość. – Pierwiosnki poleciały śladem róż.

– A wrotycz… – skrzywiła się. – To wypowiedzenie wojny.

– To można wypowiedzieć wojnę kwiatami? – Clio podniosła z ziemi puchaty, aromatyczny kwiat. – Bardo ciekawe. Ciekawe, czy posłaliśmy Napoleonowi bukiet wrotyczu. A może trzeba uderzyć nim kogoś w twarz jak rękawiczką?

– Gdyby jakiś mężczyzna uderzył mnie wrotyczem, nie byłbym zachwycony – stwierdził Rafe.

– A gdyby to była kobieta?

– Odpłaciłbym jej w dwójnasób.

Zanim zdążyła się całkiem odwrócić, spostrzegł, że kącik jej ust wygina się w uśmiechu, a na policzkach rozkwita rumieniec. Poczucie absurdalnego triumfu wydęło mu pierś.

Co jest z tymi jej rumieńcami? Nie może wytrzymać, żeby ich nie prowokować. Kiedy widzi, że policzki jej różowieją, ma poczucie, że zrobił coś dobrze. Jakby były transparentem z napisem: „Udało ci się, chłopie”.

– Zaraz, zaraz. – Bruiser dołączył do grupy, podnosząc z ziemi resztę porzuconych kwiatów.

– Naprawdę dobrze znam język kwiatów. – Wyprostował się i obciągnął kamizelkę. – Dialekt wiedeński.

Wielki Boże. Rafe nie mógł się doczekać dalszego ciągu.

Daphne zrobiła sceptyczną minę.

– Dialekt wiedeński?

– Nie zapominajmy, milady, że lord Granville spędził wiele czasu na kontynencie. – Bruiser uniósł żółtą różę. – W Austrii te róże nie mówią o zazdrości, tylko o oddaniu. – Dołożył do bukietu prymulę. – A te, o czułości.

Daphne skrzyżowała ramiona na piersi.

– A wrotycz?

– Ach. Wrotycz. Wrotycz mówi…

– „Chcę się rozmnażać seksualnie" – wtrąciła się Phoebe, która do tej pory milczała.

Za to teraz skupiła na sobie uwagę wszystkich.

Bruiser nawet się nie zająknął.

– Owszem, być może na nizinach. Ale w górach to zaproszenie do jodłowania.

– „Chcę się rozmnażać seksualnie" – powtórzyła Phoe-be. – Właśnie to mówi wrotycz. I w ogóle wszystkie kwiaty. Każda roślina, która wytwarza kwiat, pragnie się rozmnażać.

– O, rety – speszyła się Daphne. – Coś takiego.

Ruszyła naprzód razem z Bruiserem, dyskutując o zaletach hortensji i nasturcji.

Rafe odciągnął Clio na bok, w przeciwną stronę.

– Zapomnij o tym. Musimy zamówić egzotyczne kwiaty. Orchidee albo lilie, albo… – machnął ręką szerokim gestem – …to co jest najelegantsze.

– Co ci się nie podoba w tych kwiatach? – Podniosła swój żałosny bukiet. – Są takie radosne.

– Nie ma w nich właściwie nic złego.

– To doskonale. Nadadzą się.

– Niestety nie. – Wyjął jej bukiet z ręki. – O to mi chodzi. Są całkiem dobre do wazonu na oknie, ale nie jako bukiet ślubny.

– Może mnie wystarczy „całkiem dobry" bukiet. – Zabrała mu kwiaty.

– Ale mnie nie wystarczy – sprzeciwił się i odebrał bukiet.

– Powiedziałeś, że to moje wesele. I że mogę mieć wszystko, co zechcę.

– Masz mieć wszystko, co najlepsze.

Znowu sięgnęła po bukiet, ale go nie puścił. Napiął mięśnie i przyciągnął ją do siebie.

– Wszystko, co najlepsze. Zawsze – podkreślił.

Przytrzymał ją mocno. Nie wyrywała się.

I nagle świat skurczył się wokół nich, zredukował się do bicia dwóch upartych serc i przywiędłego bukietu.

Może z powodu tej kłótni Rafe poczuł się tak jak na ringu. Bystry. Skoncentrowany. Pełen siły. Świadom wszystkiego naraz. Kontrastu jej różanej skóry z białą suknią. Szczupłego nadgarstka i długich łodyg. Powiewu, który pochwycił pasmo jej włosów i zaczął z nim tańczyć. Słodkiego zapachu fiołków.

Tylko że w bukiecie nie było fiołków. Co oznaczało, że wdychał słodki aromat samej Clio. Jej francuskiego mydełka, którego używała do kąpieli, a może saszetek, które wsuwała do komody z bielizną.

Nie powinien myśleć o jej bieliźnie. A już na pewno nie wyobrażać sobie tych wykrochmalonych białych majteczek, na ciele, które poza nimi jest całkiem nagie.

Albo co gorsza wyobrażać je sobie rzucone na podłogę.

Oczy. Wbił wzrok w jej oczy. Ale to też okazało się niebezpieczne. Te oczy lśniły przejrzystym błękitem górskich jezior, gdzie woda jest czysta, słodka i tak głęboka, że można w niej utonąć w parę sekund.

Uświadomił sobie, że pochyla się ku nim. Jakby miał pochylić głowę i zaczerpnąć pierwszy łyk.

Niech bogowie mają mnie w swojej opiece.

I po raz pierwszy w jego życiu jakiś bóg odpowiedział na jego modlitwę.

Ratunek nadszedł w postaci przenikliwego okrzyku.

Słysząc wrzask swojej siostry, Clio odwróciła wzrok od Rafe’a. Przeniknął ją dziwny, nieznany ból. Jakby za szybko oderwała język od kostki lodu, zostawiając na niej odrobinkę siebie.

Odwróciła się jak fryga, żeby zobaczyć co się dzieje.

Daphne tkwiła nieruchomo na środku letniego ogrodu, blada jak ściana. Przypominała ogrodową rzeźbę, która nagle zaczęła rozpaczliwie krzyczeć.

– Nie. Nie! Natychmiast przestań!

Clio ruszyła w jej stronę, szukając źródła zagrożenia.

– Czy to osa? Albo wąż?

– Pies – wyjaśnił Rafe.

– Och. – Przycisnęła dłoń do ust. – Ojejej.

Wyraźnie nie tylko ona pomyliła Daphne z rzeźbą.

Ellingworth właśnie obsikiwał jej suknię.

– Nie! – wrzeszczała jej siostra. – Przestań! Natychmiast przestań, ty obrzydliwy kundlu!

Ellingworth skończył, zamiótł nogami i odmaszerował pod żywopłot. Sir Teddy zaczął się krzątać wokół żony, wziął ją pod ramię i poprowadził z powrotem do zamku. Phoebe z Bruiserem ruszyli ich śladem.

Clio starała się zachować powagę.

– Nie powinno mnie to śmieszyć, prawda?

– Całe szczęście, że cię śmieszy – odparł Rafe. – Bo ja też nie muszę udawać.

– Poszukajmy lepiej naszego staruszka. Zbiera się na deszcz.

Odległy grzmot potwierdził jej słowa.

Razem przeszukali ogród, zaglądając pod żywopłoty i rozdzielając gęste kępy chryzantem. W końcu znaleźli Ellingwortha, który leżał na brzuchu pod krzakiem róż.

Był tak zmęczony, że nie mógł iść dalej.

– Będę musiał go wziąć na ręce – stwierdził Rafe.

– Zawiń go w to. – Zsunęła szal z ramion. – Bo cały się ubłocisz.

– Nie chcę ci zniszczyć szala.

– Noszę go na co dzień. Jakoś odżałuję.

Ucinając dyskusję, owinęła śpiącego buldoga barwną bawełną. Rafe podniósł go z ziemi.

Znowu zagrzmiało, tylko nie z tak daleka. Za to zamek był całkiem odległy.

– Nie zdążymy wrócić przed deszczem – powiedziała. – Chodź tędy.

Zaprowadziła go do starej kamiennej wieży, strzegącej północno-wschodniej granicy zamkowych ziem.

Burza nadciągnęła, zanim dotarli do budowli. Na ziemię spadały ciężkie krople dżdżu. Zdyszani, wpadli do budynku.

– Co to za miejsce? – spytał Rafe. Mimo że deszcz tłumił dźwięki, jego głos zabrzmiał echem w pustym kamiennym wnętrzu.

– Kiedyś to była wieża strażnicza – odpowiedziała zdyszana Clio. – Przez ostatnie sto lat suszono tu chmiel. Myślę, że możemy tu wsadzić Ellingwortha.

Wyciągnęła z cienia stary, nieduży wózek do chmielu, odpowiedniej wielkości dla buldoga.

– Proszę. Świetnie się nada, prawda? Jak przestanie padać, zaciągniemy go do zamku, a potem zostawimy wózek w wozowni. Służba będzie go wozić w nim na spacery.

– Nie najgorszy, ale ma trochę za mało poduszek – odpowiedział z powagą. – Przydałby się z tuzin.

Zignorowała ten docinek. Prawie.

Kiedy włożył psa do wózka, przykryła go szalem jak kocem. Rafe popatrzył na nią.

– Jesteś mokra.

– Tylko trochę. – Objęła się ramionami.

Zdjął surdut i założył go jej na ramiona.

– Dziękuję – odpowiedziała, patrząc na deszcz. – Chyba musimy tu zostać,

aż przestanie padać.

Ciaśniej otuliła się surdutem. Ważył sporo. Jeszcze czuła w nim ciepło ciała Rafe'a. Ale najprzyjemniejszy był zapach – jego cudowny zapach. Wzięła głęboki oddech, delektując się aromatem kawy, skóry i olejku z golterii. I tej niepowtarzalnej piżmowej nuty, która była tylko jego. Nigdy w życiu nie otoczył ją tak bardzo zapach innej osoby. Co za intymne doznanie.

Prawie jakby ją objął.

Zaśmiała się w duchu.

I kto to mówi? Dziewczyna, której nikt jeszcze nie trzymał w objęciach.

Na głos powiedziała:

– Rozmawiałam na ten temat z doradcą ziemskim, od chwili gdy stałam się właścicielką tego majątku. Planujemy przerobić tę wierzę na osieć.

– Na osieć…

– Wiesz przecież, co to jest osieć, prawda?

– Oczywiście, że wiem, co to jest osieć. – Skrzyżował dłonie na piersi i spojrzał na nią z góry. – Powiedz mi, co to jest osieć twoim zdaniem, a ja ocenię, czy się nie mylisz.

Potrząsnęła głową. Mężczyzn łatwo było przejrzeć na wylot, nawet tak naiwnym osobom jak ona. Co za pocieszająca myśl.

– Osieć to wysoki, okrągły budynek, w którym suszy się chmiel i ziarno na słód – wyjaśniła. – Żeby zaadaptować tę wieżę, trzeba wybudować na dole wielki piec. Na górze będzie płaska platforma do suszenia. I otwór wentylacyjny na górze, żeby wyciągał ciepłe powietrze. I jak? Odpowiada ci ta definicja?

– Może być.

– To dopiero początek. Nie tylko mamy idealną glebę do uprawy chmielu w całym regionie, ale akurat przez tę posiadłość przepływa rzeka z czystą, doskonałą wodą. Po skończeniu osiecia zaczniemy budować browar.

Zaskoczony, poderwał głowę do góry.

– Zaraz, zaraz. Jaki browar?

– Tłumaczyłam ci wczoraj wieczór, że chcę coś zrobić z tym miejscem.

– Chcesz prowadzić browar? – Przesunął po niej spojrzeniem. – Ty?

– Właśnie. Twill Castle jest troszkę za daleko od Londynu, ale tu w Kencie możemy sprzedawać nasze piwo w niezliczonych pubach. Pod zamkiem jest mnóstwo miejsca na magazyny.

– Aha. Czyli miałem rację. To są jednak piwnice.

– Dobrze, już dobrze. – Przewróciła oczami. – Niech ci będzie. Piwnice. Są idealne do tego celu. To jest genialny plan. Nawet ty musisz to przyznać.

– Nie przyznaję się do niczego. – Odgarnął z czoła pasmo wilgotnych włosów. – To fatalny pomysł. Co ty możesz wiedzieć o piwie?

– Więcej niż ty o ślubach.

Przez ostatnich osiem lat uczyła się nie tylko o etykiecie i polityce międzynarodowej, ale również o rolniczych nowinkach i o zarządzaniu majątkami. Matka twierdziła, że to wszystko należy do edukacji idealnej panny młodej. Będzie przygotowana, by rozmawiać z mężem na wszelkie tematy, które go interesują albo są dla niego ważne.

Szczerze mówiąc, Clio nie miała nic przeciwko temu. Gazety i książki pomagały jej znieść oczekiwanie i nieciekawe zajęcia. Towarzyszenie Phoebe podczas lekcji jako przyzwoitka. Towarzyszenie Daphne przy przymiarkach sukni. Czuwanie przy łożu mamy, kiedy lekarze powiedzieli, że nic już się nie da zrobić. Clio nie rozstawała się wtedy z książką.

Potem nadszedł dzień, kiedy dowiedziała się, że została panią na zamku. Nagle uświadomiła sobie, że ma coś jeszcze. Całą tę zgromadzoną wiedzę. Że to jej własny majątek.

Była równie dobrze przygotowana do zarządzania majątkiem jak Piers, który przecież nieustannie podróżował. Różnili się tylko jedną rzeczą.

Niestety, ta różnica była przeszkodą w oczach wszystkich, włącznie z Rafem.

– Jesteś kobietą – oświadczył, jakby ten fakt był początkiem, końcem i podsumowaniem wszelkiej dyskusji.

– Według ciebie kobieta nie da rady zarządzać browarem? Czy może tylko we mnie nie wierzysz?

– Moje zdanie nie ma tu znaczenia. Ważne jest, co pomyślą wszyscy farmerzy, piwowarzy i oberżyści.

– Jeszcze kilka wieków temu warzeniem piwa zajmowały się wyłącznie kobiety. Nawet dziś każdy majątek robi swoje własne piwo. Stąd biorą się przecież drożdże do pieczenia chleba.

– Istnieje różnica między warzeniem piwka dla sług i warzeniem ale na handel.

– Oczywiście, że jest. Dlatego właśnie chciałam, żebyś podpisał te dokumenty. Jeśli mamy zacząć produkcję w przyszłym roku, trzeba już zaczynać budowę. To znaczy, że mój posag musi być bez obciążeń, im prędzej, tym lepiej. Architekt nie zacznie robić planów bez pieniędzy.

– Słuchaj, jeśli tak ci zależy, żeby otworzyć browar w tym majątku, to tym bardziej wyjdź za Piersa. Jego zarządcy zajmą się wszystkim.

– Nie wyjdę za Piersa. I mogę sama wynająć zarządców. Nie rozumiesz tego? Chcę mieć coś swojego. Potrzebuję wyzwań.

– Kiedy wyjdziesz za Piersa, dostaniesz tytuł markizy. Do tego rezydencję w Londynie i ogromny majątek do zarządzania. On będzie miał obowiązki dyplomatyczne. Urodzą się wam dzieci. Jeśli ci będzie mało, jest mnóstwo organizacji charytatywnych, które będą ci wdzięczne za czas i poparcie. Nie zabraknie ci wyzwań.

– Ale to będzie coś innego.

– W jakim sensie?

Zdesperowana, machnęła ręką.

– Bo to wyzwanie ma szansę powodzenia.

– Co takiego? Co za bzdura. Będziesz idealną lady Granville.

Znowu to słowo. Śmieszne i bezkompromisowe.

Idealna.

– Mówię to serio. – Położył jej dłonie na ramionach i obrócił ją ku sobie. –

Spójrz na mnie.

Posłuchała. To nie było łatwe. Stał bardzo blisko i był taki potężny. Musiała zadrzeć głowę, odsłaniając delikatną szyją na powiew chłodnego, wilgotnego powietrza. Jej puls drgał jak u przestraszonego królika.

– Wiem, że musiałaś długo czekać – powiedział. – I że były plotki na twój temat.

– To są niedo…

– Niedopowiedzenia. Z tego też zdaję sobie sprawę.

Znowu zaczął kończyć za nią zdania. Wyraźnie był w formie do walki. Ale tym razem Clio nie zejdzie do defensywy. Jest lepsza, niż mu się zdaje. Lepsza, niż komukolwiek się zdaje.

– Przede wszystkim – powiedział – dobrze wiem, jak to jest być czarnym koniem. Kiedy wszystkie zakłady są przeciwko tobie, kiedy liczą na twoją przegraną. I wiem, jak słodka jest zemsta, kiedy w końcu wygrasz. Kiedy ruszysz do ołtarza w tej pięknej, powiewnej sukni, pod ramię z jednym z najważniejszych ludzi w Anglii, te wszystkie plotkarskie jęzory obrócą się w pył. Uwierz mi… – Wielka dłoń uścisnęła jej ramię. – Triumf jest słodki. Słodki jak cholera.

Jego zielone oczy pociemniały niemal do czerni, a głos dźwięczał szczerością. W głębi samotnej duszy miała wielką ochotę mu uwierzyć.

– Te zaręczyny to był mój błąd – odpowiedziała jednak, robiąc krok w tył. – Nie wiem, dlaczego muszę ci to tłumaczyć.

– Ale ja wiem. Bo jestem głupim, niewykształconym barbarzyńcą. Następnym razem mów powoli i używaj krótszych słów.

– Nie o to mi chodziło. Jesteś właśnie za mądry i zawsze to wiedziałeś. Szkoda, że nie dostrzegasz we mnie tego samego.

– Ja? Wcale nie uważam, że jesteś głupia.

– Owszem, tak. Jeśli myślisz, że ładna sukienka i duża impreza zmieni moje zdanie w sprawie tak ważnej jak małżeństwo, to obrażasz tym moją inteligencję.

– Słuchaj, Clio…

– Przestań. Mam dosyć. – Odwróciła się i ruszyła po krętych schodkach. Ponieważ lało, nie mogła odwrócić się na pięcie i wyjść. Na szczęście.

– Może byłam głupia. Przyjechałeś tu bez zapowiedzi, z tymi twoimi listami.

Ruszył za nią.

– Tylko z jedną listą.

– …i twoim śmiesznym, „wielmożnym panem" przyjacielem…

– Mogę wyjaśnić jego obecność.

– …i z twoim psem…

– To nie mój pies.

– …a ja byłam na tyle głupia, że pozwoliłam ci zostać. Wpuściłam cię do mojego domu, bo miałam nadzieję, że zrozumiesz, czym jest dla mnie Twill Castle. Prawdziwym domem. Ale ty jesteś na to zbyt uparty.

Gniewnie stawiała stopy na spiralnych schodach.

– Jesteś taki sam jak Piers, zależy ci tylko na twoich sprawach, a mnie masz gdzieś. Szkoda, że ci nie pokazałam drzwi.

Przy kolejnym kroku jej pantofelek pośliznął się na mokrym kamieniu i straciła równowagę.

Ramię Rafe'a natychmiast ją podparło.

– Mam cię. – Napiął mięśnie i przyciągnął ją do siebie. – Mam cię.

Uczepiła się jego koszuli. Dałaby sobie radę sama, bez jego pomocy. Ale na ten jeden, przelotny moment miała ochotę pozwolić mu odgrywać bohatera.

Trochę za bardzo się do tego przyzwyczaiła. To się stawało groźne. W jego ramionach czuła się bezpieczna. I doceniana, nieważne, że tylko odrobinę.

– Dalej żałujesz, że nie pokazałaś mi drzwi? – Gestem głowy wskazał bezlitosną kamienną podłogę kilka metrów pod nimi. – Spadlibyśmy z wysoka. Moglibyśmy sobie połamać kości i leżeć tak całymi dniami, bo nikt by nas tu nie znalazł.

– Ha. – Puściła go, odwróciła się i ruszyła pod górę. – Gdyby nas w końcu znaleźli, to lepiej żebyśmy nie żyli. Łatwo sobie wyobrazić, co by ludzie powiedzieli.

– Co takiego?

– Że byliśmy kochankami. To oczywiste.

6

*K*ochankami? – zapytał Rafe.

Ściany walcowatej budowli droczyły się z nim, powtarzając to słowo jak kanon.

Kochankami…Kochankami… Kochankami…

Odchrząknął i obniżył głos do rozkazującego, cichego pomruku.

– Dlaczego ktoś miałby tak pomyśleć?

– Ze względu na otoczenie – powiedziała, pokonując pozostałych kilka stopni. – Rozejrzyj się tylko.

Z początku niewiele było widać z powodu deszczu i tych małych okienek. Ale kiedy wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności, Rafe szybko zrozumiał, o co jej chodzi. Na murach wyryto dziesiątki inicjałów. Parami. Niektóre otoczone rysunkami serc.

Inicjały kochanków.

To było miejsce schadzek, pewnie od dziesięcioleci. Albo nawet od wieków.

– Urocze, prawda? – Przesunęła palcem po zarysie serca. – Tak wiele par przychodziło tu przez lata. Ciekawe kim byli.

Rafe uznał, że to korzystna sytuacja. Wszystko, co kojarzyło jej się z miłością i parami było pomocne w jego sprawie.

– A ty? – Odwróciła się ku niemu. – Czy na jakiejś ścianie w Somerset są twoje inicjały? A może… na wielu ścianach?

– Moje? – Potrząsnął głową. – Jeśli chodzi o kobiety, nie ryję…

– Nie ryjesz niczego w kamieniu. – Pokręciła głową. – Jasne.

Popatrzyła na nią, zirytowany.

– O co chodzi? Nie tylko bokserzy potrafią się koncentrować, przewidywać i reagować. – Zacisnęła drobne dłonie w pięści i udała, że boksuje go po ramieniu. – Jeśli nie chcesz, żebym kończyła za ciebie zdania, bądź mniej przewidywalny.

Zaśmiał się w duchu. Do diabła. Niegłupia z niej kobietka. I może wcale nie aż tak niewinna, jak się wydaje. Mimo wszystko raczej nie potrafiłaby odgadnąć, jakie myśli buzują teraz w jego głowie.

Kiedy się potknęła, upuściła surdut, którym ją okrył. Pewnie przez niego straciła wtedy równowagę. Niech go szlag.

Tylko że teraz była w cienkiej, prawie przezroczystej muślinowej sukni i trzęsła się cała, z zimna albo ze strachu, że o mało co nie spadła w dół.

Za każdym razem gdy na nią patrzył, miał ochotę ją ogrzać.

Przytulić.

Opiekować się nią.

I jeszcze coś.

– Piers – powiedział. – Piers jest typem mężczyzny, który wydrapałby twoje inicjały na ścianie, obok swoich.

Usiadła na podłodze.

– Wątpię. Przez długie lata odmawiał wpisania swojego nazwiska obok mojego w rejestrze ślubnym.

– To inna sprawa. – Usiadł obok niej.

– Rafe, przestań w końcu przeczyć temu, co oczywiste. On mnie nie kocha.

– Oczywiście, że kocha. Miłość ogarnia mężczyznę ukradkiem. Powiedziałbym nawet, że tak musi być. Gdybyś-my widzieli, że się zbliża, ucieklibyśmy gdzie pieprz rośne.

– Ciebie nigdy by nie dogoniła.

– Ale ja, to ja. – Wymierzył jej przekornego kuksańca. – Od wielu lat

trenuję refleks. Miłość może próbować mnie dopaść, ale ja się zawsze uchylę przed ciosem.

– Do czasu – odparła znacząco.

– Do czasu.

Zasłuchali się na chwilę w szum deszczu.

Szczerze mówiąc, Rafe wątpił, że kiedykolwiek się zakocha. Za szybko tracił wszystkim zainteresowanie. Zawsze taki był. Na studiach, przy pracy, w klubie… w przyjaźni i miłości też. Walka zajmowała jego ciało i ducha bez reszty, bo wyzwania zmieniały się z każdym przeciwnikiem. Tylko to jedno jedyne zajęcie niezmiennie go fascynowało.

Spostrzegł, że policzek Clio lekko poróżowiał.

No, może była jeszcze jedna rzecz warta uwagi.

– A co będzie, jeśli stanie się inaczej? Jeśli Piers wróci, zobaczy mnie i zamiast miłości ogarnie go świadomość, że nic do mnie nie czuje? Że nic nie czuł i nie będzie czuł?

– To niemożliwe.

– Nic nie jest niemożliwe. Przez te wszystkie lata na pewno się zmienił. Ja też się zmieniłam. Jestem starsza i… i dojrzalsza. – Ściszyła głos. – Od czasu kiedy widział mnie ostatni raz, sporo przybrałam na wadze.

We wszystkich najlepszych miejscach. O mało nie powiedział tego na głos.

Nie powinien. I tak uznał siebie za bohatera, że tylko na moment przeniósł wzrok na jej dekolt.

– Clio, w dalszym ciągu jesteś… – Cholera. „W dalszym ciągu” to nie były odpowiednie słowa. – Zawsze byłaś…

– Przestań. Nie próbuj mi pochlebiać. Jesteś strasznie nieprzekonywający. Tym bardziej że na pierwszy rzut oka widać, jak bardzo mnie nie lubisz.

Miała rację, wcale jej nie lubił. Do tego stopnia, że przed chwilą zaryzykował wieczyste potępienie – i złapał ją, gdy się potknęła.

– Przez osiem lat nie odpowiedziałeś na żaden mój list. Nie oddałeś mi

żadnej wizyty. Do chwili, kiedy tu przyjechałeś, nie skorzystałeś z żadnego zaproszenia. A wysłałam ci ich kilka.

Powoli wypuścił powietrze. Cholera jasna. Tak było.

Myślał, że robi to z obowiązku. Z jakiego innego powodu dama miałaby traktować w ten sposób niemoralnego, niewychowanego brata swojego narzeczonego? Z góry uznał te wszystkie kartki świąteczne, życzenia urodzinowe, zaproszenia na rodzinne obiady za czysty konwenans. A w najlepszym razie, za dowód jej dobrego charakteru. Zawracanie jej głowy odpowiedziami, których na pewno nie chciała, byłoby wręcz niemiłe.

Tylko że te jej gesty jednak coś oznaczały. Ciekawe, że zachował te wszystkie liściki i zaproszenia. Co do jednego. Wprawdzie ich nie przeglądał, nie bawił się nimi, nie przywoływał jej zapachu ani nie robił żadnych głupot w tym stylu. Ale je zachował.

Clio obudziła w nim poczucie przynależności do rodziny skuteczniej niż jego rodzice i brat.

Nie wiedział, jak jej to powiedzieć. A już na pewno nie umiał tego napisać. Takie potężne uczucia umiał wyrażać jedynie działaniem.

– Źle to zrozumiałaś – wydusił w końcu. – Nie darzę cię niechęcią.

– Och, serio?

– Serio.

– To zrób coś dla mnie, Rafe.

– Co tylko zechcesz.

O tak. Bardzo chętnie. Dobry Boże, niech ona przestanie mnie torturować gadaniem. Niech da mi w końcu coś do zrobienia.

Odwróciła się do niego.

– Spojrzyj mi w oczy i powiedz szczerze, czy naprawdę aż tak ci zależy, żeby nazywać mnie swoją szwagierką?

A niech to szlag trafi.

Rzucił smętne spojrzenie na kamienną posadzkę parteru. Może jeszcze nie jest za późno, by udać, że się potknął i polecieć w dół?

Postanowił spełnić pierwszą część jej prośby. Powinno się udać. Spojrzał jej w oczy – te śliczne oczy, błękitne jak bezchmurne niebo – i zapatrzył się w nie na długo. Bez słowa.

Deszcz walił w dach, jakby miał do niego pretensję. W uszach huczała mu krew.

– Nie powiesz tego – szepnęła. – Prawda?

– Szczerze? Nie powiem.

Przez jej twarz przemknął smutek. A on miał ochotę wybić pięścią dziurę w ścianie.

– No cóż. – Objęła rękami kolana. – W takim razie, teraz, kiedy wiemy na czym stoimy, możemy wreszcie przestać udawać…

A niech to szlag. Niech szlag trafi jego impulsywną, nieokiełznaną duszę.

Wyciągnął ręce, zanim zdążył się powstrzymać. Objął ją, przyciągnął bliżej, obrócił jej twarz ku sobie.

Musnął palcami jej miękkie, rozdygotane wargi.

Przytrzymał ją, i pocałował.

Kiedy poczuła jego wargi na swoich, pomyślała, że to jakaś pomyłka.

To było jedyne wytłumaczenie.

Rafe najprawdopodobniej chciał odwrócić te swoje szerokie, zmysłowe wargi gdzieś indziej, a ona, jak zwykle niezgrabna, stanęła im na drodze. Ależ to krępujące. Kompletnie w jej stylu.

Tylko że… Jego wielkie, ciepłe dłonie zdaje się przytrzymywały jej twarz.

A te szerokie, zmysłowe wargi dalej jej dotykały. Tak jakby to było zamierzone.

Wielkie nieba. Rafe ją całował.

Jej mózg z trudem poskładał wszystko razem i nagle okazało się, że dzieje się coś jeszcze bardziej szokującego. Oddawała mu pocałunki.

Och, Rafe. Tak.

Nie umiała się całować, ale to nie było ważne. Rafe uczył ją tego, tak samo jak kiedyś nauczył ją łapać pstrągi na wędkę w strumieniu. Uczył ją czule,

droczył się z nią, cierpliwie przekazywał jej swoje umiejętności, nie dbając o zaspokojenie swego głodu.

Całowali się czule. Całowali się namiętnie.

Całowali się tak, jakby mieli do tego prawo.

Jakby to było najbardziej sensowną rzeczą na świecie. Jakby to, że ze sobą rozmawiali, przestawali rozmawiać, obrażali się na siebie przez tych osiem lat – a właściwie od samego początku – stanowiło kolejne punkty na liście zatytułowanej: „Co mamy robić, żeby się nie zacząć całować". Teraz, kiedy doszli do końca tej listy, musieli nadrobić mnóstwo straconego czasu.

Całowali się i całowali, a deszcz ciągle padał.

To było tak absurdalnie romantyczne, że serce Clio o mało nie pękło.

I słodkie. Takie słodkie. Raz za razem muskał jej wargi, za każdym razem w nieco dłuższym pocałunku. Otoczyła ich chmurka oddechów i tęsknoty. Ich mała, prywatna, sekretna burza.

Jego dłoń objęła z tyłu jej głowę, przechylając twarz ku niemu. Przyciągnął ją bliżej i pocałował głębiej, napierając językiem, badając wnętrze jej ust. Clio przywarła do niego z całej siły.

Jej zmysły stały się niezwykle wrażliwe, chłonąc wszystko wokół. Mocne bicie jego serca. Jej własny przyspieszony puls. Słodki smak jego ust, i aromat golterii, który mu towarzyszył.

Ten zapach ją intrygował. Czy to jakieś aromatyczne mydło do golenia? Bo raczej nie woda kolońska.

Zaciekawiona, dotknęła dłonią jego szczęki. Choć było wczesne popołudnie, a on rano zszedł ogolony, wyczuła pod palcami szorstki zaczątek zarostu. To było niezwykle podniecające. Takie niezwykłe, i męskie.

Takie rzeczywiste.

Ku jej zdziwieniu nie żądał więcej niż pocałunków. Nie ściskał jej ani nie obmacywał w niecny sposób, przed którym ostrzega się przyzwoite dziewczyny. Naturalnie, wyczuwała potężne pulsowanie jego ciała, gorące pożądanie, od którego dygotały napięte mięśnie. Chciał czegoś więcej. Chciał

wszystkiego.

Ale tylko ją pocałował. Jakby to było wystarczające.

Jakby to musiało wystarczyć, niech Bóg im pomoże, gdyby nie wystarczyło.

– Deszcz ustał – powiedział w chwilę później.

Podobnie jak jego pocałunki.

Sennie skinęła głową. Odsunął dłonie od jej twarzy. Odwrócił się tyłem do ściany i pozwolił, by jego głowa uderzyła w nią z miękkim stuknięciem.

– Jestem łajdakiem.

– Jeśli ty jesteś łajdakiem, to co ja mam pomyśleć o sobie?

– To nie ma nic wspólnego z tobą.

Uniosła podbródek.

– Naprawdę?

– To znaczy, ma. Oczywiście. Bardzo dużo wspólnego. Szkoda gadać, bo i tak ci tego nie dam rady jasno wytłumaczyć.

– Mimo wszystko, spróbuj. – Czekała, otulona niby kokonem pamięcią jego zapachu i ciepłego uścisku.

– Powinienem już dawno z tego wyrosnąć – powiedział. Myślałem, że to jest już za mną, do cholery.

– Pocałunki?

– Zazdrość. Zawsze zazdrościłem mojemu bratu. Najpierw zabawek, potem osiągnięć. Pochwał. Od kiedy pamiętam, zawsze pragnąłem jego rzeczy. – Zacisnął szczęki. – A ty należałaś do niego.

– Och.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Co ja do diabła wygaduję? Dalej należysz do niego.

Clio nie za bardzo wiedziała, jak to rozumieć. Przecież Rafe jej pragnął. Pragnął jej od lat, ale nie dlatego, żeby uważał ją za szczególnie pożądaną albo atrakcyjną. Pragnął jej, bo należała do Piersa. Wyglądało na to, że mogłaby być odrażającą, tłustą i brzydką jak troll babą, a jemu by to nie

przeszkodziło. W dalszym ciągu pragnąłby ją całować godzinami w tym deszczu.

Ale ta ciepła, serdeczna aura nagle zaczęła znikać. Błyskawicznie.

– To się już nie powtórzy – powiedział. – Nigdy.

I… już jej nie było. Całe ciepło gdzieś się rozwiało.

– No cóż… – wykrztusiła po krępującej przerwie, w czasie której próbowała pozbierać żałosne pozostałości swej dumy. – Teraz rozumiem, Rafe, dlaczego jesteś tak popularny wśród kobiet. Naprawdę umiesz sprawić, że dziewczyna czuje się wyjątkowa.

Spróbowała uporządkować fałdy spódnic, żeby wstać.

Wziął ją za łokieć, poderwał z kamiennej posadzki i postawił na nogach.

Co za okropna bezczelność – udaje tu dżentelmena w chwilę po tym, jak ją odrzucił, i w niespełna minutę po tym, jak całował ją do utraty tchu. Może mu to do reszty namieszało w głowie?

– No cóż, wynika z tego, że przynajmniej wygrałam.

– Co wygrałaś?

– Teraz już musisz podpisać te papiery rozwiązujące zaręczyny. Mam je w toaletce. Przestało padać, więc możemy zaraz wrócić do zamku.

– Zaraz, zaraz. Wale nie wygrałaś. Nic nie podpiszę.

– Jak możesz odmówić po tym, co tu…? – Niezgrabnie wskazała na miejsce, gdzie się całowali. – Będziesz dalej nalegał, żebym wyszła za twojego brata?

– Oczywiście, że tak.

– Przecież się ze mną całowałeś.

– Nie przeceniaj tego. Pocałunek to nic takiego.

Nic takiego? Może dla niego. Dla niej to było coś.

– Całowałem się z mnóstwem kobiet, które potem wychodziły za mąż za kogoś innego. Nieraz tego samego dnia.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Co do ciebie – brnął dalej, jakby jej nie słyszał – to gdybyś zebrała

typowe doświadczenia debiutantki, też byś się nie przejmowała pocałunkami. Całowałabyś się z tuzinem napalonych byczków na werandach i w pergolach. Wtedy sama byś zrozumiała, że związek z takim człowiekiem jak Piers jest najlepszy, jaki może ci się trafić.

Clio miała na ten temat inne zdanie. Nie bez powodu nazywano ją największą szczęściarą wśród debiutantek tamtego sezonu. Wszyscy dobrze wiedzieli, że wprawdzie zaręczyła się z najbardziej atrakcyjnym kawalerem w towarzystwie, ale tylko dlatego, że ich ojcowie ustalili to wiele lat temu. Gdyby nie to, nie miałaby szans. Co więcej, gdyby była zwykłą debiutantką, pewnie nikt by jej nie chciał pocałować.

– Ale przecież namawiasz mnie, żebym wyszła za twojego własnego brata. Jak to ma wyglądać, twoim zdaniem? W każde święta i Wielkanoc będziemy siedzieć przy stole naprzeciwko siebie i starać się nie myśleć o tym, że kiedyś całowaliśmy się w deszczu jak kochankowie?

– Nie musisz się martwić o konwersację przy stole. Nie zamierzam przyjeżdżać ani na święta, ani na Wielkanoc.

Clio zatrzymała się na schodach. Wiedziała, że Rafe i jego ojciec toczyli swoją własną, domową wersję wojny stuletniej. Ale teraz, po śmierci markiza, jego synowie nie musieli tego ciągnąć.

– Nie będziesz przyjeżdżał? – spytała. – Mimo że twój ojciec już nie żyje?

– Nie widzę powodu.

Co za kłamczuch. W jego pocałunku było aż za dużo powodów. Jego uścisk był pełen emocji – niekoniecznie miłości albo przyciągania, ale na pewno tęsknoty. Może i odrzucał zaproszenia przez długie lata, ale widać było, że jednak zwracał na nie uwagę.

Zeszli ze schodów. Ellingworth spokojnie spał w wózku na chmiel.

Czy aby na pewno spał? Był zupełnie nieruchomy. Ale kiedy dotknęła palcami jego sierści, poczuła ciepło. Pomasowała jego szyję. Skrzywił pokryty zmarszczkami pysk i sapnął z zadowoleniem.

Clio zebrała się na odwagę.

– Wiem, że od jego śmierci upłynęło ledwie parę miesięcy, Rafe. Przez ten czas byłeś sam. Po śmierci mojej matki czułabym się zagubiona, gdyby nie siostry. – Wyprostowała się. – Masz ochotę o tym porozmawiać?

Skrzywił się.

– Nie.

– Jesteś pewny? To czasem pomaga.

– Nic się już nie da zrobić. Dawno temu przestałem uważać markiza za mojego ojca, a on nigdy nie traktował mnie jak swego ukochanego syna. Zawsze byłem pomyłką. – Ujął rączkę wózka i rzucił okiem na piętro. – W dalszym ciągu nią jestem, jak widać. Ale pomimo tego, co się tam wydarzyło, nie podpiszę twoich papierów. Jeśli chcesz mnie wyrzucić za drzwi to…

– Nie – przerwała. – Chcę, żebyś został.

– Nie bądź taka ugrzeczniona. To na mnie nie działa.

– Nie jestem – odparła, i na potwierdzenie dodała: – Do diabła.

Och, co za okropny człowiek. Próbował udawać niedowierzanie. Obojętność. Ale można go było bez trudu przejrzeć na wylot. Jego oczy rzucały wyzwanie i zarazem błagały, by pozwoliła mu zostać. Jak dwójka czujnych wartowników, strzegących mrocznych, głębokich studni…

Skrywanego bólu.

Udawał, że to nieprawda, ale gorąco pragnął związku z ludźmi i poczucia przynależności. Rodziny. Akceptacji. Domu. Miejsca, gdzie mógłby przyjeżdżać na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Widziała to wyraźnie. Widziała też szansę – choć niewielką – że jeżeli zatrzyma go tu nieco dłużej, on sam też to zacznie dostrzegać.

– Chcę, żebyś został, Rafe. Bo zawarliśmy układ. Jedna runda nie stanowi o wyniku walki. Chcę twojego podpisu na tych papierach i nie zamierzam zrezygnować.

Ani ze swoich planów, ani z niego.

– Co do pocałunku… – Objęła się ciasno, starając się zachować resztki

tego czułego ciepła… – Masz rację. To był tylko pocałunek. Po prostu o tym zapomnijmy.

7

Po prostu o tym zapomnijmy.

Łatwo powiedzieć. Piekielnie trudno zrobić. Jak na razie, było to niemożliwe.

Zanim on, Bruiser i trójka sióstr Whitmore zebrali się w przepięknej kaplicy zamkowej następnego dnia po południu, minęły dwadzieścia dwie godziny. Przez mniej więcej dwadzieścia jeden Rafe na zmianę myślał o tym pocałunku, marzył o kolejnym, albo karcił się, że do niego doszło.

Rano przebiegł dwanaście mil i wykąpał się w lodowatym stawie.

Bez skutku.

Nie był w stanie odwrócić od niej oczu. A miał aż za wiele możliwości, żeby się gapić, bo ona nawet nie patrzyła w jego stronę.

Gniewała się na niego. I miała rację.

Najgorsze było to, że podobało mu się, jak się gniewa. Trochę bardziej się wyprostowała, trochę bardziej zadarła podbródek. W oczach błyskał ogień. Gdyby trenował ją do walki, miałby pewność, że wygra.

Ale on nakłaniał ją do ślubu…

– Najmilsi – wygłosił Bruiser spod ołtarza. – Zebraliśmy się tu, by przygotować to miejsce do radosnej uroczystości. Czy da się pani oczarować, panno Whitmore?

– Ja… nie wiem.

– Panna Whitmore da się oczarować. – Rafe znacząco popatrzył w jej stronę. – Sama mi to powiedziała. Wczoraj.

W końcu na niego spojrzała.

W jej oczach dostrzegł przypomnienie: „Ale umowa stoi, pamiętasz”?

– Dobrze – zgodziła się. – Dam się oczarować.

– Cudownie. – Bruiser rozłożył szeroko ramiona. – Proszę sobie to wyobrazić. Ozdobimy całą kaplicę sznurami z białymi chorągiewkami.

– Uwielbiam chorągiewki – ucieszyła się Daphne. Na moim ślubie ich nie było, a szkoda.

– Bo uciekłaś z domu – przypomniała jej Clio.

Rafe otworzył usta, żeby zakwestionować te dekoracje. Powstrzymał się jednak. Zamiast tego usiadł w ławie i zapatrzył się tępo przed siebie, próbując zrozumieć, jak to się stało, że on, owiany złą sławą zawodnik, Zaprzedany Diabłu, doszedł w życiu do takiego momentu: siedzi w kaplicy, w zamku jak wyjętym z romantycznej bajki, nad uroczą rzeczką, w Kencie, i wygłasza swoje opinie na temat ślubnych dekoracji.

To za nic nie może się przedostać do publicznej wiadomości.

Daphne ruszyła do boju z naręczem wstążek, które rozłożyła w przejściu.

– Popatrzmy. Na końcu każdej ławy będą kokardy. Raz, dwa…

– Dwanaście – uprzedziła ją Phoebe.

Najmłodsza z sióstr Whitmore usadowiła się w ławce przed Rafe’em i wyciągnęła z kieszeni kawałek sznurka, związany na końcach. Wokół toczyła się rozmowa o planach na przyszłość, a ona spokojnie nałożyła sznurek na palce i zaczęła go przeplatać, tworząc różne kształty. Podobne jak kocia kołyska, tylko bardziej skomplikowane.

– Dwanaście rzędów – powiedziała. – Dwadzieścia cztery ławki. – Potem szeroko rozłożyła palce, żeby pokazać splot w kształcie diamentów.

Rafe przysunął się do niej i położył ręce na oparciu jej ławy.

– Dobra w tym jesteś, prawda?

– W sznurkowych wzorach czy liczeniu?

– W jednym i w drugim.

– Owszem – przytaknęła.

Przyglądał jej się, zaintrygowany. Z trzech sióstr Whitmore ją znał najsłabiej. Kiedy odszedł z domu, była małym dzieckiem, a potem nie bywał na rodzinnych spotkaniach. Podejrzewał, że Cambourne nazwał ją „kicią” właśnie z powodu tego sznurka.

– Mamy więc dwadzieścia cztery kokardy – zgodziła się Daphne. – I rozetki przy każdym oknie. Ile jest okien, Phoebe?

– Czternaście. Każde ma trzydzieści dwie szybki.

– Nawet na nie nie spojrzałaś – powiedział cicho Rafe.

– Nie musiałam. – Phoebe popatrzyła na swój sznurek przez grzywkę ciemnych włosów. – Tak jest ze wszystkimi liczbami, liczeniem, kształtami, prawdopodobieństwem. Po prostu to wiem.

Nie potrafił tego zrozumieć. Nauka nigdy nie przychodziła mu z łatwością.

– Jak to jest? – zapytał. – Kiedy po prostu coś wiesz, bez wysiłku.

Przeplotła palce przez sznurek.

– Jak to jest mieć tyle siły, by móc powalić dorosłego mężczyznę na ziemię?

– Trzeba uważać wśród ludzi. Szczególnie w nowym towarzystwie albo jeśli kogoś nie lubię. Ale czasem się przydaje. Niekiedy zaś sprawia wielką satysfakcję.

Po raz pierwszy jej wzrok powędrował na moment ku niemu.

– W takim razie nie muszę nic tłumaczyć.

Patrzył, jak rozprostowuje palce, tworząc nowy kształt. Na środku pojawił się wzór idealnie odtwarzający proporcje witraża naprzeciw nich.

Potem wysunęła palce ze sznurka i wzór zniknął.

Daphne zatrzymała się przy nich, zatopiona w obliczeniach. – Więc jeśli potrzeba nam dwóch jardów na każdą rozetę i trzy czwarte jarda na kokardę…. Ile to będzie, kiciu? Nie chce mi się tego liczyć na kartce.

– Czterdzieści sześć jardów – odparła Phoebe.

Clio wybuchnęła śmiechem.

– Naprawdę chcecie zamówić czterdzieści sześć jardów materiału? Czy to

ma być dekoracja kaplicy, czy pieluchy dla słonia? Przecież są tu witraże, rzeźby… to miejsce jest wystarczająco pięknie samo w sobie.

– Wszystko, co jest piękne, można dodatkowo upiększyć – odparła Daphne. – Nie pamiętasz, co zawsze powtarzała nam mama?

Sądząc po minie, Clio doskonale pamiętała, ale nie wspominała tego szczególnie miło.

Bruiser odchrząknął, zwracając na siebie uwagę.

– Doskonale. Niech tak będzie. Kaplica stanie się jeszcze piękniejsza. A panna Whitmore będzie piękniejsza od wszystkiego.

– Najpiękniejsza ze wszystkiego – poprawiła go Daphne.

– Oczywiście. Najpiękniejsza.

Clio nie wyglądała na przekonaną. Raczej na nieszczęśliwą. Rafe wiedział, że to jego wina. Zachował się wczoraj jak idiota. Najpierw ją pocałował, a potem powiedział, że to nic takiego. Nie w ten sposób dodaje się pewności kobietom.

Wziął Bruisera na stronę.

– To nie działa. Obiecałeś sprawić, że to wesele ją zafascynuje. Obiecałeś ją oczarować.

– Będzie oczarowana, Rafe.

Spojrzał znowu na Clio.

– Jakoś na to nie wygląda.

– Daj mi chwilę, dobrze? – Bruiser podszedł do Clio i delikatnie podprowadził ją pod ołtarz. – Niech pani to sobie wyobrazi, panno Whitmore. W tych rzędach zasiądzie pani rodzina i najbliżsi przyjaciele. Albo jeszcze lepiej – pani zapamiętali wrogowie. I wszyscy oni będą czekać bez tchu na pani wspaniałe entrée.

– Moje wspaniałe entrée?

– Tak jest. W powiewnej sukni i cudownym, koronkowym welonie.

W niewielkim przedsionku kaplicy stał stolik z koronkowym bieżnikiem i bukietem w wazonie. Bruiser chwycił bieżnik i założył go Clio na głowę,

żeby udawał welon.

Rafe spostrzegł jej uśmiech za tą zasłoną. Bez wątpienia, rozbawił ją ten absurdalny pomysł, ale uśmiech był lepszy od tej ponurej miny, jaką miała od samego rana.

– Do tego bukiet. – Bruiser podał jej kwiaty wyciągnięte z wazonu. – Proszę bardzo.

Odsunęła je od siebie.

– Woda z nich kapie.

– Nieważne. Proszę sobie wyobrazić aksamitny dywan, przyprószony różanymi płatkami. Siostry poprowadzą panią do ołtarza. – Bruiser ustawił przed nią Daphne i Phoebe. – Ty stań po drugiej stronie, Rafe. To będzie twoje miejsce.

Wielki Boże. Tylko nie ten bzdurny temat z drużbą. Gdyby pozostały jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, że się nie nadaje do tej roli, jego wczorajsze zachowanie w wieży powinno je rozwiać.

Mimo wszystko spełnił polecenie i stanął z drugiej strony przed ołtarzem. Clio wreszcie zaczęła się dobrze bawić. Nie chciał tego popsuć.

– Teraz pastor – mruknął do siebie Bruiser. – Potrzebny nam pastor. Ktoś poważny, godny, ale wyszczekany… Jest.

Podniósł Ellingwortha i postawił go przy ołtarzu, w miejscu przeznaczonym dla pastora. Pies sapnął i padł na brzuch, kładąc łeb między łapami. Fałdziste fafle rozpłaszczyły się wokół czarnego nosa.

– Brakuje tylko pana młodego – stwierdziła Daphne.

– Jak ja dobrze znam to uczucie – westchnęła Clio.

– Nie szkodzi. To się da naprawić, panno Whitmore. – Bruiser jednym skokiem znalazł się przy Rafie i pchnął go ku środkowi. – Rafe zastąpi lorda Granville. Ja będę drużbą.

– Co takiego? – mruknął Rafe pod nosem. – Nic z tego, nie będę odgrywać roli pana młodego.

– Jesteś jego bratem – odparł szeptem Bruiser. – To logiczny wybór. Nie

mogę przecież jej powiedzieć, żeby pocałowała się z Ellingworthem, prawda?

Rafe rozejrzał się wokół. Gdzie się do diabła podział sir Teddy Cambourne? Zawsze pojawiał się tam, gdzie był zbędny i nigdy tam, gdzie mógłby się na coś przydać.

– Następnie – rozwijał temat Bruiser – orkiestra odegra marsza weselnego.

– Ciekawe, gdzie pan chce upchnąć tu orkiestrę – spytała Clio spod serwety.

– Gdzieś się ją wciśnie.

– Organy byłyby w sam raz.

– Nie – wtrącił Rafe. – „W sam raz” to za mało. W każdym razie na tym ślubie. Zamówimy orkiestrę.

– No, to gotowi? Najpierw druhny. – Bruiser zaczął nucić marsza.

Daphne przyłączyła się do chóru, prowadząc Phoebe między rzędami ławek.

– Teraz panna młoda. – Kiedy Clio się zawahała, Bruiser wymierzył Rafe’owi kuksańca. – Nuć z nami, dobrze?

– Nic z tego. Nie lubię.

Trener dziubnął go palcem w nerki.

– Chcesz, żeby kupiła to wesele, czy nie?

Do diabła.

Rafe przyłączył się do nucenia.

Clio poddała się i ruszyła do ołtarza, ku śpiącemu buldogowi, w rytm fałszywie nuconego marsza, odziana w bieżnik z koronką, z bukietem przywiędłych, kapiących wodą kwiatów w garści. W połowie drogi zaczęła chichotać. Zanim dotarła do Rafe’a przy ołtarzu, śmiała się na cały głos.

– Powiadam pani, panno Whitmore – obwieścił Bruiser. – Goście wstaną na równe nogi z zachwytu.

– Nie wątpię. – Śmiała się dalej, odchylając serwetę z twarzy. – Widząc taką pannę młodą, nikt nie zostanie obojętny.

Do diabła, Rafe powinien przewidzieć, że to się nie uda. Wcale nie była oczarowana, tylko rozbawiona. Wszystko poszło nie tak.

Poza tym, że w jakimś dziwnym sensie, wszystko się zgadzało. Miał poczucie, że jeśli kiedykolwiek będzie się żenił, chciałby, żeby jego żona wyglądała tak samo, idąc ku niemu przez kościół.

Szczęśliwa. Radosna. Nawet roześmiana. Najszczęśliwsza w życiu.

Tylko że Rafe na pewno się nie ożeni.

A Clio nie będzie jego wybranką.

– Która godzina? – spytała Phoebe. – Panie Montague, może pan sprawdzić?

– Ja… tego…

Bruiser spojrzał na błyszczący łańcuszek, który znikał w kieszeni. Rafe założyłby się, że na końcu nie ma żadnego czasomierza.

Wyciągnął więc własny zegarek.

– Siedemnaście po drugiej.

Phoebe skinęła głową.

– W takim razie ślub powinien się odbyć osiemnaście po drugiej.

– Nie bądź śmieszna, kiciu. – Daphne uszczypnęła swoją młodszą siostrę. – Nikt nie bierze ślubu o drugiej, a tym bardziej osiemnaście po. Dlaczego przyszło ci to do głowy?

– Zaczekajcie minutę, a zobaczycie – odparła Phoebe.

Niemal w tej samej chwili przez witraż nad ołtarzem wpadł promień słońca i kolumna złotego światła otuliła Clio ciepłą aurą. Jej jasne włosy zabłysły. Skóra zalśniła. Błękitne oczy nabrały barwy i głębi lapis lazuli. Nawet głupi koronkowy bieżnik zmienił się w zjawiskową koronkę.

– Kurczę – odezwał się Bruiser, z wrażenia wypadając z roli Montague’a. – Obiecałem wam czary, co nie?

Trudno powiedzieć, co czuła Clio, ale Rafe był kompletnie oczarowany.

Do szpiku kości.

– Co się dzieje? – Clio rozejrzała się po otaczających ją twarzach. –

Wszyscy się tak we mnie wpatrujecie. Wyrosła mi druga głowa?

– Nie – powiedziała Daphne, zaskakująco serdecznym, ciepłym tonem. – Nic z tych rzeczy. Och, Clio, jak ty pięknie wyglądasz.

– Przepięknie – poprawił Bruiser.

– Najpiękniej – wyrwało się Rafe'owi, zanim zdołał się powściągnąć.

Nie cofnąłby tego słowa, nawet gdyby mógł. To naprawdę była najpiękniejsza rzecz, jaką widział od wielu lat. A może nawet w całym życiu.

– Ja? – zaśmiała się i dotknęła serwety. – W tym?

Wszyscy zaczęli ją pośpiesznie zapewniać, że to prawda.

– Szkoda, że siebie teraz nie widzisz – powiedział Rafe. – Jesteś…

Nie potrafił znaleźć słów, żeby to opisać. Miał nadzieję, że przekaże to spojrzeniem. Kiedy mężczyzna tak bardzo podziwia kobietę… to musi być zauważalne.

W jej oczach zabłysło ciepło. Uniosła kącik ust. A potem, jak na jego nieme wezwanie, na policzkach pojawił się leciutki rumieniec.

Dzięki Bogu. Nie widział go od wczoraj. Stęsknił się za nim.

– Naprawdę? – szepnęła.

– Znalazłem! – Do kaplicy wbiegł truchcikiem Cambourne, zdyszany i jak zwykle zadowolony z siebie. – Wiedziałem, że musi tu być coś takiego. Całe rano szukałem, i nawet po lunchu, ale w końcu znalazłem.

– Co takiego, Teddy? – spytała jego żona.

Podniósł palec, nakazując im gestem, żeby zaczekali i zniknął na chwilę. Kiedy wrócił, szedł bardzo powoli. Towarzyszyły mu zgrzyty, szczęk i brzęczenie.

– Prawdziwa kula na łańcuchu, widzicie? – Pokazał okowy i zabrzęczał ogniwami. – Tylko tego brakowało na tym weselu.

Nagle, w ułamku sekundy, wyparował wszelki urok, jakim chcieli oczarować pannę młodą.

– Nic się nie bój, kluseczko – oświadczył Cambourne. – Nie damy mu zwiać.

Wielkie dzięki, sir Teddy Cambourne. Ty wredny pyszałku.

– Kula na łańcuchu – powiedziała Clio. – Jakie to zabawne.

Zaśmiała się wymuszonym śmiechem. Była taka miła i nie chciała nikogo poniżać. Nawet człowieka, który przed chwilą poniżył ją samą.

Ziemia obróciła się nieco i kolumna słonecznego światła zniknęła, pozostawiając ją drobną, bladą, okrytą serwetą, ściskającą mokry, zwiędły bukiet.

Rafe był wściekły. Czuł, jak budzi się w nim zwierzę. Miał ochotę potrząsnąć Bruiserem, wymierzyć tamtemu złośliwemu śmierdzielowi haka w szczękę, przerzucić sobie Clio przez ramię i zanieść ją gdzieś. Daleko od tych wszystkich durniów, których bardziej obchodziły złośliwe plotki i skandale z brukowców niż urok i ciepło ich własnej siostry.

Ale to by nie pomogło jego sprawie.

Dała mu tylko tydzień, żeby ją przekonać. Nie mógł ryzykować i zmieniać tematu. Zrozumiał jednak, że jeśli ma ją zachęcić do zamążpójścia, to nie w ten sposób.

Zrozumiał, że ma tylko jedno wyjście.

– Muszę na trochę wyjechać. – Skłonił się damom i ruszył do wyjścia.

– Zajmij się psem podczas mojej nieobecności – polecił Bruiserowi.

– Wyjeżdżasz? – zawołała za nim Clio. – Zobaczymy się przy kolacji?

Nawet się nie odwrócił.

– Nie. Mam sprawy do załatwienia w Londynie. Ruszam od razu.

8

Dokąd właściwie wyjechał lord Rafe?

– Do Londynu. – Clio sięgnęła po salaterkę z porzeczkowym dżemem. – Nic więcej nie wiem.

Wierny swojemu słowu, Rafe wyjechał z Twill Castle natychmiast, kiedy tylko osiodłał konia. Clio z okna swojej sypialni patrzyła, jak oddala się coraz bardziej.

Zniknął na dwa dni. Teraz, siedząc przy śniadaniu, powtarzała sobie, że nie powinna się tak przejmować. Był już duży, szczerze mówiąc nawet za duży, i do tego walczył zawodowo na ringu. Poradziłby sobie w każdej sytuacji. Głupotą byłoby siedzieć przy oknie całymi godzinami i wypatrywać go na horyzoncie.

Czyli robić to, co ona.

Szczerze mówiąc, czuła się nieco rozczarowana. Te ich ślubne potyczki zaczęły ją bawić, tym bardziej że miała ogromną przewagę. Jak dotąd wszystkie plany kończyły się katastrofą. A może po prostu zrezygnował?

Jeśli tak, to powinien mieć dość przyzwoitości, by dotrzymać umowy. Próba miała trwać tydzień. Musi tu wrócić, choćby po to, by podpisać dokument anulujący zaręczyny.

– Dziś rano możemy się zająć zaproszeniami – powiedziała Daphne, mieszając herbatę. – Kiedy wróci lord Granville, będzie je można od razu rozesłać.

Naturalnie reszta rodziny nie miała pojęcia, że te wszystkie przygotowania

nie zdadzą się na nic. Clio czuła się coraz bardziej nieswojo, że ich oszukuje, ale nie odważyła się wspomnieć o swej decyzji do chwili podpisania dokumentów. Nikt by jej nie zrozumiał. Nikt – to znaczy głównie Daphne.

– To nie ma sensu – odparła. – Nawet nie znamy daty powrotu Piersa.

Daphne rozwiała jej obawy machnięciem łyżeczki.

– Wypiszemy wszystko i zostawimy puste miejsca na datę.

Clio już chciała się sprzeciwić, ale przerwało jej zamieszanie i turkot na podjeździe.

– Czekasz na jakieś dostawy? – spytał Teddy.

– Owszem, zamówiłam węgiel – powiedziała. – Pewnie go przywieźli. W zamku są straszne przeciągi, nawet latem

– Wyobraź sobie, jak tu będzie zimą. – Daphne zadygotała. – Lodowato.

– I kosztownie – dodał Teddy, zapychając się sałatką śledziową.

Miał rację. Clio dobrze o tym wiedziała. Każdą przestrzeń można ogrzać, mając dość drewna i węgla, ale paliwo kosztuje. Jej posag, zwolniony ze zobowiązań, wystarczy na parę lat. Ale jeśli zamierzała spędzić całe życie w Twill Castle, musiała sprawić, by browar zaczął przynosić zyski.

Wszystko to było kwestią czasu i inwestycji. Przekonanie farmerów do nowych upraw też będzie wymagało pracy. Ale jak zdobyć zamówienia z oberży i pubów? Tu potrzebna będzie cała strategia. Będzie musiała postawić na jakość i stałość dostaw. A przede wszystkim wymyślić chwytliwą nazwę.

Zamkowe?

Piwo z Twill?

Na razie nie potrafiła wymyślić nic oryginalnego.

Phoebe przerwała tok jej myśli.

– Ponieważ lord Rafe wyjechał, moglibyśmy wykorzystać ten ranek, by porozmawiać o osiemnastym punkcie mojej listy.

– O osiemnastym punkcie? Wydawało mi się, że jest tylko siedemnaście, nawet wliczając w to lodowe rzeźby.

– Musimy porozmawiać o nocy poślubnej.

Wszystkie widelce, łyżki i filiżanki zastygły w powietrzu.

Clio z trudem przełknęła łyk czekolady.

– Co ty powiedziałaś, kochanie?

– Punkt numer osiemnaście na liście przygotowań ślubnych. Edukacja w zakresie obowiązków małżeńskich.

Clio wymieniła zdesperowane spojrzenie z Daphne, która wyraźnienie miała pojęcia, o co chodzi.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała bezgłośnie.

– Nasza matka nie żyje – oświadczyła Phoebe takim tonem, jakby objaśniała jakieś proste arytmetyczne zadanie. – Wyjaśnienie tych spraw Clio było jej obowiązkiem. Ponieważ nie może go spełnić, obowiązek ten przechodzi na nas, jej siostry.

Wyjęła spod stołu kilka zwiniętych w rulon kartek.

– Pozwoliłam sobie przeczytać kilka pozycji na ten temat. Mam też notatki.

Och, ratunku.

– Phoebe, jesteś kochana. To strasznie miło z twojej strony, ale nie ma takiej potrzeby.

Daphne zgodziła się z nią pośpiesznie.

– Jeśli Clio ma jakieś pytania, może porozmawiać ze mną. Przecież jestem mężatką.

– Owszem, ale poślubiłaś Anglika. Jak pan Montague słusznie zauważył w ogrodzie, lord Granville przez długi czas mieszkał na kontynencie. Jeśli Clio ma zadowolić swego męża, musi być obyta ze zwyczajami tamtejszych kobiet. Udało mi się znaleźć kilka książek po francusku. Ilustrowanych.

Nie dbając o maniery, Clio oparła łokieć na stole i zachichotała, zasłaniając usta dłonią.

– Naprawdę?

– Tak, ale dużo mi nie pomogły. W dodatku używają strasznie śmiesznego słownictwa. Ciągle mówią o fałdkach, prętach i guzikach. Czy to ma być

kopulacja, czy szycie zasłon?

W tym momencie Clio nie wytrzymała i wybuchnęła gromkim śmiechem.

– W końcu musiałam poszukać odnośników w moich encyklopediach biologicznych i zoologicznych.

– Kiciu, przecież to nie uchodzi – skarciła ją Daphne. – Clio, co my zrobimy z tą naszą siostrzyczką?

Phoebe, z twarzą bez wyrazu, przenosiła wzrok z Clio na Daphne i z powrotem.

– Czy zrobiłam coś nie tak?

– Skądże – uspokoiła ją Clio. – Jesteś niesamowicie inteligentna i rozczulająco troskliwa. Mam nadzieję, że zostaniesz taka na zawsze.

Jej siostry czasem zachowywały się absurdalnie, innym razem irytująco, ale Clio zawsze broniła ich kaprysów i wad. Może nie były idealne. Ale były jej własnymi siostrami, a to liczyło się najbardziej.

– Nie rozumiem, co w tym widzisz niesamowitego albo rozczulającego. – Jej najmłodsza siostra wyprostowała się nieco i zaczęła przeglądać kartki. – Ale żal by mi było, gdyby cała ta praca zdała się na nic. Szczegółowo zbadałam mechanikę aktu i przygotowałam rysunki. W miarę możliwości, przygotowałam definicje słów takich jak „pożądanie”, „pragnienie”, „pobudzenie” i „orgazm”. Jeśli chodzi o emocje i wrażenia, będziemy musiały polegać na opiniach Daphne.

Szwagier Clio od dłuższej chwili przeżuwał ten sam kawałek tostu. Po ostatnich słowach Phoebe zakrztusił się nim.

– Och. – Phoebe spojrzała na niego. – Nie chciałam cię wyłączać z tej rozmowy, Teddy. Czy zechcesz podzielić się pomocnymi uwagami z męskiego punktu widzenia?

Czerwony jak burak Teddy szybko odsunął krzesło i wstał, porzucając talerz pełen jedzenia.

– Mam pilny list do napisania. Na górze. – Przełknął ślinę. – Właśnie sobie przypomniałem. Przepraszam, ale koniecznie muszę już iść.

Skłonił się pośpiesznie i zniknął z jadalni tak szybko, że Clio niemal słyszała szum powietrza.

– Świetnie – skomentowała Phoebe. – Łatwiej nam będzie w damskim gronie.

Daphne, która przez większość rozmowy ukrywała twarz w dłoniach, w końcu podniosła głowę.

– Nie będziemy o niczym rozmawiać, kiciu. Mąż Clio będzie najlepszą osobą, żeby objaśnić jej… e…

– Mechanikę aktu? – podrzuciła Clio.

– Tak jest. A jeśli chodzi o wrażenia… nie ma sensu o nich opowiadać. To, co podoba się jednej osobie, może zupełnie nie wzruszać kogoś innego. Najlepiej, żeby dowiedziała się tego na własną rękę. Naturalnie z pomocą swojego męża.

Szczerze mówiąc, Clio już zdążyła dowiedzieć się paru rzeczy, bez pomocy żadnego męża. Miała dwadzieścia pięć lat i od ośmiu albo dziewięciu była dojrzałą kobietą. Znała reakcje swego ciała na dotyk i…

– Dzień dobry. – W jadalni zabrzmiał głęboki, męski baryton.

…i dzięki mężczyźnie, który wypełniał sobą całą framugę drzwi, poznała też, czym jest pożądanie.

– O, lord Rafe. Wrócił pan już – powiedziała Clio, bo coś trzeba było powiedzieć, a jej nagle zabrakło lepszych pomysłów.

– Wróciłem.

– Tak. Naprawdę. To znaczy, rzeczywiście.

Co za głupoty opowiadam. Wstając od stołu, Clio rzuciła Phoebe wymowne siostrzane spojrzenie.

Schowaj te papiery. Natychmiast.

Rafe chyba zauważył, że wymieniają między sobą zmieszane spojrzenia.

– Czy wam w czymś przeszkodziłem?

– Nie – odparła Clio z podejrzanym pośpiechem. – To nie było nic ważnego. Rozmawiałyśmy tylko… o ozdobach – wyjaśniła, czując, że się

cała czerwieni.

Po przeciwnej stronie stołu Daphne chichotała cicho.

– To dobrze, że nie przeszkadzam w niczym ważnym. Bo muszę z panią zamienić parę słów, panno Whitmore. Jeśli pozwoli pani ze mną.

Zaintrygowana Clio wyszła za nim na korytarz.

Rafe był tak duży, że zajmował niemal całą przestrzeń, a to co zostało, było przesycone jego męską aurą.

Serce zabiło jej szybciej.

– O co chodzi? Co się stało?

– Mam ci coś do pokazania.

– Co takiego?

– Nie chcę ci zepsuć niespodzianki. – W kąciku jego ust zaigrał chłopięcy uśmiech.

Jej ciało zareagowało natychmiast, w niezwykle kobiecy sposób. Gdyby ktoś przywiązał jeden koniec sznurka do jego warg, a drugi do jej sutka, efekt tego uśmiechu byłby równie namacalny.

– Może powinniśmy zaczekać na moje siostry i pana Montague – powiedziała.

Jego głos nie opadł ani nie przycichł. On dosłownie spadł w głąb przepaści i ociekał męskością.

– Nie.

Jej serce zatrzymało się na moment. Albo na dwa.

Sytuacja stawała się coraz bardziej poważna.

– Zaufaj mi. Spodoba ci się.

Wziął ją pod rękę i poprowadził korytarzem. Pomyślała, że jeśli zacznie się opierać, zrobi krępującą scenę, więc nie sprzeciwiała się.

Poza tym ile razy w życiu będzie miała okazję iść pod rękę z mężczyzną, który… który miał takie ramiona? Jej palce na jego nadgarstku wydawały się kruche jak liście, które opadły na skałę. Można by pomyśleć, że Rafe jest naprawdę wyrzeźbiony z kamienia, gdyby nie bicie jego serca, które czuła

pod płótnem i wełną.

Jej zmysły wariowały na wspomnienie pocałunku w wieży.

Owszem, oboje postanowili zapomnieć i nigdy o nim nie mówić, ale to nie zmieniało faktu, że Clio ciągle o nim myślała. Marzyła. Pragnęła, by się powtórzył, wbrew wszelkiej logice i rozsądkowi. Miała wrażenie, że to pragnienie tkwiło w niej przez cały czas, że przez te wszystkie lata rosło i nabierało sił… a teraz uderzyło ją z całą siłą.

To było pożądanie. Teraz zrozumiała jego moc. Czuła, jak całe jej ciało wibruje z pragnienia.

Wiedziała, że nic z tego nie wyniknie, ale ta wiedza w żaden sposób nie tłumiła jej wyobraźni. Wręcz przeciwnie.

– Nie mam pojęcia, gdzie tu może się kryć jakaś wielka tajemnica. Znamy już miejsce, rozmawialiśmy z pastorem i zaplanowaliśmy śniadanie po tym wyobrażonym ślubie, który nigdy się nie odbędzie. Rozmawialiśmy o chorągiewkach, kobzach, pawiach w ogrodzie…

– Tak jest. Czyli marnowaliśmy czas na głupoty. Postanowiłem wziąć sprawy w swoje własne ręce. Zrobimy to sami. We dwójkę.

– Sami?

Wielki Boże.

Jednym ruchem otworzył drzwi do pokoju muzycznego. Clio z ulgą zorientowała się, że jest pełen ludzi. To znaczyło, że nie będzie z nim sam na sam.

– Fortepian – ogłosił, wskazując ogromny instrument w kącie. Siedzący przy nim pianista zagrał przepiękny, bezbłędny passus muzyki Haendla.

– Harfa – zapowiedział, obracając ją w w inną stronę.

Na środku pokoju uduchowiona kobieta poruszyła palcami struny harfy i wędrując po nich w górę i w dół, wydobyła skomplikowaną melodię, zakończoną majestatycznym glissandem.

– Kwartet smyczkowy.

Po przeciwnej stronie skrzypek skinął głową do swych kolegów. Bogate,

ciepłe akordy Haydna wypełniły pokój. Grano je z niezwykłym wyczuciem i harmonią tak słodką, że słuchacze mieli wrażenie, że piją czekoladę przez bębenki uszu.

Kiedy wybrzmiał ostatni akord, oszołomiona Clio zamrugała rzęsami.

– To było cudowne. Dziękuję ci.

– I jak? – odwrócił się do niej. – Wybierz kogoś z nich na ślub. Albo zdecyduj się na wszystkich naraz.

– Ja…

– Zastanów się – przerwał. – Na koniec możemy ich poprosić, żeby zagrali jeszcze parę kawałków.

– Jak to „na koniec”?

– Bo jest coś jeszcze – wyjaśnił.

Poprowadził ją przez podwójne drzwi do następnego pomieszczenia – do porannego salonu. Tuż po wejściu owionęła ją chmura oszałamiającego zapachu.

– Ojej.

Orchidee. Lilie. Irysy. Hortensje. Róże we wszelkich możliwych barwach, jakie mogła sobie wyobrazić, a nawet w takich, których istnienia nie podejrzewała. Nie tylko cięte kwiaty, ale też aromatyczne zioła i cebulki, które zakwitną w tym jednym, szczególnym dniu, a potem zwiędną. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, pyszniły się kwiaty.

Jej salonik zmienił się w oranżerię.

– Och, Rafe.

– Kazałem im po prostu przysłać, co mają najlepszego – stwierdził Rafe. – Nie znam się na tym cholernym języku kwiatów.

– To nie ma znaczenia.

Clio też nie dbała o całą tę kwietną ekwilibrystykę w stylu Daphne ani o botaniczne objaśnienia Phoebe. Jej zdaniem, wszystkie te kwiaty przekazywały jedną, jedyną wiadomość.

Mówiły chórem: Zależy mi na tobie.

Wręcz krzyczały.

Zależy mi na tobie, zależy mi, zależy mi! Tu bukiet serdeczniej troski, tam donice pełne zaangażowania. Wszędzie uwaga i szacunek, we wszystkich barwach tęczy.

Nic dziwnego, że uśmiechał się tym chłopięcym, reklamowym uśmiechem. Tyle troski i wysiłku włożył w tę prezentację.

To była najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek dla niej zrobił. Jeśli zrobił to naprawdę dla niej. A może zależało mu głównie na swojej karierze, a nie na Clio?

Niezależnie od powodów, zaczęła się obawiać, że Rafe wygra. Po raz pierwszy od rozpoczęcia tych wszystkich przygotowań, ogarnęło ją przedślubne podniecenie. Jak to by było – paradować między kościelnymi ławami, przed wszystkimi znajomymi i rodziną, do wtóru dźwięcznych tonów harfy, ściskając w dłoniach ze dwa tuziny cudownych, szklarniowych kwiatów?

To by było coś.

– Chyba znajdą tu się ze dwa–trzy kwiatki, które ci się spodobają – bąknął.

Czyżby się naprawdę denerwował, czy tylko jej się wydawało?

– Jestem pod wrażeniem. Wszystkie są takie piękne.

Chodziła po komnacie, dotykając płatków.

– Dobrze, zastanowisz się nad nimi później. – Ujął ją znowu pod ramię. – Bo to, co jest w następnej sali, nie może czekać.

– Jak to w następnej sali? Jest coś jeszcze?

– Chodź zobaczyć.

Poprowadził ją do dwuskrzydłowych drzwi po przeciwnej stronie sali i otworzył je. Znaleźli się w oficjalnej zamkowej jadalni. Clio zamarła w pół kroku, gdy zobaczyła, co jest wewnątrz.

Torty.

Torty wszędzie.

– Nie wierzę – szepnęła.

– To uwierz – odpowiedział, zamykając za nimi drzwi.

Cały długi jadalny stół – a stoły zamkowe są pokaźnych rozmiarów – był zastawiony tortami. Wszelkich rodzajów, kształtów i rozmiarów.

Były tam lukrowane torty dekorowane bitą śmietaną i przybrane poziomkami, torty przybrane kajmakiem, z fiołkami z marcepanu. I torty owiane mgiełką z waty cukrowej.

Kiedy przyjrzała im się bliżej, spostrzegła, że z każdego odkrojono kawałek, żeby można było zobaczyć, czym jest nadziany i jaki ma smak. Idąc wzdłuż stołu, widziała warstwy czekolady, korzennych biszkoptów, toffi… i żółte kremy w różnych odcieniach – pewnie waniliowe, migdałowe, cytrynowe, ananasowe różane, i kto wie jakie jeszcze.

– Przywiozłeś je z Londynu? Wszystkie?

– Po prostu poszedłem do Guntera i kazałem zapakować po jednej sztuce wszystkiego, co mieli.

Potrząsnęła głową.

– Większość się zmarnuje.

– Nie martw się, rozdamy je dzierżawcom. Najpierw spróbuj każdego i wybierz swój ulubiony smak. Albo trzy. Albo dziesięć. Na twój ślub możemy zrobić dwunastopiętrowy tort, z którego po pokrojeniu będą wypadać kupidynki. Cały Londyn będzie o nim plotkował przez ładnych parę lat. – Pochwycił jej spojrzenie. – Wiem, że długo czekałaś na ten ślub i masz prawo się niecierpliwić. Ale to będzie twój wielki dzień, Clio.

Wyprostował się i wykonał okrągły gest dłonią, jakby był udzielnym władcą Tortolandii.

Patrz i podziwiaj, mówił ten gest. To wszystko może być twoje.

Wreszcie zrozumiała jego strategię. Chciał ją oszołomić luksusem, dać jej bogactwo wyboru. Spodziewał się, że widowiskowe, fantastyczne pomysły zawładną jej wyobraźnią i się podda. Wystarczy pomachać jej torcikiem przed nosem, a zrezygnuje ze swoich marzeń i ruszy do ołtarza w rytm marsza.

Trudno powiedzieć, czy jej nie rozumiał, czy po prostu nie szanował. Po rozmowie w wieży miała nadzieję, że zacznie ją nieco bardziej cenić.

A jednak nie. Te wszystkie plany dotyczące zamku… i własnej niezależności… Rafe uważał, że przehandluje je za dwunastopiętrowy tort z bandą kupidynków na czubku.

Nałożył kawałek czekoladowego tortu i wbił w niego widelec.

– Najpierw spróbuj tego.

Podał jej talerz.

Popatrzyła na tort.

– Nie, dziękuję.

– Wolałabyś zacząć od czegoś innego? – Postawił talerz i nadział na widelec kawałek pomarańczowego ciasta. – Zdaje mi się, że ten jest z morelowym kremem.

– Nie mam ochoty próbować żadnego.

– Nic z tego. Musisz wybrać jeden z nich.

– Koniecznie?

– Owszem. Mieliśmy umowę.

– Niech Daphne, Phoebe i Teddy zdecydują. Albo ty. Tort jest dla gości, nie dla panny młodej.

Spojrzał na nią z irytacją.

– Nie po to dołożyłem tyle starań i pieniędzy, żeby ktoś inny wybierał twój weselny tort. – Wbił widelec w żółty, cytrynowy klin i podał jej talerz. – Spróbuj.

– Nie interesują mnie torty.

– Kłamczucha. Przecież ty kochasz torty.

– Kto ci to powiedział?

– Ty sama.

– Naprawdę? – Nie przypominała sobie tej rozmowy.

– Owszem, ty. Wiele lat temu. Któregoś lata w Oakhaven. Doskonale pamiętam.

Stał bardzo blisko. Tak blisko, że kiedy wbił widelczyk w klin tortu, poczuła aromat cytryny i usłyszała cichutki brzęk srebra o porcelanę.

Nabrał porcję i trzymał ją parę centymetrów od jej warg.

– Do tego wydajesz ciasteczkowe pomruki – dodał.

– Ciasteczkowe pomruki? – zdziwiła się. – Co to jest, do licha ciężkiego?

– Nazwa mówi sama za siebie. Kiedy jesz ciasto, wydajesz różne odgłosy.

– Skądże znowu. Naprawdę?

Skinął głową.

– Oczywiście. Wzdychasz. Wstrzymujesz oddech. Cicho pojękujesz… Ty po prostu kochasz torty. A przynajmniej kiedyś kochałaś. Wiem, że przez ostatnie dziesięć lat dręczyli cię guzikami, gorsetami, ściskali i sznurowali. Ale wiem też – pomachał jej widelcem przed nosem – jak bardzo chcesz tego.

Rumieniec powędrował w górę po jej szyi.

– Nawet jeśli wydaję ciastkowe pomruki – a wcale się do tego nie przyznaję – to bardzo nieelegancko z twojej strony, że o nich wspominasz.

– Oczywiście. Ale ja jestem znany z braku elegancji.

Wcale nie. Rafe Brandon był czarną owcą. Szalonym buntownikiem. Zaprzedanym Diabłu. Znano go w całej Anglii z szybkości, bezpośredniości, siły… i obawiano się go.

Do tego był kusicielem. Szatańskim, nieodpartym kusicielem.

Przełknęła ślinę, mając nadzieję, że tego nie usłyszał.

– Nie, nie wydaję już ciasteczkowych pomruków. Wyrosłam z tego.

– To spróbuj tego tortu i udowodnij, że się mylę. – Znowu podniósł widelec. Kiedy się zawahała, powiedział. – To tylko jeden kawałeczek ciasta. Czego ty się boisz?

Ciebie. Mnie. Tortów. Piersa. Małżeństwa. Pająków.

Wszystkiego.

– Niczego – skłamała.

Nie było sensu mu tego wyjaśniać. Nie zdawał sobie sprawy, o co ją prosi.

Nigdy by tego nie zrozumiał.

– W takim razie spróbuj.

– Nie odczepisz się, prawda?

Pokręcił przecząco głową.

– Świetnie. – Wyjęła widelec z jego ręki i wzięła kęs ciasta do ust.

Gryź, napominała się w myśli. To tylko jeden kawałek. Pogryź, przełknij, miej to z głowy.

Tylko że ten przeklęty typek miał rację. Naprawdę kochała torty. A to nie był zwykły tort, tylko… niebiański. Rozpłynął się na języku jak słodka, aksamitna chmurka, stapiając się z cytrynową mgiełką, drażniącą zmysły i zachwycająca.

Nie dała rady się powstrzymać. Kiedy przełykała, wydała gardłowy pomruk zachwytu i nic nie mogła na to poradzić.

– Mmm.

– A nie mówiłem? Mruczysz.

Pokręciła głową, przełykając słodki kęs.

– To nie fair! To czysty grzech na talerzu. Ten, kto to piekł, na pewno zawarł pakt z diabłem.

Rafe zaśmiał się tylko.

– Mówię serio. Nie ma człowieka, który spróbuje tych tortów, nie wydając ciastkowych pomruków. Przekonaj się sam.

– Nie wolno mi żadnych słodyczy ani kalorycznych potraw. Nie w okresie treningu. – Odsunął kawałek ciasta na bok i przesunął wzrokiem po pozostałych tortach. – Który będzie następny?

O, nie. Tak łatwo się z tego nie wywinie. Wzięła talerz z cytrynowym tortem, nabrała kawałek na widelec, żądna zemsty.

– Spróbuj tego.

Podeszła do niego, ale cofnął się o krok. Wreszcie udało się go zmusić do defensywy.

Wyciągnęła ku niemu widelczyk i odezwała się uwodzicielskim szeptem

niby Ewa w raju. Kusząca Adama nie jabłkiem, ale kęsem grzesznego cytrynowego tortu.

– Tylko jeden… malutki… tyci kawałeczek ciasta. – Wydęła wargi. – Czego ty się boisz, Rafe?

Wbił w nią spojrzenie zielonych oczu.

Podsunęła mu torcik pod sam nos, próbując wcisnąć go między wargi. Odwrócił głowę. Kiedy spróbowała znowu, odskoczył ze śmiechem.

– Och, ty.

Zaatakowała po raz trzeci, ale nie nadążyła za nim, jak zwykle. Nie tylko uchylił się przed widelczykiem z ciastem, ale złapał ją za nadgarstek i uniemożliwił kolejną próbę.

– Naprawdę myślisz, że ci się uda mnie dosięgnąć? – zadrwił. – Nic z tego. Byłem mistrzem Anglii w wadze ciężkiej, kochanie.

– A ja postrachem całej klasy. – Clio szarpnęła się, by dosięgnąć lewą ręką stołu. Nie udało jej się złapać widelca, więc zagłębiła palce w najbliższy tort – czekoladowy – i złapała całą garść.

– A masz, ty draniu!

Uchylił się przed ciosem, puścił ją i skoczył na przeciwną stronę stołu. Oboje byli zasapani i roześmiani. Patrzyli na siebie, stojąc po przeciwnych stronach bufetu z tortami. Gdy próbowała pobiec w lewo, on natychmiast przesuwał się w prawo.

Zaśmiał się z jej próżnych prób pościgu.

– Mówiłem ci przecież. Skoncentruj się. Przewiduj. Reaguj.

– Zareaguj na to! – Rzuciła w niego garścią masy.

Psiakrew, znowu się uchylił. Potem odwrócił się, spojrzał na plamę na ścianie jak po wybuchu słodkich fajerwerków i cicho gwizdnął, rozbawiony.

– No, no, no panno Whitmore. Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę zrobiłaś.

– Nie szkodzi, bo zaraz zrobię to znowu. – Rzuciła się w stronę migdałowego tortu. Trafił go w ramię, więc wydała okrzyk triumfu.

– Aha! Pierwsza krew.

– Koniec zabawy – powiedział, sięgając po truskawkowy sernik na zimno, żeby zdobyć własną amunicję. – Teraz to jest na serio. Żarty się skończyły.

Uchyliła się w bok, ale był dla niej za szybki. Krem rozbryznął się w jej włosach i na twarzy jak słodki szrapnel.

Czas przeładować broń.

Wzrok Clio padł na solidny tort śliwkowy w kształcie kuli armatniej, stojący na środku stołu. Jak stworzony do rzutu. Na pewno nie rozleci się w powietrzu. Był tylko jeden problem.

Rafe też miał go na oku.

Podniósł wzrok znad tortu i spojrzał prosto na nią, z bezczelnym uśmieszkiem.

– Ten będzie mój.

Chyba, że cię uprzedzę.

Jednocześnie rzucili się w tamtą stronę. Rafe pierwszy złapał talerz, ale Clio wsadziła rękę w sam środek ciasta. Zacisnęła place i pociągnęła, jakby chciała wziąć je całe z talerza.

Zamiast tego, zgięła się wpół i krzyknęła z bólu.

Talerz brzęknął o podłogę.

9

Kiedy Clio zgięła się wpół, serce Rafe’a zabiło tak, jakby chciało kopnąć go w żebra.

– Jezu. – Rzucił resztki śliwkowego tortu na podłogę i przeskoczył przez stół.

– Clio, co się stało? Jesteś ranna?

Przytaknęła, zaciskając palce wokół prawej dłoni.

– Tak… coś mi się stało w palec. Och, jak boli.

Niech to szlag trafi. Jego samego też.

Co tam było w tym cieście? Widelec? Nóż?

– Skaleczyłaś się? Pokaż mi. Nie denerwuj się, jestem tutaj. Zajmę się tobą. Zajmę się wszystkim.

Ujął jej rękę i podniósł ku sobie.

Dała mu akurat tyle czasu, żeby zdążył zetrzeć okruszki i lukier, stwierdzić, że na ręce nie ma żadnych śladów krwi, ani siniaków. Była delikatna, śliczna, idealna…

I miękka. Nieznośnie miękka.

– Nie widzę żadnych…

Plask.

Jej druga ręka trafiła go tortem prosto w twarz.

Stał, parskając, na chwilę oślepiony marcepanem. Dochodził go jej śmiech, stłumiony przez krem, który miał w uszach. A kiedy otarł wreszcie twarz, znowu coś go zaskoczyło: podziw dla tej kobiety.

Trzeba było mieć nie lada inteligencję, żeby go dosięgnąć. Naprawdę jest niezła.

– Ty przewrotna lisico. Doigrałaś się.

Objął ją w pasie i podniósł z ziemi. But zaplątał mu się w jej suknię. Zaniosła się śmiechem, gdy przewrócili się na podłogę.

Upadli razem. Jego noga przykryła jej obie.

– Wygrałem – powiedział.

Zaczęła się sprzeciwiać. Rękę miał w dalszym ciągu upaćkaną truskawkowym tortem, więc kciukiem wsunął jej kawałek ciasta do ust.

To był błąd.

Poczuł na palcu jej wargi i język, a dreszcz podniecenia dotarł aż do jego członka.

Co gorsza, jęknęła, gdy wysuwał palec. Ta delikatna wibracja spłynęła w dół jego kręgosłupa, doprowadzając go do szaleństwa.

Delikatnie, czubkami palców wsunęła mu do ust kawałek śliwkowego ciasta, który został jej w dłoni. Przytrzymał jej nadgarstek i oblizał po kolei każdy palec, cicho pomrukując. Smak przypraw, czekolady i dojrzałych owoców zmieszał mu się w ustach.

– No proszę – szepnęła. – Widzisz? To ja wygrałam. Też wydajesz ciastkowe pomruki.

– To nie są ciastkowe pomruki.

Jego pomruki należały wyłącznie do Clio.

Nie pragnął tortów, tylko właśnie tego. Takiej bliskości. Takiej miękkości. Takiej słodyczy, która nie była watą cukrową ani marcepanem, tylko nią samą.

Resztki zdrowego rozsądku krzyczały, żeby przypomniał sobie o swojej karierze. Pomyślał o swoim bracie. I na miłość boską, zsunął się z niej natychmiast.

Tylko że Clio była taka urocza i cudowna – i nie przesłodzona, tylko idealnie słodko-kwaśna. Jej piersi trzęsły się ze śmiechu i tańczyły tuż przy

jego ciele. Do diabła, od lat nie śmiał się tak w czyimś towarzystwie. Może nawet w ogóle.

Nie miał pojęcia, jak się z tego wycofać.

Kobiety go lubiły. Zawsze się koło niego kręciły. Ale jego kochanki pragnęły łobuza i boksera. Wielkiego, szalonego brutala, który będzie je rzucał na łóżko, i rżnął tak, żeby krzyczały z rozkoszy. Kiedy był młodszy, chętnie się na to godził. Szczerze mówiąc, był w ekstazie, że tego chcą. Ale z latami zaczął pragnąć w sypialni czegoś więcej niż gimnastyki spoconych ciał.

Czułości. Zrozumienia. Radości.

Chwil takich jak ta.

– Rafe…

Uciszył ją i odsunął jej znad brwi zwichrzony kosmyk włosów.

– Masz krem na czole.

– Ojej. – Dotknęła dłonią skroni. – Tutaj?

– Nie. Tutaj. – Zlizał smugę wanilii, rozmazaną tuż obok jej brwi.

Zadygotała, ale się nie odsunęła.

– Tutaj też – skłamał. Przesunął językiem po kości policzkowej. Smakowała lepiej niż wszystkie kremy świata. Kusiła bardziej niż wszystkie torty razem wzięte.

– To już wszystko?

– Nie. – Dotknął językiem kącika jej ust.

Znowu zaczęli się całować. Rozchyliła wargi. Objęła go za szyję ramionami. Jego nogi zaplątały się w suknię. Znalazł się na jej cudownie bezwstydnym, krągłym ciele, które jak kołyska przyjęło całą jego twardość, ból i tęsknotę. Wsunął język między te wargi, pieszcząc je bez końca.

Jakby z każdym pocałunkiem brał ją coraz bardziej na własność.

Ona nie jest twoja, przypomniał mu wewnętrzny głos.

Miał go gdzieś. Całował jej szyję, wsunął pod nią rękę i przygarnął ją mocno do siebie. Tak blisko, jakby była jego częścią.

Nie jest twoja.

Ona nie jest twoja.

Nagle uniósł głowę. Oboje oddychali urywanie.

– Ja…

– Cicho – powiedziała. – Nie tłumacz się i nie przepraszaj. Bardzo cię proszę. Jeśli znowu będę musiała wysłuchiwać, że to tylko chwila bezosobowej żądzy albo wyrównanie rachunków z młodości… to się załamię.

– Nie powiem nic takiego. – To byłoby kłamstwo. To było coś groźniejszego niż pożądanie albo zazdrość.

Przetoczył się na bok i zapatrzył w sufit. Nie miał pojęcia, jak nazwać to uczucie, które rozpierało mu pierś. Ale etykiety nie miały znaczenia. Nie wolno mu było tego analizować.

– Jesteś. Zaręczona. Z moim. Bratem. – Może jeśli powie te słowa głośno i powoli, to dotrą do jego świadomości.

– Wcale nie muszę. – Usiadła z niejakim trudem. – Możesz zakończyć te zaręczyny jednym pociągnięciem pióra.

– To nie takie proste. – On także usiadł.

– Ależ tak. – Otarła dłonią kawałek ciasta z jego twarzy. – Nie jesteśmy ze sobą związani emocjonalnie. To tylko kwestia prawna. W chwili gdy podpiszesz ten dokument, będę wolna. Oboje będziemy wolni.

– I co wtedy zrobisz? Coś, czego będziesz później żałowała? – Strzepnął ze spodni kolejny kawałek ciasta.

– Dlaczego miałabym żało… – Jej głos nagle ucichł. Ściągnęła brwi. – Boże. Nie, tylko nie to.

– Co się stało?

– Mój pierścionek zaręczynowy. – Podniosła nagą, lepką rękę. – Zniknął gdzieś.

Zaklął.

– Musimy go znaleźć. Jest wart fortunę. – Wstała z dywanu i zaczęła go

szukać na stole i na podłodze. – Pewnie się zsunął, kiedy wkładałam rękę w któryś tort. Po czekoladowym chyba jeszcze był. I po migdałowym. To znaczy, że został w…

– Śliwkowym. Który upuściłem na podłogę, kiedy krzyknęłaś. Jest tam. – Spojrzał w róg pokoju.

Razem skoczyli za stół.

– Niech to diabli.

Owszem, pewnie jeszcze niedawno był tam, na podłodze.

Tylko że teraz znajdował się w całości – łącznie z pierścionkiem Clio – w brzuchu Ellingwortha.

Z początku Clio miała ochotę się roześmiać.

Obrazek był naprawdę zabawny – płaski, brzydki pysk starego buldoga uważnie obwąchujący pustą paterę.

Tylko że Rafe nie widział w tym nic zabawnego.

– Ellingworth, nie! – Podbiegł do psa, wyrzucając z siebie serię przekleństw, jakich Clio nie słyszała nigdy przedtem i nawet nie miała pojęcia, że istnieją.

– Jak on się tu dostał?

– Nie mam pojęcia. Może wszedł tu już dawno i zasnął gdzieś w kącie.

– Nie. Nie, tylko nie to. – Położył się na podłodze i przycisnął ucho do kosmatego boku. – Bulgocze.

– To chyba normalne?

– Nie wiem. – Usiadł i przeczesał dłońmi włosy. – Może. Nigdy przedtem tego nie sprawdzałem.

– Biedactwo. – Uklękła po przeciwnej stronie psa. – Pewnie nic mu nie będzie.

– Co robić? Może wywołać wymioty? Obrócić go głową w dół i potrząsnąć?

Pogłaskała psa po uchu.

– Lepiej nie.

– Jest dziwnie ciepły. – Rafe uderzył pięścią w dywan. Potem skoczył na równe nogi, zdjął surdut i zaczął nim wachlować buldoga.

Clio zaczęło opuszczać wzruszenie, jakie wywołała w niej przedtem troska i opieka ze strony Rafe'a. Owszem, odsunął ją spod opadającej kraty w bramie, złapał, kiedy potknęła się w wieży. To wszystko wydawało jej się niezmiernie pociągające, ale było niczym w porównaniu z jego niepokojem o tego psa. Tym bardziej że buldog wcale nie wyglądał na chorego. Wręcz przeciwnie, był po prostu najedzony i zadowolony.

Jeśli nawet umrze, odejdzie szczęśliwy.

– To tylko śliwkowy tort – powiedziała.

– Nie. Wcale nie tylko tort. Śliwkowy tort i ogromny złoty pierścionek z rubinem.

Miał rację.

– O tyle dobrze, że to kaboszon. Nie ma ostrych krawędzi. Daj mu trochę oleju z dorsza i wszystko będzie dobrze.

– Miejmy nadzieję. – Rafe zaczął wachlować go jeszcze mocniej. – Słyszysz mnie, ty głuchy kundlu? Niech cię szlag. Tylko mi tu teraz nie umrzyj.

Ellingworth beknął w odpowiedzi.

Clio na próżno wstrzymywała chichot.

– Trzeba zawołać weterynarza – powiedział Rafe, odrzucając na bok surdut. – Najlepiej chirurga, jeśli jest tu jakiś w pobliżu. A jeśli nie, aptekarza. Wezwij wszystkich z okolicy.

– Oczywiście.

Wielki Boże, nigdy go nie widziała w takim stanie. Niespecjalnie przejmowała się zdrowiem Ellingwortha, ale Rafe naprawdę ją zaniepokoił.

– Rafe, spójrz na mnie.

Kiedy to zrobił, emocje lśniące w tych śmiałych, zielonych oczach nieledwie zwaliły ją z nóg.

– Wpakowaliśmy się w to oboje – powiedziała. – Zrobimy wszystko, co możliwe. Wezwiemy specjalistów z Londynu, jeśli będzie trzeba. Obiecuję ci. – Ujęła jego dłoń w swoje i ścisnęła mocno. – Ten pies nie może umrzeć.

W dwanaście godzin, trzech weterynarzy, dwóch lekarzy i jednego aptekarza później, Clio siedziała na krześle pod pokojem, który służył za infirmerię, wyszywając jakiś drobiazg w blasku świecy.

Było późno i wszyscy poszli już spać. Ale Rafe dalej siedział w środku z Ellingworthem, więc nie ruszała się z miejsca.

W ciągu dnia znalazła godzinkę, żeby się wykąpać i zmienić wysmarowaną kremem suknię. Na szczęście przez całe to zamieszanie z psem nie musiała się nikomu tłumaczyć. Wystarczyło podnieść ręce, powiedzieć „to przez tego psa”, i wszyscy dawali jej spokój.

W końcu otworzył drzwi.

– Jeszcze tu jesteś?

Clio włożyła robótkę do szuflady pobliskiego stolika i wstała.

Rafe był niezwykle poważny. W odróżnieniu od niej nie zdążył się przebrać poza tym, że zdjął surdut, kamizelkę i fontaź, a rękawy koszuli zawinął do łokci. Włosy miał kompletnie rozczochrane.

Zaczęła obawiać się najgorszego.

– Co z nim? – spytała.

– Mówią, że będzie żył.

– Och – westchnęła, uświadamiając sobie, że cały czas wstrzymywała oddech. – To dobra wiadomość. Co za ulga. Też ją chyba czujesz, prawda?

– Śpi spokojnie. Weterynarz z nim posiedzi, więc ja też mogę się przespać.

Rozejrzał się w obie strony, a potem spojrzał też na schody.

– Tylko… którędy się właściwie idzie do mojej sypialni?

Wzięła ze stołu lichtarz.

– Odprowadzę cię.

Zawiesił surdut na jednym palcu i przerzucił sobie przez ramię. Ramię w

ramię ruszyli korytarzem.

– Kolejna dobra wiadomość jest taka, że dostał środek na przeczyszczenie. Pierścionek powinien… – odchrząknął – …za parę dni ujrzeć światło dzienne.

Clio zadygotała.

– Nie włożę go więcej na palec.

– Owszem, włożysz. Weterynarz twierdzi, że to zajmie zaledwie parę dni. To dobra wiadomość. Odzyskasz go jeszcze przed powrotem Piersa.

Odwróciła się i zatrzepotała rzęsami.

– To nieważne, Rafe. Już więcej nie założę tego pierścionka.

– Umyjemy go.

– Nie dlatego, że jest tam, gdzie jest – wyjaśniła. – No, może częściowo. Ale głównie dlatego, że nie wyjdę za Piersa.

Westchnął.

– To by się nigdy nie zdarzyło, gdybyś po prostu spróbowała tych tortów.

– To by się nigdy nie zdarzyło, gdybyś uszanował moją wolę i podpisał te papiery rozwiązujące zaręczyny. – Clio zamilkła na moment, żeby się uspokoić. – Nie spierajmy się już. Ważne, że psu się nic nie stało.

– Właśnie.

Weszli na schody. Kiedy znaleźli się u szczytu, Rafe odezwał się znowu, tym razem łagodniej. Jakby zostawił zniecierpliwienie i urazę na dole.

– Powinienem ci podziękować, że się o mnie zatroszczyłaś. Znowu.

– Znowu?

– Nigdy ci nie powiedziałem, ile to dla mnie wtedy znaczyło. Nigdy ci za to porządnie nie podziękowałem. To moja wina. Naprawdę mi pomogłaś po śmierci starego markiza.

– Nic takiego nie zrobiłam.

– Ale byłaś przy mnie. Zorganizowałaś pogrzeb, przyjmowałaś żałobników. Przyniosłaś ten… koszyk herbatników czy jak to się tam nazywa.

– Mufinek. To były mufinki. Twój ojciec umarł, a ja przyniosłam ci mufinki.

Zamknęła oczy i uszczypnęła się w nasadę nosa.

– Ja sama jestem jak mufinka. Ciepła, bez smaku i w sumie miła, ale nie ma się czym za bardzo podniecać.

– Nie ma się czym za bardzo podniecać. Jasne. Taka właśnie jesteś, Clio. Zrób mi przysługę i powiedz to mojemu…

Tętno jej skoczyło. To zdanie mogło mieć kilka zakończeń, niektóre rozwiązłe, inne wzruszające.

– Czemu konkretnie?

– Niczemu. Nieważne.

Do diabła.

– Cieszę, się że Ellingworth dojdzie do siebie – powiedziała. – Nie wiedziałam, że tak się przejmujesz tym staruszkiem.

– Szczerze mówiąc, nie za bardzo… Chodzi o to, że to nie mój pies, tylko Piersa. Nie mogę dopuścić, żeby coś złego stało się z rzeczami, które są pod moją opieką. Nie miałem wyjścia, musiałem przyjąć odpowiedzialność za markizat podczas nieobecności brata. Kiedy wróci, chcę mu oddać wszystko w takim samym stanie, w jakim to dostałem. I na tym koniec.

Clio zatrzymała się jak wryta na środku korytarza. Przycisnęła dłoń do piersi.

– Mój Boże.

Rafe także się zatrzymał.

– Co się stało?

– Ja też jestem psem.

– Słucham?

– Jasne. – Odwróciła się ku niemu. – Dla ciebie też jestem psem. Dlatego zawracałeś sobie głowę tym wszystkim. Dlatego tak strasznie ci zależy, żebym się w to włączyła. Dla ciebie jestem jeszcze jednym psem. Należę do Piersa, a tobie niespecjalnie na mnie zależy, ale nie chcesz, żeby coś mi się

przytrafiło, kiedy jestem pod twoją opieką. Musisz mnie oddać właścicielowi w stanie, w jakim mnie dostałeś.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem zawahał się, jakby zabrakło mu słów.

Clio ich nie potrzebowała. Ten moment wahania powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć.

Trafiła w sedno.

Była dla niego psem.

Ruszyła ostro przed siebie, nie dbając o to, czy zostawi go samego w ciemnościach. Niech sobie błądzi po tych korytarzach całą noc.

Dogonił ją i złapał za ramię.

– Clio, poczekaj.

Zacisnęła drugą dłoń w pięść. Co za obrzydliwe słowa. Dwa słowa, które są podsumowaniem całego jej życia: Clio, poczekaj.

– Źle mnie zrozumiałaś – powiedział.

– Chyba jednak nie.

– Nie jesteś psem.

– Ale mogłabym nim być. Takim wiernym, zaślinionym stworzonkiem, które chcesz utrzymać przy życiu, żeby Piers mógł mnie poklepać po głowie, jak wróci do domu. Może nawet rzucić mi ciasteczko.

Dosłownie warczała z wściekłości, ale panowała nad sobą. W miarę możliwości.

– Clio, Clio. Jesteś… jesteś czymś o wiele ważniejszym.

– O wiele ważniejszym od psa. Co za komplement. Dziękuję serdecznie.

– Przestaniesz wreszcie mówić o psie? – Zasłonił oczy ręką. – Jest późno, nie potrafię się jasno wyrażać. Jakimś dziwnym sposobem zrozumiałaś, że nie widzę cię jako pięknej, inteligentnej, wyjątkowej kobiety… musimy to wyjaśnić.

Wybuchnęła śmiechem.

– Proszę cię. Daj sobie spokój. Oboje wiemy, że twój brat mógłby mieć

tuzin kobiet, które są bardziej eleganckie i utalentowane ode mnie. A ty… ty po prostu je miałeś.

– Historia mojego życia nic do tego nie ma. Owszem, może i Piers mógłby się ożenić z kimś bardziej eleganckim i utalentowanym. Ale nigdy nie znalazłby lepszej kobiety od ciebie. Chyba tego nie rozumiesz, Clio. Ludzie ciągle mówią o lojalności i dobroci, jakby to były powszechne cnoty. Ale nie są. Są niezwykle rzadkie. Można przeszukać cały świat i nie znaleźć drugiej takiej jak ty.

Potrząsnęła głową, nie patrząc mu w oczy.

– Mam dość słuchania takich rzeczy. Jesteś niesłychanym samolubem. Wcale mnie nie podziwiasz. Chcesz tylko, żebym poślubiła człowieka, którego nie kocham i który nie kocha mnie, bo jest ci z tym po drodze.

– Po drodze?

Odsunął się o krok i rozejrzał się po korytarzu, a potem wprowadził ją do swojej sypialni i zamknął drzwi na klucz. Potem wyjął jej z ręki lichtarz, postawił na wąskim stoliku pod ścianą, położył dłonie na jej ramionach i przytrzymał ją na miejscu.

Obniżył głos do szorstkiego szeptu.

– Myślisz, że jest mi z tym po drodze? Bo planuję twój ślub z innym i przygotowuję się, by potem zniknąć na zawsze? Myślisz, że nie będę cierpiał, myśląc o tobie przez wszystkie kolejne lata – dziesiątki lat? Wyobrażając sobie, jak rodzisz mu dzieci, jesteś gospodynią na jego przyjęciach, dzielisz z nim te wszystkie niezliczone chwile, których szczęśliwe małżeństwa nawet nie zauważają, ale wszyscy inni widzą i zazdroszczą im do obłędu?

Wielki Boże. Co on mówi…

– Nie będzie mi z tym po drodze – powtórzył. – To będzie piekło.

– Więc dlaczego to robisz?

– Jestem Zaprzedany Diabłu, nie pamiętasz? Zasłużyłem sobie na miejsce w piekle. A ty zasługujesz na coś więcej. – Gładził ją lekko po ramionach. – Powinnaś mieć wszystko, co najlepsze. Nie tylko najpiękniejsze kwiaty,

najwspanialszy tort, suknię i ślub… ale wszystko co najlepsze w życiu – łącznie z najlepszym mężem. Zasługujesz na to wszystko. A ja zasługuję na strzał z pistoletu o poranku za to, że dotykam cię w ten sposób.

Pokręciła głową. Kim była ta idealna, doskonała kobieta, o której mówił? Na pewno nie Clio. Za każdym razem gdy ją całował, oddawała mu pocałunek. Godzinami marzyła o tej chwili. Żeby zostać z nim sam na sam, w nocy. W jego sypialni. I poczuć jego mocne, świadome dłonie na swoim ciele.

Może on o tym nie wiedział.

Więc najwyższy czas mu wszystko wyjaśnić.

Podeszła do niego i położyła płasko dłonie na jego szerokiej piersi.

Wstrzymał oddech.

– Co ty wyprawiasz?

– Dotykam cię. – Pogładziła dłońmi miękkie płótno koszuli i zadziwiająco twardy, rzeźbiony tors, który okrywała.

– Clio… – powiedział stłumionym głosem. – Ja tak nie mogę.

– I nie musisz. Nic nie rób. Teraz moja kolej.

– Dlaczego, na litość boską?

– Bo to jest coś, na co od bardzo dawna miałam wielką ochotę.

Objęła go, kładąc dłonie na plecach i przytuliła się policzkiem do miejsca, gdzie szaleńczo biło jego serce. A potem mocno go objęła.

– Spokojnie, Rafe. To tylko uścisk. – Potarła policzkiem jego koszulę, szukając wygodnego miejsca. – Kiedy ostatni raz ktoś cię normalnie objął?

– Ja… – westchnął głęboko. – Nie przypominam sobie nawet.

Clio też tego nie pamiętała. Miała kochającą rodzinę, ale nikt się w niej nie umiał przytulać. Daphne była mistrzynią sztucznych uścisków – lekki dotyk, kilka klepnięć w plecy i po wszystkim. Phoebe w ogóle nie lubiła się przytulać.

Za to Clio najbardziej w życiu kochała mocne, emocjonalne uściski. I wiedziała, jak to się robi. Gładziła go dłońmi po plecach, rozluźniając

napięcie mięśni.

– Też możesz mnie objąć – powiedziała.

W końcu się poddał, obejmując ją mocnymi ramionami. Oparł podbródek na jej głowie. Kciukiem zataczał kółka na jej plecach i lekko ją kołysał, w kojącym rytmie.

Och, na niebiosa. Jak fantastycznie to robił. Jak prawdziwy mistrz.

Chyba nigdy w życiu go nie puści.

– Przepraszam za to, co się stało – szepnęła. – Tak się napracowałeś, żeby przywieźć te cudowne rzeczy z Londynu, a ja wszystko popsułam.

– Nic nie popsułaś.

– A potem całe to zamieszanie z psem. Wiem, że się nim martwiłeś. To był długi, trudny dzień.

Cały rok był dla niego trudny i długi. Stracił ojca i tytuł mistrzowski, i to w odstępie tygodnia.

Choćby nie wiem jak się starał, nie mógł udawać, że nie cierpiał. Clio doskonale to wiedziała. Pamiętała, jak wyglądał, kiedy przyjechała do Granville House wkrótce po śmierci markiza. Na twarzy miał ślady po brutalnej walce, ale oczy zdradzały głębszy ból w sercu. Szkoda, że zabrakło jej wtedy odwagi, żeby go przytulić.

Dzisiaj nadrabiała zaległości.

– Dlaczego uważasz, że nie zasłużyłeś na szczęście, Rafe?

Milczał chwilę, zanim odpowiedział.

– Ty tego nie zrozumiesz. Źle mi wychodzi wszystko co dobre, a dobrze – wszystko co złe. Nie wiesz, kim jestem i co robiłem. Nie znasz mnie nawet w połowie.

– Może i nie. Ale wiem, na co zasłużyłeś tym, co zrobiłeś dzisiaj.

Stanęła na palcach i dotknęła wargami jego policzka.

– To za muzykę.

Pochylając głowę, pocałowała go w szyję, tam gdzie mocno, urywanie bił puls. Poczuła na skórze szorstki, jednodniowy zarost.

– To za kwiaty.

– Przestań.

– To za torty.

Przytknęła wargi do wypukłości u podstawy gardła i rozkoszowała się pocałunkiem, wdychając ciepło i aromat jego skóry.

W jego piersi wezbrał udręczony pomruk. Pewnie miał być ostrzeżeniem, ale Clio poczuła zamiast tego przypływ odwagi.

Cudownie się czuła ze świadomością, jaki ma na niego wpływ. To był Rafe Brandon, jeden z najbardziej szalonych, najsilniejszych, budzących największą obawę mężczyzn w Anglii. A ona, panna Clio Whitmore, sprawiła, że zmiękły mu kolana.

Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że wpatruje się w nią oczyma zmąconymi pożądaniem.

– Powinnaś wyjść z tego pokoju. I to już.

Nawet nie próbowała z nim dyskutować.

Ale nie próbowała też odejść.

Wyczuwała, że toczy wewnętrzną walkę – pożądanie i zwykłe pragnienie bliskości ścierały się z ambicją i lojalnością. To był poważny pojedynek, a ona, jako widz, obserwowała go bez tchu. Zafascynowana. W napiętym oczekiwaniu, niepewna, kto wygra.

Czuła jego dłonie obejmujące ją w talii.

A potem… poczuła też, jak jego palce powoli zaciskają się na tkaninie sukni. Napiął mięśnie, przyciągając ją blisko do siebie. Jej piersi rozpłaszczyły się na jego twardej klatce piersiowej, a przy brzuchu poczuła pulsującą męskość.

Oddychał urywanie. Jego wargi były tak blisko jej ust…

Tak.

O Boże, tak. A więc to jest pożądanie. I bycie obiektem pożądania.

Teraz, kiedy poznała to uczucie, nie zgodzi się na żadne namiastki. Nie chce grzecznego, układnego małżeństwa. Chce szaleństwa. Chce być

niegrzeczna.

Chce jego.

Clio chwyciła go za gors koszuli, żeby się przypadkiem nie odsunął.

– Rafe.

Drzwi sypialni otworzyły się szeroko.

– Cześć.

Rafe, trzeba mu przyznać, tylko wzmocnił chwyt.

– Kto tam? O co chodzi?

Och, nie.

W progu stał sir Teddy Cambourne.

Nie wyglądał na zadowolonego.

10

Alleluja.

To była pierwsza, instynktowna reakcja Rafe'a, gdy drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich poważna twarz sir Teddy'ego Cambourne'a.

Doskonale. Idealnie. Dzięki Bogu.

Koniec szarpaniny. Już po wszystkim. Właśnie przyłapano go z rękami na sukni Clio, jak przyciąga do siebie przyszłą żonę swego brata, by poczuła jego twardniejący członek… i to załatwiło sprawę.

Teraz obwołają go łajdakiem, którym zresztą jest. Będzie mógł dać sobie spokój z tym bzdurnym planowaniem ślubu. Pozwoli, by sir Teddy strzelił do niego o poranku… i skończy z tym wszystkim, niezależnie od tego czy będzie martwy, ranny, czy po prostu skompromitowany. Zniknie na zawsze ze szczęśliwego życia, jakie będzie wiodła Clio z Piersem.

I dobrze.

Tylko, że Cambourne chyba nie czytał tego scenariusza. Nie wybuchnął wściekłością, nie zwyzywał go od łajdaków ani podleców. Nie zażądał, żeby Rafe puścił dłoń jego szwagierki i podał nazwisko swego sekundanta.

Stał nieruchomo, w koszuli nocnej i z twarzą bez wyrazu, ściskając w dłoni parę wysokich czarnych butów.

Podał je Rafe'owi.

– Weź je – polecił.

Rafe patrzył na niego zdziwiony. Czy to jakiś sekretny pojedynkowy sygnał, którego się nie zdążył nauczyć? Myślał, że załatwia się to uderzeniem

rękawiczki w twarz, ale może nastała jakaś nowa moda i teraz podaje się oficerki.

W korytarzu rozległo się wołanie Daphne:

– Teddy? Teddy, co ty znowu wyprawiasz?

Nocny gość nawet się nie odwrócił na głos swojej żony. Dalej podawał buty Rafe'owi.

– Trzeba je wyglansować, żeby były gotowe na rano. Pójdziemy z mamą do menażerii.

– Po prostu je weź – szepnęła Clio. – On lunatykuje. Czasem mu się to zdarza.

Rafe wziął buty.

Clio położyła Teddy'emu ręce na ramionach i odwróciła go w stronę drzwi.

– Bardzo dobrze. Załatwione. Możesz wracać do łóżka.

– Może będą tygrysy. Mama obiecała tygrysy.

– Na pewno. Będzie wspaniale.

Powędrował bezwolnie ku drzwiom.

– Tygrysy mają paski. I mówią grrrr.

Rafe zdusił wybuch śmiechu.

Na korytarzu Daphne zaczęła się denerwować.

– Teddy! Teddy, gdzie jesteś?

– Tutaj! – zawołała Clio. – Nic się nie dzieje.

Szepnęła do Rafe'a:

– Nie wspominaj o tej menażerii. Moja siostra i tak będzie strasznie zawstydzona.

Spotkali się z nią na korytarzu.

– Och, dzięki Bogu.

Objęła męża za szyję i pocałowała w policzek.

Nawet nie zauważył.

Phoebe też wyszła ze swojego pokoju. Była w nocnej koszuli, a w ręce

trzymała książkę.

– Nic dziwnego. Można się było tego spodziewać. Jest na nowym miejscu.

Clio skinęła głową.

– Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby zatrzymać go w sypialni. Zamek jest duży i jego lunatykowanie może się źle skończyć.

– Zamknęłam drzwi na klucz, ale zostawiłam go w zamku – odpowiedziała Daphne. – Mam nauczkę. Po dzisiejszej nocy będę go chować pod poduszkę. Albo założę sobie na szyję.

Rafe z trudem powstrzymał się od sugestii, by skorzystać z tej kuli na łańcuchu i przykuć nią sir Teddy’ego.

– A ja postawię w korytarzu lokaja, na wszelki wypadek – obiecała Clio.

– Dziękuję – westchnęła Daphne i zwróciła się do Rafe’a. – Przepraszam. Od bardzo dawna tego nie robił.

– Nie ma za co przepraszać – odpowiedział.

Wręcz przeciwnie, winien był wdzięczność temu człowiekowi. Tygrysy nie tygrysy, ale Cambourne bez niczyjej pomocy uratował Clio znad brzegu przepaści.

Rafe przeczesał włosy palcami. Co się z nim działo, do diabła? Miał jasne powody, by jej nie tykać, nie potrzebował Phoebe, żeby spisała mu listę. Mimo tego nie potrafił trzymać rąk – ani ust – z daleka od niej.

Może ktoś lepszy dałby radę.

Ale lepszy człowiek nie pragnąłby tak rozpaczliwie jej dotyku.

– Czy mogę wam jakoś pomóc? – zapytał.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. – Daphne popchnęła męża w stronę ich sypialni. – Chodź, mój drogi. Wracaj do łóżka.

Phoebe ziewnęła i też poszła do siebie.

– Co mam z nimi zrobić? – Rafe uniósł buty Teddy’ego.

– Dopilnuję, żeby trafiły do jego pokojowca. – Clio wzięła je od niego. – Nie obawiaj się, że nas widział. Rano nigdy nie pamięta niczego, co mu się przytrafiło.

– Był u jakiegoś lekarza?

Skinęła głową.

– Nie da się nic zrobić, poza podawaniem opium co wieczór. W tym przypadku lek byłby gorszy od choroby. W ciągu tego roku bardzo mu się poprawiło. Po ślubie był w o wiele gorszym stanie.

– To musi być trudne dla twojej siostry.

– Tak. – Spojrzała w bok. – Ale o dziwo, zazdroszczę jej tego kłopotu.

– Dlaczego?

– Bo przez to widać, że są prawdziwym małżeństwem. Właśnie tego przez cały czas nie dostrzegasz, Rafe. Ślub to coś więcej niż wyjątkowe wydarzenie, na którym wszystko jest w najlepszym sorcie. To wzajemna obietnica wspierania się we wszystkim co najgorsze. To kompromis i bezwarunkowa miłość.

– Nie tak rozumie się małżeństwo w większości domostw w Mayfair. Wątpię też, by Piers oczekiwał czegoś takiego. Wszyscy wiemy, że w tej sferze miłość to luksus. Małżeństwo to zawarcie umowy. Ty na nie przystałaś.

– To niesprawiedliwe.

Wiedział, że to niesprawiedliwe. Była wtedy za młoda i nie wiedziała, że ma jakiś wybór. Tak ją wychowano. Potem Piers na długie lata pozostawił ją w zawieszeniu. Do tego Rafe właściwie nie powinien mówić o zobowiązaniach społecznych, bo sam je wszystkie zlekceważył.

– Skoro rozmawiamy o umowach, Rafe, to my też zawarliśmy porozumienie. Za dwa dni upływa jego termin. Dałeś mi słowo i spodziewam się, że go dotrzymasz.

Odwróciła się, odeszła, a on nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Zaskrzypiały otwierane drzwi i wyjrzała zza nich głowa Bruisera z monoklem.

– Cóżże to? Jakieś zamieszanie, bynajmniej?

– Daj sobie spokój, Cambourne lunatykował. Już po wszystkim.

Bruiser strzelił palcami.

– Jasna cholera. Miałem nadzieję, że się w tym wszystkim pokażę.

Wyszedł na korytarz w bonżurce z malowanego jedwabiu i szlafmycy tak długiej, że jej koniec opadał mu prawie do kolan. Na czubku miała złoty frędzel.

– Kupiłem to wszystko w tym samym miejscu co monokl. – Bruiser związał mocniej ozdobny pasek od bonżurki. – Miałem nadzieję, że coś się wydarzy w nocy, żebym mógł wypaść na korytarz i wyglądać jak arystokrata.

– To czemu tego nie zrobiłeś?

– Za długo się ubierałem w te cholerne ciuchy. Nie mogę zasnąć, jeśli nie jestem nagi jak noworodek.

Rafe podrapał się po głowie, jakby chciał usunąć ten obraz z mózgu.

– Nie musiałeś mi tego mówić.

– Doskonale, zdenerwuj się na mnie teraz. I zostań z tą złością. Widzę, że dochodzisz do siebie. – Bruiser poklepał go po ramieniu. – Ten głód, ta zazdrość, to pragnienie udowodnienia swojej wartości… znowu są w twoich oczach. Zdobędziemy to mistrzostwo bez trudu. Tylko obudź w sobie to wszystko na ringu.

– Lepiej bym się skupiał na moich zadaniach, gdybyś ty skupił się na swoich. – Rafe wymierzył prztyczka w głupi frędzel od jego głupiej szlafmycy. – Ty „zamieszanie bynajmniej”.

– Jasne. Właśnie. Nie mogłem ci tego wcześniej powiedzieć, bo siedziałeś z lekarzami i z tym psem. Ale jutro ją zawojujemy.

– Wątpię.

Mała szansa, żeby coś ją wzruszyło, jeśli dzisiejsze wysiłki nie zrobiły na niej wrażenia.

Clio pragnęła kompromisu, miłości i kogoś, kto zawsze stałby u jej boku. Rafe dobrze wiedział, że zasługiwała na to i na więcej. Kiedy trzymał ją w ramionach, obiecałby jej wszystko. Ale nie mógł podpisać tych papierów. Po prostu nie mógł.

– Dwa słowa, Rafe. Włoski jedwab. Belgijskie koronki. Francuskie modystki. Perły, brylanty, falbany…

– Nie znam się na rachunkach, ale zdaje mi się, że to więcej niż dwa słowa.

– Suknie ślubne. – Bruiser huknął go pięścią w ramię. – Masz swoje dwa słowa. Suknie ślubne. Właśnie przyjechały. I są naprawdę oszałamiające.

– Nie wiem, czy suknie wystarczą. Panna Whitmore dysponuje sporymi pieniędzmi. I ma niejedną piękną suknię.

– Ale nie takie. Mówię ci, nie oprze się im. Jezu, sam bym coś takiego założył.

Rafe otworzył drzwi do swej sypialni.

– Na wszelki wypadek rada: nie rób tego.

– Nie zrobię tego. Więcej. – Podniósł ręce. – Tylko żartowałem.

Następnego dnia Clio obudziła się wcześnie rano. Prawdę mówiąc, prawie wcale nie spała.

Wiedziała, że Rafe też wcześnie wstał. Jak zwykle.

Nie miała pojęcia, jak spojrzeć mu w twarz, więc stchórzyła. Umyła się, ubrała, zjadła śniadanie w pokoju, potem skreśliła parę linijek do przyjaciółki w Herefordshire i zakleiła kopertę. Postanowiła pójść do wsi pod pretekstem nadania listu.

W ostatniej chwili przyłączyła się do niej Phoebe.

– Pójdę z tobą. Muszę kupić sznurek.

– Oczywiście.

Clio wiedziała, że siostra ma cały kufer sznurków na górze. Co kilka dni musiała jednak kupować więcej, bo w przeciwnym razie zaczynała się denerwować. Pewnie jakaś fabryczka w Yorkshire utrzymywała się wyłącznie z zamówień Phoebe.

Ledwie dotarły do końca podjazdu, Phoebe spytała ją:

– Co się stało wczoraj wieczorem?

– Przecież wiesz. Teddy lunatykował i narobił zamieszania. Jak zawsze.

– To wiem. Ciekawa jestem, co się działo przedtem.

– Jak to?

– Widziałam, jak wyszłaś z pokoju lorda Rafe.

Cholera jasna.

To, czego Clio tak się obawiała, właśnie stało się faktem. Zmusiła się, by zachować spokój.

– Owszem. Siedzieliśmy do późna w nocy przy psie, żeby sprawdzić, czy naprawdę nic mu nie jest po zjedzeniu tego ciasta. Potem poszliśmy porozmawiać.

– Rozumiem.

– To były ważne sprawy – dodała. – Ale inni mogą źle to zrozumieć, gdyby o tym wiedzieli, więc proszę cię, niech to zostanie między nami.

I błagam cię, nie pytaj o nic więcej.

Siostra wzruszyła ramionami.

– Dobrze, nikomu o tym nie powiem. Chociaż nie rozumiem, kogo miałyby obchodzić wasze rozmowy.

Phoebe nigdy nie rozumiała takich rzeczy.

Pomimo całej swej inteligencji nie potrafiła dostrzec subtelności w relacjach między ludźmi. Wszystko traktowała dosłownie, jakby nie rozumiała sensu niedopowiedzeń.

Clio z przerażeniem myślała o chwili, kiedy trzeba będzie wprowadzić ją w towarzystwo. Można to opóźnić jeszcze o kilka lat… ale były przecież wnuczkami hrabiego. Trzeba będzie ją w końcu przedstawić. I jeśli Clio nie będzie jej bacznie strzec, arystokratyczne smoczyce pożrą biedactwo żywcem.

Na szczęście tego ranka jeszcze nie musiała się tym martwić.

Dzień był uroczy. W końcu przestało padać. Owszem, ziemia była jeszcze błotnista, ale nieprzerwanie świeciło słońce. Clio zsunęła z głowy kaptur płaszcza, by cieszyć się jego ciepłem.

Uwielbiała krajobraz Kentu. Nie było tam dramatycznych wąwozów ani

stromych szczytów, tylko troskliwie uprawiane pola poprzecinane granicznymi murami i żywopłotami. Tu i ówdzie rosły zagajniki. Z wieży Twill Castle, przypominało to narzutę w przeróżnych odcieniach zieleni. Przytulne. Wygodne.

Bezpieczne.

Poprowadziła siostrę do wąskiego mostka nad wezbranym od deszczu potokiem. Przeszły przezeń jedna po drugiej, rozkładając ramiona dla równowagi.

– Kiedyś zrobię tu prawdziwy most – powiedziała Clio. – Ale ten ma dużo uroku.

Ostatni kawałek pokonała jednym susem, a potem wyciągnęła rękę żeby pomóc Phoebe w przeprawie.

Nie puściła tej ręki, gdy wędrowały ścieżką między polami jęczmienia i koniczyny.

– Jak ci się tu podoba?

– Tak samo jak wszędzie.

– Chciałabyś zamieszkać w Twill Castle?

– Na stałe? – Phoebe zmarszczyła brwi. – Dlaczego miałabym się tu przenieść?

– Bo cię zapraszam.

– Czy lord Granville nie będzie cię chciał zabrać do Oakhaven?

– Może go przekonam, żeby zostać tutaj. Miałabym bliżej do Londynu.

Siostra potrząsnęła głową.

– Będziecie nowożeńcami. Nie spodoba mu się, jeśli będę się plątać pod nogami.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo Teddy z Daphne są świeżo po ślubie i nie chcą, żebym się przy nich plątała. Daphne sama mi to powiedziała. Poza kolacjami mam im nie zawracać głowy, chyba że w domu wybuchnie pożar.

Clio ścisnęła Phoebe za rękę, choć wiedziała, że fakty będą dla niej

większą pociechą.

– Ja zawsze będę chciała, żebyś się przy mnie plątała – odparła. – A co do Piersa… ma władzę, ale nawet on nie może decydować, kto będzie mieszkał w zamku. Twill Castle należy do mnie.

– Dopóki nie wyjdziesz za mąż – stwierdziła Phoebe. – Potem przejdzie na jego własność.

– Może wcale za niego nie wyjdę.

Jej siostra zatrzymała się jak wryta. Clio też. Te słowa same jej się wyrwały. Nie planowała jej tego powiedzieć. Może i dobrze, bo dowie się teraz, co myśli o tym jej rodzina, a przynajmniej jej część.

Phoebe zapatrzyła się w dal.

– Co tam? – zachęciła ją Clio. Serce biło jej jak młotem. Obok zabrzęczała przelatująca pszczoła. Phoebe przysłoniła ręką oczy od słońca.

– Czy to lord Rafe? Tam, przy murze.

Clio potrząsnęła głową, zaskoczona nagłą zmianą tematu. Czy Phoebe w ogóle słyszała jej wyznanie? Trudno powiedzieć, jak zwykle. Jej najmłodsza siostra czasem pozornie nie zwracała uwagi na jakieś słowa, a następnego dnia do nich nawiązywała.

Clio popatrzyła w tamtą stronę.

– To pole pana Kimballa.

Po drugiej stronie pola koniczyny grupa robotników układała płaskie kamienie, naprawiając murek graniczny. Jeden z nich był niemal dwakroć większy od pozostałych. Kiedy się odwrócił, rozpoznała jego profil, ale jej puls już wcześniej przyspieszył rytm.

Jej ciało samo go rozpoznało.

– Owszem, to lord Rafe – przytaknęła.

Zobaczył ich i uniósł rękę.

– Co on tam robi, do licha?

– Chyba naprawia mur – stwierdziła Clio.

Phoebe pociągnęła ją za rękę.

– Chodźmy do niego. Trzeba się z nim przywitać, bo do nas machał.

– Wcale nie machał.

– Właśnie, że tak.

– Podniósł tylko rękę. Wcale nią nie poruszał. To nie jest machanie.

W międzyczasie doszły do połowy granicznego murka i już nie było odwrotu. Gdy były blisko, Rafe nałożył szybko surdut i przeczesał włosy palcami.

To wystarczyło, by jego wygląd zaparł jej dech w piersi.

– Powinnam włożyć inną suknię – mruknęła Clio.

– Dlaczego? – spytała Phoebe.

– Nieważne.

To naprawdę było nieważne. Mogła sobie wyglądać jak chciała. To, co zaszło między nimi… i tak niczego nie zmieni.

Bo nie może.

Nie powinna ulegać jego urokowi, bo w pewnym sensie było to niemoralne. Na razie, dopóki Rafe nie podpisał tych papierów, była zaręczona z Piersem – na papierze, bo nie w sercu ani nie w myślach. Ale tak długo czekała, by poczuć choć cień tej radości. Kto mógł przypuszczać, że jeszcze kiedyś w życiu ją to spotka?

Rafe pożegnał się z robotnikami i ruszył w ich stronę. Spotkali się na środku pola, po kolana w koniczynie.

– Pomaga pan przy naprawie muru? – spytała Phoebe.

– Od paru godzin. – Spojrzał przez ramię. – Jest już prawie skończony.

– To miło z twojej strony – powiedziała Clio. – Pan Kimball pewnie cieszy się z takiej pomocy.

Skromnie wzruszył ramionami.

– Trenuję. Potrzebuję wysiłku fizycznego.

Och, aleź było mu z tym do twarzy. Skóra zbrązowiała mu od słońca, a zmęczenie otoczyło go złocistą aurą zdrowia i siły. Na chwilę zawróciło jej to w głowie.

– Idziemy do wsi – odezwała się Phoebe. – Muszę kupić sznurek.

– A ja nadać list – wydukała Clio.

– Przyłączę się do was, jeśli można.

Ruszyli razem do wsi. Clio nadała list. Phoebe kupiła sznurek. Rafe zrobił się głodny po porannym treningu, więc zaproponował, żeby zjedli coś w pubie.

Pub niczym się nie wyróżniał. Tuzin stołów, mały bar. Menu – składające się aż z dwóch dań – napisano kredą na tablicy. Mimo to był pełen ludzi, a kiedy weszli, wszyscy odwrócili się, żeby na nich spojrzeć.

Clio z uśmiechem skinęła głową, zauważywszy kilka znajomych twarzy Odwiedziła już domy dzierżawców i zapoznała się z miejscowymi kupcami.

Ale to nie jej obecność przyciągnęła uwagę ludzi, tylko Rafe'a. Jego reputacja wyprzedziła ich i rozeszła się po całej sali, robiąc na klientach nieliche wrażenie.

Idąc, słyszała ich szepty.

– To Rafe Brandon, co nie?

– Zaprzedany Diabłu. Słyszałem, że jest tu na wakacjach.

– Widziałem raz, jak boksuje, wiesz? W Brighton. Zrobił pokazowy mecz dla naszego regimentu, zanim wysłali nas na półwysep.

Rafe pewnie słyszał te szepty, ale nie zwracał na nie uwagi. Poprowadził Clio i Phoebe do ostatniego wolnego stolika, ulokowanego w kącie za grupką mężczyzn grających w karty. Kiedy podeszła kelnerka, zamówił pasterską zapiekankę dla dam, a dla siebie śniadanie oracza: ser, szynkę w plastrach i chleb z masłem.

Kiedy czekali na jedzenie, Phoebe wyciągnęła z kieszeni sznurek, odgryzła kawałek zębami, związała na końcach i zaczęła go przeplatać między palcami.

– Pracowałam nad czymś nowym, ale mi nie wychodzi. – Potrząsnęła niechętnie głową, potem zsunęła sznurek z palców i zaczęła od nowa. – Może gdyby przepleść sznurek przez tę pętlę… Jest. Lordzie Rafe, widzi pan ten

kawałek na środku? Proszę go naciągnąć.

Gdy spełnił jej prośbę, opuściła dłonie, pokazując wzór, który układał się w kształt zamku. Pętla, którą przytrzymał Rafe, stała się wysoką wieżą, a po bokach były jeszcze baszty.

– Och, wspaniale – pochwaliła ją Clio.

Rafe zagwizdał z podziwu.

– To twój najlepszy wzór.

– Bezużyteczny talent – odparła Phoebe, wyplątując palce. – Obawiam się, że podczas debiutu nie pozwolą mi wstać i robić figur ze sznurka.

– Jako gość obecny na paru debiutach, wolałbym raczej popatrzeć na twoje figury niż znosić kolejne smętne męki przy fortepianie.

Phoebe spojrzała na Clio.

– A ty co pokazałaś na swoim pierwszym balu?

– Grałam na fortepianie. – Clio uśmiechnęła się z przekąsem. – Raczej smętnie. Ale Rafe nie musiał tego znosić, bo nie przyszedł.

Zamiast odpowiedzieć, pociągnął łyk ale.

Może nie powinna mu tego przypominać, ale jego nieobecność ją zabolała. W dzieciństwie zawsze się z nią droczył, ale myślała, że są przyjaciółmi. A potem opuścił ją tej jednej jedynej nocy, kiedy najbardziej potrzebowała przyjaciela.

– Szkoda, że tych wzorów nie można jakoś utrwalić – powiedziała. – Żałuję, że nie da się ich powiesić na ścianie, żeby wszyscy je mogli oglądać.

– Tak jest lepiej – odpowiedział. – Na ścianie byłyby tylko kawałkiem sznurka. To Phoebe sprawia, że są takie wyjątkowe.

Jego pochwały nie zrobiły specjalnego wrażenia na Phoebe, ale Clio była zaskoczona. Trafiły w czułe miejsce jej serca i pulsowały tam jak ból zęba, tylko nieco niżej.

Było w nim tyle dobrego. Dlaczego upierał się przy tej reputacji wcielonego diabła? Pewnie ze względów zawodowych. Pseudonimy w rodzaju „Demon Przyjaciel Psów” albo „Opętany Sąsiedzką Życzliwością”

raczej nie przyciągnęłyby tłumów na walkę.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Phoebe zjadła pośpiesznie, potem wyjęła swój sznurek i odwróciła się, by obserwować grę w karty. Clio dziobała widelcem zapiekankę.

Rafe przysunął się bliżej do Clio, żeby mogli porozmawiać względnie prywatnie.

– Pan Kimball opowiadał mi o wizycie twojego agenta i o jego spotkaniu z farmerami. Podzielił się twoimi pomysłami na temat uprawy chmielu i browaru.

– I co?

– Nie jest przekonany. Podobnie jak ja.

– Czemu nie? Chmiel wymaga inwestycji na początku, ale farmerzy mieliby zapewniony rynek zbytu.

– Pod warunkiem, że będzie urodzaj. – Wsunął sobie do ust kawałek sera.

Clio nie chciała się gapić, ale fascynowała ją męska bezpośredniość, z jaką jadł. Nie zwracał szczególnej uwagi na etykietę. Ale nie robił też nic prostackiego na pokaz. Po prostu jadł.

Było to dziwnie pociągające. Jak pierwotny zew.

Może mu po prostu zazdrościła.

– Damy pracę bednarzom, kołodziejom i drwalom – powiedziała, elegancko skubiąc swoje jedzenie. – Sam browar zatrudni tuziny ludzi. To będzie dobre dla całej parafii. Plany są realne.

– Może i tak – powiedział, drapiąc się po podbródku, pokrytym jednodniowym zarostem. – Ale uruchomienie browaru wymaga poważnych inwestycji. A chmiel to delikatna uprawa. Możesz stracić cały swój posag, razem z zamkiem. I gdzie będą wtedy twoi farmerzy i bednarze?

– Wiem, że to ryzyko. Ale nie zamierzam inwestować w przemijającą modę. – Wskazała głową zatłoczony pub. – Anglicy nieprędko przestaną pić piwo.

– Ale ty nie jesteś Anglikiem. Jesteś niezamężną arystokratką bez

doświadczenia w rolnictwie ani handlu.

– Oczywiście, że brak mi doświadczenia. Gdzie je miałam zdobyć? W szkole? – Wbiła widelec w kawałek wołowiny. – To jest niesprawiedliwe. Kobietom nie pozwala się robić nawet jednej dziesiątej tego co mężczyznom, ale mimo to śledzi się nasze zachowanie z dziesięciokrotnie większą uwagą. Jeżeli popełnię błąd, to przynajmniej tym razem będzie inaczej. Wolę, żeby krytykowano mnie za błędy w zarządzaniu majątkiem niż za pomyłki przy pianinie. Pewnie na początku nie będzie łatwo, ale mam fundusze i determinację, by się udało. Pierwsza przyznam, że brak mi wiedzy. Ale chcę i umiem się uczyć.

Kiedy podniosła wzrok, Rafe'a nie było przy stole. Patrzyła, jak idzie do baru i wraca z trzema cynowymi kuflami pełnymi piwa.

– Ciemne ale – powiedział, podsuwając jej pierwszy. – Gorzkie. I porter.

– Wszystkie trzy? Musisz być strasznie spragniony.

– Są dla ciebie – oświadczył. – Mówiłaś, że chcesz i potrafisz się uczyć. Udowodnij to.

Aha. Chciał jej dać nauczkę. To było urocze. Śmieszne, niepotrzebne, ale jednak urocze.

Świadoma obecności widzów, zniżyła głos do szeptu.

– Dziękuję. Ale ja to już wiem. Nie myślałabym o otwieraniu browaru, nie wiedząc jakie są różnice między ciemnym ale, gorzkim ale i porterem.

– To zobaczmy, czy je rozpoznasz. – Postawił kufle na blacie i przemieszał je, jakby grał w trzy kubki. – Spróbuj i powiedz mi, które jest które.

– Mogę ci to powiedzieć bez próbowania. – Tu jest ciemne, tu porter, a tu gorzkie. – Wskazywała kufle ruchem głowy. – Ale nie będę nic tu dziś pić.

Niemal słyszała, jak duch mamy pada zemdlony na podłogę na samą wzmiankę o piwie. Dobrze wychowane damy mogły pić lemoniadę albo wywar z jęczmienia. Od czasu do czasu kroplę nalewki albo kieliszek klarnetu. Ewentualnie małe piwo, w domu. W żadnym wypadku ale. A już na pewno nie porter. I nie publicznie.

– To znaczy, że chcesz robić piwo, ale nie chcesz, żeby widziano, jak je pijesz. To nie ma sensu.

– Wręcz przeciwnie, ma duży sens w tym bezsensowym świecie.

Był mężczyzną, więc nie miał pojęcia, o co chodzi. Damy miały za zadanie wytwarzać mnóstwo różnych rzeczy – na przykład piękne dekoracje, kolacje i dzieci. Ale powinny to robić bez wysiłku. Jakby czar kobiecości wywoływał je z kosmosu. Hańba kobiecie, która na oczach wszystkich wyrywałaby sobie włosy z podbródka albo przyjmowała gości, mając ręce unurzane w mące. Albo co gorsza, przyznała się że odczuwa pożądanie.

– To nie jest odpowiednie miejsce – powiedziała tylko.

– To jest pub, który z definicji jest miejscem, gdzie się pije piwo. – Podsunął jej kufel brązowego ale.

Duma pokonała poczucie przyzwoitości. Rozejrzawszy się ostrożnie, pociągnęła łyk z każdego kufla po kolei.

– Proszę bardzo. Spróbowałam.

– No i co? – spytał.

– No i… całkiem niezłe.

– Błąd – powiedział. – Dwa są niezłe. Jedno to pomyje. Jak możesz namawiać farmerów, żeby zaryzykowali zbiory dla twojego nieistniejącego jeszcze browaru, jeśli nie potrafisz odróżnić dobrego ale od byle czego?

Westchnęła. Wyraźnie nie było innego wyjścia.

– Ciemne jest całkiem dobre. Świeżo warzone z miejscowej wody. Słodkie, orzechowe. Z miodową nutą. Ktoś wyraźnie zasiał koniczynę obok jęczmienia. Porter jest przyzwoity. Kawowy aromat byłby mocniejszy, gdyby użyli ciemnego słodu, nie tylko palonego cukru, żeby mu nadać barwę. Ale ostatnio wszyscy dają jasny. Natomiast gorzkie… – Pociągnęła łyk i przechyliła głowę. – Nie nazwałabym go pomyjami. Miało potencjał, ale drożdże nie zapracowały, jak powinny. To, co mogłoby być jasnym niebem i łąką aż po horyzont, zostało… przysłonięte mgłą. Szkoda. Zmarnowano dobry kentyjski chmiel.

Podniosła wzrok i zorientowała się, że się w nią wpatruje ze zdumieniem.

– Skąd ci się to wszystko wzięło? – zapytał. Ale w jego oczach było nieco inne pytanie. – Skąd ty się wzięłaś? – chciały wiedzieć.

Och, Rafe. Cały czas tu byłam.

Czekałam.

– Każda dziewczyna musi mieć jakieś hobby. – Poczuła przypływ odwagi. Pewnie przez to ale. Albo przez wyraz jego twarzy.

Przyglądał jej się tymi swoimi wymownymi zielonymi oczyma. Choć był niesamowicie atrakcyjny i patrzył z tak bliska, nakazała sobie nie robić niczego głupiego ani kobiecego. Na przykład żeby nie dotknąć swoich włosów. Ani nie oblizać warg. Ani nie przypominać sobie, jak się czuła, kiedy jego dygocąca z podniecenia męskość napierała na jej delikatnie ciało.

Oczywiście zrobiła wszystkie te trzy rzeczy naraz.

Zła na siebie, spuściła wzrok.

– Długo zamierzasz się na mnie tak patrzeć?

– Owszem.

– Czemu?

– Bo założyłem się sam ze sobą. Czy uda mi się wywołać na twojej twarzy dziesięć odcieni rumieńca.

No cóż… w tym momencie najprawdopodobniej doliczył kolejny. Coś pomiędzy szkarłatem a rakiem.

– Każdy mężczyzna musi mieć jakieś hobby – dodał, uśmiechając się zabójczo, odsunął krzesło i wstał. – Pójdę zapłacić.

Phoebe przysunęła się do sąsiedniego stołu, gdzie jacyś ludzie grali w karty.

– Niech pan nie czeka na króla – powiedziała do najbliższego gracza, zaglądając mu w karty przez ramię.

– Phoebe – szepnęła ostro Clio. – Nie przerywaj. To niegrzecznie.

– Ale on musi to wiedzieć. – Postukała mężczyznę w ramię. – Niech pan nie czeka na króla karo. Nie ma go w talii.

– Co takiego? – Spojrzał na nią przez ramię.

– Obserwuję was od ponad czternastu rozdań. Każda inna karta w talii pojawiła się u pana co najmniej raz. Na każdą talię odkrywa się średnio dwadzieścia jeden kart więc szanse, że król karo pozostanie nieodkryty, są jak… – przerwała na chwilę. – Jedna na milion i trzysta tysięcy.

Mężczyzna ryknął śmiechem.

– Takich dużych liczb w ogóle nie ma.

– Co ona wyprawia? – zirytował się gracz po przeciwnej stronie stołu. – To jakaś wariatka?

– Jest mądrzejsza od ciebie. – Rozdający odwrócił pozostałą na stole talię i przejrzał ją dokładnie. – Ma rację. Nie ma króla karo. Jeśli nie ma go w talii, to gdzie?

Phoebe wzruszyła ramionami.

– Spytałabym tego pana, co nic nie mówi.

Potężnie zbudowany rudy gracz z drugiej strony stołu skrzywił się znacząco.

– Trzymaj się z dala od męskich spraw, mała.

Clio próbowała odwrócić uwagę swojej siostry, ale bez skutku. Kiedy Phoebe uczepiła się jakiegoś faktu, nie sposób było jej oderwać – jak psa od kości.

– Jest tam. – Wskazała głową rudzielca. – W lewym rękawie. Widziałam brzeg karty.

Mężczyzna wstał od stołu, górując nad nimi.

– Uważasz, że jestem oszustem, dziewko? Bo jeśli tak, to mi za to odpowiesz.

Złapał wielkimi łapami stół i przewrócił go. Karty, kufle i inne drobiazgi poleciały na ziemię.

Clio złapała siostrę w ramiona. Phoebe zesztywniała od dotyku, ale to było mało ważne. Musiała zasłonić siostrzyczkę przed tym brutalem.

– Ty kłamczucho, ty wiedźmo jedna – warczał tamten. – Ja ci tu zaraz…

Do akcji wkroczył Rafe, stając z nim twarzą w twarz. W jego cichym, opanowanym głosie brzmiała groźba.

– Ty się zaraz uspokoisz. I tyle. Bo jeśli dotkniesz którąś z tych dam albo powiesz do nich choć słowo, to przysięgam na wszystkie świętości, że cię zabiję.

11

Oczywiście, że mógłby go zabić. Mógłby zmasakrować tego śmierdzącego łajdaka bez trudu. Jedną ręką.

Co oznaczało, że musiał bardzo uważać.

– Wiesz, kim są te damy? – powiedział, częściowo do tego drania, a częściowo, żeby się trochę opanować. – To siostrzenice hrabiego Lynforth. Panna Whitmore ma tu posiadłość i wkrótce wyjdzie za mojego brata, lorda Granville.

Rafe w dalszym ciągu trzymał w prawej ręce kufel piwa. Lewą postukał napastnika w pierś. Parę razy.

– Nie dotykaj ich. – Ruszył do przodu, odpychając go na środek izby. – Nie odzywaj się do nich. I nie patrz na nie. – Pchnął go na drewnianą, otynkowaną ścianę. – Nawet nie oddychaj w ich stronę. W zamian za to pozwolę ci wyjść z tą samą liczbą zębów, z którą tu wszedłeś. Przyszły mąż pani Whitmore jest dyplomatą, ale akurat go tu nie ma. Jestem tylko ja. A ja nie jestem sympatyczny.

W młodości ciągle kipiał w nim gniew. Drobniejsze obelgi niż ta doprowadzały go do wybuchu. Dziesięć lat temu najpierw by się bił, a potem myślał, zostawiając plamy krwi na ścianach zamiast przeprosin.

Teraz był już starszy. I nieco mądrzejszy. Przynajmniej taką miał nadzieję. Ale w konfrontacji z takim łajdakiem? Wcale nie mniej gniewny.

Od lat nie był tak blisko utraty opanowania.

Spokojnie, Rafe.

Oszust roześmiał się tylko.

– Och, znam cię, Brandon. Kiedyś byłeś niezły. Ale te czasy już minęły, co nie?

– Nie do końca. Niedługo znów odzyskam tytuł.

– Naprawdę? To zobaczmy, co z ciebie za mistrz. – Mężczyzna poruszył szyją, aż trzasnęła, i zacisnął pięści. – Ja też się parę razy w życiu biłem. Spróbujmy się.

Rafe przewrócił oczami. Niech to szlag.

Można było się spodziewać, że ten rudy debil nie położy uszu po sobie i nie pójdzie śmierdzieć gdzie indziej. Niestety był już na tyle pijany, żeby się stawiać.

– Z zasady nie biję się z amatorami.

– To znaczy, że plotki są prawdą – zadrwił pijak. – Jesteś skończony. Zacząłeś się bać.

– Powiedziałem, że z zasady nie biję się z amatorami. Ale od każdej zasady są wyjątki.

Ktoś z grupki widzów, która zebrała się za nimi, wykrzyknął:

– Będą się bić, chłopaki!

– Nie będzie żadnej bójki. Nie trzeba – usłyszał głos Clio za plecami.

Nawet na moment nie odwrócił oczu od karcianego oszusta, ale ją usłyszał. Tylko nie mógł jej uspokoić, że panuje nad sytuacją. Doskonale wiedział, jakie byłyby konsekwencje – dla niej i dla niego.

– Wszystko przez to, że przerwałyśmy panom grę – powiedziała odważnie Clio. – Jesteśmy wam za to winne przeprosiny. Prawda, Phoebe?

– Nie widzę powodu do przeprosin – odparła Phoebe. – On oszukiwał. Powiedziałam prawdę.

– Nie jesteście nic im winne, do cholery – warknął Rafe, złapał pijaka za koszulę, skręcił ją w pięści i podniósł go do góry, aż tamten stanął na palcach.

– Zaraz mu pokażę, co go czeka.

Twarz jego przeciwnika zbladła całkiem zadowalająco.

Podniecenie wokół nich osiągnęło nowy poziom. Goście zaczęli odsuwać stoły i ławy pod ściany. Przyjmowano zakłady. A ten śmierdzący szmaciarz, który dusił się w jego uścisku… doskonale słyszał, że mało kto obstawia jego zwycięstwo.

Za to Rafe zrobił się głodny. I mało go obchodziło, kto się temu przygląda. Ciężko zapracował na reputację brutala, ale teraz mógł z niej korzystać do woli.

Poczuł czyjś miękki dotyk na ramieniu. Clio szepnęła łamiącym się głosem:

– Rafe, proszę cię. Nie rób tego.

– Och, oczywiście że zrobię. Muszę mieć jakąś frajdę. Tylko odstawię piwo.

Z tymi słowy wbił kufel w otynkowaną ścianę oberży, zaledwie kilka cali od pobladłej, paskudnej gęby tego typa. Piwo chlapnęło na podłogę.

Kiedy cofnął rękę, kufel został w ścianie. Jakby Rafe zrobił sobie w niej własną półeczkę na drinka.

– Dalej chcesz się bić? – zapytał.

Napastnik spojrzał ukosem na kufel wbity w ścianę, bez wątpienia wyobrażając sobie, że za chwilę obok będą jego zęby.

– Ja… tego…

– Zmieniłeś zdanie. – Rafe puścił go, a tamten opadł na podłogę i legł na niej bez ruchu. Rzeczywiście jak szmata.

Zanim widzowie zdążyli dojść do siebie, Rafe objął Clio i Phoebe opiekuńczym ramieniem.

– Przykro mi, że was rozczarowałem – powiedział do widzów. – Dziś walki nie będzie.

A potem szepnął do Clio:

– Zjeżdżajmy stąd. I to już.

Nie musiał jej o to prosić dwa razy.

Z wielką chęcią opuściła to miejsce.

Przeszli we trójkę przez wieś bez słowa, nie zatrzymując się nigdzie, aż dotarli do wiejskiej ścieżki.

Kiedy byli już blisko przełazu, Rafe zatrzymał się, odwrócił i ogarnął je zatroskanym spojrzeniem.

– Nic wam nie jest? Nic się nie stało?

Clio potrząsnęła głową.

– Nic a nic. Tylko się trochę zdenerwowałyśmy.

– To była moja wina, prawda? – Phoebe zmarszczyła delikatne, ciemne brwi. – Rozgniewałam go.

– Nie – uspokoiła ją Clio. – To był pijak i oszust, ty nie zrobiłaś nic złego.

– Właśnie, że zrobiłam. – Szarpnęła się za włosy. – Zawsze coś złego zrobię albo powiem. Wiem, że jestem dziwna.

– Phoebe, kochanie. Nie jesteś dziwna, tylko wyjątkowa.

– Po co wprowadzasz to rozróżnienie, jeżeli to jedno i to samo?

Clio przysunęła się, by pocieszająco poklepać ją po ramieniu.

Phoebe odepchnęła jej rękę.

– Jeśli się boisz, że się rozpłaczę albo wpadnę w histerię, to przestań. Nigdy tego nie robię. Dlatego jestem dziwna. Albo również dlatego. Może ci się zdaje, że nie zauważyłam, jak bardzo różni się moje zachowanie od innych? Mój sposób myślenia też. To, co się liczy dla mnie, jest kompletnie nieważne dla otoczenia. Z drugiej strony, są takie rzeczy, którzy wszyscy cenią, a ja nie mam pojęcia, o co chodzi. Daphne śmieje się ze mnie. Clio, ty jesteś na to zbyt miła, ale wiem, że cię to martwi. Słyszałam, jak o mnie rozmawiałyście.

– Kochamy cię obie – odpowiedziała Clio.

– Tego też nie rozumiem. – Phoebe niezgrabnie przeszła przez przełaz i ruszyła przed siebie.

Clio chciała za nią pobiec, ale Rafe ją powstrzymał.

– Niech idzie – powiedział. – Zna drogę do domu.

– Ale jest zraniona i smutna. Nie mogę tego znieść.

– Nie masz wyboru. Bo ona ma rację. Nie jest taka jak inne dziewczynki. – Dotknął jej ramienia, żeby uciszyć jej protesty. – Może nie jestem genialnym arytmetykiem jak ona, ale sporo wiem o kłopotach szesnastolatków. Zaufaj mi. Od czasu do czasu powinna mieć dużo przestrzeni, żeby uporządkować myśli. Niech idzie, nic się nie stanie. Tylko zawsze zapewnij jej miejsce, do którego będzie mogła wrócić.

Pewnie miał rację, ale to wcale nie ułatwiało sprawy.

Żeby zmienić temat, przechyliła głowę i spojrzała na jego dłoń. Skrzywiła się, przestraszona.

– Krwawisz. Pewnie obtarłeś palce o tynk.

– To nic takiego.

– Pozwól mi się tym zająć. – Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i podniosła jego dłoń do słońca, żeby się bliżej przyjrzeć skaleczeniom. – Jeśli mam dać spokój Phoebe, muszę się zatroszczyć o kogoś innego.

Poddał się, oparł o przełaz i patrzył, jak wyciera jego rękę tą chusteczką.

Wolną ręką sięgnął do kieszeni.

– Weź to. Dobrze robi na ból. – Podał jej okrągłe blaszane pudełko, mniejsze od tabakiery. – Bruiser daje za to głowę.

– Bruiser – powtórzyła, wzięła krążek i powiodła kciukiem po jego obwodzie. – To znaczy, że w rzeczywistości jest twoim trenerem. Tak przypuszczałam. Skąd ty go wytrzasnąłeś?

– Nie pamiętam. To było strasznie dawno temu. Poza tym zaliczyłem wtedy parę solidnych ciosów w głowę.

Uśmiechnęła się.

– Jak chcesz, każę mu, żeby przestał odgrywać Montague’a. Uwierz mi, to nie był mój pomysł.

– Nie przejmuj się tym. Bawi mnie, kiedy Daphne skacze koło niego. A on się tu świetnie czuje. Cieszę się, że przynajmniej jeden z moich gości docenia

ten zamek.

Otworzyła kciukiem pudełko z balsamem. Ogarnęła ją fala mocnego, korzennego aromatu. Natychmiast go rozpoznała.

Olejek golteriowy.

Zatrzymała się na moment, żeby uporać się z wpływem, jaki wywierał na nią ten zapach.

Rozpostarł palce.

– Jeśli chcesz przepowiedzieć mi przyszłość, patrzysz na złą stronę dłoni.

Otrząsnęła się pośpiesznie, żeby rozwiać urok. Nabrała odrobinę balsamu na środkowy palec i wtarła go w podrapane kostki palców.

Nie, nie próbowała wróżyć mu z ręki. Ale ten moment dał jej bolesny wgląd w jej własną przyszłość.

Wierzyła, że czasem można naprawdę zobaczyć przyszłość. Nie trzeba robić na dłoni krzyża srebrem ani zaglądać w szklaną kulę. Wystarczy mieć dość odwagi, by zajrzeć w swoje serce. A potem dość szczerości, by nie ukrywać przed sobą tego, co tam było widać.

Dziś zobaczyła coś takiego: Przez resztę życia, nawet jeśli dożyje stu lat, zapach golterii zawsze będzie przywodził jej na myśl Rafe’a Brandona. Ciepło jego surduta, ten szatański uśmieszek i słodycz jego pocałunków w deszczu.

Pogładziła palcem otarcie. Tak delikatnie, jakby jego ręka była puszystym kaczątkiem, a nie narzędziem do zadawania przemocy.

– On ci nigdy nie zapewnił takiego miejsca, prawda? Mam na myśli markiza. Kiedy byłeś trudnym nastolatkiem i potrzebowałeś odejść, żeby uporządkować w sobie różne rzeczy… Był zbyt uparty, żeby powitać cię z powrotem w domu.

– Trudno go winić. – Wzruszył ramionami. – Ja nie byłem taki jak Phoebe. Byłem dzieckiem z piekła rodem. Nieznośnym do obrzydzenia.

– Dziś popisałeś się opanowaniem. – Pogładziła jego dłoń. – Dzięki za ratunek.

– Wiem, że nie lubisz nieprzyjemnych scen.
– Czasem muszą się zdarzyć.
Szczerze mówiąc, doskonale poradził sobie z tą sytuacją. Ukarał oszusta, obronił Clio i Phoebe… A do tego dał widzom to, czego pragnęli. Popis siły i posmak niebezpieczeństwa. I historię, którą będą mogli wszystkim powtarzać i upiększać przez długie miesiące. Wszystko to bez rozlewu krwi i uszczerbku dla swojej bojowej reputacji.
– Jutro tam pójdę, żeby załagodzić sprawę – powiedział. – I zapłacę oberżyście za szkodę.
Zaśmiała się cicho.
– Za ten tynk? Za żadne skarby nie naprawią tej dziury. Pewnie oprawią ten kufel w ramkę i będą ją wszystkim z dumą pokazywać, chwaląc się: Tu pił Rafe Brandon.
Mówiąc te słowa, nagle wpadła na pewien pomysł. Jej umysł zaczął pracować szybciej od młyńskiego koła.
– To jest to – stwierdziła, zamykając z trzaskiem pudełko. – Tego mi potrzeba, żeby browar odniósł sukces. Wspólnika w interesach.
– Wspólnika?
– Tak jest. Kogoś, kto ma dobry kontakt z farmerami i kupcami. Czyje nazwisko jest znane we wszystkich pubach i tawernach w całej Anglii. – Ogarniało ją coraz większe podniecenie. Spojrzała mu prosto w oczy. – Nie znasz przypadkiem kogoś takiego?
Zacisnął szczęki, jakby były ze stali.
– Nie znam.
– Słuchaj, Rafe. To byłby idealny układ. Moglibyśmy nazwać to piwo „Ale Zaprzedane Diabłu”. Dla reklamy jeździłbyś po całej Anglii, wbijając kufle w ściany pubów. Dałabym ci udział w zyskach.
– Chcesz mnie zatrudnić?
Wzruszyła ramionami.
– Czemu nie? I tak kiedyś będziesz musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie.

– Mam już zajęcie. Jestem bokserem.

– Ale…

– Nic z tego nie wyjdzie, Clio. – Przerwał jej sprzeciwy, przenosząc ją przez przełaz. Potem przeskoczył przez drewniany płot i ruszył przed siebie.

Koniec dyskusji.

Clio szła o krok za nim, wzdychając pod nosem. Jak pomysł założenia browaru mógł wygrać z chwałą zawodowego boksera? Czy cokolwiek mogło z nią wygrać?

Sama musiała przyznać, że perspektywa bójki była dość podniecająca. Kiedy myślała, że Rafe przygotowuje się do pojedynku z tym oszustem, krew zastygła jej w żyłach. Nie tylko dlatego, że był mistrzem, ale dlatego, że bronił jej sprawy.

Ale to nieznane, podniecające uczucie było niczym – kompletnie niczym – w porównaniu z ulgą, jaką ją ogarnęła, gdy zamiast tego wbił pięść w ścianę.

Śledziła ten sport od lat i dobrze wiedziała, jak kończyła większość zawodników. W zapomnieniu. W biedzie. Czasem w więzieniu. Cierpiąc na ciele i umyśle.

Umarłaby, gdyby Rafe podzielił ich los.

Byli w zasadzie na osobności, poczuła więc przypływ odwagi. Piwo też pewnie się do tego przyczyniło. Podbiegła do niego.

– Zdaje mi się, że skłamałeś, kiedy rozmawialiśmy w tym twoim portowym magazynie w Southwark.

– Jak to?

– Powiedziałeś mi, że nie planujesz samobójstwa. Wiem, że nie zamierzałeś się powiesić, ale powrót do walk? Czy to przypadkiem nie jest powolna droga do tego samego kresu?

Pokręcił głową.

– Wcale nie.

– Czytam sprawozdania z twoich walk, Rafe. Wcale nie dlatego, że zwyczajowo przeglądam gazety i akurat trafiam na artykuł o tobie. Szukałam

ich specjalnie. Czytałam o tym, jak walczyłeś z Dubose’em przez trzydzieści cztery rundy. Opisywano to w szczegółach, które zapierały mi dech w piersi. Wiem o każdym uderzeniu i sińcu.

– Reporterzy przesadzają. To nie jest aż tak niebezpieczne. A oni muszą dbać o nakład. I wzbudzać zainteresowanie kolejnymi walkami.

Wcale jej tym nie uspokoił.

– Nie znoszę sposobu, w jaki o tobie mówią. Nawet dzisiaj, w tym pubie, kiedy od razu zrobili miejsce na środku i zaczęli się zakładać. Jakbyś nie był człowiekiem, tylko jakimś stworzeniem, które ma krwawić i cierpieć dla ich zabawy, jak bojowy kogut albo szczuty niedźwiedź. Nie drażni cię to?

– Nie. Bo ja nie walczę dla nich. Walczę dla siebie.

– Dlaczego, na litość boską?

– Bo jestem w tym dobry – powiedział, nakręcając się coraz bardziej. – Cholernie dobry. W niczym innym nie byłem dobry. Bo to jest jedyne miejsce, gdzie wiem, że samodzielnie wywalczę sukces albo poniosę klęskę. Na ringu mogę stanąć naprzeciwko irlandzkiego portowego robotnika, garbarza z Anglii albo amerykańskiego wyzwoleńca. Kiedy zabrzmi gong, nic nie będzie się liczyć. Tylko ja sam. Moja siła, serce, rozum i pięści. Nic, co dostałem w prezencie, nic, co sobie wziąłem. Walczę, bo dzięki temu wiem, kim jestem.

– Jeśli chcesz, żeby ktoś ci powiedział, kim jesteś, to chętnie to zrobię.

Wzruszył ramionami.

– Mówię serio.

Jednym skokiem znalazła się przy nim i położyła mu dłoń na piersi, żeby go zatrzymać.

Czuła, jak bije mu serce. Z każdym uderzeniem w jej żyłach budziło się coraz większe podniecenie.

– Zacznę od tego, że jesteś uparty, impulsywny i dumny. Ale też szczodry, opiekuńczy i namiętny. Na użytek publiki jeździsz konno jak sam diabeł i wypełniasz sobą zamszowe bryczesy jak uosobienie grzechu, ale prywatnie

zachowujesz się jak mnich. Jesteś dobry dla brzydkich psów i masz cierpliwość do sióstr, które są nieco inne niż wszyscy. Twoje pocałunki są słodkie. A twoje życie ma sens. – Z trudem opanowywała emocje, które pulsowały w jej gardle. – Powiem ci, kim jesteś, Rafe. Zawsze kiedy będziesz miał jakieś wątpliwości. I to bez rozlewu krwi.

Zapatrzył się w horyzont.

– Na zewnątrz, owszem. Ale są we mnie takie miejsca, które stłukłaś na kwaśne jabłko.

– I dobrze.

Wet za wet. On też poszarpał jej serce na strzępy.

– Chodźmy już. Czekają na nas – powiedział. – Dziś po południu będziesz miała przymiarkę ślubnych sukni.

Dalej zamierzał ją w to wrabiać?

– Szkoda, że wypiłam tak mało tego piwa.

– Wycofujesz się?

– Skądże znowu. – Pogładziła front sukni. – Nie dam ci żadnego pretekstu do zerwania naszej umowy. Dziś włożę na siebie parę falbaniastych sukienek. A jutro ty spuścisz mnie ze smyczy.

– Po raz ostatni powtarzam. Nie jesteś psem.

– Hau, hau – mruknęła pod nosem.

12

Wyjdź do nas wreszcie – zawołała Daphne. – Nie możemy się już doczekać.

Rafe też się niecierpliwił. On, Daphne, Teddy, Phoebe, Bruiser i Ellingworth siedzieli razem w salonie i czekali.

Clio była z krawcowymi w sąsiednim pokoju. Ubierała się.

W każdym razie taki był pomysł. Mieli zostać ufetowani widokiem trzech lub czterech sukni, żeby pomóc Clio wybrać najpiękniejszą.

Tyle że minęło już pół godziny, a ona nie pojawiła się ani razu. Czyżby coś poszło nie tak?

Przebierał palcami po oparciu fotela. Potem zaczął podrzucać nogą. Siedzenie bez ruchu było dla niego torturą. Zawsze tak było. Nie wiedział, jakim cudem dżentelmeni tacy jak Cambourne potrafią spędzać w ten sposób całe dni, miesiące i lata.

Wpatrywał się w dębowe drzwi z takim natężeniem, że mógłby w nich wyborować dziurę.

Wyjdź wreszcie, do cholery.

W końcu nie mógł już dłużej czekać. Przeprosił wszystkich i ruszył na korytarz, gdzie zaczął nerwowo spacerować po kosztownym francuskim dywanie z Savonnerie. Tam i z powrotem, jak zwierzę w klatce.

To się musiało udać. Przymiarka sukni była najlepszym sposobem, by utrzymać te zaręczyny. A raczej ostatnią szansą.

Nawet źle wychowany prostak taki jak Rafe wiedział, że suknia jest najważniejszym elementem całej uroczystości. Miał tylko nadzieję, że jego

trener dobrze ocenił jakość materiałów i kunszt krawcowych. Te suknie powinny być z jedwabiu i koronek takiej urody, by Clio nie miała ochoty ich w ogóle zdejmować, kiedy tylko ujrzy się w lustrze.

Wtedy już na pewno będzie musiała wziąć ślub.

Albo to, albo zostanie stukniętą starą panną, snującą się po swoim zamku w ślubnej sukni, która z czasem zacznie rozpadać się ze starości. Raczej by to do niej nie pasowało, ale nie zamierzał wspominać o takiej ewentualności, na wszelki wypadek.

Łubudu.

Zatrzymał się na ten dźwięk.

Dziwne. Może to służba przesuwa jakieś meble.

Może to miejsce było nawiedzone. Każdy szanujący się zamek powinien mieć przynajmniej jednego ducha.

Hałas się powtórzył.

Łup.

Potem zabrzmiał stłumiony okrzyk bólu.

Oba te dźwięki dochodziły zza podwójnych drzwi. O ile się nie mylił, tę salę przerobiono na gotowalnię Clio.

W sekundę znalazł się przy nich.

– Panno Whitmore? – Załomotał pięścią w deski. – Clio. Dobrze się czujesz?

Po nieskończenie długiej chwili drzwi uchyliły się odrobinę. W szparze dostrzegł kawałeczek twarzy Clio. Jedno niebieskie oko i różowe usta.

– Mogę ci w czymś pomóc, Rafe?

– Jak najbardziej, do ciężkiej cholery. Możesz mi powiedzieć, co tu się, do diabła, dzieje? Dlaczego tak długo cię nie ma i co to był za hałas? Czy ktoś przestawia meble?

– Nie, ja… – Słyszał, że z trudem oddycha i nie wie, co ma odpowiedzieć.

To znaczy, że to ona krzyczała. Miała zaczerwieniony policzek, a jej oczy – to znaczy to jedno, które widział – błyszczało od łez. Niech to szlag.

Zniżył głos.
– Powiedz mi, co się dzieje. I to już.
– Nic takiego, słowo honoru.
– To otwórz drzwi, żebym sam się przekonał.
– Rafe, nic mi nie jest. Nie przejmuj się mną, proszę.
– Właśnie się tobą przejąłem. Przepadłaś bez wieści. Potem krzyczałaś. Masz zaczerwienioną twarz. Ledwo możesz mówić. Do tego słyszałem jakiś hurgot…
– Hurgot?
– Może to był łomot.
Wargi jej zadrgały.
– Łomot.
– Powiedzmy, hałas. – Zacisnął dłoń w pięść. – Słyszałem hałasy. Ty jesteś wyraźnie wzburzona. Coś się tu dzieje. Albo otworzysz drzwi, albo je wyważę.
Niebieskie oko rozszerzyło się z wrażenia.
– Naprawdę wyważyłbyś te drzwi?
– Widziałaś mnie dziś w oberży. Gdybym uznał, że coś ci grozi, przebiłbym się przez ścianę.
Oko zamrugało.
Chyba go już na tyle poznała. Lubił sobie pożartować jak każdy mężczyzna, ale kiedy krew zaczynała w nim buzować, nie zawracał sobie głowy słowami. Był człowiekiem czynu.
– Dobrze już, dobrze. Skoro nalegasz.
Odsunęła się i otworzyła drzwi.
– Widzisz?
Owszem, zobaczył.
O wiele więcej niż powinien.
Była ubrana w suknię z delikatnej koronki w kolorze kości słoniowej. Tylko że koronka opinała ją tak, że niczego nie ukrywała. Jej piersi

wypływały ze stanika jak bliźniacze arbuzy a…

A jego spojrzenie na dobre utkwiło w mrocznej, tajemniczej dolinie pomiędzy nimi. Jak dla niego, cała ta suknia mogła sobie być z koronek, tweedu albo purpurowego aksamitu. Albo stanąć w płomieniach. Mało by go to obeszło.

– Ja… To … – zabrakło mu słów. W każdym razie takich, które mógłby wypowiedzieć na głos.

– To miał być jakiś żart? – zapytała. – Czy tak według ciebie powinna wyglądać suknia ślubna?

– Raczej nie. W ogóle nie.

Kompletnie się nie nadawała, by stanąć w niej przed ołtarzem. Za to w noc poślubną…

Niech to jasna cholera. Nie wolno mu o tym myśleć. Nad spojrzeniami też powinien lepiej panować.

Patrz w oczy, Rafe.

Czyli wyżej.

– A ja tu się martwiłam, że zechcesz mnie oszołomić elegancją i zbytkiem – powiedziała.

– Nie jest… zła.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Wyglądam, jakby mnie ktoś obsadził w roli anioła w pastorałce odgrywanej w burdelu.

Mimo woli wybuchnął śmiechem.

– Ktoś musi przyciągać do kościoła nas, grzeszników.

– Nie mogę się nawet ruszać. – Na dowód zrobiła kilka niepewnych kroków po korytarzu, kołysząc się jak zreumatyzowana kaczka.

– Słyszałeś ten łomot, bo się w niej przewróciłam.

– Dwa razy?

– Owszem, dwa razy – skrzywiła się. – Dzięki, że wcierasz sól w moje rany.

– W takim razie przymierz inną suknię.

– Przymierzyłam wszystkie. I wszystkie były za małe.

– Myślałem, że Bruiser zamówił je specjalnie dla ciebie, podając wymiary.

– Nie podawałam mu żadnych wymiarów. Przecież Anna na pewno… – Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Potem jakaś myśl je wygładziła.

– Daphne. Oczywiście. To numer dokładnie w jej stylu.

– Dlaczego miałaby robić ci jakieś numery? Wydawało mi się, że jest niezwykle podniecona planowaniem twojego ślubu.

– Bo jest. Tylko że w ten sposób chciała mi przypomnieć, że…

– Że co?

– Nieważne.

– Ważne. Widzę przecież, jakie to ważne.

W jej oczach błysnął smutek. Rafę miał ochotę coś rozwalić. A potem zrobić z tego barykadę wokół niej.

– Tu jesteście. – W korytarzu pojawiła się Daphne. – Och, Clio. Cudownie wyglądasz.

– Wyglądam śmiesznie – wysyczała Clio przez zaciśnięte zęby. – Podałaś panu Montague błędne wymiary.

– Skądże znowu. Podałam mu prawidłowe wymiary.

– Ale suknia na nią nie pasuje – włączył się Rafe.

– Będzie pasować. – Daphne poklepała siostrę po policzku. – Sam pan zobaczy. Przyjdzie przedślubne zdenerwowanie, będzie dużo pracy i kiedy nadejdzie ślub, suknia okaże się w sam raz. A jeśli to nie wystarczy? Przyjechałam tu, by służyć pomocą. Przypomnimy sobie zabawę naszej mamy.

Zabawę mamy? Co tu się dzieje, do cholery?

– Ja… – powiedziała Clio łamiącym się głosem. – Przepraszam… Ja muszę na chwilę pójść na górę.

– Ale przymierzyłaś tylko jedną suknię – napomniała ją Daphne.

– Na dziś zupełnie wystarczy. – Clio odwróciła się i powoli ruszyła

korytarzem w stronę hallu.

– Nie gniewasz, się prawda? – zawołała za nią Daphne. – Chciałam ci pomóc, wiesz przecież.

Spojrzała na Rafe'a, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niego.

– Jeszcze mi za to podziękuje. Sam pan wie, że od czasu do czasu każdy potrzebuje trochę motywacji.

Motywacji.

Rafe też poczuł się zmotywowany. Tylko nie wiedział, do czego. Ale motywacja, którą odczuwał, była przemożna. Ledwie się hamował. Krew huczała mu w uszach.

I nagle sama Clio wyznaczyła mu cel działania, bo od strony hallu doleciało go kolejne „łubudu".

Niech szlag trafi tę cholerną suknię.

W ciągu minionych ośmiu lat Clio zaznała bardzo dużo poniżenia. Po ucieczce Daphne uśmiech nie schodził jej z twarzy, choć wiedziała, że za plecami wszyscy szeptem zastanawiają się, kiedy przyjdzie na nią kolej. Potem plotkarski brukowiec nazwał ją Panną Niedoczekalską. To było okropne, ale najgorzej się poczuła w dniu, kiedy zobaczyła się na liście zakładów bukmacherskich u White'a. To znaczyło, że dziesiątki najbardziej wpływowych angielskich dżentelmenów zrobiło sobie sport, zakładając się, czy jej wesele w ogóle się odbędzie i kiedy to się stanie.

Ale to? To było najgorsze ze wszystkiego.

Nigdy w życiu nie czuła się tak poniżona. Zawstydzona przez własną siostrę, rozpaczliwie próbując uciec, skrępowana przez tę diaboliczną suknię, telepiąc się jak kaczka po korytarzu.

Naturalnie, do chwili gdy znowu się nie potknęła o jej skraj.

Wtedy przewróciła się trzeci raz.

Zamrugała, czując na policzku gorące łzy. Przecież już nie może być gorzej…

– Nie wstawaj. Jestem przy tobie.

To Rafe.

Tak. Jednak mogło być gorzej. Najbardziej atrakcyjny, pociągający wśród jej znajomych, jedyny mężczyzna, który patrzył na nią z pożądaniem w oczach, był świadkiem tego wszystkiego.

Teraz jej poniżenie osiągnęło pełnię.

Ukląkł przy niej.

– Nic ci się nie stało?

– Tylko moja duma ucierpiała. – Spróbowała wstać.

– Więc dlatego wczoraj nie chciałaś tknąć tych tortów. – Ujął ją pod ramię i pomógł utrzymać równowagę. – Nie martwisz się chyba, że Piers będzie cię oceniał po wymiarach?

– Jestem kobietą. Wszyscy nas oceniają po wymiarach.

A matka Clio, niechaj spoczywa w spokoju, przypominała jej o tym przy każdej okazji. Sama była córką hrabiego i spodziewano się, że świetnie wyjdzie za mąż. Mimo to, musiała zniżyć się do poślubienia zwykłego oficera morskiego, bez tytułu. Kiedyś powiedziała Clio w zaufaniu, że gdyby nie była taka pulchna… to podejrzewa, że wyszłaby za para królestwa.

Mama postanowiła więc twardo, że jej córki nie padną ofiarą podobnej sytuacji. Daphne i Phoebe były szczupłe z natury, ale figura Clio zawsze miała krągłości.

– Moja matka wymyśliła tę… tak zwaną zabawę. Zaczęło się to, gdy tylko zaręczyłam się z Piersem. Nakazywała, by podano mi kolację do pokoju, na tacy. Każde danie na osobnym talerzu. I potem odpytywała mnie ze wszystkiego, czego uczyłyśmy się po południu. Gramatyki francuskiej, etykiety bawarskiej, prawidłowych form zwracania się do osób krwi królewskiej z dynastii hanowerskiej. Zadawała pytanie za pytaniem, a jeśli popełniłam błąd, zabierała z tacy jeden talerz, zaczynając od deseru. Czasami zdarzało mi się tyle pomyłek, że w ogóle nic nie jadłam. Tylko rosół. Kiedy indziej mogłam zjeść trzy albo cztery dania. Ale nigdy nie udało mi się

dobrnąć do deseru.

– Zdaje mi się, że to nie była żadna zabawa.

– Jednej kolacji chyba nigdy nie zapomnę. Na tacy był kawałek ciasta kajmakowo-orzechowego. Mojego ulubionego. Pamiętam, jak wpatrywałam się w nie z takim natężeniem, że niemal czułam smak karmelu i orzechów włoskich. Byłam niesamowicie uważna podczas odpytywania. Doskonale odpowiedziałam na wszystkie pytania. W głowie mi się kręciło z emocji, bo zwyciężyłam. W końcu. Wtedy, kiedy siedziałam, dosłownie gotując się z radości, i tak zabrała to ciasto z tacy.

– Ale dlaczego, skoro nie popełniłaś żadnych pomyłek?

– Bo ja sama byłam pomyłką – odpowiedziała Clio, nie ukrywając żalu. – Byłam sobą, więc byłam zła. Zaczynałam tyć.

Rafe zaklął.

– Twoja matka była głupia. Siostra też.

– Matka chciała dla mnie wszystkiego, co najlepsze. Wiem, że Daphne też dobrze mi życzy. Jesteśmy rodziną.

– To że jesteście rodziną nie znaczy, że cię nie zranią. To znaczy tylko, że wiedzą, co rani cię najgłębiej.

Nie odpowiedziała.

– Co więcej – dodał – okłamały cię. Wcale nie jesteś za gruba.

– Mówisz tak, żeby nie zranić moich uczuć.

– Mówię tak, bo to prawda.

– Ale ja…

Westchnął szorstko.

– Sama chciałaś.

Położył jej rękę na plecach, a drugą podsunął pod nogi. Potem jednym ruchem, bez wysiłku, podniósł ją w ziemi.

I wziął w ramiona

W te wielkie, mocarne, muskularne ramiona.

– Co ty wyprawiasz?

– Udowadniam, że mam rację.

Podrzucił ją, aż zrobiło jej się czczo w żołądku.

– Wcale nie jesteś ciężka. Nie dla mnie.

Ojej. Litości.

Ten gagatek oszołomił ją bez reszty. I przez długą chwilę nie pozwolił jej wrócić do rzeczywistości.

Nigdy w życiu nie widziała tak przystojnego mężczyzny. Zawsze był atrakcyjny, męski, niebezpieczny i pożądany. Ale z bliska, w świetle dnia…

Przesunęła spojrzeniem po mocnej szczęce, wysokim, dumnym policzku, ku przejrzystym, zielonym oczom otoczonym czarnymi jak atrament rzęsami.

Był piękny, niesamowitą, męską urodą. Nie miała pojęcia, dlaczego nie dostrzegła tego wcześniej. Pewnie nigdy nie dopuścił jej wystarczająco blisko.

– Już dobrze – wykrztusiła. – Teraz, kiedy udowodniłeś swoją rację, możesz mnie postawić na ziemi.

– Nic z tego. – Ułożył ją wygodniej i zaczął wnosić na schody, po dwa stopnie naraz. – Nie dasz rady na nie wejść w tej sukni.

– Nie zamierzam cię obciążać jak juczne zwierzę.

– Może i jestem zwierzakiem, ale ty nie jesteś obciążeniem. Po prostu powiedz mi, dokąd mam iść.

Kiedy dotarli na górę, pogodziła się z losem.

– Tędy. Skręć w ten korytarz.

Rafe odwrócił się na prawym obcasie, kierując się jej wskazówkami.

– Moja sypialnia jest prawie na samym końcu. Jeszcze trochę dalej.

Zaczęło jej to sprawiać taką przyjemność, że najlepiej byłoby, gdyby była odległa o całe mile.

– Tutaj. Drzwi po prawej. Uważaj na framugę.

Przytrzymał jej głowę przy swej piersi i otworzył drzwi butem.

Kiedy weszli do pokoju, zatrzymał się nagle.

Clio była ciekawa, czy miał takie same skojarzenia jak ona. Wniósł ją do

pokoju przez próg. Ubraną w koronkową suknię barwy kości słoniowej.

Wyglądali jak nowożeńcy.

A przed nimi, jak nieuchronny cel wędrówki, tkwiło jej ogromne łoże z baldachimem.

13

Boże wielki, co za łóżko.

Rafe spojrzał na nie z podziwem. Cztery niebotyczne, rzeźbione, drewniane filary. Baldachim ze szmaragdowego jedwabiu. I poduszki. Oczywiście, musiały być poduszki.

Całe rzędy poduszek we wszystkich odcieniach zieleni.

Zajmowały połowę łóżka, uporządkowane według wielkości i kształtu. Miał ochotę rozrzucić je precz. Żeby pospadały na podłogę, jedna po drugiej.

Posadził Clio na materacu.

– Nie tak miało być – powiedział. – Zamówimy więcej sukni. Takich, które pasują. Sam się tym zajmę.

– Nie trzeba. – Odwróciła się do niego i odgarnęła sobie włosy z szyi. – Wystarczy, że uwolnisz mnie od tej.

– Ty… – Rafe szarpnął jedwabny fular na szyi i odchrząknął. – Chcesz, żebym cię rozebrał z sukni.

I to nie z byle jakiej sukni, tylko ślubnej. Kiedy w pobliżu stoi takie łoże.

– Rozepnij tylko guziki, to wystarczy. Nie mogę w niej oddychać. Nauczyłam się obywać bez wielu różnych rzeczy – tortów, ślubów, szacunku rówieśników, ale jeszcze nie umiem żyć bez powietrza.

Z wahaniem wpatrywał się w białą jak mleko, odsłoniętą szyję i rząd maleńkich, obszytych jedwabiem guziczków, które wyglądały całkiem niewinnie. I radośnie poprowadziłyby go prosto do piekła.

Oparła się ręką o filar łoża.

– Proszę cię, Rafe. Czuję, że zaraz zemdleję.

Klnąc w duchu, sięgnął do górnego guzika. Czy miał jakiś wybór? Przecież nie mógł pozwolić, by się udusiła. Co do niego, zrobił karierę jako rozpustnik i zabijaka. I tak był potępiony.

Z trudem ujął guziczek kciukiem i wskazującym palcem, opierając dłoń na jej nagiej szyi.

– Dasz radę?

– Dam. – Zacisnął zęby i siłą woli uspokoił rozdygotane palce. – Po prostu kiedyś złamałem tę rękę. Parę lat temu.

– Przykro mi.

– Nie potrzebuję twojego współczucia, tylko cierpliwości.

Zaśmiała się, a guziczek wysunął się znowu.

– To cała historia mojego życia.

W końcu pierwszy guziczek uwolnił się z dziurki. Rafe zsunął kciuk pod tkaninę, ocierając się o miękką skórę na jej plecach.

Jest. Teraz wszystko pójdzie łatwo. Jeszcze jeden guzik i…

Spuścił wzrok.

… było ich tam jeszcze z tysiąc. Wielki Boże. Czy krawcowe ostatnio liczą sobie ceny od każdego guzika?

Skupił się na swoim zajęciu.

Jeszcze kilka guziczków i zobaczy gorset. Doskonale znał się na damskiej bieliźnie. Ile sznurowanych gorsetów widział w życiu? Co najmniej dwadzieścia parę. A może nawet więcej.

Ale żaden nie zrobił na nim takiego wrażenia jak ten.

Pas z płótna i fiszbinów nieprawdopodobnie ciasno ściskał białą połać bielizny. Zapach fiołków był wszędzie. Nie oszołomił go jednak. Fiołki nie należą do oszałamiających kwiatów. Raczej drażnią zmysły i je koją. Dają poczucie ciepła i bezpieczeństwa.

Tylko że to, co robił, wcale nie było bezpieczne.

Gdyby była jakąkolwiek inną kobietą, miałby ją już przed sobą na pół

nagą.

Tylko że nie pragnąłby jej aż tak boleśnie jak Clio. Nawet w połowie.

Zawsze lubił zakazane owoce. Ją też zawsze lubił. Jeżeli dodać do tego zachwycająco niewinną białą koronkę w kontraście z zaróżowionym ciałem? Serce tłukło mu się w piersi. A krew napływała tam, gdzie nie powinna.

Z każdym guziczkiem miał coraz śmielsze myśli. Pragnął położyć dłonie na jej plecach, pogładzić podstawę jej szyi. Poczuć, że należy do niego. Przytknąć wargi do wgłębienia w górze pleców. Zaczepić palcem te koronki i przycisnąć jej ciało do swego nabrzmiałego członka.

Do diabła, Rafe.

Złapał boki sukni i rozsunął, odrywając kilka ostatnich guzików.

– Już. Zrobione.

I to w ostatniej chwili.

– Gorset też – poprosiła.

Boże wielki…

Cofnął się o krok, przyjrzał się supełkowi i znalazł końcówki wstążek. Kiedy ujął w palce metalowe oczko, miał wrażenie, że jego zdrowy rozsądek gdzieś wyparował. Jedno pociągnięcie, i Clio będzie kompletnie naga.

Ale pociągnął. Za daleko się posunął, żeby teraz z tego zrezygnować.

– Oddychaj – powiedział.

Usłuchała. Jej gorączkowy wdech obudził w nim szaleństwo. Nagle nie chodziło już o tysiąc guziczków i najbardziej kuszący gorset, jaki rozsznurował w życiu, tylko o ciepło i żar jej warg pod jego ustami. Słodycz jej pocałunków. Jej włosy w jego włosach. Deszcz, który otulał ich jak kokon.

– Już mi lepiej. Dziękuję. – Odwróciła się do niego, krzyżując ręce na staniczku rozpiętej sukni. – Wczoraj po raz pierwszy od wielu lat spróbowałam tortu. Jakie to dziwne… kiedy ci czegoś ciągle odmawiają, w końcu zaczynasz sam sobie wmawiać, że wcale tego nie chcesz.

Odsunął pasmo włosów z jej szyi.

– Aż za dobrze wiem, o co ci chodzi.

– Kiedy Piers miał wrócić z Antiguy, matka zaczęła mnie głodzić wiele miesięcy przed jego powrotem. Mogłam jeść tylko zupę z rzeżuchy i czysty wołowy rosół. Tak bardzo chciała, żebym miała szczupła talię. W końcu pochorowałam się z niedożywienia. Byłam tak słaba, że nie byłam w stanie podnieść pióra do pisania, a co dopiero stanąć przed ołtarzem na ślubie. Znowu trzeba było wszystko odłożyć.

Wściekłość dosłownie go dławiła.

– Nie miała prawa. Nie miała prawa niczego ci odmawiać. Ani odbierać ci poczucia, że jesteś doskonała.

– Wcale nie jestem doskonała. Nie dorastam do tego. Gdyby Piers uznał, że jestem doskonała, kiedy miałam siedemnaście lat, to by się ze mną wtedy ożenił. Albo kiedy miałam dziewiętnaście lat, dwadzieścia jeden i dwadzieścia trzy. Ostatni raz widzieliśmy się dwa lata temu, na chwilę przed jego wyjazdem do Wiednia. Mogliśmy wtedy stanąć przed ołtarzem, pojechałabym z nim na kontynent. Ale nie chciał mojej obecności. Może bym go tam skompromitowała.

– W żadnym razie byś go nie skompromitowała.

Wielki Boże! Rafe chętnie przerobiłby na mielonkę każdego mężczyznę, który nie czułby dumy, mając u swego boku taką kobietę. Nawet swojego brata.

– Matka stale mi to powtarzała. Że dobra ze mnie dziewczyna, ale na markizę to się nie nadaję.

Rafe zaczynał rozumieć, dlaczego Clio przez cały tydzień mu się opierała. Stale powtarzała, że wszystko ma być „w miarę dobre”, a on tłumaczył, że powinna chcieć tego, co najlepsze.

– Clio, jesteś… – Zmysłowa, kusząca, rozkoszna… – Piękna.

Musiał ją o tym jakoś przekonać. Tym razem jego mroczna przeszłość i prostacki charakter mogą się wreszcie na coś przydać.

– Uwierz mi – powiedział. – Wielu mężczyzn naprawdę woli kobiety,

które są przy kości.

– Chcesz powiedzieć, że Piers też?

– Są na to spore szanse. Jestem jego bratem i zdecydowanie należę do tej grupy.

Boże, to uczucie, kiedy wczoraj w jadalni leżała pod nim. Wciąż czuł bogactwo jej kształtów, jakby jego ciało zapamiętało każdą miękką krzywiznę.

– Wręcz przeciwnie, nie ma żadnych szans – odpowiedziała. – Jesteście zupełnie różni od siebie.

– Masz rację – odpowiedział. – Różnimy się bardzo. Niemal pod każdym względem. On jest dyplomatą, ja bokserem. On jest obowiązkowy, ja się buntuję. On przez osiem lat nie raczył powiedzieć ci, jaka jesteś cholernie atrakcyjna. – Podszedł do drzwi, zamknął je i przekręcił klucz. – Ja nie zamierzam zwlekać ani minuty dłużej.

Gdy Clio usłyszała zgrzyt klucza w zamku, dreszcz przebiegł jej po plecach. Znowu skrzyżowała dłonie na piersiach i mocno objęła samą siebie.

– Nie będę cię dotykać – zapowiedział. – Tylko mówić.

Znowu zadygotała. Myślał, że ją tym uspokoi? Głos był jego najniebezpieczniejszą bronią.

– W odróżnieniu od mojego brata nie mam problemów z powiedzeniem tego, co trzeba. Nawet jeśli jest to chamskie albo niepolityczne. – Mówiąc to, chodził w tę i z powrotem pod drzwiami.

– Posłuchaj mnie. Ty… nie masz braci. Nie wiesz, jak działa umysł nastolatka. Nigdy nie jest nam dość kobiecych ciał. Piersi, bioder, nóg. Do diabła, nawet na widok damskiej kostki krew zaczyna krążyć szybciej w żyłach. Podglądamy służące w kąpieli, wymieniamy się nieprzyzwoitymi obrazkami…

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo każdy mężczyzna ma kobietę, o której fantazjował po raz pierwszy w

życiu. O której myślał bez przerwy, w dzień i w nocy. Która mu się śniła, a potem budził się cały twardy i obolały. Spojrzał jej prosto w oczy. – Ty byłaś dla mnie tą kobietą.

– Ja? … – Clio zaparło dech w piersiach. – Naprawdę?

– Naprawdę. – Podszedł do niej. – Do diabła, wciąż nią jesteś. Pragnąłem cię już jako napalony nastolatek. Twoje ciało doprowadzało mnie do szaleństwa. Każda jego cudowna, obłędnie erotyczna okrągłość. Jest tysiąc różnych cielesnych rzeczy, które chciałbym robić z tobą, tobie, na tobie i w tobie.

Clio nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Więc oczywiście wybrała najgłupszą, najbardziej pedantyczną odpowiedź.

– Tysiąc? Trudno uwierzyć, że aż tyle.

– Może rzeczywiście przesadziłem. Ale nie do końca. Chcesz usłyszeć całą listę?

Skinęła głową. Wszystko, byleby tylko nie musiała się odzywać.

– Zobaczmy. – Przesunął wzrokiem po jej ciele. – Zacząłbym od twoich piersi. Poświęciłbym na nie co najmniej z pięćdziesiąt pierwszych miejsc. Po pierwsze, bym je masował. Po drugie, głaskał. Potem całował, lizał i ssał, w tej kolejności. Po piąte, podgryzał. Po szóste, gryzł trochę mocniej. Po siódme, ścisnąłbym je razem i wszedł członkiem między nie.

Zamrugała.

– Naprawdę?

– Jak już mówiłaś wcześniej, mężczyźni są obrzydliwi.

– Raczej nie uważam, że to obrzydliwe. Tylko… zaskakujące.

Szczerze mówiąc sama wizja – jeżeli mogła ufać swojej wyobraźni, że się nie myli – sprawiła, że jej sutki naprężyły się boleśnie i poczuła wilgoć między nogami.

– Nawet nie doszedłem do dziesiątego punktu – dodał. – Dopiero zaczynam. Na tej liście są takie rzeczy, których nawet ja sam nie odważyłbym się powiedzieć na głos.

Odsunął się o krok i zaczął powoli chodzić wokół niej.

– Do najjaśniejszej cholery. Nieraz się bałem na ciebie spojrzeć. Bo byłaś taką grzeczną dziewczynką, a ja w wyobraźni kazałem ci robić te wszystkie nieprzyzwoite rzeczy. Pragnąłem cię, od kiedy zacząłem myśleć o seksie.

– Pomimo tych wszystkich kobiet, które miałeś.

– Pomimo tych wszystkich kobiet, które miałem.

Przycisnęła luźną suknię do piersi. Nie wierzyła w ani jedno słowo.

– Ale wcześniej mówiłeś, że to z powodu Piersa. Że mnie pragniesz, bo byłeś o niego zazdrosny i że to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Och, tak. – Z powrotem stanął tuż za nią. – Ciągle to sobie powtarzałem. Wmawiałem sobie dużo różnych rzeczy. Że po prostu byłaś w moim typie. – Przesunął głodnym spojrzeniem po jej ciele. – Że mnie pociągasz, bo lubię okrągłe, niebieskookie blondynki. To by było logiczne, prawda?

– Bardzo logiczne.

Spojrzał jej w oczy.

– Kłamałem.

– Więc… więc nie podobają ci się okrągłe, niebieskookie blondynki?

– Ależ tak – przytaknął. – I to bardzo. Bo przypominają mi ciebie.

Wielkie nieba.

Jej kolana… chyba przestały działać. Jakby nagle zniknęły.

Zachwiała się, opierając o filar łóżka.

– Twoje ciało – mówiąc to, przysunął się bliżej – jest w każdym moim śnie. Erotycznym, cielesnym i rozpalonym do białości. Całe lata się zastanawiałem, jak wygląda pod tym wszystkim.

– No to… przestań się zastanawiać – powiedziała, rozkładając ręce. Koronkowa suknia zsunęła się na podłogę.

Nie była całkiem naga. Choć suknia i gorset leżały u jej stóp, miała na sobie halki i koszulkę. Ale ich delikatne, cieniutkie płótno zostawiało niewiele pola dla wyobraźni.

Rafe nie odzywał się ani słowem. Po prostu na nią patrzył.

Ujęła w palce tasiemkę przy dekolcie koszulki i rozwiązała kokardę.

Nawet nie mrugnął.

Serce Clio biło jak młotem. Za daleko zaszła, żeby się teraz wycofać. Jeśli on tu ją zostawi, nagą i porzuconą, jej duma na zawsze legnie w gruzach.

W porywie szaleństwa podniosła ręce do góry i chwyciła filar obiema rękami, napinając plecy i podnosząc piersi w sposób, który wydał jej się kuszący.

Ale na nim nie zrobiło to chyba żadnego wrażenia.

Wielki Boże. Może te wszystkie wyznania były tylko kłamstwem, żeby poczuła się lepiej. Była idiotką, myśląc, że jest dla niego nieodparcie pociągająca. Stał tu sobie, o krok od niej, patrzył na jej nagie ciało…

I opierał się mu.

Jej odwaga nagle się rozwiała. Spuściła wzrok. Ręce też zaczęła opuszczać. Chciała się zasłonić, ukryć gdzieś przed tym poniżeniem. Może w garderobie albo w jakiejś norze pod podłogą.

– Nie rób tego.

Jedną wielką dłonią złapał oba jej nadgarstki. Podniósł je i przytrzymał, dosłownie przykuwając ją do tego filara.

Oj. A więc o to chodzi.

Nagła fala gorąca, jego siła, bezwstydne spojrzenie, jej uległość… wszystko to sprawiło, że zadygotała z podniecenia.

Nie chodziło tylko o to, że jej ciało było dla niego atrakcyjne.

Ale o to, że ona też w końcu uznała, że jest atrakcyjne.

– Spójrz na siebie – szepnął.

Usłuchała. Spojrzała w dół, podziwiając zaróżowioną skórę pod cienką białą koszulką. Wpadające przez okno promienie słońca były ciepłe i życzliwe dla jej jasnej karnacji, dodając jej różanego odcienia. Naprężone sutki napierały na tkaninę. Łagodnie zaokrąglony brzuch i biodra nie potrzebowały się przed nikim tłumaczyć.

To było jej ciało. Nauczyła się czerpać z niego przyjemność, choć żaden

mężczyzna nie był tym zainteresowany. Było szczodre, okrągłe, kobiece i mocne, jakby stworzone do bycia czymś więcej niż tylko ozdobą salonu lub przekazywania dóbr materialnych z ojca na męża.

Była stworzona, by kusić, rodzić, inspirować, tworzyć i dawać oparcie.

Choć Rafe trzymał ją w mocnym uchwycie, przepełniło ją poczucie mocy. Ten jeden jedyny raz mogła się rozkoszować swoją kobiecością. Zapomnieć, że zwykle myślała o niej jak o utrudnieniu, z którym trzeba się uporać. Traktować ją jak coś godnego szacunku, hołdu, a nawet budzącego lęk.

W tej chwili stać ją było na wszystko. Czuła się jak…

– Bogini – zamruczał.

Wielki Boże. Teraz już nie tylko kończył za nią zdania, ale także myśli.

– Masz kształty greckiej bogini. – Spojrzał jej w oczy. – Ale, do cholery, twoje ciało jest dopiero na trzecim miejscu wśród twoich zalet. Po bystrym umyśle i czułym sercu.

Jeśli chciał podziwiać jej serce, to powinien się pospieszyć, bo zdaje się, właśnie opadało z sił. A „bystry umysł” miał w tej chwili inteligencję miski budyniu.

– Gdybyś była moja, gdybym mógł cię zatrzymać i pieścić to…

Wstrzymała oddech.

– To co byś wtedy zrobił?

Pochylił się ku niej i zniżył głos do mrocznego szeptu:

– Najpierw wziąłbym cię w ramiona. Żebyś była sercem przy moim sercu. Potem udawałbym, że to wystarczy. Ale nie wystarczyłoby. Zapragnąłbym czegoś więcej. I zrobiłbym tak, żebyś ty też zapragnęła czegoś więcej.

Och, ona już chciała więcej. Oparła się o filar, żeby utrzymać równowagę.

Nie przerywaj. Proszę, mów dalej.

– Rozpuściłbym te cudowne włosy, żeby spływały między moimi palcami. Przesunąłbym dłońmi po twoich ramionach, po plecach. I po tym miękkim, najmiększym ciele… ale tam pieściłbym cię ustami. A potem… – Pochylił głowę tak, że jego słowa parzyły ją w ucho: – Potem wsunąłbym ci rękę pod

haleczkę i dotknąłbym cię. Tam, gdzie oboje tego pragniemy.

Zaćmiło jej się w oczach. Między udami zaczął pulsować tępy ból.

– Zrób to – powiedział, uwalniając jedną z jej dłoni. – Zrób to zamiast mnie.

Drgnęła, ale przytrzymał ją w talii, żeby nie uciekła.

– Nikogo tu nie ma – powiedział. – Nikt się nie dowie. Nikt tego nie zobaczy. Zrób to, czego ja nie mogę. Tylko ten jeden, jedyny raz.

Serce skoczyło jej do gardła. Nie była pewna, czy potrafi. Nie w ten sposób. Nie przy nim.

Przycisnął skroń do jej skroni.

– Chryste, Clio. Tak cię pragnę, że chyba umrę. Jeśli jest choć cień szansy, że czujesz to samo…. Daj mi jakiś znak, że nie jestem z tym sam.

To było czyste szaleństwo.

Ale rzeczywiście tego pragnęła. I za nic nie pozwoliłaby, żeby czuł się samotny.

Drżącymi palcami podniosła koszulkę, żeby rozluźnić tasiemkę – tylko troszeczkę – i wsunąć pod nią dłoń. Dotykała się przez cieniutkie płótno, ale to nie miało znaczenia.

Przesunęła dłoń niżej i zagryzła wargi.

– O to chodzi – zamruczał. – Właśnie tak. Tam chcesz być, prawda? Ja też. Jesteś tam taka cudowna. Cudowna, różowa i ciepła.

Przytaknęła.

– I wilgotna. Jesteś dla mnie tam cała mokra, prawda?

Puls Clio zabił szaleńczo po tych obrazoburczych słowach, ale nie mogła zaprzeczyć prawdzie. Wsunęła palce między uda, czując, że bielizna w pobliżu nich zmiękła i zwilgotniała.

– Właśnie tutaj – powiedział.

Palcem dłoni, którą przykrywał jej dłoń opartą o filar, przesunął między dwoma jej palcami, jakby rozsuwał jej nogi. Albo wargi waginy.

A potem zatrzymał palec w miejscu, gdzie palce łączyły się ze sobą.

– Dotknij się tam – szepnął, zataczając opuszką powolne, ciasne koła. – W ten sposób.

Zapomniała o wstydzie i poczuciu przyzwoitości, jakby te słowa wprowadziły ją w trans.

Kiedy jej palce znalazły się na właściwym miejscu, zdziwiona, nagle wstrzymała oddech.

– O to chodzi. – Pocałował ją w ucho. – Grzeczna dziewczynka.

Uśmiechnęła się na te słowa. Tym razem wcale nie była grzeczna. Była okropna, niemoralna, i szczęśliwa z tego powodu.

On też był szczęśliwy.

Wreszcie zaczynał tracić panowanie nad sobą. Przesunął językiem po zarysie jej ucha, potem skubnął jego płatek. Jej zmysły zamruczały z rozkoszy, kiedy wydał gardłowy pomruk.

I nagle jego ręka – ta, którą obejmował ją w talii – zaczęła się poruszać. Z początku tylko trochę. Kciuk gładził jej skórę, kusząco i przekonywająca. Potem zaczął czule ją gładzić całą dłonią. Za każdym ruchem w dół sięgał opuszkami palców niżej, ku biodrom, a za każdym ruchem w górę jego kciuk zbliżał się ku piersiom.

Błagam…

Chciała go jakoś zachęcić, ale nie chciała się narzucać, bo przecież mógłby przestać.

Zbliżali się oboje do jakiejś granicy. Do punktu, skąd nie ma powrotu.

W końcu mruknął jakieś przekleństwo i pchnął ich oboje na drugą stronę. Objął dłonią całą pierś. Kiedy dotknął kciukiem sutka, osłabła z rozkoszy i ulgi.

– Chodź tu – szepnął szorstko i gorąco. Przesunął językiem po jej szyi. Uniósł pierś, wciąż okrytą płótnem, potarł mocniej sutek.

– Chcę usłyszeć, jak szczytujesz, nawet gdybym miał się przez to w piekle smażyć. Zrób to dla mnie.

Pieściła samą siebie, potem on pieścił ją. Ogarniał ją coraz większy

zachwyt, narastał i wypełniał ją całą, aż wyrósł w potężną, niszczącą falę.

Zadygotała.

– Rafe…

– Jestem tutaj. Trzymam cię. Pozwól sobie na to.

Nakrył jej wargi swoimi, jakby dawał jej schronienie, którego potrzebowała. Kiedy ogarnęła ją rozkosz, jęczała, i wzdychała w tym pocałunku. W swoim bezpiecznym schronieniu.

Nawet kiedy wszystko już dawno minęło, wciąż ją całował. Tak słodko.

Uwolnił jej rękę wspartą o filar i objęli się czule. Wsunęła palce w jego włosy. On dotknął jej policzka. Leciutko, samymi opuszkami palców.

Nigdy w życiu nie czuła się tak hołubiona.

Ale wyraz jego twarzy, kiedy przerwał pocałunek… trafił ją jak sztylet prosto w serce. Zmarszczył brwi w poczuciu winy, a w oczach zalśnił mu żal. Tak jakby ją czegoś pozbawił, a nie dał jej najpiękniejsze, najbardziej zmysłowe chwile w życiu.

– Rafe, to było…

– Clio, nie możemy…

– Panno Whitmore? – Ktoś zastukał do drzwi. – Panno Whitmore, może pomóc pani z tą suknią?

Anna.

– Do diabła, do licha, do cholery – mruknęła pod nosem.

Dobór słów Rafe’a był zdecydowanie mniej kulturalny.

– Chwileczkę – zawołała Clio. Zakołysała biodrami, a potem wyszła z sukni i halek, jak z jeziora. Wzięła Rafe’a za rękę. – Szybko. Tędy.

Zatrzymał się.

– Nie dasz rady mnie ukryć. Jestem za duży. Nie zmieszczę się ani do szafy ani za zasłoną.

– Tu się zmieścisz. – Nacisnęła zagłębienie w boazerii i otworzyła całą sekcję. – Tędy. Szybko.

Wszedł do tajnego pokoju i rozejrzał się.

– Co to jest? – spytał na widok klęcznika i wysokiego, wąskiego okienka.

– Pokój modlitewny. Prywatna kaplica dla pani domu, gdzie mogła się ukryć i oddać rozmyślaniom. – Wskazała głową przeciwną ścianę. – Takie same drzwi prowadzą do mojego salonu.

– Nikt by nie wpadł, że jest tu coś takiego. – Przechylił głowę, patrząc z podziwem na sufit. – Ten zamek jest naprawdę wyjątkowy.

– Mówiłam ci to przecież. – Z uśmiechem cofnęła się, by zamknąć za sobą płytę boazerii.

– Zaczekaj. – Wsunął rękę w szparę i przytrzymał zamykające się drzwi. – Ty też taka jesteś, Clio. Jesteś niesamowita. Nigdy w to nie wątp.

Potem zabrał rękę i drzwi zamknęły się cicho.

14

Musimy porozmawiać o lodowych rzeźbach – oświadczyła Daphne pod wieczór.

– Koniecznie?

Trzy siostry Whitmore zebrały się w salonie Clio, żeby przebrać się do kolacji. Jak za czasów młodości. Phoebe siedziała przy toaletce, a Clio szczotkowała jej włosy. Daphne leżała na boku na łóżku Clio. Jedną ręką przewracała kartki kobiecego czasopisma, a drugą wyjadała z miski maliny.

Pomimo sceny, jaką Phoebe wywołała w wiosce i obraźliwej zagrywki Daphne ze zbyt ciasnymi sukniami, Clio potrzebowała towarzystwa sióstr. Nie potrafiła sobie tego wyjaśnić. Miała jednak wrażenie, że czasem lepszy jest znajomy diabeł[1] niż taki, który przygważdża cię do filara łóżka i masuje sutki kciukiem.

– Myślałam o jakiejś parze słynnych kochanków – podsunęła Daphne. – Może Romeo i Julia?

– To się źle skończyło – przypomniała jej Phoebe. – Jedno otrute, drugie zasztyletowane.

– Kleopatra i Marek Antoniusz?

– Jeszcze gorzej. Jedno ukąszone przez węża, drugie zginęło od miecza.

– No to Lancelot i Ginewra.

– On zmarł w pustelni. Ona poszła do zakonu.

Daphne westchnęła w desperacji.

– Ty zawsze wszystko popsujesz.

– Zaczynam dochodzić do tego samego wniosku. – Phoebe podała Clio spinkę. – Ale tym razem to nie moja wina. W literaturze zakazana miłość zawsze źle się kończy.

Clio ugryzła się w język, skręcając włosy siostry w prosty kok.

Phoebe miała rację. Nic dobrego nie wyjdzie z tego… z tego, co było między nią a Rafem. Trudno to nawet nazwać miłostką. Żadne z nich nie wspomniało o miłości. Poza tym nie zrobili niczego, co byłoby nieodwracalne. Można by było nad tym przejść do porządku dziennego.

Tylko że ona wcale nie miała na to ochoty.

Wręcz przeciwnie, chciała uchwycić się tego z całej siły i nigdy nie zapomnieć. Ani jego czułych objęć, ani radości i poczucia bezpieczeństwa w jego ramionach. Tego właśnie pragnęła. Więcej i więcej. Chciała, żeby myślał o niej równie często, jak ona o nim.

Czyli mniej więcej przy każdym oddechu.

Musiał koniecznie podpisać te papiery, bez zwłoki. Po prostu musiał. Choćby dla spokoju jej sumienia. Piers nie był dla niej szczególnie czuły, i ich zaręczyny były dla niego tylko formalnością, ale nie powinno się wyskakiwać z sukni dla jednego mężczyzny, kiedy jest się zaręczoną z innym.

– Jeśli chcesz słynnych kochanków, zawsze pozostają Odyseusz i Penelopa – stwierdziła Phoebe. – Wiernie czekała na niego przez całych dwadzieścia lat, kiedy on wojażował po świecie.

– Łabędzie – rzuciła Clio, byleby tylko nie poruszać tematu wiernych kobiet, cierpiących długie lata w samotności. – To zwykły temat takich rzeźb, prawda?

– Tak, ale wszyscy je wybierają – odparła Daphne. – Są romantyczne, bo łączą się w pary na całe życie.

Lustrzane odbicie Phoebe uniosło cienką brew.

– Podobnie jak sępy, wilki i afrykańskie termity. A jakoś nikt ich nie rzeźbi w lodzie.

Clio już miała powiedzieć, że kopiec termitów byłby całkiem niegłupim pomysłem, ale przerwało jej stukanie do drzwi.

Weszła Anna z kopertą w ręku.

– Przyszedł list do panienki. Posłaniec jest na dole i czeka na odpowiedź.

– O tej porze? Jakie to dziwne. – Złamała pieczęć i otworzyła list. – To zaproszenie.

I świetny pretekst do zmiany tematu. Nie mogło nadejść w lepszym momencie.

Clio przebiegła kartkę wzrokiem.

– Zapraszają nas na bal. Jutro wieczorem.

– Jutro wieczorem? – upewniła się Daphne.

– Wygląda na to, że lord i lady Pennington zjechali do swej posiadłości w pobliżu Tunbridge Wells. Przepraszają, że nie pisali wcześniej, ale dopiero co się dowiedzieli, że jesteśmy w Kencie. – Opuściła kartkę. – Co wy na to?

– Idźmy koniecznie. – Daphne kipiała entuzjazmem. – Od czasu zamążpójścia prawie nie bywam na balach.

– Świetnie. Idźcie razem z Teddym. A ja zostanę tu z Phoebe.

– Clio, ty też musisz iść. W przeciwnym razie zaczną się plotki.

– Jeśli pójdę, też będą plotki – odparła, ruszając w stronę sekretarzyka. – Chciałabym tego uniknąć.

– Tak, ale tym razem na inny temat – odparła Daphne. – Opowiemy wszystkim o planowanym ślubie. Żeby wiedzieli, że tym razem na pewno się odbędzie.

Wcale nie.

– A Phoebe? – spytała.

– Niech idzie z nami. To tylko mały wiejski bal. Naturalnie nie będzie tańczyć.

– Nie mam ochoty – odparła Phoebe. – Będę się nudzić i czuć nieswojo.

– Właśnie dlatego powinnaś iść – sprzeciwiła się Daphne. – Żeby się nauczyć ukrywać takie uczucia.

Clio rzuciła siostrze ostre spojrzenie. Bez skutku.

– Ma już szesnaście lat – stwierdziła Daphne. – Trzeba ją powoli wprowadzać w towarzystwo.

Miała rację, choć nie najlepiej ją wyraziła. Prędzej czy później Phoebe będzie musiała zacząć nawiązywać relacje z ludźmi spoza rodziny.

– Nie mam ochoty iść – upierała się Phoebe, obracając się na stołku przed toaletką. – Będę się strasznie męczyć. Nie każcie mi tego robić.

– Och, kiciu, Daphne ma rację. Niedługo trzeba cię będzie wprowadzić w towarzystwo, a taki niewielki bal wśród przyjaciół to najlepsze miejsce, żeby się oswoić. – Postukała palcem w kopertę. – Nie będę cię zmuszać, ale mam nadzieję, że zdecydujesz się pójść.

Phoebe zastanowiła się.

– Czy lord Rafe też się wybiera? Jeśli tak, to pójdę.

– Nie – zaprzeczyła Daphne. – Nie bierzmy go. Montague się nada. Ale nie Rafe. Penningtonowie na pewno nie mieli go na myśli.

Clio zjeżyła się na te słowa.

– Zaproszenie jest dla mnie i moich gości. On też jest gościem.

– Tak, ale oni nie wiedzą, że tu jest. Gdyby wiedzieli, na pewno by nas w ogóle nie zaprosili. Nawet o tym nie myśl, Clio. Byłaś wystarczająco miła, żeby zgodzić się na jego pobyt w zamku. To brat Granville’a, więc nie miałaś wyboru. Ale on już nie jest mile widziany w towarzystwie.

Clio poczuła w piersi gniew, gorący i łatwopalny. Miała ochotę zgarnąć tę pogardę, którą Daphne tak łatwo szafowała, zrobić z niej kulkę i trzasnąć w nią z całej siły rakietą do tenisa.

Co za głupia myśl, że mistrz bokserski potrzebuje właśnie jej do obrony. Pewnie i tak nie miałby ochoty pójść na ten bal.

Ale ta decyzja nie powinna należeć do Daphne – ani do nikogo innego.

„Jesteś niesamowita. Nigdy w to nie wątp” powiedział.

On też w to nie powinien wątpić.

– Dla mnie lord Rafe Brandon jest zawsze mile widziany – oświadczyła.

Spojrzała na swoje uczesanie w lustrze i wygładziła suknię z szarego jedwabiu. – Jeżeli będzie sobie życzył nam towarzyszyć.

Z tymi słowy wyszła, by odszukać Rafe’a i sama go o to zapytać.

– Pierścionek się nie pokazał? – spytał Rafe, nie zwalniając kroku.

– Jeszcze… nie… – wysapał Bruiser, który w odróżnieniu od Rafe’a był u kresu sił. – Czy moglibyśmy trochę zwolnić?

– Nie.

Skończyli właśnie czwarte okrążenie wokół zamkowych murów. Ale to nie wystarczało. Rafe w dalszym ciągu czuł tę miękkość na opuszkach palców. Jej smak na wargach. W uszach wciąż brzmiało echo jej cichych jęków i westchnień.

Chyba będzie musiał tak biegać przez całą noc, na pełnej szybkości. Ale nawet wtedy nie pozbędzie się poczucia winy.

To co zrobił Clio tego popołudnia, było niegodziwe.

Ale też cudowne i pełne niesłychanej czułości.

Mimo to złe, niegodziwe. Wszystko to było jego wina.

Z upływem lat nauczył się panować nad swoimi impulsami, wstrzymywać ciosy. Tylko że kiedy pozwoliła, by ta koronkowa suknia zsunęła się z jej ciała, odsłaniając najcieńszą koszulkę, jaką diabeł utkał na swoich krosnach… Prosząc – nie, wręcz błagając o jego dotyk…

Nie powinien ulec tej pokusie.

Niejaka panna Lydia Fairchild udzieliła mu tej lekcji w młodości. Rudowłosa córka farmera pewnego wiosennego popołudnia zwabiła go do sadu, ujęła jego dłoń i wsadziła sobie pod spódnicę. Pierwszy raz dotknął wtedy prawdziwej kobiety. Był oszołomiony jej ciepłem i gotowością. I tym, że pachniała kwiatem jabłoni.

Ale nade wszystko tym, jak bardzo pragnęła jego dotyku – w czasach, kiedy nigdzie nie był mile widziany.

Po godzinie entuzjastycznych czułości Rafe z poczuciem winy wykrztusił

niezgrabną propozycję, że zaraz porozmawia z jej ojcem. Zamiast tego położyła mu palce na policzku i wybuchnęła śmiechem. Rodzice ułożyli jej małżeństwo z wiejskim dziedzicem starszym od niej o dwadzieścia lat. Po prostu chciała przedtem przeżyć coś podniecającego z największym hultajem w okolicy.

Była pierwsza, ale nie ostatnia. Kobiety przychodziły do niego z różnych powodów – z ciekawości, dla przyjemności, żeby się zbuntować albo od czegoś uciec. Ale żadna nie szukała miłości ani małżeństwa.

No i dobrze, przyznał w duchu. Za wiele w nim było gniewu. Żeby utrzymać jasność umysłu, musiał być w ciągłym ruchu. Kiedy tkwił w miejscu, zaczynał się denerwować i popełniać błędy. Nie potrafił się ustatkować.

Mimo wszystko zazdrościł mężczyznom, którzy to umieli. I zawsze pragnął czegoś więcej niż ostrej jazdy na chybcika.

Kiedy dotarli do narożnika, zatrzymał się i zaczął truchtać w miejscu, czekając na Bruisera.

– Trzeba zamówić więcej sukni – powiedział. – Ładniejszych. Takich, które będą na nią pasować.

Trener złapał się za bok, pochylił i zrobił smętną minę.

– Zamówiłem. Ale to zajmie kilka dni.

Do diabła, nie mieli tyle czasu.

Rafe zaczął boksować się z cieniem, celując za każdym razem w zachodzące słońce. Tak, jakby mógł uderzeniami wypchnąć ten pomarańczowy dysk z powrotem na niebo, żeby tam został na dobre, jak ten kufel w ścianie pubu. Wtedy ten dzień trwałby w nieskończoność, a on nie musiałby dotrzymywać danego słowa.

– Musi być coś jeszcze – powiedział. – Coś, czego nie próbowaliśmy.

– Przerobiliśmy wszystko. – Bruiser oparł się ręką o mur, próbując złapać oddech. – Kwiaty, torty, uroczystość, suknie ślubne. Według mnie, zabrakło jej tylko jednego.

– Czego?

– Miłości.

Rafe zaklął. Na litość boską.

– Słyszałeś ją przecież wczoraj – ciągnął jego trener. – Ona pragnie miłości. Oddania i kompromisu. Zabawne, że kobiety z początku chcą takich rzeczy, na etapie „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Zatem gdyby Clio…

– Panna Whitmore. – Pięść Rafe’a wymierzyła powietrzu okrutny prawy sierpowy.

– Gdyby panna Whitmore uwierzyła, że lord Granville ją kocha, może sprawy przybrałyby inny obrót.

Rafe opuścił ramiona.

– Mój brat jest podobny do ojca. Prędzej Alpy zakołyszą się na wietrze, niż Granville’owie ulegną emocjom. Jakim cudem mam ją przekonać, że Piers się w niej kocha?

– Nie mam pojęcia, Rafe. Ale jest pewien odwieczny sposób, który chciałbym poddać ci pod rozwagę. Ludzie stosują go od tysięcy lat, z dobrym skutkiem. Nazywa się kłamstwo.

– Jestem ofiarą, a nie kłamca.

– Na szczęście ja jestem fantastycznym trenerem. – Bruiser bez ostrzeżenia wskoczył mu na plecy. – Wio!

– Co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery? – Rafe kręcił się w kółko, próbując rękami strzepnąć trenera jak komara. Był równie irytujący.

– Dobry koń. – Bruiser oparł kostki na biodrach Rafe’a jak doświadczony jeździec. – Pobiegnij kawałek w ten sposób, dobrze? Jestem wykończony, a tobie przyda się dodatkowy wysiłek.

Rafe westchnął ciężko i ruszył biegiem. Bruiser miał rację: w ten sposób zmęczy się szybciej. A jeśli ma wytrzymać jeszcze jedną noc w Twill Castle, musi doprowadzić się do kompletnego wyczerpania.

– A teraz słuchaj dobrze – zaczął jego trener, gdy galopowali wzdłuż północnego muru. – Żeby dobrze kłamać, trzeba umieć haftować.

– Nie było mnie na pensji, kiedy to przerabiałyśmy.

Bruiser wbił mu piętę w żebra.

– Nie chodzi o zabawy z igłą i nitką. Tylko o haftowanie słowami. Tworzenie obrazów. Wypełnianie ich szczegółami. Wtedy kłamstwa stają się wiarygodne. Mówi się przecież, że diabeł siedzi w szczegółach.

Rafe prychnął.

– Jeśli chcesz ją przekonać, że Piers się w niej kocha, musisz jej sprzedać atrakcyjną historię. Podać czas, miejsce i mnóstwo szczegółów. Opowiedz mi, jak to było, kiedy sypiałeś z tą baletnicą z paryskiej opery.

– Nigdy w życiu nie sypiałem z żadną baletnicą.

– O to właśnie mi chodzi, ty tłumoku. Wymyśl coś.

Rafe próbował. Uczciwie próbował wyobrazić sobie ciemnowłosą, tajemniczą kobietę, która przyzywała go do łóżka ze szkarłatnym baldachimem wyszywanym paciorkami. Ale w jego umyśle zadziałały natychmiast dziwne czary i krucze włosy kobiety nagle stały się złote. Jej czarne oczy o powłóczystym spojrzeniu zalśniły znajomym, uroczym błękitem. A co do łóżka… No cóż, jedyne godne uwagi łoże miało cztery filary i szmaragdowy baldachim, a pod nim idealnie równe rzędy poduszek.

Nawet w wyobraźni nie potrafił iść do łóżka z inną. Nie dzisiaj.

I pewnie przez długi, bardzo długi czas w przyszłości też nie.

– Co za idiotyzm – powiedział. – Tłumaczyłem ci już, że nie umiem kłamać.

– Umiesz. Musisz tylko poćwiczyć. Na pewno nadarzy ci się szansa – mruknął Bruiser. – Właściwie już…

– Ojejku! – rozległ się z bliska kobiecy głos.

– …teraz – dokończył Bruiser.

Rafe wyprostował się, dysząc ciężko. Przed nimi na środku ścieżki stała zdumiona pokojówka Clio. Zdaje się, że miała na imię Anna. Niewątpliwie mocno zastanawiała się, dlaczego spocony, zdyszany facet biega wokół murów z drugim facetem na plecach.

Zatrzepotała dłońmi.

– Przepraszam, że przeszkodziłam panom w… w tym.

– Spokojnie, to awaryjna sytuacja – wyjaśnił Bruiser. – Lord Rafe musiał mnie ponieść. Cierpię na… pewne dolegliwości.

Zdecydowanie tak, skomentował w myśli Rafe.

– Dolegliwości? – Ściągnęła brwi, a Rafe zobaczył w wyobraźni, jak pod skórą obracają się zębate kółeczka. – Czy to… – zniżyła głos. – Czy to coś poważnego?

– Niestety, tak. Prawdopodobnie śmiertelnego.

Zasłoniła usta dłońmi, tłumiąc lekko okrzyk. Jedna ręka pewnie byłaby za mało dramatyczna.

– To straszne. Musi być jakiś sposób, żeby panu pomóc. Co to takiego?

– Nie wiem. Byłem nieprzytomny, kiedy badali mnie lekarze. Lord Rafe lepiej to pani wyjaśni. – Bruiser trącił go łokciem w żebra. – No, mów. Opowiedz jej całą historię mojej choroby. Ze wszystkimi szczegółami. Jak to nazwał ten niemiecki lekarz?

Rafe odpowiedział jednym słowem, pozbawionym wszelkich haftów i ozdobników.

– Syfilis.

Pokojówka trochę zbladła, a trochę pozieleniała. Zaczęła się cofać drobnymi kroczkami.

– Przyszłam tylko powiedzieć, że panna Whitmore szuka milorda.

Dygnęła rozpaczliwie i uciekła.

Gdy tylko zniknęła, Bruiser złapał go za ucho i przekręcił je boleśnie.

– Ty cholerny debilu.

– Czego się czepiasz? Przecież skłamałem. A ona uwierzyła.

– Policzę się z tobą za to. – Zaczął kopać Rafe’a w żebra.

Rafe odwrócił się tyłem do ściany i przygniótł go sobą do niej.

– Moja kieszeń – zaskrzeczał Bruiser. – Nie zgnieć mi monokla.

– Pieprzyć monokl. – Rafe pozwolił mu opaść na ziemię. – I pieprzyć całe

to haftowanie. Nie zamierzam kłamać Clio. I tak ma wystarczająco dużo powodów, żeby wyjść za Piersa. To przecież cholerny markiz, który śpi na pieniądzach, a do tego porządny, honorowy człowiek. Nie mogła trafić lepiej.

Rafe chciał przecież, żeby miała wszystko co najlepsze.

– A ty? – zapytał Bruiser.

– Czego znowu chcesz ode mnie?

Bruiser podniósł się z ziemi, otrzepał spodnie i położył mu ręce na ramionach.

– Tu chodzi o twoją przyszłość. Ja zawsze sobie znajdę innego zawodnika, ale ty masz tylko siebie samego. Stoczyłeś wystarczająco dużo walk, żeby wiedzieć, że jeśli chcesz wygrać z Dubose’em, musisz tego chcieć. Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Zamknął oczy i przypomniał sobie, jak leżał na ringu po walce z Dubose’em. Oczy go piekły, w głowie miał watę. Wzrok zaćmił mu pot i krew. Tłumy wokół niego ryczały i śpiewały, kiedy sędzia odliczał ostatnie sekundy jego panowania w lidze.

Boks był jego życiem, jego zbawieniem. Za ciężko i za długo pracował, żeby rozstać się ze sportem w ten sposób.

– Chcę wygrać – powiedział. – Muszę wygrać.

– Wobec tego ta cała sytuacja z Clio tylko cię rozprasza. Co my tu w ogóle robimy, Rafe? Jeśli na serio chcesz załatwić tę sprawę, widzę tylko dwa wyjścia. Albo skłam, że kocha się w niej Piers, albo bądź uczciwy i przyznaj się, że ty.

– Co takiego? – Rafe uchylił się, jak przed sierpowym, który dosięgnął go znikąd.

On zakochany w Clio?

Nie. To niemożliwe.

Lubił ją. I podziwiał. Nie sposób było zaprzeczyć, że jej też pożądał, do granic niebezpieczeństwa. Nikim ani niczym nie był tak długo zafascynowany jak nią. Jeśli nie liczyć boksu.

Ale to było bez szans powodzenia. Dla niej Rafe był tylko rozrywką, a jego pieszczoty mogły ją zrujnować. Wyrobił sobie fatalną reputację i teraz musiał z nią żyć. Co najgorsze, bez trudu potrafiła pozbawić go samokontroli, nad którą tak ciężko pracował.

Powinien się trzymać od niej z dala, właśnie ze względu na uczucia, jakie do niej żywił.

– Nie mam pojęcia, skąd ci to przyszło do głowy – powiedział do Bruisera. – To kompletna bzdura. Ona jest… My nie… – Bezradnie machnął ręką. – Wcale nie jestem w niej zakochany.

Bruiser przewrócił oczami.

– Masz rację. Dupa z ciebie, nie kłamca. Chodźmy do środka.

15

W pół godziny później, siedzący w bibliotece Rafe z tęsknotą popatrzył na kryształową karafkę z brandy. Chętnie napiłby się czegoś mocniejszego. Ale skoro Clio chciała z nim o czymś porozmawiać, będzie potrzebować przytomności umysłu.

– Wszędzie cię szukałam. Tu jesteś.

W progu stanęła Clio. Sam jej widok wywoływał zamęt w jego głowie.

Do diabła. Nie spodziewał się jej tak bez uprzedzenia. Myślał, że zdąży wziąć się w garść, zanim ją ujrzy. Teraz czuł się, jakby ktoś wrzucił go znienacka do basenu z migotliwym jedwabiem i promiennym pięknem.

Albo zacznie pływać, albo się utopi. A jemu akurat zabrakło oddechu. Myśli szarpały się gorączkowo.

– Ja…

W jego uścisku była taka miękka i ciepła.

I ten jej niebiański smak.

– Hm. – Bruiser odchrząknął znacząco. Sam zdążył już wstać z krzesła.

W ułamku sekundy Rafe też już był na nogach. Chryste panie, czyżby tak już schamiał, że zapomniał wstać na powitanie damy?

Teraz, kiedy już wstał, nie wiedział, co zrobić z rękami. Same rwały się, żeby ją objąć.

Skrzyżował ramiona na piersi i napiął mięśnie. Musiał się wziąć w garść.

– Szukałaś mnie – wykrztusił.

– Owszem. – Machnęła kopertą. – Właściwie was obu. Zaproszono nas

jutro na bal. Penningtonowie mają posiadłość w pobliżu Tunbridge. Zaledwie kilka godzin drogi stąd. Daphne ma wielką ochotę iść, nawet Phoebe wyraziła zainteresowanie. Przyłączycie się do nas?

– Świetna sprawa – odpowiedział Bruiser swoim sztucznym, arystokratycznym akcentem. – Bynajmniej tak.

– Nie. – Rafe rzucił mu znaczące spojrzenie. – Nic z tego.

– Czemu nie? – spytała Clio.

– Bo z mojej obecności nie wyniknie nic dobrego. Już nie należę do tego towarzystwa. Nigdy nie należałem.

– Dlaczego tak mówisz? Oczywiście, że należysz.

– Jasne. Każdy ziemianin chciałby mieć zawodowego boksera wśród gości.

– Raczej nie, ale każdy chciałby mieć wśród nich lorda. Niezależnie od tego, co robisz w życiu, zawsze będziesz synem markiza. A dla socjety liczy się tylko urodzenie i ród.

To prawda, dla socjety liczyło się wyłącznie urodzenie i ród. Właśnie dlatego Rafe nią gardził. Wolałby, żeby go oceniano według jego osiągnięć.

– Jeśli pójdziesz – dodała – to może ci nawet wybaczę nieobecność na moim debiucie.

A potem uśmiechnęła się do niego.

Ciepłym, zalotnym uśmiechem ust wygiętych w łuk. Strzała trafiła w cel, czyli prosto w jego serce.

Starał się wyglądać na niewzruszonego.

– To bardzo miło, że nas zapraszasz. Ale musimy odmówić.

Bruiser pociągnął go za kamizelkę.

– Nie przesadzaj, stary. Słowo daję, nie mam pojęcia dlaczego…

Rafe rzucił mu twarde spojrzenie.

– Musimy. Odmówić.

– Dobrze. – Jego trener uniósł dłonie w geście poddania. – Musimy odmówić.

Clio spuściła wzrok, mnąc w palcach kopertę.

– Rozumiem. W takim razie proszę mi wybaczyć, muszę iść napisać odpowiedź.

Gdy wychodziła, jej wargi zacisnęły się w cienką, prostą kreskę.

Rafe zaklął i wypadł za nią na korytarz, akurat na czas, by dostrzec, że znika w drzwiach biblioteki.

Wszedł do środka.

– Musimy porozmawiać. O tym, co się stało wcześniej. W ogóle o wszystkim.

– Koniecznie teraz? Muszę napisać tę odpowiedź, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Posłaniec czeka już od godziny. – Usiadła przy biurku.

– Zrozum. Ja nie jestem mile widziany na takich przyjęciach.

– Oczywiście, że rozumiem – westchnęła i upuściła pióro na bibułę. – Właściwie, tak naprawdę nic nie rozumiem. Od ośmiu lat wysyłałam ci jedno zaproszenie po drugim. Więc nie wiem, czemu mówisz, że nikt cię nigdzie nie zaprasza. U mnie jesteś mile widziany. Zawsze byłeś.

– Czego oczekiwałaś, Clio? Że przyjdę na bal ubrany w czarny frak i wysokie, błyszczące buty? Stanę u szczytu schodów, a lokaj zaanonsuje lorda Rafe’a Brandona z Somerset? Potem odnajdę cię wzrokiem w tłumie i ruszę do ciebie? – zaśmiał się. – A potem poproszę cię do tańca?

Nie zawtórowała śmiechem. W ogóle nic nie powiedziała.

Zaróżowiła się tylko i wbiła wzrok w bibułę. Po długiej chwili ciszy zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła pisać.

Jasna cholera.

Więc dokładnie na to liczyła. A on właśnie zadrwił z tego, że śmiała mieć takie marzenia.

Przykro mu było, że ją zranił, ale może tak było najlepiej. Ta jej wymarzona scenka nigdy się nie zdarzy. To niewykonalne.

I ona musi to koniecznie zrozumieć, raz na zawsze.

– Clio, przepraszam jeśli…

– Nie przepraszaj. Nie trzeba. Dlaczego coś między nami miałoby się zmienić po twoim wyznaniu, że pożądasz mnie od lat, i po tym jak pieściłeś moje piersi? Co z tego, że to była jedna z najbardziej namiętnych, podniecających chwil w moim życiu? Dla ciebie to po prostu kolejny czwartek.

– Wiesz, że to nieprawda.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy płonącym wzrokiem.

– Masz rację. Wiem, że to nieprawda. I dlatego boli jeszcze bardziej.

Do diabła. Jak zwykle wszystko popsuł jeszcze bardziej.

– Ja już nie należę do tego świata. Ale ty tak, Clio. Powinnaś pojechać i dobrze się bawić.

– Od razu zaczną plotkować. – Pióro skrobało po papierze. Zniżyła głos do ironicznego szeptu. – Patrzcie, przyjechała Panna Niedoczekalska. Ciekawe, czy tym razem uda jej się go zawlec przed ołtarz. Chcesz się założyć?

– Wcale tak nie będzie.

– Masz rację. – Przerwała pisanie. Jej twarz zmiękła. – Masz absolutną rację. Tym razem tak nie będzie. Bo jutro o tej porze już nie będę zaręczona.

Do diabła. To mu się nie spodobało.

Zapieczętowała kopertę kroplą wosku.

– Nie będę cię prosić, żebyś pojechał ze mną na ten bal. Ale przed moim wyjazdem musisz podpisać te papiery.

– Tydzień się jeszcze nie skończył – powiedział. – Została dzisiejsza noc.

– Nie wyobrażam sobie, co mógłbyś zrobić w tę noc, żebym zmieniła zdanie. – Rzuciła mu kwaśny uśmiech. – Przepraszam, posłaniec czeka.

Wyszła z biblioteki z zapieczętowaną odpowiedzią w dłoni.

A Rafe zaczął myśleć o haftowaniu.

Kolacja upłynęła w ponurym nastroju. Przynajmniej dla połowy biesiadników.

Clio była nieswoja i milczała. Rafe był nieswój i milczał. Na szczęście

druga połowa towarzystwa kompletnie nie zauważała ich nastroju.

Daphne rozprawiała o jutrzejszym balu u Penningtonów. Wielmożny pan, jak Clio zaczęła go nazywać w myślach, relacjonował w przerwach swoje „eskapady na kontynencie”. A Teddy przez całe pierwsze danie zabawiał towarzystwo opisami swoich najnowszych sławetnych butów do jazdy konnej.

Po kolacji przeszli do salonu.

– Kończę menu na weselne śniadanie – obwieściła Daphne. – Jeszcze tylko parę rzeczy. Ile powinno być sosów?

– Czy możemy porozmawiać o czymś innym? – spytała Clio łamiącym się głosem. – Proszę was. Jestem taką złą gospodynią, kazałam ci ciężko pracować przez cały tydzień. Popatrz tylko na biednego Teddy’ego. Jest śmiertelnie znudzony tymi wszystkimi menu. Może byśmy w coś zagrali?

– W co?

– Wszystko jedno. – Zgodziłaby się nawet na wyścigi za wysmarowanym tłuszczem świniakiem, byleby tylko nie rozmawiać o tym ślubie. – W karty, tryktraka albo w cokolwiek innego.

– Żadnych kart – odparła Daphne. – Nie z Phoebe. Z nią nie da się wygrać.

– To nie znaczy, że nie możemy z nią grać i mieć z tego przyjemność – odpowiedziała Clio, nie chcąc ranić uczuć siostry.

Phoebe przewróciła kartkę książki.

– Nie mam ochoty na karty.

Pan Montague włączył się do rozmowy:

– Jeśli można coś zaproponować… może wybierzmy jakąś grę towarzyską?

– Grę towarzyską? – Clio rzuciła spojrzenie w stronę Rafe’a. Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Wolałby się najeść ślimaków niż towarzyską grę. – Świetny pomysł – powiedziała.

– Och, uwielbiam takie gry – dołączyła się Daphne. – Są takie okropnie nieprzyzwoite. Jeśli nie ma tam całowania, to są macanki albo siadanie sobie

na kolanach.

– Myślałem o innej grze. Nauczyłem się jej na kontynencie – sprostował Montague.

– Kontynentalna gra towarzyska? – spytała Daphne. – To brzmi obiecująco. Będą macanki?

– Nie, lady Cambourne. Ale podejrzewam, że i tak się pani spodoba – uśmiechnął się. – Każda osoba po kolei mówi trzy zdania. Dwa muszą być prawdą, a jedna kłamstwem. Pozostali muszą odgadnąć, kiedy skłamała.

Daphne szybko pocięła słomki. Rafe odmówił losowania, Clio wyciągnęła najkrótszą.

– To za łatwe – sprzeciwiła się Daphne. – Znamy Clio przez całe życie, a poza tym ona nie ma żadnych sekretów.

– Naprawdę? – Montague rozsiadł się w fotelu i założył nogę na nogę. – Nie jestem pewny, lady Cambourne. Podejrzewam, że panna Whitmore ma ich mnóstwo.

– Szczerze mówiąc, tak – odpowiedziała Clio.

Na te słowa Rafe posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Serce zabiło jej szybciej.

Co za okropny typek. Niepokoi się, że powie o swoim planie zerwania zaręczyn? Albo przyzna się, że się namiętnie całowali?

Miałby za swoje, w obu przypadkach.

Ale Clio miała dość myślenia i o nim, i o Piersie. Tym razem miała ochotę powiedzieć coś o sobie.

– Oto moje trzy zdania. Po pierwsze, mój ulubiony kolor to zielony.

Daphne jęknęła.

– Niech to nie będzie takie oczywiste.

– Po drugie – brnęła dalej Clio – planuję wybudować browar, tu, w Twill Castle. A po trzecie – przesunęła spojrzeniem po całym towarzystwie – nigdy się z nikim nie całowałam.

Złożyła ręce na podołku i czekała na reakcje.

W salonie zapanowała pełna zdumienia cisza. Daphne, Teddy… nawet Phoebe… Oni nie byli tak pro prostu zdziwieni. Tylko wręcz zszokowani. Aż tak bardzo wstrząsnął nimi ten pomysł z browarem?

Teddy ze smutkiem pokręcił głową.

– To… och, do diabła ciężkiego. Nie wiem, co powiedzieć. Chyba tylko, że cholernie mi przykro.

– Och, kochanie. – Daphne wstała z fotela i usiadła obok Clio na kanapie. Położyła jej dłoń na kolanie. – Nigdy cię nie pocałował? Ani razu, przez te wszystkie lata?

Clio wzięła głęboki oddech. To, że cała rodzina uznała to za prawdę, wiele mówiło o jej smutnym życiu.

– Oczywiście, wszyscy wiedzieliśmy, że to nie jest małżeństwo z miłości – dodała Daphne. – Ale spodziewaliśmy się, że do tej pory polubiliście się choć trochę.

– Nie wykręci się z tego. – Teddy zerwał się z fotela. – Nie pozwolimy mu odwołać zaręczyn, choćby nie wiem jak próbował się z nich wyśliznąć. Po ośmiu latach czekania jest ci winien ten ślub.

– Spokojnie – powstrzymała go Clio. – Za szybko wyciągasz wnioski. Skąd wiesz, że zdanie o pocałunku nie jest fałszem?

– Bo to jest oczywiste – poparła męża Daphne. – Wszyscy wiedzą, że twój ulubiony kolor to zielony. Więc to odpada. A ta bujda z browarem? To nie może być prawda. Kompletnie nierealny pomysł.

– Co w nim nierealnego? Trzeba wykorzystywać zasoby tej posiadłości, bo ucierpią na tym mieszkańcy. Myślicie, że nie dałabym rady?

– Dałaby radę – potwierdził Rafe.

Zaskoczona Clio odwróciła się ku niemu. Nie spodziewała się, że zwraca uwagę na tę rozmowę.

– Dałaby radę – powtórzył, opierając się ramieniem o boazerię. – Te okolice są idealne do uprawy chmielu. A panna Whitmore ma pieniądze, ziemię i rozum. Jeśli znajdzie odpowiednią pomoc, może rozkręcić ten

interes.

– Bardzo możliwe – zgodził się Teddy. – Ale jej narzeczony nigdy się na to nie zgodzi. Czy wyobrażacie sobie, że w pubach i oberżach pojawi się ale Lady Granville? – zaśmiał się pod nosem. – Twój brat nigdy by się na to nie zgodził.

– Masz rację – przytaknęła Clio, zbierając się na odwagę. – Nie wyobrażam sobie, żeby Piers się na to zgodził. To chyba oczywiste, prawda? Ale ja nie zamierzam za…

– Nie zamierzasz zakładać browaru. Pewnie, że to oczywiste. Wręcz absurdalne. – Daphne klasnęła w dłonie. – Więc kończymy z Clio. – Kto następny?

– Chwileczkę – przerwał Rafe nie znoszącym sprzeciwu tonem. Jego oczy rzucały iskry. – Kolejka Clio jeszcze się nie skończyła. Myli się pani, lady Cambourne. Całkowicie się pani myli.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Panna Whitmore naprawdę z kimś się całowała – odparł Rafe. – Wiem to na pewno.

– Ale w jaki sposób się pan tego dowiedział? – spytała Daphne.

Clio wstrzymała oddech. Czy chciała, żeby Rafe szczerze odpowiedział na to pytanie? Może i tak. Choć sama zaczęła tę grę, decyzja należała teraz do niego.

Gniewnie machnął ręką.

– Byłem przy tym.

Do diabła.

Wcale nie chciał tego powiedzieć. Słowa wyrwały mu się same, jak dzikie, niebaczne uderzenie, które powinien powstrzymać.

Wszyscy spojrzeli na niego. Podejrzewał, że włącznie z Clio, ale bał się na nią popatrzeć, żeby sprawdzić.

– Lordzie Rafe, czy chcesz przez to powiedzieć, że widziałeś ten

pocałunek na własne oczy? – Daphne nie starała się ukryć powątpiewania.

– Nie – odpowiedział uczciwie.

Nie widział go na własne oczy. Co za dureń całowałby się z otwartymi oczami.

Czuł go na własnych wargach.

Ale to wyznanie na nic by mu się nie przydało.

– W takim razie moja odpowiedź się liczy – odparła Daphne. – Na kogo teraz kolej?

– Na mnie – powiedział Rafe.

– Na ciebie? – spytała Clio. – Myślałam, że z nami nie grasz.

– Zmieniłem zdanie.

– Zdaje mi się, że musisz poczekać na następną kolejkę – powściągnął go sir Teddy Cambourne. – Moja pani pocięła słomki i wszyscy je ciągnęli. To jest już za nami. Nie możesz wejść bez kolejki, jeśli nie ciągnąłeś słomek.

Rafe popatrzył na niego. Z siłą ciosu pięścią.

– Naprawdę?

Cambourne zamilkł. Podobnie jak reszta towarzystwa.

Rafe uznał to za zaproszenie.

– Pierwsze zdanie. W pierwszej walce o mistrzostwo pokonałem Goldinga uderzeniem w wątrobę w dwudziestej trzeciej rundzie. Drugie… – Poprawił się w fotelu. – Kiedy ostatnio rozmawiałem z Piersem, mówił mi, jak bardzo żałuje, że obowiązki tak długo trzymają go poza krajem, bo…

Wyrzuć to z siebie.

– Bo jest tak głęboko zakochany – dokończył.

W salonie zapadła jeszcze głębsza cisza.

Do chwili, gdy Daphne wypowiedziała dwa słowa:

– W Clio?

– Tak, w Clio.

Rafe wstał z fotela i zaczął chodzić po dywanie. Był zdenerwowany ponad wszelkie wyobrażenie. Co się dzieje z tymi ludźmi? Czy tak trudno w to

uwierzyć? Owszem, jego brat był zamknięty w sobie, ale oni wszyscy przecież ją kochali. Była cudowna.

Aż za bardzo.

Może z początku sam nie do końca wierzył w swoje kłamstwo, ale teraz poszedł na całość.

Dał z siebie wszystko.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, wspominał jej debiutancki bal. Opowiadał, że była ubrana w błękitną suknię przybraną koronką. Perły we włosach. Wyglądała ślicznie, choć się wyraźnie denerwowała. Pamiętał, z jaką autentyczną serdecznością witała każdego z gości. Powiedział, że w tym momencie uświadomił sobie, że żadna kobieta na tej sali nie może się z nią równać. Czuł się najszczęśliwszym z ludzi, wiedząc, że została mu przyobiecana. – Rozejrzał się po salonie. – Kochał ją już wtedy. I dalej ją kocha.

Wszyscy ucichli i wrócili na swoje miejsca.

– Nieźle – mruknął Bruiser pod nosem.

Cambourne uderzył się po udzie odzianą w rękawiczkę dłonią.

– Zawsze to jakaś pociecha. Co nie, kluseczko?

– Zakładając, że to prawda – odparła obojętnie Clio. – Na razie usłyszeliśmy dwa zdania. Czekam na trzecie.

– Oczywiście. Trzecie. – Odchrząknął. – Sypiam w lawendowej nocnej koszuli. Wyszywanej.

Bruiser pociągnął łyk brandy.

– To było strasznie dosłowne.

Daphne wybuchnęła śmiechem.

– To zupełnie nie ma sensu. Żadne z was nie potrafi w to grać. Pańska lawendowa koszula nocna jest równie oczywista jak browar Clio. Zagrajmy jednak w karty.

No cóż, zrobił co mógł. Przynajmniej przekonał jej rodzinę. Sam nie wiedział, jak się z tym czuje. Czy to ulga, triumf, czy obrzydzenie do samego

siebie… Właściwie czuł to wszystko naraz.

Ale jego uczucia nie miały tu nic do rzeczy. Liczyły się tylko uczucia jednej, jedynej osoby w tym salonie.

I jeśli Rafe nie przekonał jej tego wieczoru, nie było już dla niego nadziei.

16

Clio doczekała do północy.

A potem jeszcze godzinę.

Kiedy usłyszała, że lokaj przechodzi korytarzem po raz ostatni, usiadła na łóżku.

Nadszedł czas. Nałożyła szlafrok na nocną koszulę i mocno związała pasek. Potem wzięła z nocnego stolika brelok z zamkowymi kluczami i wyszła na korytarz.

Szła powoli. Musiała, bo nie odważyła się zabrać ze sobą świecy. Nie chciała też, by jej kroki albo brzęk kluczy kogoś obudziły.

Na samym końcu korytarza skręciła w prawo, dotknęła dłonią ściany i zaczęła liczyć drzwi, aż dotarła do czwartych. Przesunęła po nich dłonią, żeby odnaleźć dziurkę, wybrała właściwy klucz z pęku…

Wstrzymała oddech…

I obróciła klucz w zamku.

Klik.

Dobrze naoliwione zawiasy poruszyły się bezszelestnie.

Odczekała moment w progu, żeby oczy przywykły do światła. Na kominku migotał żar, zapraszając do środka. Weszła, potem wzięła ogarek woskowej świecy z półki nad kominkiem i przykucnęła, by go zapalić od żaru. Pojedynczy płomyk rozjaśnił ściany bladym, żółtawym blaskiem.

Teraz lepiej widziała wnętrze pokoju.

Jego też lepiej widziała.

Wielkie nieba. Ależ on był przystojny.

Łóżko w tej komnacie było całkiem duże, ale kiedy rozłożył się na nim szeroko, wyglądało jak dziecinne. Wszystkie kołdry i narzuty leżały na podłodze. Poduszki, też – z wyjątkiem jednej. Spał na plecach, przykryty tylko prześcieradłem. Pod nim rozpościerał się cały rzeźbiony krajobraz jego ciała – wypukłe mięśnie i cieniste zagłębienia. Pierś podnosiła się w oddechu i opadała.

Patrzyła zafascynowana do chwili, gdy spostrzegła, że zaczęła oddychać w tym samym rytmie co on.

Postawiła świecę na kominku i po cichutku podeszła do łóżka. Przycupnęła na skraju materaca, wyprostowała nogi i położyła się bokiem, oparta na łokciu.

Wolną ręką ostrożnie odsunęła kołdrę i zaczęła liczyć jego oddechy, by się upewnić, czy go nie obudziła. Po trzecim ostrożnie zaczęła zsuwać prześcieradło. Powoli, cierpliwie… wiedząc, że pod nim kryje się odpowiedź, której szukała.

Poruszył się we śnie. Nie otwierając oczu, przewrócił się na bok i objął ją ramieniem.

Jego dłoń wylądowała na udzie.

Clio wstrzymała oddech. Znieruchomiała w napięciu. Ale jej serce nie dało się tak łatwo opanować. Tłukło się w piersi tak mocno i głośno, że mogło go w każdej chwili obudzić.

Do diabła. Boże.

Wyszła z pokoju pewna, że to genialny pomysł. Nagle to już nie był pomysł, tylko rzeczywistość – ogromna, uśpiona, zmysłowa góra rzeczywistości. Clio nagle straciła tę pewność.

Położył jej rękę na udzie.

I przesuwał ją.

Nawet tego popołudnia nie odważył dotykać się jej tak śmiało. Zaciskał i rozwierał palce. Bezwstydnie, władczo gładził ją po udzie.

Czy to możliwe, że właśnie weszła w jego sen?

Jeśli tak, to warto było się zastanowić, co tu właściwie się dzieje.

Zacisnął palce na jej pośladku.

– Clio – jęknął.

Zdaje się, że coś bardzo miłego.

Z cichym jękiem otoczył jej talię ramieniem i bez trudu przyciągnął ją do siebie.

– Clio.

– Tak, Rafe?

Zielone oczy otworzyły się w jednej chwili.

– Clio?

W chwili krótszej niż uderzenie serca znalazł się na skraju łóżka. Tak daleko, że jeszcze trochę, a by spadł.

Poczuła się urażona tą gwałtowną reakcją. Chybaby zauważyła, gdyby od czasu kolacji na jej twarzy nagle pojawiły się ślady trądu.

Nie, tak się zachowuje człowiek przyłapany na kłamstwie. To znaczy, że dopięła swego.

– Co ty tu robisz, do diabła? – Podciągnął prześcieradło pod samą szyję.

– Czy to nie jest oczywiste?

– Raczej nie.

– Przyszłam sprawdzić, czy masz na sobie lawendową koszulę.

Och, co za mina. Szkoda, że była taka kiepska w rysunkach, bo chętnie utrwaliłaby to zdumienie na zawsze.

– Lawendową koszulę nocną – powtórzyła. – Tę haftowaną, o której mówiłeś nam wieczorem. Lepiej dla ciebie, żebyś ją miał na sobie pod tym prześcieradłem. Bo wiem, że twoja opowieść o Piersie była czystym kłamstwem, od początku do końca.

– Myliłaś się. – Opuścił prześcieradło do pasa. – Widzisz? Nie ma żadnej koszuli.

Fakt. Nie miał na sobie lawendowej koszuli.

W ogóle żadnej koszuli.

Był nagi aż do bioder, a jego ciało wyglądało jak rzeźba z brązu. Miała ochotę przytulić się do niego, ale jakiś wewnętrzny głos kazał jej się zatrzymać. Ale to nie był głos, który trzyma dziewczęta z dala od niebezpiecznych mężczyzn, tylko instynkt, jaki nie pozwala podnieść ziemniaka, który właśnie spadł w żar.

Żeby sobie nie oparzyć palców.

– W takim razie oszukałeś nas wszystkich – wykrztusiła, z trudem spoglądając mu w oczy. – Powiedziałeś więcej niż jedno kłamstwo. Za takie rzeczy ludzie wyzywają się na pojedynek.

– Co to ma być? Chcesz się pojedynkować? Nikt nie robi takich rzeczy z powodu gier towarzyskich.

– Nie. Ale można zostać wyzwanym, jeśli naraża się cnotę kobiety i niszczy jej szanse na szczęście. Tu chodzi o moje życie. A ty mnie okłamujesz.

Senność nagle zniknęła z jego twarzy. Obudził się do reszty i ogarnął go gniew.

– Powiedziałem, że Piers cię kocha. Dlaczego jest ci tak cholernie trudno w to uwierzyć?

– Bo moje kłamstwo było cholernie bliskie prawdy. Nigdy mnie nie pocałował, Rafe. Ani razu. Przez całych osiem lat narzeczeństwa.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Złożyła ręce na kolanach.

– To prawda. Twój pocałunek w wieży, kilka dni temu… był pierwszy w moim życiu.

– Pierwszy? – Rafe nie mógł w to uwierzyć.

Usiadł na łóżku. Prześcieradło opadło niżej.

– To niemożliwe.

– Zapewniam cię, że to prawda. Upokarzająca ponad wszelkie

wyobrażenie, ale jednak prawda.

Wpatrywał się w jej delikatny profil i rozpuszczone włosy, opadające złocistymi falami na plecy. Była piękna aż do bólu. Po raz pierwszy zaczął wątpić w swojego brata. Czyżby Piers należał do mężczyzn, którzy wolą partnerów tej samej płci?

Niemożliwe. Zbył tę myśl natychmiast. W młodości brat ciągle „pożyczał" jego najlepsze francuskie grafiki z dolnej szuflady, chociaż udawał, że nic o nich nie wie, kiedy Rafe pytał go o to wprost. W czasach uniwersyteckich też rozpowiadano o nim zwykłe, nieprzyzwoite plotki. Niezbyt wiele, ale wystarczająco dużo.

Nie, Piers lubił kobiety.

Co sprawiało, że wyznanie Clio stawało się tym bardziej niezrozumiałe. Jak Piers mógł się oprzeć chęci pocałowania takiej kobiety?

Rafe miał niezmiernie ważne powody, żeby jej nie całować, a pomimo to uległ pokusie, i to nie raz.

– Naprawdę byłem pierwszy? – spytał.

Skinęła głową.

Uczucie triumfu przeszyło go od stóp do głów, jak rozpalona do białości, rozszczepiona błyskawica. Mógłby teraz zrobić rundę triumfalną wokół zamku. Tak wspaniale czuł się tylko po wygraniu pierwszej mistrzowskiej walki w życiu. Opuścił go nawet gniew na brata. Wiedząc, że to on pierwszy pocałował Clio, on pierwszy jej dotykał…

Zapragnął być także pierwszym we wszystkim innym.

Nie tylko pierwszym, ale też ostatnim. I najlepszym.

Zacisnął pięści na prześcieradle.

– Wracaj już do siebie.

Zamiast wyjść, ułożyła się wygodniej na łóżku i otuliła skrzyżowane nogi koszulą. Jakby była u siebie w domu.

Szczerze mówiąc, była u siebie w domu. Trudno, w takim razie on będzie musiał wyjść. Nie tylko z pokoju, ale także z zamku. Jeśli teraz osiodła konia,

rano będzie już w Southwark.

Wskazał gestem koszulę i spodnie wiszące na oparciu fotela – tylko trochę poza jego zasięgiem.

– Możesz mi podać ubranie?

Nawet się nie ruszyła, poza tym, że zaczęła bawić się pasmem rozpuszczonych złotych włosów. Odezwała się niskim, gardłowym głosem.

– Chcesz posłuchać bajki na dobranoc?

– Nie, dziękuję.

Położyła dłoń na jego piersi i pchnęła go z powrotem na materac.

– I tak ci ją opowiem.

Boże Wielki. W kategorii twardości były najpierw skały, potem stal, a daleko przed nimi jego erekcja. Nigdy w życiu nie miał takiego wzwodu – pewnie mogliby się tym zainteresować naukowcy.

Może powinien zamknąć oczy, wsadzić sobie palce do uszu i recytować na cały głos regulamin walk bokserskich autorstw Broughtona, aż Clio sobie pójdzie, albo do samego rana. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na jej upartą minę i wysunięty podbródek, by zrozumiał, że na nic to się nie zda. Na pewno by go przeczekała.

Ta kobieta była mistrzynią cierpliwego oczekiwania. Wszystko przez tego durnia, jego brata.

– Dawno, dawno temu – zaczęła – wyobrażałam sobie, że jestem Śpiącą Królewną. Obiecano mnie w kolebce… wprawdzie nie księciu, ale prawie. Otaczała mnie życzliwa rodzina, zasypywano mnie prezentami. Miałam bogactwo, byłam wykształcona i z dobrej rodziny. Dostałam nawet zamek na własność.

Otoczyła kolana ramionami i zapatrzyła się w żar na kominku.

– W swoje siedemnaste urodziny zapadłam w sen. Nikt nie ukłuł mnie wrzecionem. Ale i tak zasnęłam, na osiem długich lat.

Blask ognia igrał na jej twarzy, darząc policzek czulszą pieszczotą, niż brutal Rafe mógłby kiedykolwiek z siebie wykrzesać.

– Wszędzie naokoło moje koleżanki wychodziły za mąż, podróżowały, rodziły dzieci, zakładały domy. A ja nie. Ja wciąż spałam w mojej wieży. Wciąż czekałam na księcia, który wróci do domu, pocałuje mnie i obudzi.

– W końcu pewnego dnia sama się uszczypnęłam, żeby się obudzić. Zrozumiałam, że do mnie nie przyjdzie żaden książę. A być może – tylko być może – ja go wcale nie potrzebuję. Dostałam od życia tyle darów. Edukację, fortunę i zamek. Kto powiedział, że nie mogę ich wykorzystać sama, tylko dlatego, że jestem kobietą? – Spojrzała na niego. – A potem pojawiłeś się ty.

– Ja nie jestem żadnym księciem.

– Absolutnie nie. Jesteś nieobliczalny, zbuntowany i niewychowany. Ale pocałowałeś mnie w mojej wieży. Przywiozłeś mi wszystkie kwiaty, jakie tylko są w londyńskich szklarniach. Dałeś mi pokój pełen tortów. Oszołomiłeś mnie bez reszty. – Oparła podbródek na kolanach i popatrzyła na niego. – A dziś po południu zdradziłeś się, że pamiętasz, co miałam na sobie na moim pierwszym balu, kiedy miałam siedemnaście lat. Nie zapomniałeś nawet o perłach we włosach.

Puls Rafe’a zamarł. W ustach zrobiło mu się sucho.

– Nie. To nie ja. Przecież mówiłem, że to Piers.

– Kompletnie nie umiesz kłamać. – Spojrzała oskarżycielsko spod rzęs. – Myślałam, że nie było cię na tym debiucie. Ale byłeś. Na pewno byłeś.

– Byłem – przyznał. – Ale nie zostałem długo. Uciekłem prawie od razu.

– Dlaczego?

– Bo nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Mówiłem ci przecież, jak to było. Kochałem się w tobie, i wiesz przecież, że zawsze zazdrościłem Piersowi. Ten wieczór był dla mnie czystą torturą. Nienawidziłem ich za to, co z tobą robią. Jakby ten wieczór był po to, żeby zawinąć cię w papierek, jak najlepszy prezent urodzinowy świata, i wręczyć Piersowi, żeby zobaczyć, czy mu się spodoba. – Przeczesał dłonią włosy. – Miałem ochotę coś rozwalić. Więc poszedłem szukać zwady.

– Nie mam do ciebie pretensji, że wyszedłeś. – Dotknęła jego ramienia. –

Ja też miałam ochotę stamtąd uciec.

Te słowa zabrzmiały w jego głowie jak dzwonki alarmowe, ale nie był w stanie nic powiedzieć. Delikatna pieszczota jej palców na nagiej skórze odebrała mu mowę. Od tak dawna o niej marzył. Była taka piękna. Była tu i teraz. Z nim.

Z nim.

Z niewłaściwym mężczyzną. Z tym najgorszym.

– Clio… – powiedział zdławionym głosem.

– Cicho bądź. – Uklękła i przysunęła się do niego. – Przestań wreszcie walczyć i pozwól, żeby się zdarzył cud.

Rzeczywiście, wtedy zdarzył się cud.

Pochyliła się i dotknęła jego warg swoimi.

Słodkie niebiosa.

Całował ją już parę razy i każdy pocałunek był lepszy od poprzedniego.

Ale pocałunek, który ona sama zaczęła? To był nieznany ląd.

Albo po prostu raj.

Muskała go wargami, za każdym razem rozchylając je szerzej. Drażniła językiem kąciki jego ust, a potem nieśmiało wsunęła go do środka.

Jęknął prosto w jej usta, niezdolny się opierać. Jego ramiona objęły ją same z siebie, przyciągnęły bliżej, żeby siadła na nim okrakiem.

Ale jej słowa nie dawały mu spokoju.

„Ja też chciałam stamtąd uciec”.

Wiedział, że dla większości kobiet jest tylko ucieczką. Przychodziły do jego łóżka, bo uciekały przed czymś. Przed marzeniami, konwenansem, nudą, nieszczęśliwym małżeństwem, albo przed tym wszystkim naraz. Dlatego na długo przed ostatnią walką zerwał ze wszystkimi romansami. Przestała go bawić rola erotycznego ogiera, do którego lgną kobiety żądne dzikiej, szalonej jazdy. Powiedział sobie, że następnym razem zwiąże się z kobietą, która nie będzie przed niczym uciekała. Z taką, która po prostu będzie chciała być z nim.

Przewrócił się na plecy i przerwał pocałunek, nie odwracając od niej wzroku. Szukając w jej twarzy zapewnienia.

– Powiedz mi, dlaczego tu jesteś. Dlaczego to robimy.

Nabrała oddechu, żeby odpowiedzieć – i przy tym uniosła pierś.

– Nieważne – powiedział, wsuwając palec pod koronkowy dekolt. – Nie odpowiadaj, nie muszę tego wiedzieć.

Tym razem było mniej guzików. Nie więcej niż pięć. Nie liczył ich i nie zawracał sobie głowy rozpinaniem. Gdy tylko znalazł się przy klatce piersiowej, wsunął dłonie pod tkaninę i zdjął ją przez głowę… odsłaniając blade, cudownie pełne piersi. Najpierw jedną, cal po calu, rozkoszując się tą pokusą. Potem drugą.

Przez długą chwilę mógł tylko patrzeć.

– Mam nadzieję, że dorównuję twoim marzeniom.

W jej głosie brzmiała niepewność… Znienawidził sam siebie za to, że pozwolił jej w to wątpić, choćby przez moment. Ktoś elokwentny i wyrafinowany napisałby odę na cześć jej urody.

Ale on mógł tylko wykrztusić:

– Jesteś od nich lepsza. O wiele lepsza.

Marzenia nie były takie ciepłe. Ani miękkie. Nie szumiały w jego głowie aromatem fiołków. I nie były rzeczywiste.

Dostrzegł maleńkie znamię pod jej lewą piersią i pogłaskał je kciukiem w podzięce za to, że przywróciło mu poczucie rzeczywistości.

Zadygotała, gdy ujął jej piersi w dłonie. Doskonale. Może przez to nie zauważy, że i on cały drży.

Był oszołomiony. Jej skóra była tak cudownie gładka. Miększa niż płatki kwiatów, niż chmury, niż senne marzenia. A pośród tej sennej miękkości prężył się niewielki sutek, błagając, by się nim ktoś zajął.

Kimże on był, żeby odmówić?

Pochylił głowę i ujął go zębami…

– Rafe – jęknęła. – Tak…

Właśnie tak.

Wsunęła mu palce we włosy, przyciągnęła go bliżej, a jego członek… Boże, jego członek znalazł się właśnie tam, gdzie chciał, tuż przy jej kobiecości. Rozsunął nieco bardziej jej uda i ułożył biodra pomiędzy nimi. Potem zaczął się poruszać w powolnym rytmie, jakby już się kochali, choć tylko ssał i masował jej piersi.

Leżała cicho, ale nie w milczeniu. Jej ciche, słodkie jęki rozkoszy pobudzały jego wszystkie nerwy, jak dotyk paznokci na plecach.

Po chwili zaczęła się poruszać razem z nim, ocierając się o jego wzwiedziony członek. Jej bielizna i jego prześcieradło stawały się coraz cieplejsze i jeszcze zwiększały napięcie.

Dobry Boże, było cudownie.

Cudownie jak cholera.

Mimo to, w dalszym ciągu słyszał jej słowa.

„Ja też chciałam stamtąd uciec”.

Uniósł głowę. Odrzucił wszelkie hamulce, które narzucał sobie od wielu lat, wszelkie ograniczenia i całą wewnętrzną dyscyplinę, która zrobiła mistrza boksu ze zbuntowanego nastolatka.

– Zmieniłem zdanie – powiedział. – Muszę to wiedzieć. Dlaczego jesteś ze mną? Tu i teraz?

– Bo chcę ciebie. I chcę tego. – Wygięła szyję i pocałowała go w policzek, a potem w usta. A jej ciało napięło się i otarło o jego członek.

Jego umysł stał się nagle czystą kartą.

Opory? Jakie opory? Jakieś skrupuły, o których powinien pamiętać? Jakiś obowiązek? Lojalność? Nie pamiętał o niczym, chyba że było ukryte pod krągłością jej piersi.

Mógł myśleć tylko o jednym: Clio go pragnie. Więc dostanie to, czego pragnie. Tu i teraz. Nie liczył się nikt inny. Nim też nikt się nie przejmował, poza nią jedną.

– Rafe. Od tak dawna o tym marzyłam.

Kiedy wypowiedziała szeptem jego imię, wezbrała w nim dzikość. Jednym ruchem rozsunął jej uda i opuścił się na nią, pragnąc by to miękkie, niezmierzone ciepło otoczyło jego oszalałe serce. Bał się, że bez tego wyrwie mu się z piersi.

Oparł się czołem o jej czoło. Dotknął jej włosów i ślicznego policzka.

Wtedy pocałowała go tak czule, że o mało się nie rozpłakał.

Objęła go gładką, mocną nogą. Zacisnęła palce na jego włosach. Przytuliła się, jakby należał tylko do niej. Jakby wszystko w tej mrocznej, zrozpaczonej, błagalnej duszy było jej własnością.

Może rzeczywiście tak było

Marzył o tej chwili, od kiedy skończył piętnaście lat. Była tak namiętna, tak czuła na jego dotyk. I choć rozpaczliwie pragnął w nią wejść i dać upust żądzy, którą czuł od tylu lat… Jeszcze bardziej pragnął tego, co mogło przyjść później.

Bliskości. Uczucia. Może nawet…

Och, niech to diabeł porwie.

Może nawet miłości.

– Rozumiesz, co to znaczy, że leżymy obok siebie? – Wsunął dłoń między nich, podnosząc rąbek jej delikatnej jak mgiełka nocnej koszuli. – Wiesz chyba, co się zaraz stanie.

– Wiem.

– Nie bój się. Będę uważał. I będę dla ciebie dobry.

Mruczał te słowa, które brzmiały sztucznie nawet w jego uszach. Ale były prawdą, co do sylaby. Mało kto podejrzewałby, że mężczyzna zbudowany jak barbarzyńca jest zdolny do delikatności. Zresztą do tej pory kobiety nigdy tego od niego nie oczekiwały. Ale miał w sobie mnóstwo czułości. Gromadził ją przez długie lata.

Dziś w nocy odda to wszystko Clio.

– Wcale się nie boję – szepnęła. – Ale musisz mnie teraz na moment puścić.

Delikatnie lizał i skubał jej szyję, wędrując wargami do góry, zachwycając się każdym centymetrem skóry.

– Nic z tego.

Teraz, gdy ma ją w ramionach, nigdy jej nie puści.

– Muszę iść na chwilę do siebie. Zaraz wrócę. Są w górnej szufladzie.

W górnej szufladzie.

Gdyby to była inna kobieta, pomyślałby, że chodzi jej o kondomy. Albo gąbkę. Ale ona przecież niedawno całowała się pierwszy raz w życiu. Była niewinna. Wiedział, że walczy o niezależność, ale na pewno nie była aż tak wyemancypowana.

– Co jest w tej górnej szufladzie, kochanie? Na pewno może poczekać.

Przesunął dłonią w górę jej nogi i dotknął delikatnego wnętrza uda.

Wielki Boże. Był o kilka cali od jej serca. Od tej gorącej, ciasnej słodyczy.

– Nie może – jęknęła. – Chodzi o te papiery.

17

Te papiery… – powtórzył jak echo.

Clio skinęła głową. Brakło jej tchu z emocji, więc ledwie mogła mówić. Magia jego pieszczot doprowadziła ją do szaleństwa. To twarde, gorące, mocne ciało, które przyciskało ją do materaca, dawało pierwotne poczucie bezpieczeństwa. Bardzo ryzykownego bezpieczeństwa…

Jego dłoń leżała na jej udzie, a kciuk był…

Tak bardzo blisko.

Poruszyła się pod nim, pragnąc ruchu, tarcia, nacisku. Wszystko jedno czego. Nie spodziewała się, że jest taka bezwstydna, ale Rafe sprawiał, że czuła się wyjątkowa. Pozbawił ją wszelkich oporów.

– Błagam cię – poprosiła. – Podpisz je najpierw. Wtedy będę wolna, bez żadnych wątpliwości i żalu.

– Dobrze. – Wysunął dłoń spod jej bielizny.

Mimo że przerwał na chwilę pieszczoty, Clio była szczęśliwa.

Więc to się w końcu uda. W końcu będą mogli być razem – ona i Rafe. Miała wrażenie, że czekała na tę chwilę – nie dni czy lata, tylko przez całe życie.

Usiadła, zapinając koszulkę drżącymi palcami. Zaśmiała się, upojona radością.

– To potrwa tylko chwilkę. Zaraz wracam.

– Nie wracaj.

Zaskoczył ją ostry ton jego głosu.

– Co takiego?

– Bo ja ich nie podpiszę.

– Dlaczego?

– Bo to nie ty tego chcesz. – Wskazał gestem przestrzeń, która ich dzieliła. – Ty po prostu wiesz, że ja tego chcę. A w rzeczywistości chcesz tylko uciec.

Clio nie rozumiała, o co mu chodzi. Dosłownie chwilę temu namiętnie całował jej piersi, a teraz wydawał się… zirytowany.

Może go czymś uraziła?

– Planowałaś to od tygodnia, prawda? Dlatego pozwoliłaś mi zostać.

Odwrócił się od niej i sięgnął po spodnie wiszące na krześle.

– Znasz moją reputację. Wiedziałaś, że nawet jeśli nie podpiszę tych papierów, to cię uwiodę. A to zadziała dokładnie tak samo. Nie będę miał wyboru i unieważnię twoje zaręczyny.

– Wcale nie – zapewniła go pośpiesznie. – Wcale tego nie planowałam. Przysięgam, Rafe, że źle mnie zrozumiałeś.

Wstał, żeby włożyć spodnie.

– Po to przyszłaś do mnie do Southwark. Dlatego pozwoliłaś mi się całować, patrzeć na siebie, dotykać cię… Jesteś zbyt strachliwa, żeby powiedzieć mu to wprost, a ja doskonale się nadaję do odegrania roli łajdaka.

– Nie jesteś łajdakiem.

– Oczywiście, że jestem. Śledziłaś moją karierę. Znasz moją reputację. Jestem Zaprzedany Diabłu. W twoich oczach nadaję się tylko do jednej rzeczy – żeby niszczyć. Żeby cię zrujnować przed ślubem. Żeby wybijać dziury w pubach, reklamując piwo. – Rzucił jej wściekłe spojrzenie. – Ty wcale mnie nie potrzebujesz. Ty chcesz tylko wydostać się się z tej sytuacji.

Teraz Clio także się rozgniewała.

– Wcale nie jestem strachliwa. Już nie. – Zacisnęła dłonie w pięści. – Przez całe życie uczono mnie, że nie mam żadnej wartości. Że jestem tylko posłuszną córką szlachcica, która z czasem zostanie uległą żoną arystokraty. Nawet to mi się nie udało. Nie masz pojęcia, ile trzeba było odwagi, żeby w

ogóle pomyśleć o zerwaniu tych zaręczyn.

– W takim razie odważ się powiedzieć mu to sama. Bo ja nie podpiszę tych twoich papierów. Ani dziś, ani jutro. Ani nigdy.

Ani nigdy?

Ścisnęło ją w żołądku.

– Nie możesz odmówić. Obiecałeś mi to.

– Ty również obiecałaś coś Piersowi.

– Byłam wtedy dzieckiem.

– Ale już nie jesteś. – Pochylił się nad nią, opierając dłonie na materacu po obu stronach jej bioder. – Jesteś kobietą. Masz dwadzieścia pięć lat, posiadłość ziemską i fortunę. Mogłaś zerwać te zaręczyny w dowolnym momencie. Napisać do niego list, całe lata temu. Ale nie zrobiłaś tego. Przez cały tydzień odgrywałaś przed własną rodziną komedię z planowaniem ślubu tylko po to, żeby oszczędzić sobie niewygodnej rozmowy.

Jego oskarżenia bolały, popychając ją w ślepy zaułek – a klatka jego ramion nie pozwalała się nigdzie ukryć.

– Chcę tylko mieć możliwość podejmowania własnych decyzji, kierowania moim życiem. Musisz to zrozumieć. Wiem, że ty też tego chcesz.

– Ja wiem, kim jestem. Bokserem. A nie najemnym zbirem. Jeśli chcesz komuś wymierzyć cios w podbrzusze po ośmiu latach, zaciśnij pięści i zrób to sama.

Clio nie miała pojęcia o ciosach w podbrzusze. Wiedziała natomiast, że nie może pozwolić, by ta rozmowa zakończyła się w taki sposób.

Skoncentruj się. Przewiduj. Reaguj.

Nagle połaskotała go w żebra. Wydał zaskoczony okrzyk. Kiedy jego ramiona się ugięły, złapała go za szyję i przewróciła na plecy.

Zanim zdążył się otrząsnąć ze zdziwienia, usiadła mu na piersi.

– Nie wywiniesz mi się tak łatwo.

Wielki Boże. Napięte mięśnie jego brzucha były twarde jak cegły pod jej udami, a nozdrza miał rozdęte jak u rozdrażnionego byka. Na moment

zyskała nad nim przewagę, ale wiedziała, że gdyby chciał, zmieniłby to bez trudu.

– Zawarliśmy umowę – szepnęła. – Zaufałam ci. Zrobiłam wszystko, co chciałeś. Przymierzałam te poniżające suknie… Ja… obnażyłam się przed tobą, na wszystkie możliwe sposoby.

Jego wzrok przesunął się śmiało po jej ciele i zatrzymał się na piersiach.

– Tak, zrobiłaś to. Pozwoliłaś, żebym dotykał cię wszędzie moimi silnymi, wielkimi łapskami.

– Tak. I mogłam wtedy myśleć tylko o jednym: kiedy będę mogła ci na to znowu pozwolić. Pragnę ciebie, Rafe. – Uderzyła dłonią w jego pierś. – Jak mam ci to pokazać? Marzę o twoim dotyku. Serce mi się ściska za każdym razem, kiedy jesteś blisko mnie. A kiedy jesteś daleko, ściska się jeszcze bardziej. I wcale nie…

Ucichła nagle, bo w myślach usłyszała własny głos: „Ja, ja, ja”… I od czasu do czasu refren: „Mi, mnie, mnie…” .

Dlaczego była taka samolubna? Wyznawała mu swoje uczucie do niego, ale w ogóle nie zwracała uwagi na to, co on czuje.

– Ja nie kocham Piersa – dodała więc z ciężkim sercem, bo wreszcie dotarła do niej prawda. – Ale ty go kochasz.

Jego pierś uniosła się i opadła.

– Kochasz go, prawda?

Nie powiedział tego na głos. Zresztą nie oczekiwała takiego wyznania. W końcu należał do rodziny Granville’ów.

Zamiast tego westchnął chrapliwie i odpowiedział:

– To mój jedyny brat.

Jakby to wszystko tłumaczyło.

I rzeczywiście tak było.

Ależ była głupia, że nie dostrzegła tego wcześniej. To był przecież główny temat całego tego tygodnia. Nie chodziło o karierę Rafe’a. Ani o jego wygodę.

Pomimo wszystkich skandali i jego pogardy dla socjety, więzy krwi wciąż miały dla niego znaczenie. I to ogromne, sądząc po jego minie.

– Dlaczego mi tego po prostu nie powiedziałeś? – Wymierzyła mu żartobliwe pchnięcie. – Mężczyźni. Muszę przyjść do ciebie w nocy, uwieść we śnie, przykuć do materaca… wszystko po to, żebyś przyznał, jak bardzo ci zależy na własnym bracie.

Nie zaprzeczył.

– Nie mogę mu tak po prostu zabrać narzeczonej. Za dużo mu już odebrałem.

– Za dużo? – Puściła jego ramiona i usiadła obok. – Co mu jeszcze odebrałeś? Nawet jeśli coś źle zainwestowałeś albo straciłeś jakąś część majątku, na pewno nie będzie cię o to winił.

– Szkoda, że to nie jest takie proste. – Podniósł się na łokciach. – Odebrałem mu ojca, Clio. Jestem odpowiedzialny za śmierć starego markiza.

Jasno z tego wynikało, że powinni poważnie porozmawiać.

Ale żeby Rafe miał jakie takie szanse, ta rozmowa powinna się odbyć poza łóżkiem. I powinni być trochę bardziej ubrani.

Kiedy kwadrans później szedł do kuchni w rozpiętej pod szyją koszuli i luźnych spodniach, Clio już na niego czekała.

Zaplotła włosy, ciasno zawiązała szlafrok, a na blacie stołu ustawiła parę świec i trochę jedzenia. Taki piknik dla dwojga o północy.

W innej sytuacji byłby nawet romantyczny. Dzisiaj Rafe czuł się jak skazaniec zasiadający do ostatniego posiłku.

Popatrzył na stół.

– Tort. I piwo.

– Dzięki tobie będziemy jedli torty jeszcze przez miesiąc albo dłużej. – Włożyła palec w krem i spróbowała. – Ten jest agrestowy. Kwaśny smak będzie się dobrze komponował z anyżkowymi nutami porteru.

Anyżkowe nuty? W porterze?

– Kto cię nauczył tego wszystkiego?

– Sama się nauczyłam. Kiedy zaczęłam się zastanawiać nad otwarciem browaru, poprosiłam kucharza, żeby zamówił po beczułce wszystkich jasnych piw, ale, porterów i ciemnych mocnych, jakie tylko były w sprzedaży. A ja postarałam się o podręcznik wybierania win. Spodobało mi się to zajęcie. Okazuje się, że piwa niewiele się różnią od win. – Nalała nieco czerwonobrązowego porteru do szklanki i podniosła do nosa. – Ten jest przyjemny i słodowy. Z nutą kakao. Spróbuj sam.

Podała mu piwo. Pociągnął łyk. Smakowało jak porter. Doskonały porter, ale… porter. Jasne, że słodowy. Wszystkie takie były. Ale nawet jeśli były w nim jakieś nuty kakao i anyżku, to umknęły jego uwadze.

– Nie mam pojęcia, jak ty rozpoznajesz takie rzeczy.

– Wydaje mi się, że my, wszystkie siostry Whitmore, mamy dryg do szczegółów. Phoebe to geniusz matematyczny, Daphne powie ci, spod czyjej ręki wyszła dowolna koronka, gdzie i kiedy ją zrobiono – wystarczy, że spojrzy na trzycalową próbkę. – Wzruszyła ramionami i napiła się piwa. – Ja potrafię wyczuć, że pole piwa obsadzono po brzegach lawendą.

– Ale Daphne i Phoebe nie ukrywają swoich talentów.

Dolała sobie do pełna.

– Mało, że jestem rodzinną kluseczką, to jeszcze mam się przyznać do rozróżniania tylu smaków? Możesz sobie łatwo wyobrazić te wszystkie drwiny, choćby tylko z ust mojego szwagra. – Podsunęła mu piwo. – Ale to nie o mnie mamy dziś rozmawiać.

– To prawda. – Rafe przyciągnął sobie stołek. – To długa historia.

– Tort też jest duży. – Pchnęła w jego stronę widelec. – Zanim zaczniemy, chciałabym tylko zwrócić twoją uwagę na jedną rzecz. Wiedziałam, że tkwi w tobie tajemny ból.

Zaśmiał się niewesoło.

– Po dzisiejszej nocy nie będzie już tajemny.

– I dobrze. Przynajmniej na to jedno będę miała wyłączność. Żadna z

twoich kobiet nie posunęła się aż tak daleko.

Nie wiedziała, co mówi. Żadna z jego kobiet nie miała szans nawet się do niego zbliżyć.

Dziobała tort widelcem, wydłubując z kremu rodzynki. Kiedy je przełykała, bezwiednie zamknęła oczy. A kiedy je otworzyła, przyłapała go, jak się na nią gapił.

– Znowu to robisz – powiedział.

– Co takiego? – spytała z pełnymi ustami.

– Ciastkowe odgłosy.

– Przepraszam. – Przełknęła. – Nawet nie zauważyłam.

– Ale ja zauważyłem. Zawsze zauważam takie rzeczy. Jestem wredny wyrzutek, wiem.

– Przestań tak o sobie mówić. – Odłożyła widelec i oparła łokcie na stole. – Mówię serio, Rafe. Ciągle mówisz o sobie takie rzeczy i szkoda, że nie zaczęłam się temu wcześniej sprzeciwiać. Ja… bardzo cię cenię… I boli mnie, jeśli ktoś cię tak poniża. Nawet jeśli sam sobie to robisz.

Słodka dziewczyna.

– Ale to do mnie pasuje. Zawsze czułem się tak, jakbym nie miał ojca. Od dzieciństwa byłem wyrzutkiem. Piers był zrobiony na obraz i podobieństwo ojca, a ja… Po prostu nie. Byłem kiepskim uczniem. Nie radziłem sobie z ich dżentelmeńskimi sportami. Nie miałem przyjaciół z towarzystwa. Byłem duży i nieokrzesany, brakowało mi urody i kultury. – Pociągnął łyk porteru. – Staruszek puchł z dumy, kiedy Piers choćby kichnął. Ja zawsze byłem nieudacznikiem. Czasem się zastanawiałem, czy w ogóle jestem jego synem.

– Oczywiście, że tak. Jak możesz w to wątpić?

– Bo on sam w to wątpił. W ogóle nie chciał się do mnie przyznać. Zawsze mówił, że jestem synem samego diabła.

– Twój własny ojciec tak cię nazywał?

Rafe postukał widelcem w stół.

– „Mój syn by tego nie zrobił”. Nie masz pojęcia, ile razy słyszałem to

zdanie w młodości. Zawsze się mnie o coś czepiał. „Mój syn nie biegałby z dzieciakami z ludu". „Mój syn nie wyleciałby z Eton". „Mój syn nie biłby się z nikim na pięści".

Przy każdym zdaniu głębiej wbijał widelec w tort.

– Nie potrafił mnie zrozumieć. Psiakrew, ja sam siebie nie rozumiałem. Jako mały chłopak strasznie pragnąłem stać się takim synem, którego by pokochał. Dobrze się uczyć. Dawać mu powody do dumy, jak Piers. Przestać się bić ze wszystkimi. Ale nigdy mi się to nie udawało. – Machnął ręką w jej stronę. – Jestem tak cholernie impulsywny. Nie usiedzę na miejscu. Z czasem nauczyłem się kontrolować uderzenia. Ale języka nie umiem jeszcze hamować i zawsze wyrwie mi się coś, co nie powinno.

– Na przykład: „Clio, tak cię pragnę, że chyba umrę od tego?"

– Nie. Na przykład: „Nie chcę być twoim synem, nie chcę ani pensa z twoich pieniędzy i mam nadzieję, że cię już nigdy więcej nie zobaczę".

Jej widelec zamarł w powietrzu. Nabrała powietrza.

– Takie słowa jest o wiele trudniej cofnąć.

– W kontaktach z moim ojcem? To po prostu niemożliwe.

– Jak to się stało?

– Poprosiłem, żeby kupił mi przydział do wojska. Nie chciał o tym słyszeć, bo Piers już był za granicą. Postanowił więc, że powinienem zamiast tego mieć posadę. W kościele, rozumiesz? Może Bóg mi pomoże, skoro jemu się to nie udało. – Zacisnął palce, aż mu strzeliło w stawach. – Niezbyt mi się to spodobało.

Zaśmiała się.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Odmówiłem. On się wściekł. Pokłóciliśmy się, ostrzej niż kiedykolwiek przedtem.

To jest rodowe dziedzictwo. Mój syn nie będzie pustogłowym próżniakiem. Mój syn nie będzie marnował swoich możliwości.

Właśnie wtedy Rafe zadał najbardziej szalony nieprzemyślany cios w

swoim życiu.

„Nie chcę być twoim synem".

– Od razu to wiedziałem – powiedział Clio. – On zresztą też. Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, zobaczyłem to w jego zimnych oczach. Przekroczyłem granicę, i nie było już dla mnie powrotu. Kazał mi wynosić się z domu. Powiedział, że od tej pory jesteśmy dla siebie obcy. Nic nie odziedziczę. Nie mam już domu. Ani rodziny.

– To surowa kara za bycie czupurnym młodzikiem.

Rafe wzruszył ramionami. Nie bardziej surowa niż głodzenie córki. Po tym co przeżyła, nie odważyłby się rozczulać nad sobą.

– To się stało na moje własne życzenie. Zresztą wtedy z radością odszedłem z domu. Wiesz, jak to jest. Kiedy ci czegoś ciągle odmawiają, w końcu zaczynasz sama sobie wmawiać, że wcale tego nie chcesz.

Ugryzła solidny kęs tortu.

– Więc odszedłeś. I zacząłeś boksować, żeby zarobić na życie.

– Tak jest. Szczerze mówiąc, to było najlepsze, co mogło mi się w życiu przytrafić. Treningi dały mi dyscyplinę. Dzięki nim sam osiągnąłem sukces. Nie zaprzeczam też, że dzięki temu mogłem się na nim fantastycznie zemścić. Był niesamowitym snobem, wiesz? Miałem wielką satysfakcję, kiedy boksowałem pod rodowym nazwiskiem, innymi słowy parałem się tymi wulgarnymi walkami za pieniądze.

Rafe sączył porter. Clio jadła tort. Nie naciskała go, tylko czekała na ciąg dalszy opowieści.

– Przychodził na moje walki.

Przełknęła ślinę.

– Markiz?

Skinął głową.

– Muszę przyznać, że jestem zszokowana. Odwiedzałam go raz na dwa tygodnie i nigdy o tym nie wspominał.

Rafe poruszył głową, aż zatrzeszczały stawy.

– Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą, ani przed walką, ani później, ale zawsze był gdzieś w tłumie, z napiętą, surową miną. Nigdy się nie cieszył. Nigdy nie bił brawa. Po prostu przychodził okazać swoją dezaprobatę. Tak mi się wydaje.

– Cieszyłeś się, że go widzisz?

Potrząsnął głową.

– Byłem piekielnie wkurzony. Przez to walczyłem ostrzej, bo prędzej by mnie diabeł porwał, niżbym przegrał na jego oczach. Miałem w głowie taką wariacką myśl… a raczej taką nadzieję, że pewnego dnia wygram, on wyjdzie z tego tłumu, potrząśnie moją ręką i powie „dobra robota, Rafe”. To by mi wystarczyło. Ale przez cztery lata, kiedy byłem mistrzem, nie zdarzyło się to ani razu.

– Tego dnia, kiedy walczyłem z Dubose’em – mówił dalej – też wypatrzyłem go w tłumie. I po raz pierwszy pomyślałem: jeśli zwycięstwa przez cztery lata z rzędu nie robią na nim wrażenia, to co by się stało, gdybym przegrał na jego oczach?

– Chcesz powiedzieć, że celowo przegrałeś tę walkę?

– Nie. To by nie była prawda. I byłoby nieuczciwe wobec Dubose’a. Był tego dnia po prostu genialny. Ale ta myśl o przegranej została mi w głowie. A każdy trener ci powie, że kiedy masz w głowie taką myśl… jest już po wszystkim, tylko krwi na ringu jeszcze brakuje. Zacząłem popełniać błędy, zwalniać, wymierzać puste ciosy w powietrze.

– I przegrałeś.

– Fatalnie.

– Tak. Pamiętam te sińce – skrzywiła się. – I co dalej? Co zrobił twój ojciec?

Rafe pociągnął solidny łyk piwa, żeby nabrać odwagi przed dalszym ciągiem.

– Pojechał do domu, nie odzywając się do mnie ani słowem. Tej samej nocy miał atak serca. Resztę wiesz. Nigdy nie wrócił do zdrowia. Zmarł w

ciągu tygodnia.

Te słowa zabrzmiały jak puste echo.

– Och, nie – szepnęła miękko. – Rafe. Chyba siebie o to nie obwiniasz.

– A jak miałbym tego uniknąć? – Potarł skronie. – Nie mam zielonego pojęcia, co on czuł tamtej nocy. Niesmak? Troskę? Zadowolenie? Niezależnie od tego, jakie uczucie zamknął w sobie tak szczelnie, w końcu wybuchło. A ja podpaliłem lont.

– Rafe, posłuchaj. – Wbiła w niego przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu. – To nie była twoja wina. Nie i już. W minionym roku miał dwa pomniejsze ataki. Nie był zdrowy.

Przyjął jej słowa do wiadomości, ale nie zmniejszyło to jego poczucia winy. Jeśli nawet to była prawda, powinien się o tym jakoś dowiedzieć. Powinien bardziej uważać. Gdyby wcześniej nie doprowadził do zaognienia sytuacji, może starszy pan doczekałby powrotu Piersa.

– Dostałem wiadomość, że umiera. I pyta o syna. Powiedziałem sobie, że nie powinienem iść. Że to nie o tego syna mu chodzi. Ale w końcu… – Głos mu się załamał. – W końcu nie wytrzymałem.

Clio wzięła go za rękę.

Chciał ją cofnąć, ale się pohamował. Zamiast tego uścisnął jej dłoń, dziękując bez słów. Jeśli miała dość odwagi, by zrobić ten gest, on powinien być mężczyzną i go przyjąć.

– Więc poszedłem do domu. Stanąłem przy jego łóżku. Wydawało się, że już odszedł. Był słaby, prawie nieprzytomny. Widziałem wielu bokserów w kiepskim stanie, ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko z niezwyciężonego autorytetu stał się kruchym dziadkiem. Nie wiedział, gdzie jest ani co się dzieje. Powtarzał tylko „mój syn”. Bez przerwy. „Mój syn, sprowadźcie mojego syna”. – Rafe odchrząknął, żeby rozładować emocje ściskające mu gardło. – Powiedziałem mu, że Piers jest w Wiedniu. Chyba nie zrozumiał.

– Może czekał na ciebie.

– Może. Może przez cały czas mnie kochał. Może chodził na te wszystkie walki z nadzieją, że to ja wejdę w tłum i się z nim pojednam. – Rafe puścił jej rękę. – Dopiero potem to zrozumiałem. Co za głupota. Te wszystkie lata łajdaczenia się na wszystkie możliwe sposoby, podkręcania mojej szatańskiej reputacji, byleby mu tylko dokuczyć. Tyle upartej dumy, tyle zmarnowanego czasu.

– Będzie zmarnowany tylko wtedy, jeśli nie wyciągniesz z niego nauki.

– Wierzysz w to?

– Muszę. Inaczej zalewałabym się łzami na każdą myśl o minionych ośmiu latach.

Zastanowił się nad tym.

– Pewnie masz rację. Nie zawrócę biegu czasu i nie będę dla niego lepszym synem. Ale mam szansę – choć po dzisiejszej nocy znacznie mniejszą – żeby być lojalnym wobec Piersa. Nigdy się ze sobą nie zaprzyjaźnimy. On nigdy już nie zobaczy ojca i to moja wina. Więc przynajmniej mogę…

– Utrzymać przy życiu jego psa – dokończyła. – I sprawić, by jego narzeczona wciąż na niego czekała.

Nie zaprzeczył.

– Mówisz, że Piers nie żywi do ciebie żadnego uczucia. Może i masz rację. Trudno powiedzieć. Ale był tak podobny do naszego ojca, że nie mogę pominąć możliwości, że mu na tobie zależy, i to bardzo. Z typową dla Granville’’ów rezerwą i dystansem. Do tego stopnia, że załamie się, kiedy cię utraci.

Dobrze wiedział, że Piers i Clio to para najlepszych, najporządniejszych ludzi, jakich poznał w życiu. Więc jeśli Piers ją kochał, i mogliby być ze sobą szczęśliwi?

Rafe pragnął tego dla nich obojga.

Clio oparła głowę na rękach.

– Wiem, że masz już dość czekania. Ale zostało ledwie kilka tygodni. Jeśli

chcesz zerwać, nie będę ci stał na drodze. Ale ten cios musisz wymierzyć samodzielnie.

Rafe miał już na sumieniu jedno złamane serce. Poczucie winy i tak za bardzo go przygniatało.

– Nigdy się nie dowiesz, co do ciebie czuje, jeśli nie dasz mu szansy – powiedział.

– Miał na to osiem lat. Obawiam się, że to ja nie będę miała na to szansy.

– Przecież to jest twoja szansa. Nie czekaj ze względu na mnie. Zrób to dla siebie. Ponieważ to jest twoja decyzja i oboje z Piersem zasługujecie, by ją poznać.

– Masz rację – powiedziała po chwili milczenia. – Wiem, że masz rację. Byłam samolubna, że poprosiłam cię o podpisanie tych papierów. Samolubna i tchórzliwa. Po prostu strasznie się tego bałam. Jak mam stawić mu czoło? Przecież to dyplomata, który od ośmiu lat przekonuje rządy różnych krajów, żeby się poddały. Boję się, że kiedy wróci, lekcje wbite mi do głowy przez matkę wezmą górę nad moimi pragnieniami, i wyjdę za niego po prostu z grzeczności.

– Dasz sobie radę – odpowiedział.

Wybuchnęła śmiechem.

– Serio. Przez cały tydzień wykłócałaś się ze mną bez oporów.

– To co innego. – Spojrzała na niego jak na spowiedzi. – Nigdy w życiu z nikim nie rozmawiałam tak jak z tobą. Nie zgadzasz się z moimi pomysłami, ale przynajmniej słuchasz tego, co mówię i jesteś na tyle uprzejmy, że się ze mną sprzeczasz.

Spojrzał z rozbawieniem w głąb swego kufla.

– Przez ten cały czas źle cię trenowaliśmy.

– Trenowaliście mnie? – Uniosła brew. – Jak psa?

Rafe jęknął. Znowu zaczęła.

– Nie jak psa, tylko jak zawodnika. Bruiser wymyślił, że planowanie ślubu powinno cię pochłonąć tak, jak zawodnika pochłaniają przygotowania do

walki o mistrzostwo. Powinnaś myślami być już na ringu, nabrać pewności siebie. Żebyś miała przed oczami własne zwycięstwo.

– No cóż, to wyjaśnia parę rzeczy. Na przykład te komplementy. I pocałunki. I to żałosne kłamstwo o Piersie na moim debiucie. – Zasłoniła oczy ręką. – Co za wstyd. Chciałeś mi tylko dodać pewności siebie. A ja dzisiaj…

– A ty dzisiaj o mało nie zostałaś zrujnowana. – Siłą odsunął jej dłoń od czoła. – Zawsze cię pragnąłem. Między innymi dlatego trzymałem się z dala. Jesteś cholernie kusząca, a ja nie umiem się niczemu oprzeć.

Bez słowa bawiła się kawałkiem tortu, przesuwając go po talerzu.

Przecież chyba nie wątpi w jego słowa. Nawet jeśli uważa, że Rafe jest zdolny do kłamstwa, musiała chyba w nocy poczuć jego pożądanie. Twarde i gorące w każdym calu.

Z drugiej strony, zważywszy że przez ostatnich kilka lat jej rodzina, znajomi i narzeczony traktowali ją z wyrachowaną obojętnością, albo wręcz obrażali… że głodzono ją do tego stopnia, że się rozchorowała… to może jednak parę rozwiązłych słów i dotykania jej tu i ówdzie niekoniecznie było wsparciem, którego najbardziej potrzebowała.

Biała, koronowa suknia też raczej nie rozwiązywała jej problemów.

Cholera jasna. Owszem, zawsze brakowało mu wykształcenia, ale nigdy jeszcze nie okazał się takim idiotą jak w minionym tygodniu.

Potrzebuję wyzwań, powiedziała. Chcę mieć coś swojego.

Ona już miała w sobie waleczność. Powinien to dostrzec od razu. Przecież nie przeżyłaby tych ośmiu lat, gdyby nie miała serca do walki. Tylko że wcale nie chciała wygrywać w gry swojej mamusi. Tak jak Rafe nie miał ochoty być mistrzem świata gry w kulki.

Chciała osiągnąć sukces, ale na własnych zasadach.

– Więc ten wspaniały ślub, który jest marzeniem każdej dziewczyny, podczas którego wkroczyłabyś do nawy piękna jak anioł i zamknęła usta wszystkim plotkarzom, wcale nie jest dla ciebie zwycięstwem.

– Oczywiście, że nie.

Skinął głową.

– W takim razie dopij porter, skończ ciasto i zajmiemy się twoim treningiem.

18

Clio nie miała bladego pojęcia, co Rafe wymyślił. Wzięli lampy i przeszli do salonu. Poodsuwał stoliki i fotele pod ściany, robiąc miejsce na środku.

– Co robisz? – spytała.

– Nauczę cię, jak się bić.

Zaśmiała się.

– Chcesz, żebym pobiła twojego brata?

– Nie. – Odsunął szezlong pod ścianę.

– W takim razie nie rozumiem po co.

– Wiem. Ale daj mi szansę. Koniec z byciem miłą. Czas, żebyś zalazła ludziom za skórę, Clio. A do tego trzeba zrozumieć, jaka siła w tobie tkwi, i jak ją okiełznać.

– Siła? – Uniosła delikatną rękę i podsunęła mu ją pod oczy. – Dostrzegasz w tym ciele jakąś siłę?

– Owszem, dostrzegam.

– Może taką, która przyciąga spojrzenia mężczyzn. Ale na Piersa nigdy to nie działało.

– Mam na myśli siłę fizyczną. Ona już tam jest, tylko czeka, żebyś ją uwolniła.

Skończył z uprzątaniem mebli i stanął obok niej. Spojrzał jej w oczy.

– Zaufaj mi.

Clio chętnie by to zrobiła, ale obawiała się, że cała ta zabawa zrobi z niej jeszcze większą idiotkę. Ona i boks?

Ale musiała spróbować. Rafe wyjaśnił jej, że chce spłacić swój dług wobec Piersa. Ale ona wiedziała, że to coś o wiele głębszego. On potrzebował rodziny. Stałych związków. I jeśli ma to osiągnąć, nie wolno go prosić, żeby walczył w jej imieniu. Sama musi się nauczyć zadawać ciosy.

– Dobrze. To co mam robić?

– Przede wszystkim się rozluźnij.

Ujął jej nadgarstki w duże, szorstkie dłonie, jakby były parą węgorzy do oskórowania. Co za głupie uczucie.

– Dobrze. – Puścił jej ręce i stanął za nią. Objął dłońmi jej czaszkę. – Teraz poruszaj głową w przód i w tył. Rozciągnij szyję.

Zrobiła to, co polecił, rozglądając się na boki, patrząc na sufit i na podłogę. Kołysała się, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę.

– Kiedy zacznie się boks?

– Cierpliwości. Stań na szeroko rozstawionych nogach, na szerokość barków. Ramiona w dół, ręce luźno. Znajdź swój środek ciężkości. – Położył dłoń na jej brzuchu. – Tu jest. Czujesz go?

Czy mogło być inaczej?

Rzeczywiście udało mu się ją rozluźnić. Ta ciepła, władcza, ciężka dłoń na podbrzuszu, niski, mocny głos w uszach…

Och, czuła się całkiem swobodnie.

– Zdaje mi się, że jestem już gotowa.

– To pokaż mi pięść.

Zacisnęła dłoń i podniosła do góry.

– Proszę.

Cmoknął z dezaprobatą.

– Nie w ten sposób, bo sobie złamiesz kciuk.

Rozprostował jej palce i zacisnął znowu, zostawiając kciuk na wierzchu.

Potem otoczył ją ramionami i ustawił w pozycji do walki. Prawa noga nieco z tyłu, obie ręce w gardzie. Szeroka, ciepła, męska pierś była jak żelazko, które wygładzało wszelkie napięcia zebrane w jej plecach.

– Najpierw nauczę cię prostych – powiedział. – Zrób wykrok lewą nogą i wyrzuć lewą pięść przed siebie. Twój ciężar ciała powinien ją napędzać. Szybko i ostro, jak pszczele żądło. Potem cofnij. W ten sposób, widzisz?

Clio rozluźniła stawy i pozwoliła się prowadzić, jakby była marionetką.

– Potem prawy sierpowy. – Wyprowadził jej prawą pięść do przodu. – Czujesz, jak twoje ciało skręca się przy uderzeniu?

Kiwnęła głową.

– Stąd bierze się impet. Nie z ramienia, tylko z całego ciała.

Kiedy prowadził jej rękę do ciosu, czuła, jak cała jego masa wspomaga uderzenie. Pod skórą mięśnie prężyły się i prostowały.

Z Rafe’em za plecami miała poczucie, że potrafi przenosić góry. Ale to była pożyczona siła. On, gdyby chciał, powaliłby człowieka jednym skrzywieniem palca.

– Teraz ty sama. – Puścił ją i wziął z kanapy dwie mocno ubite, tapicerowane poduszki. Podniósł każdą w jednej ręce, mniej więcej na wysokości ramienia. – Dawaj.

– Mam się bić z poduszkami?

– Czemu nie? Musisz w coś celować. – Poruszył poduszkami. – A te bzdurne ozdóbki w końcu się na coś przydadzą.

Zagryzła wargi.

– Przy nich czuję się mniej samotna.

Zmarszczył brwi.

– Jak to?

– Poduszki. Do tego mi się przydają. Dlatego jest ich tyle w każdym kącie. Są miękkie, ciepłe i zawsze zostają w tym samym miejscu. Dzięki nim czuję się mniej samotna. – Pociągnęła nosem. – Pewnie masz rację. To głupie.

Opuścił poduszki i podszedł do niej.

– Clio…

– Wszystko w porządku. – Odsunęła się, zaciskając dłonie w pięści. – Jestem gotowa do walki.

– Wyżej pięści – polecił. Podniósł lewą poduszkę. – Najpierw prosty.

Kilka pierwszych prób było żenujących. Za pierwszym razem w ogóle nie trafiła w poduszkę. Za drugim jej prosty przypominał raczej prztyczek.

Ale Rafe nie śmiał się z tych prób. Motywował ją zachętą i droczeniem się, a od czasu do czasu poprawiał jej pozycję. Po kilkunastu razach jej prosty trafił w końcu z pewną… siłą.

– Widzisz – potwierdził. – Dobrze się poczułaś, co?

– Bardzo dobrze – wysapała. Ale „bardzo” było zbyt grzecznym przymiotnikiem. W końcu boksowała się na pięści. – Dobrze jak cholera.

Uśmiechnął się.

– Nie mów nic Bruiserowi, bo zacznie kombinować, jakby cię ściągnąć na ring.

Przechyliła głowę.

– Są też kobiece walki? Naprawdę?

– Ależ oczywiście. Niezmiernie popularne. Głównie dlatego, że zawodniczkom pod koniec meczu często widać gołe cycki.

Bezwstydny drań. Poczęstowała poduszkę prawym sierpowym, który trafił ją z satysfakcjonującym „ufff”.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego ci się to podoba.

– To może zrozumiesz moją prawdziwą tajemnicę. Żadna inna nie chciała w to uwierzyć.

– Jaką?

– Że ja nie potrzebuję ocalenia od walk. Bo to właśnie walki mnie ocaliły.

Clio opuściła pięści i spojrzała na niego uważnie. Wierzyła w to. Ten ton, jakim tłumaczył jej te proste uderzenia… Brzmiały w nim nie tylko wiedza i doświadczenie, ale niemal miłość.

Te walki były dla niego czymś więcej niż brutalną przemocą albo buntem. To było rzemiosło, które doskonalił całymi latami. Albo nawet sztuką.

– Dziękuję – powiedziała. – Że poświęciłeś swój czas, żeby mnie uczyć.

Podniósł poduszkę.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Powtórka.

Powtórzyła sekwencję ciosów. Potem jeszcze raz. Tłukła te poduszki, aż zaczął się cofać krok po kroku, a potem skręcił, żeby nie znaleźć się pod ścianą.

– Doskonale – powiedział. – Zuch dziewczyna. W ten sam sposób wal we wszystko, co ci wmawiali. Że nie jesteś dość dobra. Że nigdy taka nie będziesz. To wszystko bzdury. Zobacz, ile masz w sobie siły.

Zadawała cios za ciosem, wyrzucając z siebie cały gniew i frustrację minionych ośmiu lat. Aż mięśnie jej zwiotczały jak budyń.

– Teraz – powiedział, odrzucając poduszki – wyobraź sobie, że jestem Piersem. Wróciłem właśnie z Wiednia. I chcę się z tobą żenić. Dowal mi.

– Mam ci dowalić? Myślałam, że chcesz, żebym dała mu szansę.

– To jedno i to samo. Daj mu szansę, ale zgotuj mu też piekło. Jeśli się nie wybroni, to nie zasługuje na ciebie.

– Eeee… – zadyszała się po tym boksowaniu. – Ojej, kurczę… Piers, ja…

– Nie tak. Utraciłaś pozycję. – Poprawił ją, kładąc dłoń między łopatkami, a drugą na brzuchu. – Pamiętaj, dasz radę. Nie jesteś siedemnastolatką, tylko kobietą. I to silną kobietą.

Puścił ją i odsunął się o dwa kroki, znowu udając Piersa.

– Więc, co masz mi do powiedzenia?

– Ja…

– Kontakt wzrokowy. Patrz w oczy.

Zmusiła się do tego.

– Cieszę się, że bezpiecznie wróciłeś do domu, ale uważam, że nie powinniśmy brać ślubu.

– To świetnie! – Rafe opadł na najbliższe krzesło i wyciągnął wygodnie nogi.

Otrząsnęła się i roześmiała.

– Co ty wyprawiasz?

– To, co twoim zdaniem zrobi teraz Piers. – Założył ręce pod głowę. –

Swoim zachowaniem sugerujesz, że on poczuje tylko ulgę. A nawet będzie zachwycony.

Westchnęła.

– Widzisz? Zacznij być uczciwa wobec siebie. Przecież wiesz, że tak nie będzie. – Wstał. – Więc nie powie „to świetnie”. Natomiast powie… – Zmodulował głos do arystokratycznego barytonu. – Oczywiście, że weźmiemy ślub. Postanowiono to, gdy byliśmy dziećmi. Od lat jesteśmy zaręczeni.

– To prawda, ale ja myślę, że byłoby lepiej, gdyby…

– Nie, nie. – Rafe na chwilę wypadł z roli Piersa. – Nigdy nie mów „myślę” albo „byłoby”. Podjęłaś już decyzję.

– Podjęłam decyzję. Zdecydowałam się zerwać z tobą zaręczyny.

Zmrużył oczy karcąco. Był teraz przerażająco dokładną kopią swego brata.

– Zgodziłaś się wyjść za mnie.

– Miałam wtedy siedemnaście lat. Byłam prawie dzieckiem. Nie wiedziałam, że mam jakiś wybór. A teraz wiem. I wybieram co innego.

– Dlaczego?

– Bo cię nie kocham, a ty nie kochasz mnie.

– Głębsze uczucie przyjdzie z czasem – powiedział. – Nawet kiedy jeździłem w dalekie podróże, myślą zawsze byłem blisko ciebie. Zależy mi na tobie.

Przełknęła ślinę.

– Doceniam to. Naprawdę. Ale nie zmienię decyzji.

– Czy masz kogoś innego?

Nie spodziewała się tego pytania. Choć powinna. Przecież to logiczne, że Piers o to zapyta. Tylko że nie wiedziała, jakiej odpowiedzi chciałby od niej Rafe.

– Odpowiedz – odparł rozkazująco, jak prawdziwy markiz. – Muszę znać prawdę. Czy masz kogoś innego?

– Tak. Mam. Mam samą siebie.

W jego oczach błysnęło zaskoczenie.

– Mam siebie – powtórzyła. – Przez te osiem lat spędzałam bardzo dużo czasu w samotności. Poznałam samą siebie i moje zdolności. Jestem odporna. Trochę plotek mnie nie złamie. A nawet mnóstwo plotek. Potrafię odziedziczyć majątek i skupić się nie tylko na tym, by go utrzymać ale i na jego rozwoju. Ponieważ pobierałam te wszystkie nauki, które miały zrobić ze mnie idealną małżonkę dyplomaty – ale wykorzystałam je na własny użytek. W pewnym momencie, kiedy ty włóczyłeś się po całym świecie, cementując traktaty i dzieląc wojenne łupy, ja, po cichu ogłosiłam niepodległość. Teraz jestem suwerennym narodem Clio. I nie skapituluję. Na żadnych warunkach.

Rafe milczał.

– I jak? – spytała.

Wzruszył obojętnie ramionami.

– Zbyt melodramatyczne na koniec? Do niczego?

– Nie najgorsze.

– Nie najgorsze? – Złapała z podłogi poduszkę i zdzieliła go w ramię raz i drugi. – To było genialne, i dobrze o tym wiesz.

– Dobrze już, dobrze. – Ze śmiechem złapał poduszkę za róg i przyciągnął ją do siebie. – To było genialne.

Clio poczuła, jak jej serce rośnie. Ta pochwała była… lepsza niż te wszystkie torty.

– Ty jesteś genialna – szepnął. – Jeśli Piers nie padnie na kolana i nie będzie cię błagał, żebyś się jeszcze zastanowiła, to jest idiotą.

W jednej chwili zapłonął między nimi żar pożądania, jak pożar na stepie. Tak błyskawicznie, że zawróciło jej to w głowie. Co za okrucieństwo. Całe życie czekała na taką namiętność, i odnalazła ją w mężczyźnie, którego nigdy, przenigdy nie będzie miała dla siebie.

Rozmowa o urządzeniu życia siostrze z zaburzeniami, nocne czuwanie przy chorym na żołądek psie, roztrząsanie sekretnego bólu nad tortem i piwem o północy… ludzie, którzy to robią, potrafiliby spędzić ze sobą życie.

Tylko że ich uczucia do siebie straciły znaczenie. Rafe kochał Piersa. Zależało mu, żeby okazać się dobrym bratem, a Clio nie chciała mu tego odbierać. Więc niezależnie od tego, co łączyło ich dwoje…

Nic z tego nie będzie, chyba że chciała zniszczyć jego ostatnią szansę na pojednanie z rodziną.

– Nie moglibyśmy udawać, że jesteśmy kimś innym? – szepnęła. – Chociaż na parę godzin?

– Nie chcę. Ty też nie.

Skinęła głową. Miał rację, wcale tego nie chciała. Pragnęła być sobą i być z nim.

Pragnęła Rafe’a.

Nie dlatego, że był niebezpieczny, nieokiełznany czy niewłaściwy. Przecież tylko z nim czuła się na właściwym miejscu.

– Nie dasz się zrujnować – odezwał się znajomy głos.

Boże wielki.

Rafe puścił ją i odsunął się o krok. Clio złapała poduszkę i przycisnęła ją do piersi. Jednak, niezależnie od tego, ile dzieliło ich poduszek albo kroków, byli sam na sam, na poły w negliżu, i w środku nocy. Nikogo nie da się oszukać.

To znaczy nikogo poza osobą, która właśnie weszła.

W salonie pojawiła się Phoebe, z ciemnymi włosami rozpuszczonymi na ramionach i nosem wetkniętym w egzemplarz „Timesa”.

– Phoebe. – Clio wyszeptała to imię z ulgą. – Co za niespodzianka. My tu właśnie z lordem Rafe…

– Chodzi o zbiory chmielu – przerwała jej siostra, wyraźnie niezainteresowana żadnymi wyjaśnieniami.

– C…co takiego?

Zbiory. Jej siostra włóczy się po nocach po zamku, czytając „Timesa” i dumając o zbiorach chmielu.

Cała Phoebe.

Siostra opuściła gazetę.

– Lord Rafe miał rację. Chmiel to ryzykowna uprawa i zarazem inwestycja. Ale znalazłam sposób, w jaki możesz zabezpieczyć się przed ruiną. – Wskazała artykuł. – Co roku spekulanci zakładają się o zbiory chmielu. W grę wchodzą setki i tysiące funtów. To wszystko jest w prasie.

Clio poszukała w pamięci. Jeśli o czymś pisano w prasie, na pewno kiedyś na to trafiła.

– Owszem, pamiętam że czytałam prognozy. Ale nie wiedziałam, że te zakłady są takie powszechne.

– Cholernie. – Rafe wziął gazetę. – W niektórych oberżach chmiel jest lepiej obstawiony niż walki bokserskie. Robią wykresy wszystkich deszczowych chmur, które przechodzą nad regionem.

Clio podeszła, żeby sama popatrzeć.

– Przecież nie da się przewidzieć pogody. Skąd będę wiedziała, co obstawiać?

– Pogoda jest bez znaczenia – odparła Phoebe. – Będziesz się zakładać przeciwko samej sobie.

– Zakładać się przeciwko sobie? Ale dlaczego miałabym? – W tym momencie Clio zaczęła kalkulować w myśli wyniki i zrozumiała dlaczego. – Jednym słowem, jeśli będzie urodzaj, zarobimy na zbiorach, a jeśli nie…

– To na zakładach – dokończyła Phoebe. – Zarobki będą niewielkie, ale straty też. Ale nigdy nie stracisz wszystkiego.

– To się nazywa hedging. – Rafe podrapał się w szczękę. – Ten pomysł jest tak zwariowany, że aż genialny.

Phoebe wzruszyła ramionami.

– Mówią o mnie i jedno, i drugie.

– Słuchaj. – Clio wzięła ją pod rękę. – Jako twoja najstarsza siostra nakazuję ci iść do łóżka. Jutro ważny dzień. Twój pierwszy prawdziwy bal.

Siostra zrobiła ponurą minę.

– Wiem. Ten koszmar.

– Nie będzie aż tak źle. Takich rzeczy nie można w nieskończoność unikać. Tym bardziej że w przyszłym roku zaczniesz już bywać w towarzystwie.

– I tak nikt nie będzie się do mnie zalecać. Po co mi to całe bywanie?

Clio chwyciła pasmo jej włosów.

– Zobaczysz, jak dobrze ci pójdzie. Będę z tobą. Wiem, jakie to trudne.

– Nie masz pojęcia, jakie to trudne dla mnie. – Phoebe obróciła ciemną główkę, a jej włosy wysunęły się z ręki Phoebe. – Lordzie Rafe, pojedzie pan jutro z nami, prawda?

Spojrzał w oczy Clio.

Proszę, błagała go bez słów. Proszę cię, jedź z nami.

Phoebe czułaby się pewniej w jego obecności, a co do niej samej…

To była jej ostatnia szansa. Ich ostatnia szansa. Gdy zerwie z Piersem, nie będzie już miała wymówek, by zapraszać go na bale. Co to by komu szkodziło, gdyby spędzili ze sobą ten jeden pamiętny wieczór?

– Wciąż jesteś mi winien taniec – przypomniała mu. – Chyba czas spłacić ten dług.

– To nie najlepszy pomysł. Nie bez powodu wyszedłem z twojego debiutu. W takich sytuacjach czuję się nieswojo. Robię się niespokojny… i budzi się we mnie diabeł. Mogę zrobić komuś krzywdę.

– Lubię twojego diabła – odpowiedziała. – A krzywdę zrobisz mnie samej, jeśli nie pójdziesz.

Niezgrabnym, ale słodkim i nietypowym dla siebie ruchem Phoebe złapała go za przedramię.

– Proszę. Niech się pan zgodzi.

Westchnął.

– Prześpię się z tą myślą.

19

Tej nocy Rafe nawet nie zmrużył oka.

A o świcie odjechał.

Przez godzinę albo dwie jechał stępa. Nie chciał zmęczyć wierzchowca, a był w takim nastroju, że na pewno by to zrobił. Krok po kroku, coraz bardziej oddalał się od Twill Castle.

I od Clio.

Wiedział, że ją tym rozczaruje, ale musiał. Nie ufał sam sobie. Gdyby spędził z nią choć kilka chwil więcej, patrzył jak te jasne, miękkie ręce wyciągają się ku niemu – przytuliłby, a potem zrujnowałby i ją, i obie ich rodziny.

Nie. To był doskonały moment, by wyjechać. Kiedy zrobił już wszystko, co mógł, a jeszcze niczego nie spaskudził. Sprawił, że jego brat miał jeszcze szansę. Szczerze mówiąc, to było więcej, niż Piers sobie zasłużył.

Po dłuższym czasie droga zaczęła wyglądać znajomo. Był zaledwie o cztery albo pięć mil od Queensridge.

A w Queensridge na pewno nadarzy się jakaś bójka.

Boże, to właśnie było mu potrzebne. Za długo już żył bez smaku krwi w ustach i oszalałego ryku tłumu w uszach. Zaczynał zapominać, kim naprawdę jest.

Mógłby pojechać do pierwszej lepszej wioski i wdać się w walkę z miejscowym zabijaką. W każdym wiejskim pubie był taki. Ale po pierwsze nie lubił niszczyć ludzi, a po drugie nie walczył z amatorami. Wolał stoczyć

prawdziwą walkę z wyszkolonym przeciwnikiem.

Gospoda Pod Krzywą Wieżą była doskonałym miejscem do tego celu.

W minionych wiekach chętnie odwiedzali je przemytnicy i rabusie drogowi. Teraz spotykali się tam miłośnicy walk bokserskich. Ponieważ walki te były nielegalne, zwykle organizowało je się za miastem i ogłaszało datę z niewielkim wyprzedzeniem. Plakaty pojawiały się na kilka dni przed, a potem widzowie gnali na wyznaczone miejsce na łeb na szyję.

Krzywa Wieża była doskonała to tego celu. Znajdowała się niezbyt daleko od miasta, ale w pobliżu głównej drogi. Większość kibiców musiała podróżować zaledwie kilka godzin, żeby do niej dotrzeć. Z tyłu było szerokie, puste pole, gdzie z łatwością mieścił się ring i widzowie. A Salem Jones, aktualny właściciel, był w przyjaznych, łapówkarskich stosunkach z miejscową administracją.

Dla Rafe'a i wielu innych bokserów to miejsce było namiastką domu. W zeszłym roku, kiedy był mistrzem, zawsze gdy się pojawiał, witano go grzmiącymi okrzykami.

Dzisiaj, gdy w południe pojawił się w drzwiach, powitanie było raczej letnie. Owszem, wiele osób kiwało mu głowami albo pozdrawiało na głos. Ale ogólny nastrój był niepewny. Nikt nie wiedział, jak należy traktować pokonanego mistrza.

Poruszył szyją, strzelając stawami. Jak będzie stąd wychodził, nastrój się zmieni. To dobry dzień na powrót na ring. Wystarczyło szybkie spojrzenie w kierunku baru, żeby wybrać przeciwnika.

Bokserzy walczyli z różnych powodów. Niektórzy dla sportu. Inni dla pieniędzy. Inni po to, żeby puścić komuś krew.

Finn O'Malley należał do tej ostatniej grupy. Kilkanaście lat temu był mistrzem, ale ostatnio głównie wysiadywał na stołku po lewej stronie baru Pod Krzywą Wieżą. Wstawał z niego tylko z dwóch powodów: żeby iść się odlać albo żeby się z kimś pobić. Walczył z każdym, a przegrany stawiał następną kolejkę.

Od lat nie zapłacił nawet za jeden kufel.

Rafe ruszył prosto ku niemu.

Podstarzały Irlandczyk spojrzał na niego szparkami czujnych, ciemnych oczu.

– Czyżby to był Brandon? Czego chcesz?

– Bić się. Jeden były mistrz przeciw drugiemu.

O’Malley zaśmiał się chytrze.

– Za kufel piwa to ja się biję tylko z durniami. A z mistrzami za całą sakiewkę.

– To jest do załatwienia. – Rafe wyciągnął pieniądze z kieszeni. Odliczył parę monet dla siebie, a resztę rzucił na ladę. Mieszek wylądował z satysfakcjonującym brzękiem.

– Przechowaj to dla nas – powiedział do barmana.

W oczach O’Malleya błysnął płomień, który mówił, że to nie będzie łatwa walka.

I bardzo dobrze. Rafe nie miał ochoty na łatwą.

– Na dziedzińcu. – O’Malley położył ręce na ladzie i podniósł się ze stołka. – Za minutkę. Tylko się odleję.

Rafe skinął głową.

Kiedy stał i zbierał myśli, na barze przed nim pojawił się kufel porteru.

– Od tej damy. – Barman wskazał ruchem głowy ciemny kąt oberży.

Od damy? W tym miejscu bywały tylko bardzo specyficzne kobiety.

Rafe rzucił na nią okiem.

Szczupła. Ciemnowłosa. Ładna.

Dostępna.

Dokładnie wiedział, jakby to było. Najpierw wygrałby walkę, potem poszedłby do niej na górę. Zacząłby zmywać z twarzy pot i krew, a ona powiedziałaby mu, żeby się tym nie przejmował. Kiedy by jej dotknął, zadrżałaby. Specjalnie, bo lubiła się bać. Jego brutalna siła byłaby dla niej podniecająca.

Potem wszystko potoczyłoby się dokładnie tak, jak przy innych okazjach. Szybko, ostro i w sumie niezadowalająco.

Podniósł kufel, próbując utopić w piwie poczucie winy. Może jednak potrzebował takiej kobiety. Może czas przestać być niewolnikiem damy – niewinnej, zaręczonej dziewicy z dobrej rodziny – która nigdy nie będzie do niego należeć.

Po cholerę mu całe jardy kremowej koronki i łoże z baldachimem i dwoma tuzinami poduszek? Nie będzie żadnych nocy poślubnych, miesięcy miodowych ani szczęśliwych zakończeń w pieprzonym, baśniowym zamku.

Nie dla kogoś takiego jak on.

– Rafe Brandon, ty skubany cwaniaku. – Z zaplecza wyszedł Salem Jones, niosąc w ramionach niewielki kufer. Postawił go na pobliskim stoliku.

Rafe podał mu rękę, a Jones zamiast uścisku przyciągnął go do siebie i objął.

– Za długo cię tu nie było – powiedział, klepiąc go po plecach.

Jones był wyzwoleńcem z Indii Zachodnich. Urodził się na Jamajce i mniej więcej dwadzieścia lat temu przyjechał do Anglii z grupą abolicjonistów. Jego kwakierscy sponsorzy byli niezwykle zadowoleni, bo chętnie dzielił się swoimi opowieściami z czasów niewolnictwa.

Natomiast wielce ich rozczarował jako materiał na pacyfistę.

Jak większość bokserów miał w życiu parę lat passy. W odróżnieniu od reszty przekuł ten sukces na coś bardziej trwałego – kupił Krzywą Wieżę.

Czasem kiedy Rafe nie mógł spać i zastanawiał się, co będzie robił po zakończeniu kariery, myślał, że wykupi trochę udziałów w tym przybytku. Mimo tego, co mówił Clio, wiedział, że jego dni w sporcie są policzone i chciał się jakoś zabezpieczyć na przyszłość. Ale chciał też, żeby odbyło się to na jego własnych warunkach. Nie zamierzał marnować się w biurze. Nie chciał też zostać dziwakiem, który boksuje się, żeby zarobić na kufel piwa albo wbija kufle w ściany.

– Pewnie przyjechałeś po to. – Jones poklepał kufer. – Reszta jest na

zapleczu. Daj znać barmanowi, gdzie ci to wysłać.

Szczerze mówiąc, Rafe zapomniał o tych rzeczach. Poprosił Jonesa, żeby przechował jego kufry, kiedy wyprowadził się z apartamentu w Harrington. Nie chciał zagracać magazynu, w którym trenował.

Otworzył kufer i przejrzał jego zawartość: parę płóciennych koszul i wełnianych spodni. Miał nadzieję, że znajdzie tam jakieś wygodne ubranie na sparring, ale ta odzież była za dobra. Kiedy dochodził do dna, natrafił na małe, gładkie drewniane pudełko.

Wiedział, co w nim jest, jeszcze zanim je wyciągnął.

Trzymał tam listy od Clio.

Zaśmiał się sam do siebie. Przecież właśnie postanowił o niej zapomnieć. A ona wciąż jest przy nim, nawet tutaj.

Zawsze go odnajdywała, prawda? Nieważne, ile razy zmieniał adres. Przez te wszystkie lata ciągle wysyłała do niego liściki – przynajmniej raz albo dwa razy w miesiącu. Odkładał je do tego pudełka. Nie czytał ich, ale też nie potrafił ich wyrzucić. Można powiedzieć, że przylgnęły do niego jak słodycze.

– Co tam? – O’Malley wrócił z sikania. – Zaczynamy?

– Za moment.

Rafe opadł na krzesło, zamówił kolejny kufel porteru, posłał butelkę wina „damie”, która spędzi tę noc samotnie… A potem zrobił coś, czego od lat nie czynił z własnej woli.

Zabrał się do czytania.

Większość liścików zawierała pisane lekkim tonem, pogodne zaproszenia. Od czasu do czasu trafiały się wzmianki o rodzinnych wydarzeniach. Wszystko już nieaktualnie, nic specjalnie ważnego.

W przyszły czwartek wydajemy kolację. Jeśli Pan nie ma innych planów, będzie Pan bardzo mile widziany.

Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe od wszystkich mieszkańców

Whitmore House.

Dostałam list od Piersa i pozwalam sobie przepisać fragmenty, które być może Pana zainteresują. W sierpniu wybieramy się do majątku mojego wuja w Hertfordshire. Jeśli Pan będzie przypadkiem w pobliżu, zapraszamy w odwiedziny.

Mimo wszystko Rafe czytał jeden liścik po drugim, zaproszenie po zaproszeniu, każde słowo, które napisała, od powitania po pożegnanie. Kiedy podniósł głowę i przetarł zmęczone oczy, zrobiło się ciemno.

Liściki były krótkie i same w sobie bez znaczenia. Ale kiedy je się przejrzało wszystkie naraz, ich znaczenie było powalające.

Kiedy odszedł z Brandon House, ojciec zatrzasnął za nim drzwi. Podobnie jak reszta rodziny i arystokratycznych znajomków.

Wszyscy, z wyjątkiem Clio.

Cały czas wyciągała do niego rękę. Przy każdej okazji. Nie pozwalała mu za bardzo się oddalić. Zawsze była gotowa go powitać, gdyby przyszła mu chętka na powrót.

Nie miała pojęcia, jak wiele to dla niego znaczyło.

Pewnie dlatego, że nigdy nie raczył jej tego powiedzieć.

Co za ironia. W młodości nigdy nie miał poczucia, że gdzieś przynależy. Z wiekiem zaczął dostrzegać w sobie dziedzictwo Brandonów. Cechy takie jak ambicja, duma i uparta niechęć do przyznawania się do własnych uczuć, póki jeszcze nie jest za późno.

Zdławił falę próżnego gniewu. Przeszłość już się dokonała. Nie da się jej zmienić.

Jego też nie.

Nigdy nie będzie mężczyzną, jakiego Clio potrzebuje. Nawet gdyby wrócił na łono socjety, zawsze będą się za nim snuć skandale. Nie chodzi o plotki. Był już ukształtowanym mężczyzną i miał swoje zasady – na dobre i na złe. Jego umysł był niespokojny, a ciało stale potrzebowało działania. Nie

nadawał się na dżentelmena i nie chciał nim być. Za nic nie dołączyłby do grupy bezużytecznych, wymuskanych durniów, takich jak sir Teddy Cambourne.

Rafe po prostu nie umiał nic nie robić.

Dlatego właśnie teraz, kiedy w końcu przeczytał te wszystkie listy, nie mógł już usiedzieć ani chwili. Jego dług był znacznie większy niż jeden taniec. Choć nie był odpowiednim dla niej mężczyzną, mimo wszystko powinien dla niej coś zrobić.

Wstał, pozbierał kartki i koperty. Utworzyły stos grubszy niż jego nadgarstek. Przez te wszystkie lata zapraszała go na setki kolacji, spotkań towarzyskich i bali.

Powinien więc zjawić się przynajmniej na jednym i postarać się, by wystarczył za wszystkie inne.

Wstał z krzesła i przeciągnął się, żeby przegnać sztywność z ramion i nóg. Jeszcze nie było za późno. Miał godzinę albo dwie do zmroku. Parę odpowiednich sztuk odzieży w kufrze. Ale nie mógł wyruszyć w drogę bez grosza.

Poszedł do baru, żeby odebrać pieniądze.

– Przepraszam, stary przyjacielu – powiedział do O’Malleya. – Zmierzymy się za parę dni.

Sięgnął po sakiewkę.

– Nie tak szybko. – Wielkie łapsko Finna O’Malleya legło na jego dłoni. – Jak chcesz to z powrotem, to musisz się ze mną bić już teraz.

– Lord Rafe chyba już nie przyjedzie.

Clio powstrzymywała te słowa przez cały wieczór, ale w końcu wypowiedziała je na głos. Tu, w najbardziej zacisznym zakątku sali balowej Penningtonów, gdzie w towarzystwie Phoebe spędziła dwie minione godziny na oczekiwaniu i obserwacjach. Na poprawianiu rękawiczek i fałd różanej, jedwabnej sukni, żeby zabić nudę.

Od czasu do czasu ktoś znajomy odbywał pielgrzymkę do ich odległego kącika, żeby się przywitać. Wszyscy pytali o Piersa i ślub, i popisywali się umiejętnością uśmiechania z subtelną, lecz zauważalną ironią. Dokładnie wiedziała, co myślą: Czy tym razem Granville się zdecyduje, czy nie?

Ale jej myśli tym razem nie pochłaniał Piers i jego nieobecność.

Minęło osiem lat od jej debiutu, a ona w dalszym ciągu czekała – na próżno – aż Rafe Brandon zatańczy z nią, jak obiecał.

Gdy obserwowały damy i dżentelmenów ustawiających się na parkiecie, Phoebe wyciągnęła z kieszeni kawałek sznurka i uspokoiła ją:

– Przyjedzie.

– Jest wpół do dwunastej. Może coś zmusiło go do zmiany planów.

Chciała go odnaleźć rankiem i upewnić się, że przyjedzie. Zależało jej, by Phoebe nie czuła się rozczarowana. Ale nie zszedł rano na śniadanie, a potem była zbyt zajęta przygotowaniami do balu i wyjazdu. Kiedy po południu zaczęła go szukać, okazało się, że już wyjechał. Bruiser zapewnił ją, że pewnie spotka się z nimi na balu, ale kto go tam wiedział.

Może już siedzi z powrotem w swoim składzie kupieckim w Southwark i zajmuje się własnymi sprawami.

A może spadł z konia, leży ranny w rowie i resztką sił pisze jej imię. Własną krwią.

Nie powinna chyba marzyć, żeby ten drugi scenariusz okazał się prawdą, ale jakaś okropna, samolubna część jej psychiki wolała go od pierwszego. Rafe nie pojawił się na balu, i czuła się urażona. Przypominały się jej wszystkie dawne, subtelne zniewagi jej bliskich.

Dobra z ciebie dziewczyna, Clio. Ale to nie wystarczy.

Po chwili dołączył do nich sir Teddy. Przyniósł dwie szklanki ponczu. Wraz z nim przyszła Daphne, która skrzywiła się na ich widok.

– Phoebe, nie wierzę, że wzięłaś ze sobą ten sznurek.

– Nigdzie się nie ruszam bez sznurka.

– Słuchaj, nie możesz pokazywać się z tym dziadostwem na sali balowej. –

Wyrwała siostrze sznurek i rzuciła go na podłogę, gdzie ktoś go od razu podeptał. – Dziś wieczór ludzie mają mówić o nadchodzącym ślubie Clio, a nie o twoim dziwactwie.

– Mam więcej – odparła Phoebe.

– Dziwactw? To prawda. Trudno zliczyć ile.

– Sznurków. – Sięgnęła do torebki i wydobyła kolejny.

– Oddaj mi go. – Daphne chwyciła kawałek włóczki.

Tym razem Phoebe trzymała mocno.

– Nie.

– Daj jej spokój. – poparła ją Clio. Nie miała dziś ochoty znosić matkowania Daphne.

Bo to właśnie było matkowanie, jakiego aż za wiele zaznały w Whitmore. Daphne wydawało się, że jest troskliwa i opiekuńcza. Myliła się.

Teddy cmoknął z dezaprobatą.

– Robisz scenę, kiciu.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparła Phoebe na cały głos. – To jest moje. Nie możesz go sobie zabrać.

Ludzie zaczęli się odwracać. Gapić. Rozmowy wokół nich ucichły i zapanowała cisza.

Cały ten wieczór był bez sensu, i to wszystko z winy Clio. Powinna lepiej zadbać o siostrę. Phoebe nie była na to wszystko gotowa. Może nawet nigdy nie będzie.

– Daj jej spokój – powtórzyła.

– To dla jej własnego dobra, Clio. Musi pozbyć się tego nawyku.

– Na litość boską, dlaczego? Zostaw jej ten sznurek, pogódź się z jej dziwactwami. Niech będzie sobą. – Wskazała głową roziskrzoną, zatłoczoną salę balową. – Wychowano nas, żebyśmy przede wszystkim zwracały uwagę na to, co myślą inni. To mnie zmieniło. Ciebie też, Daphne. I to wcale nie na lepsze. Nie życzę sobie, żeby to samo spotkało Phoebe. Jest niespotykana.

– I to dosłownie. Nikt nie będzie się chciał z nią spotykać.

Clio odwróciła się do Phoebe i włożyła jej sznurek do ręki.

– Chcę ci coś obiecać. Tobie i sobie. Jestem twoją siostrą, a teraz również twoją opiekunką i cię kocham. Nigdy nie doprowadzę do tego, żebyś wolała być kimś innym zamiast siebie tylko po to, by zadowolić socjetę.

– Nie bądź naiwna, Clio – skarciła ją Daphne. – Nie możesz odsunąć się od towarzystwa. Będziesz przecież żoną dyplomaty i markizą.

– Nie będę. Nie wyjdę za Piersa.

– Och, kluseczko – powiedział Teddy, wymierzając jej kuksańca w bok. – Nie poddawaj się teraz. Mam nadzieję, że nie słuchałaś tego, co mówią w sali karcianej.

– Dlaczego? A co mówią?

Jej szwagier zrobił potulną minę.

– Zakładają się, naturalnie. Czy ten ślub w ogóle się odbędzie. Lord Pennington stawia cztery do jednego, że nie.

Aha. Pewnie dlatego zaproszono ich dziś tutaj. Żeby goście mieli temat do rozmówi i rozrywkę. Żeby sobie pożartowali.

W tym momencie Clio uświadomiła sobie coś cudownego.

Przestała się przejmować.

Może ją po prostu zmęczyli. Albo może wiek dwudziestu pięciu lat stanowił magiczną granicę, kiedy kobieta stawała na własnych nogach. Zresztą nieważne, jaki był powód. Po prostu autentycznie miała to wszystko gdzieś.

I dokładnie wtedy odezwał się namaszczony głos lokaja, jakby ogłaszał, że przyznano jej nagrodę:

– Lord Rafe Brandon.

W tym momencie nikt już nie myślał o sznurku. Nawet Phoebe.

Clio wiedziała, że kiedy Rafe wjeżdża konno, robi na wszystkich oszałamiające wrażenie dramatycznym wejściem. Ale jego widok we fraku prosto od krawca, białym jak śnieg fontaziu i błyszczących butach do jazdy konnej?

Wielkie nieba.

Zacisnął szczęki jak typowy Brandon i roztaczał charakterystyczną dla swej rodziny, dominującą aurę. Ale należały do niej też jego indywidualne cechy: bunt i wola walki, która sprawiała, że powietrze niemal strzelało iskrami, a jej serce biło jak szalone.

Wszystko w jego wyglądzie świadczyło, że urodził się, by brylować na salonach.

Oprócz miny, która podkreślała, że tego nienawidzi.

Ale mimo to przyszedł.

Dla niej.

Podszedł do kąta, gdzie siedzieli, skłonił się każdej osobie po kolei, zostawiając Clio na koniec.

– Panno Whitmore.

Dygnęła lekko.

– Lordzie Rafe.

– Przyjechał pan – ucieszyła się Phoebe.

– Tak. – Pociągnął mankiet koszuli i rozejrzał się po zatłoczonej sali balowej.

– Przepraszam za spóźnienie, panno Whitmore. Pewnie wszystkie tańce ma pani już zajęte.

Clio nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nie. Wszystkie tańce mam wolne.

– Jak to możliwe, do cholery?

– Byłam na dworze z Phoebe.

Orkiestra zagrała pierwsze takty walca. Rafe wziął ją za rękę.

– Nie będziesz siedziała pod ścianą ani chwili dłużej.

Z wyzywającą i zarazem niepewną miną poprowadził ją na parkiet i zaczęli tańczyć.

Walcował wspaniale. To było logiczne. Skoordynowany, pełen wdzięku ruch był nieodłączną częścią jego zajęcia.

– Przyznam się, że już straciłam nadzieję. Myślałam, że nie przyjdziesz.

– Też nie byłem tego pewny.

Kiedy ochłonęła na tyle, żeby móc na niego spojrzeć – jakie to dziwne, że tak bardzo tego chciała, ale ciągle brak jej było odwagi – zauważyła niewielki fioletowy cień na lewym policzku. A pełne, zmysłowe usta były z jednej strony nieco bardziej nabrzmiałe niż zwykle.

– Masz siniaki. Co się stało?

Wzruszył ramionami.

– Trafiłem na wyboje na drodze. W pewnym sensie.

– Zdaje się, że ci oddały.

Spuchnięte usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– To drobiazg. Wytrzymałbym dziesięć razy gorsze rzeczy, byle tylko zdążyć tu dziś wieczór. Ale nie zostanę długo. Przyjechałem, żeby ci oddać ten zaległy taniec. I żeby się pożegnać.

– Pożegnać?

Zatoczył nią krąg.

– Dziś w nocy wracam do Londynu. Mam nadzieję, że Bruiser z Ellingworthem mogą na trochę zostać u ciebie na zamku.

– Oczywiście, ale… dlaczego to robisz? Piers wróci do domu za tydzień alb dwa. Będziesz się chciał z nim zobaczyć, a ja… – Przygarbiła się. – Ja po prostu nie rozumiem, dlaczego chcesz tak szybko wyjechać.

Przyciągnął ją do siebie i zniżył głos.

– Daj spokój, Clio. Jesteś mądrą dziewczyną, więc nie udawaj, że jest inaczej. Dobrze wiesz, dlaczego muszę wyjechać.

– Nie mam pojęcia. Możemy się umówić, że trzymamy się na dystans.

– Umowy umowami, a potem nadchodzi noc. Człowiek leży samotnie, wszędzie jest cicho i ciemno i wiadomo, że też leżysz gdzieś pod tym samym dachem. Nie możemy liczyć, że twoi cierpiący na bezsenność bliscy pojawią się za każdym razem, by cię uratować. Gdybym spędził w tym zamku jeszcze jedną noc…

Przesunął wzrokiem po jej ciele. Zabolało.

– Tobym do ciebie przyszedł.

Tobym do ciebie przyszedł.

Od tych słów serce zabiło jej mocniej i kolana się ugięły.

– Przyszedłbym do ciebie – powtórzył, jakby to było jakieś przyrzeczenie. – Nie wytrzymałbym z dala od ciebie.

– Mogłabym się przeprowadzić. Przeniosłabym się do…

Potrząsnął głową.

– Nic by to nie dało. Nawet gdybyś zamknęła się w najwyższej, najdalszej wieży. Znalazłbym cię tam. Nocą przyszedłbym pod twoje drzwi. A potem… Wiesz, co by się stało potem.

Nie mogła oddychać.

– Co by się stało?

– Otworzyłabyś. – Pochylił się bliżej, aż się jej zakręciło w głowie od jego męskiego zapachu. – Wpuściłabyś mnie, Clio. Prawda? Nie odesłałabyś mnie z niczym.

Skinęła głową, zahipnotyzowana niskim, mrocznym tembrem jego głosu.

Miał rację. Gdyby zastukał do jej drzwi w środku nocy, wpuściłaby go do środka. I nie miało to nic wspólnego z dobrocią ani szczodrością, za to bardo dużo z tęsknotą i pożądaniem. Z tym szalonym pulsowaniem krwi w żyłach, kiedy był blisko. Z bolesnym ukłuciem pożądania, którym reagowała na każde jego spojrzenie.

Potęga emocji w spojrzeniu tych śmiałych, zielonych oczu…

Jeśli ten człowiek kiedykolwiek pokocha – naprawdę pokocha – to jego wybranka przez całe życie będzie się chwiać na nogach. Taką miał moc.

Ale on przyjechał tu, żeby się z nią pożegnać. Przenikliwy ból z powodu tej straty sprawił, że zrobiło jej się słabo.

Zwolnił. Zatrzymali się.

– Zbladłaś.

Naprawdę? Rzeczywiście, sala balowa jakby poszarzała po brzegach. A w

głowie dalej się kręciło, chociaż przestali tańczyć jakiś czas temu.

Jej serce był przepełnione emocjami. Biło z całej siły. Jego surdut, te słowa, ten walc…

Czy zwykła śmiertelniczka może znieść coś takiego?

– Może rzeczywiście potrzebuję trochę świeżego powietrza – przyznała.

Rafe podtrzymał ją w talii a potem poprowadził do kąta, gdzie czekali Daphne, Teddy i Phoebe.

– Lady Cambourne. – Rafe skinął głową. – Powinna pani zabrać siostrę do gotowalni na odpoczynek.

– Nie. – Clio wzięła płytki oddech. – Nie zostawiaj mnie tutaj. Wszystko będzie dobrze. Za dużo kręcenia się w kółko przy pustym żołądku. Ciasno zasznurowany gorset. I do tego ty, w tym surducie.

Ty, ty, i jeszcze raz ty.

Nie zwrócił uwagi na komplement.

– Dlaczego przy pustym żołądku? Nic nie jadłaś przed balem?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Daphne. – Damy nigdy tego nie robią.

Rafe nie odwracał spojrzenia od Clio.

– Kiedy ostatni raz zjadłaś porządny posiłek?

Zjeżyła się.

– To nie…

– Odpowiedz mi.

– Rano, śniadanie – odparła niechętnie.

Zaklął pod nosem.

– To szkodliwe przyzwyczajenie.

Powinna to zmienić. Jeśli ma opiekować się Phoebe, chroniąc ją przed destruktywnymi nawykami, dobrze by było, żeby tę ochronę rozciągnęła także na siebie.

– Wystarczy szklanka lemoniady albo wywaru z jęczmienia i wszystko będzie dobrze.

Postawił ją na nogi i wziął pod ramię.

– Musisz zjeść coś konkretnego. Idziemy na kolację.

– Nie możecie. Jeszcze nie – powstrzymała ich Daphne.

– Jeszcze nie?

Clio nigdy nie widziała go w takim gniewie. Ściągnął brwi tak mocno, jakby chciał gnieść orzechy między nimi.

Ale Daphne, jak to Daphne, tylko wzruszyła ramionami, nic sobie nie robiąc z jego gniewu.

– Jest pewien ustalony porządek. Być może o tym zapomniałeś, milordzie, bo tak długo nie bywałeś w towarzystwie. Ale nie rzucamy się tu na bufet jak mewy. Przystępujemy do jedzenia według rangi. Zaczynając od najwyżej postawionych, kończąc na pomniejszych.

– W takim razie mogę ją zabrać na sam początek – odparł Rafe. – Jestem synem markiza. Nikt tu nie przewyższa mnie rangą.

Daphne poprawiła go.

– Będziemy wchodzić według rangi. A moja siostra, jako niezamężna panna Whitmore, jest przy samym końcu kolejki.

– Jest zaręczona z lordem.

– Ale jeszcze za niego nie wyszła.

Rafe zacisnął szczęki.

– To jakieś bzdury.

Daphne odpowiedziała uśmiechem.

– To maniery towarzyskie.

– Aktualnie, lady Cambourne, nie widzę różnicy między jednym a drugim. – Napiął ramię, przyciągając Clio do siebie. – Idziemy na kolację. Niech diabli porwą kolejność siadania za stołem.

– Przecież mogę poczekać – mruknęła Clio.

– Nie musisz. – Głęboki głos Rafe’a wstrząsnął nią od stóp do głów. Jej partner emanował ledwie kontrolowanym gniewem. – Kiedy jestem z tobą, nie siedzisz pod ścianą. Nie chodzisz głodna. A już na pewno, do ciężkiej

cholery, nie czekasz na końcu żadnej kolejki.

Wielkie nieba. Walczyła ze sobą, żeby znowu nie zemdleć. Ale za nic nie chciała, żeby ich wspólny wieczór tak się skończył.

– Obiecuję ci, że wytrzymam. Już mi lepiej.

– Dobra dziewczynka – pochwalił ją Teddy. Wymierzył Rafe'owi przyjacielskiego kuksańca. – Trzeba pozwolić damom na chwilę próżności, Brandon. Jak to ciągle powtarzam naszej kluseczce: nie szalej tak przy kolacji, lord Granville już ma w rodzinie jednego czempiona wagi ciężkiej.

Zaśmiał się radośnie z własnego dowcipu.

Clio miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Faktycznie, ma – potwierdził Rafe, również z rozbawieniem.

Łup.

Nikt nawet nie zauważył ciosu. Ani Clio, ani Daphne. A już na pewno nie Teddy, któremu głowa poleciała do tyłu od impetu uderzenia.

Zamrugał oczami. Potem zachwiał się w tył i upadł, lądując na tyłku z tępym sapnięciem. Równie tępym, jak cała jego egzystencja.

Clio miała ochotę bić brawo z radości.

– Teddy! – wykrzyknęła Daphne. Uklękła obok męża, wyjęła z kieszeni jego kamizelki chusteczkę i przycisnęła do jego zakrwawionej wargi. Potem rzuciła drapieżne spojrzenie Rafe'owi.

– Co się z panem dzieje? Zachowuje się pan jak zwierzę.

Ale on już tego nie słyszał.

Clio przebiegła wzrokiem tłum i stwierdziła, że Rafe zniknął.

20

No i dobrze. Już po wszystkim.

Wielki powrót Rafe’a na łono socjety skończył się, zanim się jeszcze na dobre zaczął.

Wokół nich zebrał się tłumek. Krew zawsze przyciąga ludzi.

Wszyscy mieli nadzieję na taką scenę, gdy tylko wszedł na salę. On też się tego spodziewał. Dlatego powiedział stajennym, żeby nie rozsiodływali jego konia.

Przebijając się przez tłoczących się ludzi po drodze do drzwi, słyszał wszędzie wokół szepty i plotki, jak brzęczenie roju pszczół, które żądliły go ze wszystkich stron.

Wszyscy wiedzieli, że to nie miejsce dla niego.

On też.

Był przecież impulsywnym, nieopatrznym łobuzem z piekła rodem, bez poszanowania zasad. Poszedł na ten bal i skorzystał z przywilejów, jakie dawał mu dziedziczny tytuł tylko z jednego powodu: by spłacić swój dług wobec Clio. Ale arystokratyczne korzenie okazały się za mało wytrzymałe i nie dotrwał nawet do kolacji. Nie minęło nawet dziesięć minut, a już wyszła na jaw jego prostacka natura.

Teraz mógł dla niej zrobić tylko jedno: wynieść się stamtąd jak najszybciej.

Zaczął padać równy, obfity deszcz, zmieniając podjazdy i drogi w błoto. Postawił kołnierz surduta i ruszył do stajni. W taką pogodę daleko nie

zajedzie, ale i tak znajdzie się w lepszym dla siebie miejscu.

– Rafe! Rafe, zaczekaj.

Odwrócił się. Biegła za nim, a mokry jedwab oklejał jej nogi. Szczerze mówiąc, właściwie całe ciało.

Naturalnie, był różowy. Jakże by inaczej.

Wciągnął ją do stajni.

– Clio, co ty wyprawiasz? Wracaj do domu.

– Jeśli wychodzisz, ja wychodzę z tobą.

Rzucił spojrzenie w stronę stajennych i zniżył głos.

– Nie opowiadaj bzdur. Pada. Przeziębisz się. I, na litość boską, nic jeszcze nie jadłaś. Wracaj do środka i to już.

Potrząsnęła głową.

– Nie wrócę. Już nie ma powrotu.

Już nie ma powrotu.

Nie był pewny, co ona chce przez to powiedzieć, ale brzmiało to zarazem podniecająco i przerażająco.

Zrzucił mokry surdut i okrył jej ramiona, przy okazji zaglądając jej w twarz.

Złociste loki przykleiły się do niej, policzki miała wilgotne od deszczu. I czerwony nos. Ale w tych błękitnych oczach nigdy jeszcze nie widział takiej przenikliwości i determinacji.

Piękna, szalona, niemożliwa kobieta.

– Co z Phoebe?

– Rozmawiałam z nią. Powiedziała, że będzie się lepiej czuła, jeśli za tobą pobiegnę.

– Jeśli chcesz stąd wyjechać, każę twojemu stangretowi, żeby…

– Nie chcę powozu. Chyba, że ty pojedziesz ze mną. Rafe, czy ty nic nie rozumiesz? Ja nie uciekam z przyjęcia, tylko biegnę za tobą.

Nie, nie. Nie mów takich rzeczy. Cofnij je szybko.

Wszystkiemu mógł się oprzeć, ale nie takiemu wyznaniu.

– Nie rób tego – ostrzegł. – Jeśli mnie teraz zachęcisz, zrobię coś szalonego. Potem będziesz tego żałować.

Podeszła o krok.

– Jeśli wyjedziesz z tej stajni beze mnie, pójdę za tobą. Piechotą. W deszczu. Bez płaszcza. Pójdę aż do Southwark, jeśli będzie trzeba.

Zamrugała, by strzepnąć z rzęs kroplę deszczu.

– Więc, jeśli naprawdę ci zależy na moim zdrowiu i spokoju, panie Rafe Brandon, to lepiej…

Rafe nie słuchał ciągu dalszego tej namiętnej groźby. Złapał ją w pasie i podsadził na swojego konia.

Potem sam wsiadł z tyłu, objął ją ramieniem w talii i przerzucił jej nogi sobie przez udo.

Puścił konia w galop i przyciągnął ją szorstko. Nie jak kochankę, ale jak jeńca. Sama chciała. Tej nocy znalazła się na jego łasce – na dobre i złe dla nich obojga.

W jednym miała rację.

Teraz już nie był odwrotu.

Clio przemokła na wylot i trzęsła się w ciemności. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani dokąd Rafe ją wiezie.

Nigdy w życiu nie była szczęśliwsza.

Nie dbała o zimno i ciemność. W jej ciele płonął żar. A w sercu miała dość radości, by oświetlić nią świat jak latarnią. Mogłaby tak jechać w nieskończoność – przytulona do jego szerokiej, mocnej piersi, otulona jego płaszczem, gdy wierny koń niósł ich przez deszcz i błoto.

Zatrzymali się w pierwszej przydrożnej oberży. Rafe wprowadził ją do środka, opowiadając jakąś bajeczkę o nowożeńcach i złamanej osi powozu.

Clio starała się nie robić sobie zbyt wiele nadziei, kiedy usłyszała, że przedstawia ją jako swoją żonę. Był po prostu opiekuńczy i tyle. Nie chciał budzić podejrzeń, że podróżują we dwójkę, nie będąc rodziną.

Ale… kiedy powiedział „pokój dla mojej żony” ucieszyła się, że będzie mogła się do niego przytulić.

Kiedy zaprowadzono ich na górę, wydał kilka poleceń służącym.

Właściwie nie tylko służącym.

– Zostań po tej stronie pokoju – nakazał Clio. – Poczekam, aż się położysz, a potem zejdę na noc na dół.

– Obawiam się, że to będzie cios dla twojej dumy. Uważają nas za nowożeńców. Pomyślą sobie, że nie najlepiej sobie radzisz podczas nocy poślubnej.

Wzruszył ramionami.

– Powiem im, że się boisz, bo mam oszałamiający rozmiar.

Zaśmiała się i objęła samą siebie, żeby powstrzymać szczękanie zębów. Teraz gdy ją puścił, zrobiło jej się strasznie zimno.

– Co do tego, co zdarzyło się wcześniej, Rafe, chciałam ci podziękować. To było genialne. Wszystko razem.

– To było głupie. Szczeniackie i impulsywne. – Przeczesał dłońmi włosy i westchnął ciężko. – Źle zrobiłem, że cię tu przywiozłem. I źle zrobiłem, że go uderzyłem.

– Cieszę się, że tu jestem. I byłam zachwycona, że mu przyłożyłeś. To było najlepsze ze wszystkiego.

– To twój szwagier.

– Owszem. Ale jest nie do wytrzymania.

Potarł dłonią usta.

– Powinienem dołożyć mu mocniej. Miałem na to wielką ochotę.

– Wiem.

– Psiakrew, mogłem go zabić.

Poczuła igiełki na szyi.

– Nie zrobiłbyś tego.

Spojrzał jej prosto w oczy mrocznym wzrokiem. Z takim napięciem, że poczuła je przez dzielącą ich odległość.

– Nie zdajesz sobie sprawy, do czego byłbym zdolny dla ciebie.

Jej serce uderzyło z taką siłą, że straciła oddech.

– Przepraszam pana.

Rafe przesunął się na bok, bo do pokoju weszły trzy służące, niosąc wannę i dwie wielkie kanki pełne parującej wody. Clio i Rafe obserwowali bez słowa napełnianie wanny, które zajęło dłużej niż powinno, bo wszystkie ukradkiem spoglądały na niego.

Nawet kiedy wyszły, został przy tych drzwiach jak wartownik.

– Wszystko miało być inaczej – powiedział.

– Domyślam się. Wspaniale w tym wyglądałeś. – Ciaśniej otuliła się elegancko skrojonym frakiem. – Nie sądzę, żebyś zdobył się na taki wysiłek tylko po to, żeby potraktować mojego szwagra prawym sierpowym.

Machnął ręką.

– Miałem z tobą zatańczyć. Naprawdę zatańczyć. Wystarczająco długo, żebym zdążył ci powiedzieć, jak pięknie wyglądasz w tej sukni. Tak jak powinienem to zrobić na twoim pierwszym balu, wiele lat temu.

Och, Rafe.

– A potem, przed odjazdem, miałem zaprowadzić cię w jakieś ustronne miejsce i dać ci…

– Co takiego? Co chciałeś mi dać?

Skinął głową.

– Zajrzyj do kieszeni.

Wsunęła dłoń do kieszeni na piersiach w jego fraku i natrafiła na zwój papierów.

Jej papierów.

– Nie wierzę.

– Musiałem to zrobić. Zasługujesz co najmniej na tyle. Ja…

– Przepraszamy pana jeszcze raz.

Służące wróciły. Rafe znowu odsunął się z progu. Przyniosły jeszcze jedną kankę, mnóstwo ręczników i tacę z imbrykiem pełnym herbaty, chlebem i

czymś, co pachniało jak gulasz z królika.

– Czy to już wszystko, proszę pana? – spytała najstarsza z nich.

Przytaknął.

– Przygotujcie dla mnie coś do jedzenia, dobrze? Zejdę za chwilę.

Wyszły, ale od razu na korytarzu zaczęły chichotać i szeptać.

– Słuchaj, nie mogę tu tak stać i z tobą rozmawiać. Założę się, że jeszcze trzy minuty, a twoja reputacja legnie w gruzach.

– Przecież nie wiedzą, kim jestem.

– Ale wiedzą kim ja jestem. Albo ktoś im powie. Resztę każdy odgadnie bez trudu. – Pokręcił głową. – Nie wyobrażasz sobie nawet, co się będzie działo. Ja osobiście nie miałbym nic przeciwko temu. Najchętniej powiesiłbym na drzwiach kartkę: „Nie przeszkadzać. Rujnujemy reputację” i zamknął drzwi na klucz.

Clio wcale nie uważała, że to byłoby coś strasznego.

– Ale nie po to przyjechałem na ten bal. Chciałem…

Rozejrzał się po korytarzu, pochylił głowę w niskich drzwiach i wszedł do pokoju. Nie zamykając drzwi.

Zniżył głos.

– Clio, chciałem dać ci wybór. A nie odbierać.

Zacisnęła dłonie na papierach.

– Więc chcesz je podpisać?

– Już podpisałem.

Spojrzała na dokumenty. Potem je rozwinęła, żeby sprawdzić. Rzeczywiście, na ostatniej stronie widniał jego podpis, śmiało nakreślony przez całą szerokość pergaminu.

– Nie jesteś już zaręczona, od godziny wpół do ósmej wieczorem dnia dzisiejszego. Chciałem ci to powiedzieć wcześniej, żebyś się naprawdę dobrze bawiła na tym balu. Byłem ci winny coś więcej niż tego walca. Chciałem, żebyś się poczuła wolna. Żebyś mogła swobodnie tańczyć, flirtować, i posłać do diabła wszystkich plotkarzy. – Rozłożył ramiona. –

Zamiast tego, znaleźliśmy się tutaj.

– Tak. Jesteśmy tutaj.

Clio wcale nie była zła z tego powodu. Może z jego planów nic nie wyszło, ale ona tysiąc razy wolała tę sytuację od jakiegoś tam walca.

– No cóż. Jesteś teraz niezależną kobietą, i miejmy nadzieję, że ci to wyjdzie na dobre. Możesz chodzić, dokąd chcesz i robić wszystko, czego zapragniesz.

Milczała przez chwilę.

– W takim razie…

Minęła go spokojnym, równym krokiem i podeszła do drzwi.

Potem zamknęła je i przekręciła klucz w zamku.

– …chcę spędzić z tobą noc.

21

Clio wstrzymała oddech. Przez krótką, przerażającą chwilę nic się nie działo.

Nie odezwał się ani słowem. Nie poruszył się. W ogóle nie zareagował.

Nawet okiem nie mrugnął.

Nagle w ułamku sekundy przygwoździł ją do drzwi. Uderzyła o nie plecami, aż jej zęby zadzwoniły. Zsunął dłonie na jej pośladki, a potem podniósł ją i przycisnął do siebie.

– Miałem nadzieję, że to powiesz – mruknął prosto w jej usta.

Wsunęła dłonie w jego włosy, uśmiechając się tak szeroko, że z trudem mogła oddać mu pocałunek.

– Miałam nadzieję, że to zrobisz – szepnęła.

Pocałował ją. Z początku pożądliwie. Potem słodko. Słodziej niż kiedykolwiek. Possał jej górną wargę, potem dolną. Drażnił jej język swoim. Mruczał czułe słowa, których nie rozumiała, ale nie było to potrzebne. Gładził jej policzek wierzchem dłoni i nie śpieszył się nigdzie. Mieli mnóstwo czasu. Nie musieli się martwić, że ktoś będzie ich niepokoić.

Wreszcie byli tylko we dwoje.

Odsunął się jednak, szybciej niżby chciała.

– Powinniśmy za…

– Nie. – Przerażona, przytknęła palec do jego wargi jakby miały moc, by ją zniszczyć. – Nie wymawiaj tego słowa. Zgodzę się na wszystkie inne, które zaczynają się na „z”, byle nie to jedno. Możemy zadrżeć, zacząć, zapłakać, zakuć…

To ostatnie nieco go zaniepokoiło.

– To tylko przykład. Wiesz, o co mi chodzi. Możesz proponować wszystko, tylko nie wypowiadaj słowa „zaczekać”.

Odsunęła palce.

Pogładził ją kojąco po plecach, zataczając kciukiem kółeczka na sukni.

– Zagrzać. Powinniśmy zagrzać się trochę. I powinnaś coś zjeść.

– Aha. Nie mam nic przeciwko. To o wiele lepszy pomysł niż tamte.

– Bez wątpienia. Przyniosę ci koc, a potem ściągniemy z ciebie ten jedwab.

Kiedy stawiał ją na podłodze, na jego twarzy nagle odmalowała się surowa powaga.

– Będziesz musiała za mnie wyjść, wiesz przecież.

Tak.

Wiedziała to.

Wtedy zajrzała w głąb swego serca. Nigdy wcześniej nie widziała tak jasno, co się w nim kryje. Zobaczyła całą przyszłość. Ich wspólną przyszłość. Zamek, browar. Dzieci. Święta Bożego Narodzenia, Wielkanoce i letnie deszcze.

Zawsze będą padać deszcze.

– Tego nie da się obejść – powiedział. Odsunął się i ruszył w stronę łóżka. – Może nie tego chcesz, ale… Pobiegłaś za mną w deszczu, mokra, trzęsąca się z zimna. Powinienem cię zawrócić, ale jestem zbyt impulsywny i to nigdy nie wychodzi na dobre. Zwłaszcza tobie.

Psiakość. Czuł się zraniony. Powinna od razu powiedzieć na głos swoje „tak”, ale tego nie zrobiła. A on uznał to za spóźniony sprzeciw.

Pociągnął kołdrę.

– Jestem stworzony do walki. Jeżeli miałem jakieś resztki reputacji w towarzystwie, to wczoraj je zniszczyłem. Teraz mogę cię bronić tylko siłą fizyczną.

– Rafe…

– Tylko że teraz niczego nie możesz już odmówić. – Zatrzymał się z poduszką w ręce. Trzymał ją jak tarczę. – Nie masz już wyboru.

– Oczywiście, że mam. Podpisując te dokumenty, dałeś mi pełen wybór. Jestem nową Clio. Robię wszystko z własnej woli, a nie z przymusu i nie obchodzi mnie, co powiedzą ludzie. Nie wyjdę za ciebie tylko dlatego, że mi mówisz, że muszę.

Zacisnął palce, wbijając je głęboko w poduszkę.

– Na litość boską, nie dręcz tej biednej poduchy.

Wyjęła ją z jego rąk, uklepała ją przepraszająco i odłożyła na wezgłowie łóżka.

– Rafe – powiedziała. – Owszem, wyjdę za ciebie. Dlatego, że cię kocham.

Zamrugał, i nagle uświadomiła sobie, że być może nigdy wcześniej nie słyszał tych słów. Matka odumarła go we wczesnej młodości. Niezależnie od tego, co czuli do niego ojciec i brat, nie należeli do ludzi, którzy mówią takie rzeczy na głos. A jeśli powiedział jej prawdę o swoich kobietach i jego życie uczuciowe było płytkie i niezadowalające…

To znaczy, że Clio była najprawdopodobniej pierwsza. Ogarnęła ją radość, że mogła dać mu ten dar.

Ujęła jego dłoń w swoje.

– Kocham cię do szaleństwa, Rafe Brandon.

Milczał przez chwilę.

– Bredzisz w gorączce? – spytał.

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak. – Przycisnęła sobie jego dłoń do czoła. – Widzisz?

Pewnie zasługiwała na ten sceptycyzm. Z tego, co Rafe wiedział, jej uczucia obudziły się niedawno.

– Jestem pewna. Już od dłuższego czasu zaczęło to do mnie docierać. Nie wiem, kiedy się zaczęło, ale… wcale nie tego lata. Dużo wcześniej. Od lat czytałam wszystko, co mogłam znaleźć o twojej karierze. Kibicowałam

sukcesom. Martwiłam się, gdy odnosiłeś kontuzje. Jak myślisz, dlaczego wysyłałam ci te wszystkie głupie zaproszenia i wakacyjne pocztówki? Rafe, ja jestem grzeczną dziewczynką. Wychowano mnie, żebym była wzorem dobrego wychowania i ciepła. Ale aż tak grzeczna to nawet ja nie jestem.

Podniosła jego rękę do ust i pocałowała.

– Kocham cię. Rozumiem, że na razie będzie ci trudno uwierzyć w to do końca. Ale to nieważne. To krótkie zdanie, mogę je powtarzać do skutku. A ty możesz trenować przyjmowanie go na siebie, jak prawe proste. Uniosła ręce do pozycji, jakiej jej nauczył i zaczęła boksować go w ramię. – Kocham, cię. Kocham cię. Kocham cię…

Złapał ją w ramiona. Spojrzał szalonym wzrokiem.

– Clio, nie. Przestań.

– Nie przestanę. Nawet mistrz Anglii wagi ciężkiej nie da rady mnie zatrzymać. Upojona swoją siłą, objęła go za szyję. – Kocham cię. Weź to na siebie.

Och, Rafe jak najbardziej zamierzał wziąć to na siebie.

Wziąć na siebie, przytrzymać mocno obiema rękami i nigdy, przenigdy nie puścić.

– Właściwie, dajmy sobie spokój z tą kołdrą – powiedział. – Ogrzeję cię sobą.

– Podoba mi się ten pomysł.

Jemu też się podobał.

Objął ją w talii i odwrócił tyłem do siebie. Po raz drugi w tym tygodniu zabrał się za rozpinanie jej sukni.

Tym razem wszystko było jednak inaczej.

Tym razem Clio należała do niego.

Długo czekał, żeby być z kimś, kto należy do niego. Z kimś, o kogo może się troszczyć bez żadnych oporów. Otwarcie. Całym sobą, nie tylko tą brutalną, okaleczoną częścią siebie.

– Zjedz coś w międzyczasie – powiedział. – Bo znowu zemdlejesz.

Sięgnęła po kanapkę i odłamała kawałek. – Trzeba było się tak nie stroić, jeśli nie chciałeś, żebym mdlała – odpowiedziała z pełnymi ustami.

– Ta suknia daje ci za mało powietrza, nie możesz mówić – powiedział, rozpinając ostatnie guziki. Ściągnął mokry jedwab z jej pleców. – To ja myślałem, że zemdleję, kiedy zobaczyłem cię w tej sali balowej.

Zsunął resztę sukni przez biodra i pomógł jej przestąpić przez leżącą na ziemi tkaninę. Potem zabrał się za rozsznurowywanie gorsetu i rozwiązywanie wstążek przy halkach. Mokre węzły opierały się palcom, ale w końcu mu się udało.

Odwróciła się twarzą do niego, ubrana tylko w mokrą, cienką jak chusteczka bieliznę. Materiał przywarł do jej ciała, podkreślając krągłości. Był dosłownie przezroczysty. Wielki Boże. Przesunął wzrokiem po stwardniałych sutkach, miękkich, słodkich biodrach i ciemnym, bursztynowym trójkącie na łonie.

Gdyby nie przeszył jej nagły dreszcz, mógłby się tak wpatrywać całą noc.

– Przepraszam – powiedział. Musiał działać szybciej, żeby się nie przeziębiła. – Rozbierz się sama do końca i wskakuj do łóżka. Ja zajmę się sobą i zaraz do ciebie przyjdę.

Skinęła głową. Odwrócił się i usiadł na fotelu przy kominku, żeby zdjąć buty. Potem wstał i zrzucił resztę odzieży. W kilka sekund pozbył się kamizelki, koszuli, a potem spodni. Zwinął je w kulę i odwrócił się do niej.

Clio leżała w pościeli, z rozpuszczonymi włosami, które wilgotną falą opadły jej na ramiona. Taka śliczna. Wyglądała jak jakiś obraz z weneckiego pałacu.

To uosobienie kobiecej delikatności wpatrywało się w niego. Z taką miną jak kot w okrawki mięsa na targu.

– Ja… – zawstydziła się, że ją przyłapał, ale nie odwróciła oczu.

Odrzucił ubranie na bok i rozłożył ramiona, jakby chciał powiedzieć:

– Nie przeszkadzaj sobie. Napatrz się do syta.

Jej wzrok flirtował chwilę z jego ramionami i brzuchem, ale zaraz skierował się w intymne miejsce. Jej policzki nabrały nowego odcienia, jakby wołały o pomoc. Nie miał pojęcia, jak nazwać tę odmianę różowego. Może do tej pory nie istniała w naturze.

– Nie wiem, czego się spodziewałam… – W zamyśleniu wsunęła palec do ust. – Przecież jesteś potężnym mężczyzną. W ogóle. Więc logiczne jest, że w tym szczególe też będziesz bardzo… duży.

Podrapał się po szyi, usiłując nie wybuchnąć śmiechem. Nie był przecież monstrualnie wielki, po prostu większy niż przeciętnie. Ale jej niezamierzony komplement – i ten pąsowy rumieniec, który dotarł aż do linii włosów – tylko pogorszył sprawę. Nagle urósł jeszcze bardziej.

Wyciągnęła niepewnie rękę.

– Mogę?

Za nic by jej nie powstrzymał.

Przysunął się bliżej, z penisem sterczącym jak figura dziobowa na okręcie. Nigdy w życiu nie był twardszy.

Dotknęła go opuszką palca – tylko jednego palca – przesuwając od podstawy do czubka – i całe jego ciało stanęło w płomieniach.

Przechyliła głowę.

– Jesteś pewny, że to…

– Tak.

– W całości?

– Ale nie od razu.

Położył się obok niej i popchnął ją na materac.

– Zrobimy to powoli, w twoim tempie. Jeśli będziesz chciała, żebym przestał, wystarczy jedno słowo.

Wyciągnął się wygodnie, przyciągnął ją do siebie i objął ramionami, darząc swoim ciepłem. Miał go mnóstwo na zbyciu.

– Lepiej?

Skinęła głową.

Kiedy pochylił się, by pocałować puls na szyi, przechyliła głowę odsłaniając bladą, wdzięczną krzywiznę.

To było zaproszenie.

Takiego zaproszenia nie odrzuciłby nigdy w życiu.

Zaczął od jej ucha, przesuwając wargi po szyi, aż do obojczyka. Dłoń jakby z własnej woli powędrowała ku piersiom. Ugniatał jedną, a drugą całował, tuląc się do pachnącej skóry.

Nawet, gdyby kochali się przez następnych pięćdziesiąt lat – a miał szczerą nadzieję, że tak będzie – wiedział, że nigdy go nie przestanie zdumiewać, że ona pragnie właśnie tego. Jego wielkiego, prostackiego ciała dotykającego takich miękkich cudowności.

Położył ją na plecach i zaczął całować jej brzuch. Potem oparł głowę na pępku i zajrzał jej w twarz.

– Będzie ci dobrze – obiecał. – A nawet lepiej niż dobrze. Chcę… chcę, żebyś jęczała jak przy ciastkach. Nie, wróć. Chcę, żebyś jęczała jak przy „Rafe”.

Zaśmiała się cicho. Ale kiedy przesunął dłonią w górę nagiego uda, ten śmiech zmienił się w westchnienie rozkoszy.

– O to chodzi. Dobry początek.

Przesunął się niżej i zaczął ją tam całować. Drgnęła, zaskoczona. Przytrzymał jej nogi.

– Wszystko będzie dobrze. Jeśli mi zaufasz.

– Ufam ci.

Nie potraktował tej zgody lekko. Zaczął pieścić Clio palcami, rozsuwając kciukiem jej wargi. Potem wsunął go ledwie o centymetr. Jęknęła, więc potraktował to jako zachętę.

Rozłożył szerzej jej nogi, żeby zmieścić się pomiędzy nimi, a potem położył się i dotknął językiem jej najczulszego miejsca. Szarpnęła się, zaskoczona pieszczotą, ale to go nie powstrzymało. Drażnił się nią, powolnymi, leniwymi ruchami języka. Smakowała wspaniale. Słodko i

odrobinę kwaśno. Tyle ile trzeba.

– Rafe. – Dotknęła jego ramienia. – Rafe, czy jesteś pewny….

– Wszystko w porządku. – Rozsunął ją szerzej kciukami. Jest cudownie. Ty jesteś cudowna.

Krzyknęła z rozkoszy. Zacisnęła uda na jego głowie, żeby został tam, gdzie był. Zajął się więc pieszczotami i czułościami. Uczył się jej kształtów, jej reakcji. Jeszcze chwila, a zaczęła dygotać.

– Tak – jęknęła.

On również jęknął. Jego członek na próżno dygotał, zaplątany w prześcieradła.

Kiedy nie mógł już dłużej czekać, ułożył się na jej ciele. Oparł się na ramionach i oparł twardy do bólu członek o jej ciało. Jeszcze w nią nie wszedł. Czekał. Kołysał tylko biodrami, napierając tam, gdzie sprawiało jej to największą przyjemność. Rozgrzewał ich oboje.

Pieścił, droczył się, doprowadzał do szaleństwa.

– Och – westchnęła. – Och, Rafe.

Kochał to uczucie. Nie tylko radość, że ją zadowala, choć już to było samo w sobie wspaniałe. Jeszcze bardziej kochał tę nadludzką, upajającą świadomość, to skupienie, które wyrywało go z umysłowego zamętu i sprawiało, że był zdolny do wszystkiego. Znał je, ale towarzyszyło mu tylko na ringu.

Do teraz. Do chwili, gdy zaznał Clio.

Poruszając się w przód i w tył, opierał się na ramionach i obserwował jej narastającą rozkosz, jakby to było pasjonujące opowiadanie. Albo obraz, malowany różową farbą na białej skórze.

Była taka piękna…

I gotowa na niego, sądząc po wilgoci między ich ciałami. Najwyższy czas, bo wiedział, że już długo nie wytrzyma.

– Proszę cię… – szepnęła, zaciskając w dłoniach prześcieradło. – Chodź już. Proszę.

Wziął członek do ręki i dotknął nim jej miękkiego ciała.

– Powiedz, że tego chcesz.

– Chcę.

Zacisnął zęby i zaczął wsuwać i wysuwać sam czubek, jakby drażnił się i z nią, i z sobą.

– Powiedz mi, że chcesz mnie.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Rafe. Chcę ciebie. Tylko ciebie.

Poczuł się jak bóg, wchodząc głębiej. Wszechmocny. Arogancki. Dzierżący klucze do raju.

Była wilgotna, ale niesłychanie ciasna. Dla niego będzie to cudowne, ale ją zaboli. Nie wszedł więc jednym ruchem do końca, ale wsuwał się łagodnie i spokojnie. Mimo to, po każdym jego ruchu jej twarz stawała się coraz bardziej napięta.

Przerwał.

– Jeśli cię boli, każ mi przestać.

– Nie przerywaj. Kocham to. Kocham ciebie… Tylko że jest tam cię tyle do kochania… Cierpliwości.

Cierpliwości, powiedziała.

Tylko że to ona była specjalistką od cierpliwości, a nie on. Znał się na cierpliwości tyle, co na wyszywaniu. I tak wykorzystywał już wszelkie zasoby samokontroli. Ale był dopiero w połowie i gorąco pragnął zanurzyć się po sam korzeń.

Sięgnął między nich i dotknął jej czułego miejsca. Mógł tylko zataczać kciukiem niewielkie kółeczka. Napiął wszystkie mięśnie, utrzymując resztę swego ciała w kompletnym bezruchu.

Po chwili zaczęła urywanie oddychać. Poruszała biodrami, jakby kołysała się na łagodnych falach. Trzymał się tylko siłą woli, gdy sama wsuwała go w siebie i wysuwała za każdym razem wpuszczając go odrobinę głębiej.

Jęczała i wzdychała coraz głośniej, wyginała plecy coraz wyżej. Coraz

trudniej było mu utrzymać ten bezruch.

Cierpliwości…

Kiedy weszła na szczyt, stracił w końcu kontrolę nad sobą. Pchnął głęboko, w nadziei, że jej rozkosz przytłumi ból.

Wreszcie. Dotarł do jej serca. A ona zacisnęła się wokół niego.

Była niesamowicie ciasna. Czuł ostatnie skurcze jej orgazmu. Kiedy się wysunął, jej ciało pożegnało go najczulszym, najbardziej wilgotnym, najmocniejszym uściskiem, jakiego zaznał w życiu. Ledwie znalazł się na zewnątrz, zagłębił się w nią znowu, żeby poczuć to wszystko jeszcze raz.

Powinien to robić wolniej, delikatniej… może nawet skończyć sam, w ręku. Ale nie mógł się do tego zmusić. Za długo na nią czekał. Nie miał już ani odrobiny cierpliwości, zostało mu tylko nieubłagane, pierwotne pożądanie. Orgazm wisiał nad nim jak dżokej nad koniem, popędzał go do coraz szybszego biegu.

W końcu uznał, że sprint do mety będzie najłagodniejszym rozwiązaniem.

– Trzymaj się mnie – polecił, czując w plecach mrowienie, które znaczyło, że szczyt jest już blisko. Trzymaj się mnie mocno, czym tylko możesz.

Objęła go ramionami, uda zacisnęła wokół jego pasa. Kiedy w nią wszedł, serce w nim zamarło. Wszystkie myśli umknęły z głowy. Kości stopiły się jak masło.

Była tak słodka.

Tak niesłychanie słodka.

Potem okrył pocałunkami jej wargi, by smakować tę słodycz aż do końca. Wiedział, że to nie potrwa długo.

Takie było przecież jego życie. Wiedział o tym z doświadczenia dwudziestu ośmiu lat w skórze Rafe’a Brandona…

Nieważne, co obiecał jej albo sobie. Kiedy wybuchały w nim emocje, z dobrych chęci zostawał tylko popiół. Walc zmieniał się w bójkę na pięści. Zamiast cierpliwości zostawało: „szybciej, silniej, teraz!”.

Kiedyś ją zrani. Pokieruje się niewłaściwym impulsem, powie coś, czego

nie powinien. Spieprzy to wszystko w jakiś głupi sposób, nie do odkręcenia. Był tego pewien.

Tym bardziej powinien cieszyć się tą bliskością.

Pozwolił jej więc, żeby go tuliła mocno i czule – jak długo starczy jej odwagi.

22

Ranek przyniósł ironiczne podsumowanie. Takie, którego – o dziwo – wcale się nie spodziewała.

– Wiesz chyba, co to oznacza. – W bladym świetle poranka Rafe założył przez głowę koszulę i wsunął ręce w rękawy. – Teraz naprawdę musimy zacząć planować ślub.

– Och. – Na chwilę przestała zapinać koszulkę. – Czyżby?

Zesztywniał.

– Owszem, jestem tego pewny, chyba że w nocy tylko mi się to przyśniło – Spojrzał znacząco na łóżko.

Pocałowała go uspokajająco.

– Nic ci się nie przyśniło.

Jej też nie. Ich wspólna noc była cudowna, i cudownie rzeczywista.

Kiedy skończyli się kochać pierwszy raz, wykąpali się i zeszli coś zjeść. Potem rozmawiali, aż zasnęli w swoich ramionach. Ale nie spali długo. Jeszcze dwa razy tej nocy budził ją pocałunkami, które szybko zmieniały się w coś więcej. Spędzili tak całą noc – kochali się, zasypiali, budzili się i znowu się kochali. Tak jakby chcieli z jednej nocy uczynić kilka.

– Nie sprzeciwiam się samemu pomysłowi małżeństwa – powiedziała. – Chodzi mi tylko o ślub. I tak już mnie wniosłeś po schodach w białej, koronkowej sukni. Karmiliśmy się nawzajem tortem. Spędziliśmy noc w apartamencie nowożeńców. Czy nie moglibyśmy sobie darować całej tej pompy? Wolałabym wziąć ślub w szczerym polu, w codziennej sukience –

pod warunkiem, że poślubię mężczyznę, którego kocham.

– Też wolę prostotę. Nie będzie mi przeszkadzał brak chorągiewek.

Uśmiechając się pod nosem, sięgnęła po gorset. – Naturalnie, chciałabym, żeby były przy tym moje siostry. Choć czasem doprowadzają mnie do szału, bez nich ślub nie byłby taki sam.

Zajął się zapinaniem spodni i nie odpowiedział.

Skrzywiła się, żałując tych bezmyślnych słów. Tak, ona mogła zaprosić siostry na ślub. Ale za to Rafe nie miał żadnych szans na obecność swojego brata. Być może Piers nie będzie już chciał w ogóle z nimi rozmawiać.

Rafe poświęcił dla niej bardzo dużo. To niesamowite, że dla kogoś była tyle warta. Nie mogła w to uwierzyć. Choć dla niej on również był bezcenny. Przysięgła sobie, że będzie go kochać tak mocno, żeby nie odczuł braku tego, co utracił.

Kiedy rozplątywała tasiemki gorsetu, wpadła na pewien pomysł.

Oblizała wargi i zebrała się na odwagę.

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś wczoraj? Że kiedy byliśmy młodsi, czasem nie mogłeś na mnie patrzeć, bo w myśli kazałeś mi robić różne nieprzyzwoite rzeczy?

Uniósł brew.

– Pamiętam.

Upuściła gorset na podłogę, stojąc przed nim tylko w pończochach i koszulce.

– Każ mi robić różne nieprzyzwoite rzeczy.

Rzucił na nią okiem, jakby chciał sprawdzić, czy mówi serio. Albo czy jej nie zabraknie odwagi. Wyprostowała się i uniosła podbródek.

– Więc?

Nie śpiesząc się podszedł do fotela i usiadł na nim wygodnie. Kiedy się odezwał, jego głos był mroczny jak czysty grzech.

– Zdejmij bieliznę. Zostań tylko w pończochach.

Natychmiast ogarnęło ją podniecenie.

Zrobiło jej się gorąco. Czuła że się rumieni, gdy rozpinała te same guziczki, które przed chwilą zapinała. Rafe patrzył, jak się rozbiera. Przed jego śmiałym spojrzeniem nie było ucieczki.

Choć to był jej pomysł, poczuła się nagle dziwnie nieśmiała i obnażona. Podejrzewała jednak, że ta nieśmiałość stanowiła część jego fantazji, więc nie próbowała jej ukryć.

– Dobrze. – Przesunął spojrzeniem po jej nagim ciele. – A teraz rozbierz mnie.

Podeszła do fotela miękko jak kotka. Drżącymi palcami ujęła skraj koszuli i zaczęła ją podnosić, odsłaniając rzeźbiony tors.

Nagle uświadomiła sobie, że wszystko będzie zupełnie inaczej niż w nocy. Był przecież dzień. Będą się dokładnie widzieli. Rafe miał taką wspaniałą sylwetkę, że trudno było przy nim nie popaść w kompleksy.

Na szczęście jej ciało wyraźnie mu się podobało – chyba że był naprawdę dobrym aktorem.

Wędrował wzrokiem po jej krągłościach. Kiedy ściągała mu koszulę, pozwoliła sobie musnąć piersią jego policzek. Gwałtownie wciągnął powietrze.

Potem spojrzała w dół, na klapę jego spodni. Ciężko będzie ją rozpiąć, kiedy siedzi na krześle. To może być nawet niemożliwe.

– Wstaniesz? – spytała.

– Nie.

Zrozumiała, o co mu chodzi i przeszedł ją dreszcz.

Żeby zdjąć mu spodnie, będzie musiała uklęknąć.

To było szokujące i nieprzyzwoite. Jednak zaczęła je ściągać. Uniósł odrobinę biodra, żeby jej pomóc.

Potem opuściła je niżej, uwalniając jego wzwiedziony, chętny członek. Stuprocentową, bezwstydną męskość, która spojrzała jej prosto w twarz.

Zawstydzona, spuściła wzrok.

– Popatrz – odezwał się. Jego szorstki głos zawibrował w dole jej brzucha.

– Popatrz, co narobiłaś.

Policzki jej płonęły. Ale sama zaproponowała tę grę. Nie mogła teraz być nieposłuszna. Więc popatrzyła.

To naprawdę była jej robota? W całości?

Jeśli tak, mogła być z siebie dumna.

Położyła na nim obie dłonie, starając się zagarnąć tyle, ile się dało. Potem zaczęła je przesuwać, w górę i w dół.

– Dobrze to robię?

– Bardzo dobrze. – Na chwilę stracił głos. – Teraz pieść mnie ustami.

To proste polecenie przeszyło ją erotycznym dreszczem.

– Jak?

– Najpierw językiem.

Pochyliła głowę i polizała go z wahaniem.

– Tak?

– Tak… – jęknął. – Właśnie tak. Całego.

Przesunęła językiem po śliwkowej główce, a potem po spodniej stronie jego członka. Pachniał mydłem i umytą skórą. Nie spodziewała się, że będzie taki miękki. Miękki i twardy zarazem.

Kiedy powróciła językiem do czubka, zaparło mu dech w piersiach. Położył dłoń na jej głowie.

– Teraz tak.

Pochylił jej otwarte usta ku główce, i palcami zaplątanymi w jej włosy prowadził je w górę i w dół.

Ta krótka lekcja wystarczyła, żeby ją zachęcić. Nieprzyzwoite pieszczoty podnieciły ją ponad wszelkie wyobrażenie. Wzięła go głębiej, a potem jeszcze głębiej – zachwycona, że nie da rady pochłonąć go całego. Pragnęła jego smaku, rozkoszowała się cichymi jękami, jakie wydawał w rytm jej pieszczot.

– Clio. Boże.

Mocniej zacisnął palce w jej włosach i delikatnie odsunął ją od siebie.

Mruknęła coś cicho, rozczarowana.

– Wstań – powiedział. – Rozsuń nogi i usiądź mi okrakiem na kolanach.

Pośpiesznie zrobiła to, o co prosił. Pończochy zaczepiły o drewno i puściły oczko. Nawet nie zwróciła na to uwagi.

– Podnieś piersi w dłoniach – zażądał niecierpliwie. – Przysuń mi je do ust.

Podsunęła mu najpierw jedną, potem drugą, a na końcu obie naraz. Przesuwał głową i na zmianę drażnił jej sutki pocałunkami i liźnięciami. Ujął jeden z nich usta i mocno possał. Jego pomruki wibrowały w jej ciele.

– Proszę cię… – szepnęła. – Chcę… potrzebuję…

– Czego chcesz, kochanie? Powiedz.

– Ciebie.

Pogładził ją po ramieniu.

– Przecież mnie masz. Tu jestem.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Poruszyła się mu na kolanach. – Chcę mieć cię w sobie.

– W ten sposób? – Wsunął rękę między nich i zagłębił w nią palec. Zaparło jej dech w piersiach… ale to było za mało.

Szatan wcielony. Dokładnie wiedział, czego ona pragnie. Tylko się z nią droczył.

– Jeszcze – dyszała, napierając na jego rękę. Za każdym razem, kiedy ocierała się o nią ciałem, przenikał ją dreszcz rozkoszy. – Chcę jeszcze.

– Więc powiedz mi to. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował w ucho. – Powiedz, że chcesz mojego fiuta.

Zamarła. Potem wstrząsnęła nią nieznana emocja.

– No już – ponaglił, głęboko wsuwając palec. – Czuję, jaka jesteś mokra. Lubisz, kiedy ja mówię takie rzeczy. Więc powiedz to sama. Powiedz, że chcesz żebym go wsadził głęboko. A potem szybko i ostro.

– Ja… ja nie mogę powiedzieć czegoś takiego.

– Czemu nie? Miałaś go na czubku języka. A przecież to tylko słowo.

– Ale nieprzyzwoite.

– Przecież chciałaś robić nieprzyzwoite rzeczy.

Tak, ale myślała, że tylko on będzie mówił. Nie miał żadnych oporów, gdy chodziło o cielesne pożądanie. Ale Clio je miała. I to bardzo dużo. Mnóstwo, mnóstwo oporów, które gromadziła przez całe życie.

Dokuczał jej niegodziwie, zataczając kciukiem kółeczka w miejscu, gdzie czuła je najbardziej. Dobrze o tym wiedział. Jego oddech pieścił jej włosy.

– Jesteś tutaj. Ze mną. Możesz mówić wszystko, co czujesz.

Całe ciało bolało ją z pożądania. Doprowadził ją do takiego podniecenia, że zrobiłaby wszystko.

– Chcę twojego fiuta – szepnęła niemal bezgłośnie. – Włóż mi go tu.

Wysunął palec z jej śliskiego wnętrza i ujął swój członek w dłoń, żeby ustawić jego gładką, szeroką główkę we właściwym miejscu.

– O to ci chodzi?

– Tak.

Położył ręce na oparciach fotela.

– To masz.

Opadała na niego powoli, po trochu, z rozkoszą wchłaniając w siebie jego twardość, aż w końcu usiadła na jego ciele.

– Patrz teraz. – Zwrócił jej głowę w stronę toaletki. – Patrz, co narobiłaś.

Ich odbicie wypełniło lustro. Widziała jego duże, brązowe dłonie zaciśnięte na swoim bladym ciele. Piersi, kołyszące się łagodnie, gdy się na nim poruszała w leniwym rytmie. Mgłę pożądania w jego wzroku.

– Boże. Jaka ty jesteś piękna.

Opuścił dłonie i objął ją w talii, a potem nadał im szybsze tempo, podnosząc biodra, by napełnić ją sobą. Pochyliła się i ukryła twarz na jego piersi, poddając się wszystkiemu. To poczucie jego twardego członka, który wysuwał się z niej i wracał, uciskając jej najczulsze miejsca…

Fala rozkoszy wzniosła się tak szybko, że nawet nie zauważyła, gdy targnął nią orgazm. Osłabła w jego ramionach, cicho łkając z rozkoszy, ufając, że sam utrzyma rytm, jakiego potrzebowała.

Nie zawiódł jej.

Kiedy minęły ostatnie spazmy, objął ją mocno i pogłaskał po włosach.

– Inaczej to zaplanowałam – powiedziała, gdy już odzyskała oddech. – Chciałam teraz zadowolić ciebie.

– Zadowoliłaś. Zdecydowanie tak.

Zbliżył wargi do jej warg i pocałował ją tak jak za pierwszym razem w wieży – czule, leniwie… z głębin pożądania.

Był tak niesłychanie cierpliwy. Czuła przecież, że wciąż jest twardy i ogromny. Pewnie rozpaczliwie pragnie ulgi.

Pochyliła się i pocałowała go w szyję. Pogładziła palcami ramię, przeczesała ciemne głosy na jego piersi. Znowu zaczął się w niej poruszać. Powoli. Czule.

Głęboko. Aż do serca.

Zacisnął mocniej ramię obejmujące ją w talii i pchał coraz mocniej. Na każdy jego ruch odpowiadała jękiem. On też wydawał gardłowe, szorstkie pomruki.

Zamknął oczy i dotknął jej skroni swoją. Zaczął poruszać się ze zdwojoną mocą. Zderzali się ze sobą – policzek ze szczęką, zęby z podbródkiem. W pierwotnych pocałunkach otwartych ust.

Nagle jego dłoń zacisnęła się na jej włosach i przerwał pocałunek, odsuwając się tylko odrobinę. Trzymał ją mocno, by patrzyła tylko na niego. Prosto w oczy. Nie było innej możliwości.

– Patrz – powiedział. – Patrz, co narobiłaś.

W tych śmiałych, zielonych oczach płonęły głód, tęsknota i nagie pragnienie.

I coś jeszcze.

Coś, co mogło być tylko miłością.

Wiem – odpowiedziała. – Wiem. Wszystko będzie dobrze.

Miała wrażenie, że stał się w niej jeszcze większy. Pchnął rozpaczliwie raz, drugi i trzeci. A potem jęknął, zadygotał i opadł w jej ramiona.

Gdy jego oddech się uspakajał, gładziła kojąco jego plecy i mruczała czułe słowa do ucha. Spełnienie tak go wyczerpało, że bezradnie pozwalał jej na te pieszczoty – więc korzystała z tego do woli.

– To było… – westchnął głęboko i chyba postanowił nie kończyć tego zdania.

– To prawda. – Popatrzyła na niego. – Wracajmy do domu.

23

Rafe wynajął dyliżans pocztowy, który powiózł Clio do domu. Sam towarzyszył jej konno. Mógłby pojechać razem z nią, ale miał powody, by podróżować samotnie. Po pierwsze, wiedział, że jest poobcierana po namiętnej nocy. Dwie godziny w jej towarzystwie w ciasnym powoziku? Nie byłby w stanie utrzymać rąk z dala od niej.

Po drugie, chciał spokojnie pomyśleć.

Czekał go pracowity okres. Kiedy będzie już mógł zostawić Clio w zamku, trzeba będzie uruchomić prawników. Potem pojedzie do Dover i poczeka tam na Piersa. Niełatwo mu będzie powitać brata wiadomością, że właśnie stracił narzeczoną. Ale nie chciał, żeby dowiedział się tego od kogoś innego.

W międzyczasie będą jeszcze inne sprawy do rozwiązania. Na przykład porachunki z sir Teddym Cambourne.

Jednak kiedy dotarli do Twill Castle, okazało się, że to akurat trzeba będzie odłożyć na później.

– Jakie to dziwne – powiedziała Clio po rozmowie z Anną, kiedy już przebrała się w codzienną suknię. – Przyjechaliśmy pierwsi. Musieli zostać na tym balu do późna w noc. Albo do rana.

– Może nie chcieli wyruszać w deszcz.

– Jeśli nic im się złego nie przydarzyło, to znaczy, że szczęście nam sprzyja.

Weszli do hallu. Clio dodała ściszonym głosem:

– Wszyscy tam obecni są przekonani, że wczoraj przywiozłeś mnie do

zamku. A wszyscy na zamku myślą, że byliśmy w Pennington Hall. Może wcale nie trzeba się będzie nikomu tłumaczyć. Aż do przyjazdu Piersa.

– Nie będę czekał na Piersa w domu. – Rafe wyjaśnił jej, że zamierza pojechać do Dover.

– Do Dover? – zapytała. – Przecież to ja mam z nim rozmawiać. Tak jak ćwiczyliśmy wczoraj.

– Sytuacja się zmieniła. To ja podpisałem papiery i ja powinienem mu wszystko wyjaśnić. Zasługuje na to.

– Ale ja przez cały powrót do domu układałam sobie przemowę. Poza tym wpadłam na genialny pomysł.

Poprowadziła go bocznym korytarzem do pokoju, który chyba był jej biurem. Na półkach stały domowe księgi i segregatory. Na ścianie przyczepiono mapę okolicy i różne architektoniczne szkice.

– Siadaj w fotelu za biurkiem – zaprosiła go. – Tak jak robiłeś to dla Piersa.

Zaskoczony, spełnił jej prośbę.

– Usiadłem. Co dalej?

– Mam tu prowizoryczne szkice osiecia i browaru. – Sięgnęła po jeden z segregatorów. – Zrobiłam też kosztorys przygotowania okolicznych pól pod uprawę chmielu. Ale zanim przejdziemy do szczegółów, popatrz na to.

Jeśli chciała mu coś wytłumaczyć, zabrała się do tego w najgorszy możliwy sposób. Położyła na stole dwie książki obok siebie. Jedną czerwoną, drugą niebieską.

Popatrzył na tytuły. Jego niechęć jeszcze się pogłębiła.

– Książki kucharskie?

– Wytrzymaj chwilę. Zaraz zobaczysz, o co chodzi. – Otworzyła pierwszą – tę wyblakłą, niebieską – na spisie treści. – To książka mojej matki, którą kupiła zaraz po ślubie.

Potem otworzyła drugą, na tej samej stronie.

– To nowe wydanie, które dostałam na osiemnaste urodziny. Jeśli je

porównasz, zobaczysz że są podobne, ale nie identyczne. Dasz radę znaleźć różnicę?

Na pierwszy rzut oka? Do diabła, nic z tego. A na wczytywanie się w szczegóły nie miał cierpliwości.

– Curry. – Pokazała palcem. – A tu, poncz arakowy. Widzisz?

Niecierpliwie przebierał palcami, czekając na wyjaśnienie.

– W książce kucharskiej mojej matki nie było ani jednego indyjskiego dania. A dziś każdy zbiorek przepisów zawiera co najmniej kilka.

Popatrzył na nią, nie mając pojęcia, o co jej chodzi.

– Czekaj. To nie koniec. – Potem wyciągnęła kawałek jakiegoś materiału i dała mu go do ręki. – Proszę.

Obracał go w rękach. Cienki, wzorzysty.

– Co mam z tym zrobić?

– Po prostu mu się przyjrzyj. I pomyśl. – Lekko podskoczyła na czubkach palców.

Rafe popatrzył na materiał. Pomyślał. I dalej nie miał pojęcia, o co chodzi. To przecież tylko kilka kwiatków i gałązek nadrukowanych na taniej bawełnie.

– To perkal – wyjaśniła. – Kiedy byliśmy dziećmi, importowany indyjski perkal był strasznie modny. Robiono z niego zasłony, szale, narzuty. I poduszki. Ale teraz robi się go tu, w krajowych fabrykach. Już go nie importujemy.

Zmarszczył brwi.

– Nie każ mi odgrywać roli Piersa. To on jest globtroterem.

– Skądże znowu. Tu chodzi o Anglię. I nie odgrywasz niczyjej roli, tylko swoją własną.

W jej oczach błyszczało podniecenie.

– Zaufaj mi.

Niespokojnie poprawił się w fotelu.

– Czy możemy już przejść do sedna?

– Chodzi o to – zaczęła, opierając się dłońmi o blat – że to, co dzieje się w Indiach, wcale tam nie zostaje. Wraca do Anglii i staje się w niej najnowszą modą. Tak było z curry, tak było z perkalem i tak będzie z piwem.

Otworzyła jakiś foliał, wyciągając kolejny materiał dowodowy. Wycinek z gazety. Cudownie. Znowu coś do czytania.

Wpatrywał się w krótką notatkę.

– Aha. Katastrofa na morzu.

– Nie chodzi o katastrofę. Chodzi o ładunek. – Wskazała konkretną linijkę tekstu. – Według listu przewozowego statkiem wieziono nowy rodzaj piwa – jasne ale. Od kilku lat robi się na północy, wyłącznie na eksport do Indii. W tamtejszym klimacie nie da się warzyć piwa, a zwiększona ilość chmielu w składzie sprawia, że wytrzymuje tę długą podróż. Mieszkający tam Anglicy dosłownie za nim szaleją. Nawet Piers wspominał mi o nim w jednym ze swoich listów.

– Ale przecież robią je już na północy.

– Tak jest. Na eksport. – Oparła się biodrem o blat. – To znaczy, że nadszedł doskonały moment, żeby zacząć je robić na rynek krajowy. Kiedy tacy ludzie jak Piers zaczną wracać do domu, będą chcieli pić ale, które tak im smakowało za granicą. Zacznie się na nie moda. Tak samo jak z curry i perkalem. Jestem tego pewna. To jest szansa dla naszego browaru.

Umilkła i wzięła powolny, głęboki oddech.

– I jak? – spytała po chwili ciszy. – Przekonałam cię?

Poprawił się na krześle i spojrzał na nią z podziwem.

– Powinnaś być prawnikiem.

– Och, mam inne, lepsze plany – uśmiechnęła się. – Zamierzam otworzyć browar. I mam nadzieję, że zostaniesz moim partnerem.

– Chcesz poprosić Piersa, żeby ci pomagał w interesach?

– Oczywiście, że nie – zaśmiała się lekko. – Rafe, przecież proszę o to ciebie.

Chciała, żeby został jej partnerem? Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Podejrzewałam, że będziesz się wahał. – odpowiedziała. – Przygotowałam się na to.

Uśmiechnęła się psotnie.

– Obiecuję, że to ci się spodoba.

Że mu się to spodoba…

– Zapomnij o tym, co mówiłam wczoraj o wbijaniu kufli w ścianę. – Podeszła do drzwi gabinetu. – Wyobraź sobie, że na drzwiach jest tabliczka. Tutaj. „Lord Rafe Brandon, współwłaściciel Brandon Brewery”.

– Clio…

– Nie, nie. Dopiero się rozkręcam. – Szerokim gestem ręki wskazała pokój. – Wyobraź sobie, że to jest twoje biuro. Będą tu dokumenty i księgi. I sekretarka, która zasiądzie właśnie tutaj. – Podbiegła do małego biurka w kącie i usiadła za nim. Wzięła pióro do ręki. – Co mam pisać, milordzie?

– Sekretarka. – Rozsiadł się na krześle. – Taka ładna jak ty?

– To będzie sekretarz: w średnim wieku, łysiejący, ale bardzo dobrze zorganizowany. – Wstała i podeszła do drzwi. – I przez cały dzień będą do ciebie przychodzić ludzie. Bardzo ważni ludzie.

– Na przykład… – Schowała się za drzwiami i po krótkiej chwili wróciła, odziana w stary surdut i słomkowy kapelusz. W ręku ściskała grabie. – … Farmerzy.

Znowu zniknęła, a potem pojawiła się w czapce, z cynowym kuflem w ręce. Drugą przyłożyła do twarzy, imitując wąsy.

– Albo browarnicy – powiedziała basem.

Rafe z trudem zachowywał powagę. Przegrał. Była śmieszna, pewnie trochę stuknięta, ale urocza.

Znowu zniknęła. Czekał, aż znowu stanie w drzwiach z jakimś zaskakującym rekwizytem albo w przebraniu.

Zamiast tego zza futryny wysunął się Ellingworth. W cylindrze. I okularach.

– Nawet wielmożni panowie – powiedziała.

Teraz już nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Wyszła zza drzwi i życzliwie potarmosiła buldoga.

– Właściwie spotkania z wielmożnymi raczej nie wchodzą w grę. Ani z adwokatami. Tylko z radcami prawnymi.

Z radcami. Niech to szlag.

Rafe przetarł twarz. Nie wiedział, co powiedzieć, więc powiedział prawdę:

– Nie nadaję się do pracy w biurze.

– O to właśnie chodzi. Nie będziesz w nim siedział cały czas. Po pracy będziesz mógł do woli chodzić po polach, gawędzić z bednarzami o nowych beczkach albo próbować świeżo uwarzonego piwa. Obiecuję ci, będziesz miał go tyle, ile zdołasz wypić. Dołożę do tego moje własne serce.

Podciągnęła się i usiadła obok niego na blacie, machając nogami.

– Nie kusi cię to choć trochę?

Czy to go nie kusiło?

Rafe niemal przekroczył próg pani Pokusy. Ten obrazek skusiłby świętego. Ale całe to zarządzanie, o którym mówiła? Kierowanie ludźmi, prowadzenie ksiąg, korespondencja…

Energicznie zakołysała nogami.

– I jak?

– Chcę cię utrzymywać – powiedział. – Troszczyć się o ciebie. Ale jestem bokserem. A nie urzędasem.

Znał siebie aż za dobrze. Mógł się starać. Mógł jej to wszystko obiecać i wychodzić z siebie, przez jakiś czas. Ale w końcu i tak by ją zawiódł.

– W tej chwili to niemożliwe. Muszę wracać na ring. Kiedy tylko weźmiemy ślub, zabiorę się za treningi i…

– Kiedy tylko weźmiemy ślub? Weźmiemy ślub i zaraz wyjedziesz, trenować do rewanżu z Dubose’em?

– Oczywiście. Jeśli zależy ci na tym browarze, też powinnaś tego chcieć. Nikt nie będzie chciał pić ale Przegranego Brandona. Lepiej ci się przydam, gdy odzyskam mistrzowski tytuł.

– Bardziej mi się przydasz, jeśli będziesz zdrowy. – Położyła dłoń na sercu. – Kocham cię. Nie mogę znieść myśli, że mogłabym cię stracić.

Kocham cię. Do diabła, całe życie czekał, żeby to usłyszeć. Ale za każdym razem kiedy to mówiła, instynktownie próbował uników.

– Nie stracisz mnie. – Wstał z krzesła i położył jej dłonie na ramionach. – Wiem, że się boisz Ale robię to od lat. Nie ma więc żadnych sensownych powodów, żeby…

– Po pierwsze, mogą cię zabić. – Zaczęła liczyć na palcach. – Po drugie, mogą cię okaleczyć. Po trzecie, możesz zabić albo okaleczyć swego przeciwnika. Po czwarte mogą cię aresztować, oskarżyć o wszczynanie bójek i napad, a potem deportować do Australii, gdzie przepadniesz na wieki. To są cztery bardzo sensowne powody, Rafe. Cztery.

– Nic z tych rzeczy się nie zdarzy.

– Ale prawdopodobieństwo istnieje. Poza tym to, że się jeszcze nie zdarzyły, nie oznacza, że nie zdarzą się w przyszłości.

Westchnął ciężko.

– Nie wierzysz we mnie?

– Wierzę w ciebie. Ale wiem też, że Jack Dubose jest inny od wszystkich twoich dotychczasowych przeciwników. Śledzę ten sport od lat, zapomniałeś? Wiem, jak zmasakrował Grady’ego i wiem co zrobił Phillipsowi. Pisano w gazetach, że ten ostatni może już nigdy nie będzie walczyć.

– Phillips będzie walczyć. Może nie będzie mógł gryźć, ale walczyć będzie na pewno.

– Na własne oczy widziałam też, co zrobił tobie. W dalszym ciągu to widzę, Rafe. Każdą ranę. – Przesunęła palcem po nierównej linii jego nosa, a potem czule pogładziła policzek. – Każdego siniaka.

Ujął jej dłoń i uścisnął.

– Właśnie dlatego nie mogę w ten sposób zakończyć kariery. Muszę udowodnić sobie i innym, że nie jestem skończony.

– Bo nie jesteś. Rafe, masz wiele innych talentów. Możesz osiągnąć w życiu o wiele więcej.

O wiele więcej?

Zacisnął pięści. O wiele więcej niż być najlepszym bokserem w całej Anglii? Do cholery, większość ludzi uważałaby to za szczytowe osiągnięcie.

– Ilu ludzi może o sobie powiedzieć, że są najlepsi? W czymkolwiek? – Zniżył głos. – Już o tym rozmawialiśmy. Nie chcę, żeby ktoś mnie ratował przed sportem, który kocham. Myślałem, że to rozumiesz. Myślałem, że mnie rozumiesz.

Uszczypnęła się w nasadę nosa i westchnęła.

– Jeden jedyny raz w życiu chciałabym poczuć, jak to jest, kiedy ktoś uwzględnia mnie w swoich planach. Przez osiem lat odsuwano mnie na bok ze względu na karierę twojego brata. A teraz po tym wszystkim, co połączyło nas tej nocy, dowiaduję się, że w twoim życiu też będę zajmować drugie miejsce.

– To nie fair. Nie chodzi o to co będzie pierwsze, drugie czy trzecie, tylko o to, że boks jest częścią mnie. Kiedy mnie prosisz, żebym z niego zrezygnował, równie dobrze mogłabyś prosić, żebym oddał jedną rękę.

– Nigdy bym cię nie prosiła, żebyś zrezygnował z walk. Pytam tylko, czy jest jakiś sposób, żeby pozostać w tym sporcie, a jednocześnie nie ryzykować życiem – przez kilka pierwszych miesięcy naszego małżeństwa. – Wskazała ręką mury zamkowe. – Jeśli nie podoba ci się pomysł z browarem, to może otwórzmy tu szkołę. Byłbyś fantastycznym nauczycielem.

– Miałbym uczyć takich dupków jak Teddy Cambourne. Co za fantastyczny pomysł.

– Niekoniecznie bogatych dżentelmenów. Ale na przykład chłopców w trudnej sytuacji życiowej.

Pokręcił głową.

– To dobry pomysł na przyszłość, kiedy będziemy mieli regularne dochody. Ale sama kiedyś to powiedziałaś. Sieroty są niedochodowe.

A Rafe potrzebował pieniędzy. Chciał zarobić tyle, żeby móc ją utrzymać. Żeby była bezpieczna i żyła na odpowiednim poziomie. Pewnie dałoby się wyżyć z jej posagu i dochodów z zamku. Ale duma kazała mu się do tego dołożyć.

Był pewny, że mu się tu uda, kiedy wróci na ring. Ale praca w czterech ścianach pokoju? Skończy się porażką.

– Ja nie… – Chryste, nigdy w życiu nie próbował tego nikomu tłumaczyć. – Ja po prostu nie jestem w stanie zrobić czegoś takiego. Nie dlatego, że nie chcę, albo że jestem za leniwy. Nie potrafię się skupić na rachunkach, terminach i papierach. Czuję się wtedy, jakbym wsadził głowę do ula. Zawsze tak było. Przez całe życie. W końcu tak mnie to zaczyna męczyć, że… tracę zainteresowanie.

– Tracisz zainteresowanie.

Wzruszył ramionami.

– Inaczej nie umiem tego opisać. Tak po prostu jest.

Zagryzła wargi i spojrzała na niego uważnie.

– Nie martwisz się, że kiedyś stracisz zainteresowanie mną?

– To co innego. Ty jesteś inna.

– Skąd ta pewność? – zapytała.

– Jak możesz w ogóle o to pytać?

Powiedział to zbyt ostro. Zbyt gniewnie, nawet dla niego samego.

Jego sumienie – ten żywy, oddychający stwór, zrodzony ze wszystkich przewinień, jakie popełnił w życiu – rozdarło się na niego na cały głos. Zawróć – krzyczało – bo zaraz posuniesz się za daleko. Powiesz coś, czego nie miałeś zamiaru.

– Ja umiem tylko walczyć – dodał. – Jeśli chcesz mężczyzny, którego zadowoli przesuwanie papierów na biurku… to może jednak powinnaś wyjść za Piersa.

Pożałował tych słów od razu, gdy tyko je wypowiedział.

Rafe, ty idioto.

Skrzywiła się.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś.

Przetarł twarz dłonią. Szkoda, że nie mógł powiedzieć tego samego. Całe jego życie składało się z nieopatrznych słów i działań, których żałował, ale nie mógł cofnąć. W nocy te impulsy dawały jej zadowolenie. Ale wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim coś spieprzy.

Po prostu siedział w nim diabeł. Rafe nieustannie odpychał od siebie tych, których najbardziej kochał. Nigdy w życiu nie utrzyma przy sobie niczego, co dla niego dobre.

Jeśli teraz utraci Clio, będzie na to w pełni zasługiwał.

Do diabła, jej to pewnie tylko wyjdzie na dobre.

– Słuchaj – powiedział. – Nie powinienem…

Wtedy w drzwiach pojawił się Bruiser. W najbardziej niesprzyjającym dla Rafe’a momencie. Życie zawsze mu się tak układało.

– Och. Jesteście. Mam nadzieję że dobrze się bawiliście. – Mam dobre wiadomości – dodał, składając dłonie.

Rafe bardzo w to wątpił. Pokazał mu gestem, że najchętniej poderżnąłby mu gardło.

Bruiser naturalnie w ogóle się tym nie przejął.

– Po pierwsze, panno Whitmore, z radością informuję, że pani zaręczynowy pierścionek… mmm… ujrzał światło dzienne.

– Naprawdę? – odparła. – Bardzo ciekawy moment. Właśnie rozmawialiśmy o ślubnych planach. Prawda, Rafe?

Niech to szlag.

– Po drugie – ciągnął Bruiser – z Londynu przyjechały nowe suknie. Zrobione według dokładnej miary. Są naprawdę cudowne. Krawcowe czekają w salonie.

Rafe pokręcił głową.

– Ona teraz nie ma ochoty…

– Wręcz przeciwnie. – Zmierzyła go chłodnym wzrokiem. – Mam wielką

ochotę, panie Montague. Nie mogę się doczekać tej przymiarki.

24

Szczerze mówiąc, przymierzanie kolejnych falbaniastych sukien było ostatnią rzeczą, na którą Clio miała tego ranka ochotę. Ale oboje z Rafem potrzebowali trochę przestrzeni i dystansu, a to był najlepszy sposób, żeby je zyskać.

Po całym tygodniu powtarzania jej, że nie może zerwać zaręczyn, które zawarła w wieku siedemnastu lat… Jedna kłótnia i teraz Rafe zrywa ich związek?

Mocno ją zaniepokoiło, z jaką łatwością jego umysł przeskakuje od „drobnego nieporozumienia” do „ostatecznego rozstania”.

Może powinnaś wyjść za Piersa.

Musiał jej powiedzieć akurat to?

Wiedziała, że nie myślał w ten sposób. Powinna być mądrzejsza i nie stawiać go w takiej sytuacji, w miejscu gdzie nie ma kontaktu ze swoimi mocnymi stronami.

Ostrzegał ją przecież, prawda? Sale balowe, salony, szkoły, biura… Zawsze wybucha w miejscach, gdzie czuje się nieswojo.

Podziwiała w nim to, że tak dobrze poznał samego siebie. I że znalazł sposób, żeby nie tylko odnosić sukcesy, ale rozwijać się. Jeśli chce dzielić z nim życie, powinna nauczyć się to rozumieć i szanować.

Należały mu się przeprosiny, ale wątpiła, czy jest gotów je przyjąć. Żeby zabić czas, mogła równie dobrze przymierzyć tę śliczną suknię.

Idąc do salonu, usłyszała na podjeździe powóz. Daphne, Phoebe i Teddy

wysiedli jedno po drugim.

Clio wybiegła do holu, by ich powitać.

– Phoebe. Jak się czujesz?

– Jestem ogromnie zmęczona – odparła jej siostra i od razu ruszyła w kierunku biblioteki.

No cóż. Chyba nie trzeba się o nią martwić. Zachowuje się tak samo jak zwykle.

Potem weszli Daphne i Teddy.

Clio powitała szwagra dygnięciem. Opuścił kapelusz na czoło, żeby zasłonić siniaka na twarzy i ledwie kiwnął jej głową, kierując się na schody.

Daphne podeszła do niej i zaczęła wyjaśnienia.

– Clio, jesteś nam winna wdzięczność. Nadużyliśmy gościnności Penningtonów ponad wszelką miarę.

– Ty nadużywająca czyjejś gościnności? To nie do wiary.

– Uparłam się, że wyjdziemy z balu ostatni – wyjaśniła. – Żeby powstrzymać plotki, rozumiesz. Teddy zachowywał się jak anioł, wszystko ze względu na ciebie. Zbywał śmiechem pytania o to uderzenie, tłumacząc, że to była zabawa między przyjaciółmi. Powiedzieliśmy wszystkim, że zemdlałaś i lord Rafe eskortował cię do domu. – Siostra przyjrzała się jej uważnie. – Bo tak właśnie było, prawda?

– Mniej więcej.

Wydarzenia nie potoczyły się wprawdzie tak, jak Daphne przypuszczała. W międzyczasie działo się o wiele więcej. Ale ogólnie rzecz biorąc, było tak, jak powiedziała.

– To dobrze – odparła jej siostra i energicznie zaczerpnęła powietrza. – Mamy to z głowy.

Clio nie dała się oszukać. Doskonale wiedziała, że Daphne i Teddy walczyli przede wszystkim o swoją pozycję społeczną, nie tylko o nią.

Ale jeśli skandal został zażegnany, nie trzeba było brać ślubu ukradkiem. Mogła sobie pozwolić na wymarzony ślub. I wszystkie opcje pozostały

otwarte.

– W tej sytuacji ślub musi naprawdę zapierać dech w piersiach i odbyć się wkrótce, bo inaczej wyjdę na okropną kłamczuchę – powiedziała Daphne.

Clio poprowadziła ją do salonu.

– Są na to szanse. Chodź ze mną.

Czekało tam na nią aż sześć krawcowych z pomocnicami. Cały pokój pokrywały zwoje tkaniny powiewnej jak morska pianka. Wyglądało to jak po wybuchu wulkanu. Z bezą.

Clio odwróciła się do Daphne i powiedziała cztery słowa, wiedząc, że jej siostra czekała na nie od lat.

– Zrób mnie na bóstwo.

– To jakiś obłęd.

W tym tygodniu Rafe za wszystkie czasy nasiedział się w różnych salonach. Nie miał też ochoty oglądać Clio w sukni, przygotowującej się do ślubu z innym.

– Może powinniśmy już wyjechać? – spytał.

Nie miał pojęcia, co się z nim, do cholery, dzieje. Wiedział jednak, że nie powinien tym obciążać Clio, jeśli pozostała w nim jeszcze choć odrobina przyzwoitości.

– Syfilis cię opętał? – Bruiser przyciskał ucho do dwuskrzydłowych drzwi. – Nie ruszam się stąd. Rafe, nie masz pojęcia, co ja przeszedłem przez tych parę dni. Już samo sprowadzenie tu krawcowych z Londynu było piekielnie trudne. A ten pierścionek? Wiele lat będziesz moim dłużnikiem za ten cholerny pierścionek.

Rafe nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Fakt, był dłużnikiem Bruisera za wiele różnych rzeczy. Nagle przyszło mu do głowy, że jego trener był chyba jedyną osobą na świecie, której nie udało mu się do siebie zniechęcić.

– Ile my już lat ze sobą współpracujemy? – zapytał. – Pięć?

– Według mojej rachuby, sześć.

– Domyślam się, że masz ochotę rzucić tę robotę równie często, jak ja myślę o tym, żeby cię zwolnić.

– Innymi słowy, codziennie? To chyba oczywiste.

– Więc jakim cudem od tak dawna trzymamy się razem?

Bruiser rzucił mu niespokojne spojrzenie.

– Bo się nad tym za dużo nie zastanawiamy.

Racja.

Może w tej niecierpliwej odpowiedzi kryło się ziarno prawdy. Rafe powinien przestać tyle myśleć. Przecież kochał Clio. Zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby ją zatrzymać przy sobie. Absolutnie wszystko. To była święta prawda, wyryta w jego sercu i zamierzał jej to powiedzieć, kiedy tylko przejdzie przez próg.

– Już idzie. Wstańcie.

Wiedział, że jest w kłopotach, jeszcze zanim weszła. Powiedział mu to rytm jej kroków. Szybki. Pewny siebie. Waleczny.

Żadnych łomotów.

Ani hurgotów.

Czuła się pełna siły. Co oznaczało, że pięknie wygląda.

Wstał, odnalazł środek ciężkości ciała, rozluźnił stawy i przygotował się do kontrataku.

Drzwi otworzyły się w końcu.

Wielki Boże. Nie miał żadnych szans w tej walce.

Znokautowała go już na wejściu.

Bruiser wykonał zwycięski gest.

– Teraz to wygląda jak się należy.

Rafe właściwie nie widział tej sukni. Chyba była biała, pudrowa albo kremowa. Pewnie był tam jakiś jedwab i jakieś koronki. Może jeszcze do tego brylanty albo perły. Nie potrafiłby opisać ani kroju, ani stylu, ani materiałów, choćby od tego zależało jego życie.

Widział tylko ją.

Suknia była jak oprawa wykonana przez artystę w swoim fachu, a Clio lśniła w niej jak najpiękniejszy klejnot.

– I jak? – rzuciła Daphne. – Co pan o tym myśli?

Doskonałe pytanie. Co on właściwie myślał? Jego mózg przestał działać.

Słowa. Powinien coś powiedzieć, ale brakło mu słów. Powietrza też. Wykrztusił więc tylko:

– Ty… To… E…

– Nieziemsko.

To jedno słowo, wypowiedziane z niezwykle arystokratyczną intonacją, zabrzmiało gdzieś za jego plecami, ale Rafe od razu rozpoznał ten głos. Nie musiał się nawet odwracać. Stary markiz już nie żył, więc to nie mógł być nikt inny tylko…

– Piers – szepnęła Clio.

To rzeczywiście był Piers. We własnej osobie.

Za każdym razem, gdy Rafe go widział, Piers stawał się coraz bardziej podobny do ich ojca. Wysoki. Silny, ale szczupły. W jego włosach pojawiło się kilka nitek siwizny. Wyprostowany jak świeca, z tą kulturalną, arystokratyczną twarzą – nos bez śladów złamania i tak dalej – i żadnych ozdób poza nią.

Lodowate, niebieskie oczy, które potrafiły wypatrzyć wszystkie wady.

– Nie mogę uwierzyć, że wróciłeś – powiedziała Clio.

– To naprawdę ja. Wróciłem do Anglii na dobre. A to jest najpiękniejsze powitanie, jakie mogło mnie spotkać. – Przenosił wzrok z Clio na Rafe’a. – Jesteście tu oboje. Dwie najważniejsze dla mnie osoby na całym świecie.

Piers przeszedł przez dywan zdecydowanym, szerokim krokiem, typowym dla Granville’ i stanął na wprost Rafe’a. – Oprócz ojca – dodał.

Wszystkie słowa przeprosin i wyjaśnień, które wałkował od miesięcy, umknęły mu z głowy.

Wtedy brat wziął go w objęcia.

– Przepraszam – szepnął mu do ucha. – Przepraszam, że musiałeś go pochować sam. Psiakrew. Powinienem przy tym być.

Jezu…

– Co za magiczna scena. – Bruiser otarł łzę z oka. – Sam bym tego lepiej nie zaplanował.

Rafe nie miał ochoty słuchać Bruisera i jego komentarzy o magii. Wzbierały w nim takie uczucia, że o mało co nie zwymiotował.

A potem zrobiło się jeszcze gorzej.

Piers podszedł do Clio i położył jej ręce na ramionach.

– Pięknie wyglądasz. Idealnie. Doskonale.

I wtedy… wielki Boże… wtedy ją pocałował.

Pocałował „swoją” pannę młodą na oczach wszystkich, a Rafe nie mógł nic z tym zrobić.

Tylko wyć w duszy i krwawić prosto z serca.

– Powinienem to zrobić wiele lat temu – powiedział Piers, podnosząc głowę. – Bardzo chciałem.

– Chciałeś? – spytała.

– Ależ oczywiście.

– To dlaczego zwlekałeś z tym osiem cholernych lat? – To nie Rafe powinien zadać to pytanie, ale nie wytrzymał.

– Dla waszego bezpieczeństwa. Jestem wam obojgu winien tysięczne przeprosiny – odpowiedział jego brat z ciężkim westchnieniem. – Okłamywałem was od lat.

– Okłamywałeś? Jak?

– Co do charakteru mojej pracy.

– Nie byłeś dyplomatą? – spytała Clio.

– Owszem, pracowałem dla Foreign Office. Głównie jako dyplomata. Ale miałem też inne obowiązki. Takie, o których nie wolno mi było mówić.

Rafe zaklął.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że byłeś czymś w rodzaju szpiega?

– Nie. Zwykle staramy się nie mówić takich rzeczy.

Odwrócił się do Clio.

– Ślub z tobą przed zakończeniem mojej misji byłby po prostu nieuczciwy. Ale to wszystko tak się przeciągało… Ale cóż to? – Piers uniósł jej dłoń. – Nie nosisz pierścionka.

– Nic takiego – rzucił się z wyjaśnieniami Bruiser. – Jest w czyszczeniu, milordzie.

Piers odwrócił się i popatrzył na niego.

– Kim pan jest, do diabła?

Bruiser obciągnął klapy surduta i wyprostował się na całą wysokość.

– A jak pan myśli?

– Bezczelnym bałwanem?

Bruiser podniósł do oka monokl.

– A teraz?

– Bezczelnym bałwanem z monoklem.

Może rzeczywiście ta scena była w jakimś sensie magiczna. Rafe zawsze wiedział, że Piers jest godny podziwu. W tej chwili nawet go trochę polubił.

Daphne włączyła się do rozmowy.

– Och, lordzie Granville. Ależ z pana żartowniś. Przecież pan zna pana Montague. Od tygodnia przygotowujemy całą ceremonię. Wszystko jest gotowe. A ponieważ Clio właśnie jest w sukni… możecie brać ślub choćby dziś.

– Daphne – napomniała ją Clio z naciskiem.

– Nie kłóć się ze mną – odparła siostra przez zaciśnięte zęby. – To by było całkiem niegłupie, po wczorajszej nocy.

– Co się stało wczoraj w nocy? – spytał Piers.

Daphne lekceważąco machnęła ręką.

– Była taka okropna scena na balu, ale nie z winy Clio. Wszystko przez lorda Rafe’a.

Piers uśmiechnął się lekko.

– Wszystkie takie sytuacje są zwykle z winy Rafe’a.

Ależ tak. Zawsze i wszędzie.

Rafe poczuł, że właśnie nadchodzi kolejna.

Jego brat obejmował Clio ramieniem. Jakby miał do tego prawo. To wystarczyło, żeby Rafe poczuł smak dymu i zapach krwi.

Zjeżdżaj, doradził mu w myśli. Ona nie należy do ciebie.

– Piers, musimy porozmawiać – powiedziała Clio.

– Owszem, koniecznie. Zaczynam podejrzewać, że wcale nie wróciłem z kontynentu, a to wszystko jest jakąś skomplikowaną halucynacją.

Piers odchrząknął i zaczął roztaczać typową dla Granville’ów aurę władczości.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć w prostych słowach, co tu się dzieje?

– Ja to zrobię – odezwała się Phoebe, która właśnie przywędrowała do pokoju z książką pod pachą. – Clio za pana nie wyjdzie. Zamierza mieszkać w tym zamku i otworzyć browar.

– Dziękuję – odparł Piers. – Teraz mam pewność, że zwariowałem.

– Ona już nie należy do ciebie – włączył się Rafe.

– Przepraszam?

Rafe dobrze wiedział, że to on powinien przepraszać. Ale ktoś musiał mu powiedzieć prawdę, a Rafe miał na to straszną ochotę.

– Przecież słyszysz. Ona już nie należy do ciebie.

Spojrzenie jego brata stało się przenikliwe i zimne, jakby prowadził śledztwo.

– Co jej zrobiłeś?

– Tylko to, czego sama chciała.

– Ty draniu. Dotykałeś jej?

– Ja…

– Rafe, przestań – odezwała się zdenerwowana Clio. – Proszę cię.

Te słowa ugodziły go w samo serce.

Pewnie, sam sobie to zrobił. Przez cały tydzień powtarzał jej, że ma wyjść

za Piersa. Jeszcze rano wbijał jej do głowy tę bzdurę. A teraz stanął przed nimi Piers we własnej osobie i położył kres jej zwątpieniu swoim światowym obyciem i nimbem bohatera, który go otaczał. Nie wspominając o pocałunkach.

Dlaczego miałaby wybrać Rafe'a?

Gdyby on sam mógł wybrać, kim chciałby być spośród mężczyzn w tym pokoju, też nie wcieliłby się w Rafe'a.

Clio zwróciła się do Piersa.

– Musisz zrozumieć jedną rzecz. Twój brat był wobec ciebie lojalny. Kiedy miałam wątpliwości co do ślubu, próbował je rozwiać. Robił wszystko, co w jego mocy, żeby mnie przekonać, mówił o tobie wspaniałe rzeczy. Ale to nie wszystko. Zarządzał Oakhaven w twoim zastępstwie. I zaraz zobaczysz, jak cudownie zajmował się…

Jej głos przycichł, gdy powiodła wzrokiem po pokoju, a potem zaczęła zaglądać pod meble.

– Ojej. Czy ktoś widział ostatnio psa?

25

Ellingworth! Ellingworth, kochanie, gdzie jesteś?

Clio biegała po ogrodowych ścieżkach, schylając się co chwilę, by zaglądać pod ławki i krzewy i zatrzymując się, by zetrzeć deszcz z twarzy. Przeszukali już cały zamek. Buldog musi być gdzieś na zewnątrz.

Błoto czepiało się obcasów jej pantofelków, spowalniając poszukiwania. W końcu zrzuciła je z nóg. Pończochy i tak były już mokre.

Trzymając pantofelki w jednej ręce, uniosła drugą skraj sukni i popędziła wzdłuż starannie ostrzyżonego żywopłotu, pod pergolą. Jej zdenerwowanie wzrastało z każdą chwilą nieobecności Ellingwortha. Owszem, psy były stworzone do życia na zewnątrz. Ale taki staruszek, w dodatku słabego zdrowia?

Biedny Ellingworth.

Biedny Rafe.

Rafe się załamie, jeśli temu psu stanie się coś złego. Tyle lat zajmował się nim tak troskliwie. Te wszystkie wymyślne diety, ta opieka weterynarzy…

Nie chodziło tylko o zmarnowany trud i o zawiedzione zaufanie brata. Rafe naprawdę kochał tego starego, brzydkiego psa. Clio doskonale o tym wiedziała.

Bo ona z kolei kochała Rafe’a.

Pobiegła jeszcze szybciej. Kolczasta gałąź zaczepiła o rękaw jej sukni. Wyrwała się, rozdzierając tkaninę.

– Ellingworth! Ellingworth, gdzie jesteś?

Potknęła się o jakiś kamień, źle stąpnęła i niemal wywaliła się twarzą w błoto. Wylądowała na czworakach na ścieżce.

– A niech to!

Stanęła na nogi, wytarła ręce w kompletnie zniszczony kremowy jedwab i ruszyła dalej, starając się opanować panikę. Skup się, Clio. Strach nic ci teraz nie da. Zaczęła opracowywać w myśli plan działania. Kiedy tylko znajdą Ellingwortha, wyśle jednego ze stangretów po weterynarza. Poleci gospodyni przygotować gorącą wodę i ciepłe ręczniki. Kucharka zrobi mielone z wołowiny i surowego jajka. Czy psy piją wołowy rosół? Ludziom pomaga na przeziębienie.

Muszą znaleźć tego psa. Na pewno go znajdą.

Przechodząc pod ozdobnym krzewem, zatrzymała się nagle. Kątem oka dostrzegła białą plamę.

Tam. Na końcu pergoli. Przy samej ziemi. Na kwaterze brzoskwiniowych róż. Czyżby to…?

Puściła skraj sukni prosto w błoto, odsunęła z czoła mokre włosy i wytężyła wzrok w strugach deszczu. Była tak zdyszana, że nie mogła się skoncentrować. Zmusiła się do spokoju i skupienia wzroku.

– Och, nie.

To rzeczywiście Ellingworth. Leżał na boku, ledwie widoczny pod różanym krzewem.

Nie ruszał się.

Proszę… Proszę cię, Boże. Niech nie umiera.

Przerażenie otoczyło ją jak deszczowa chmura, gdy ruszyła biegiem w stronę buldoga. Ellingworth leżał po drugiej stronie kwatery, więc musiała ją obiec, żeby się do niego dostać.

– Ellingworth, kochanie. Wytrzymaj. Już do ciebie idę.

Kiedy wybiegła na prostą, zatrzymała się jak wryta.

Rafe.

Jego ciemnozielony płaszcz był takiej samej barwy jak krzewy, dlatego nie

widziała go, kiedy biegła pod pergolą. Ale był tam, przykucnięty przy nieruchomym buldogu. Dużą, żyłkowaną, bokserską dłoń położył na boku psa.

Nawet nie podniósł głowy. Ale wiedziała, że wyczuł jej obecność.

Przełknęła, by pozbyć się kuli z gardła. Podeszła powoli. Już nie musiała się spieszyć.

– Czy on…?

Nie była w stanie dokończyć pytania.

Potrząsnął przecząco głową.

Podeszła do nich, czując przypływ ulgi.

– Och, dzięki Bogu.

Teraz, gdy była bliżej, widziała, jak boki buldoga unoszą się w rytm płytkiego oddechu. Jak to dobrze.

Mimo, że pies jeszcze żył, Rafe jakby utracił całą energię. Był taki zamyślony.

– Nie zostawiajmy go tutaj – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to optymistycznie. – Biedny staruszek. Ziemia jest taka mokra i zimna. Zawińmy go w coś i zanieśmy do domu. Nie ma strachu, zaraz dojdzie do siebie. Poślę po wioskowego weterynarza. Albo po kogoś z Londynu, jeśli wolisz. W kuchni jest doskonała wołowa polędwica, prosto od rzeźnika. Miała być na kolację, ale lepiej, żeby ją dostał Ellingworth. Zmieli się ją drobniutko i…

Rafe pokręcił głową.

– To się na nic nie zda, Clio.

– Oczywiście, że się zda.

– Jeszcze nie odszedł. Ale odchodzi.

W tym samym momencie pies wydał lekki, świszczący oddech.

– Nie… – zaprzeczyła. – Na pewno nie umiera.

– To nie potrwa długo. Psy już takie są – mówił cicho i bez emocji, gładząc ucho buldoga. – Zawsze tak robią. Wiedzą, kiedy przychodzi ich

czas. Wymykają się z domu i znajdują spokojny kąt, żeby…

Głos mu się załamał, a Clio pękło serce. Przyłożyła dłoń do ust, żeby stłumić emocje i nie niepokoić nimi ani psa, ani mężczyzny. Ale i tak jej głos drżał, gdy pochyliła się, by pogładzić łapę buldoga.

– Jesteśmy z tobą, kochanie. Zostaniemy tak długo, jak będzie trzeba.

– Idź do domu. Ja z nim zostanę – powiedział Rafe.

– Nie zostawię tu ani jego, ani ciebie.

Zatarła ręce, żeby je ogrzać i delikatnie dotknęła łapy Ellingwortha.

– Dobry piesek. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

Rafe wyprostował się na chwilę, ale tylko po to, żeby zdjąć płaszcz. Przykucnął obok niej i chciał okryć jej ramiona. Miły gest, ale Clio powstrzymała go ruchem głowy.

Wyjęła mu płaszcz z dłoni i przykryła nim psa.

– On tego bardziej potrzebuje ode mnie.

Po chwili zaczęły do nich dołączać kolejne osoby.

– Ojej. – Ścieżką nadchodzili Daphne z Teddym. – Czy on już…?

– Za chwilę – odparła Clio.

– Na wszystkich świętych. – Obok pojawił się Bruiser, tym razem nie próbując ukryć swego śpiewnego, prostackiego akcentu. – Tylko nie to. Nie rób nam tego, psie. Zróbcie z tym coś.

Po chwili pojawiła się Phoebe.

– Ma czternaście lat – powiedziała, kucając obok Rafe'a. – Buldogi żyją maksymalnie do dwunastu. Gdyby przeliczyć jego wiek na ludzkie lata, miałby około setki. Nie ma się czemu dziwić. Ani czego żałować. I tak żył bardzo długo.

Rafe skinął głową.

– Wiem.

– Ale mimo wszystko… – Phoebe objęła go niezgrabnie. – Strasznie mi przykro.

Oj. Clio poczuła, że teraz już na pewno się rozpłacze.

Oddech Ellingwortha stał się urywany i charczący.

– Odchodzi, prawda? – Daphne ukryła twarz na piersi swego męża. – Nie mogę na to patrzeć.

– Jesteśmy z tobą, malutki. – Clio pociągnęła nosem, żeby nie płakać i pogłaskała psa po fałdzistej skórze na głowie. – Wszyscy jesteśmy z tobą. Odejdź w pokoju.

Chrapliwy oddech nagle się urwał.

Zapadła cisza.

– Tutaj jesteście! – Piers przyłączył się do grupy. – Czy to Ellingworth leży pod tym krzakiem?

Nit nie wiedział, co powiedzieć. Clio wzięła Rafe'a za rękę.

– Próbowałem – odezwał się Rafe zachrypniętym głosem. – Zrobiłem, co mogłem, ale powinienem się tego spodziewać…

Piers nie odpowiedział, nawet jeśli dosłyszał jego słowa. Zamiast tego stanął pomiędzy nimi, potem odsunął ich od siebie i uklęknął przy psie. Podniósł skraj płaszcza.

– Kochany, stary Ellingworth. Tęskniłeś za mną, koleżko?

– To na nic – powiedział Rafe. – On już odszedł.

– Skądże znowu. Stale graliśmy w tę grę. On się tylko chowa. Prawda, malutki?

Pod płaszczem… coś się poruszyło.

Chrapliwie psie oddechy, które tak nagle ucichły… pojawiły się znowu. Przybierając na sile.

Buldog podniósł głowę. Potem wyszedł spod płaszcza i zaczął lizać ręce Piersa. Kikut ogona merdał jak szalony.

– Boże – szepnął Bruiser. – On żyje. Ten pies żyje.

Daphne odsunęła głowę od surduta swego męża.

– To cud.

Może rzeczywiście to był cud. Ellingworth zachowywał się jak szczeniak. Merdał nieistniejącym ogonem, podskakiwał i obwąchiwał rękę Piersa.

– Dobry pies – zaśmiał się jego pan i podrapał zmartwychwstałego buldoga za uszami. – Dobrze cię znowu widzieć. Minęło ładnych parę lat.

– Cieszy się, że cię widzi – powiedziała Clio.

– Jest szczęśliwy, że wróciłem. – Spojrzał jej w oczy. – A ty?

– Ja…

Och, na litość boską. Piers zawsze był przystojny, obyty, władczy… Jego tajemnicze zajęcia, którym oddawał się przez osiem lat, doprowadziły te cechy do perfekcji. Posługiwał się nimi jak bronią. To niewzruszone opanowanie przekonało Clio, że pod tak silną samokontrolą muszą się ukrywać jakieś słabości. Wyczuła je, kiedy ją całował. Nie był już aroganckim dyplomatą, ale człowiekiem, który przeszedł próbę życia i skonfrontował się ze swoją śmiertelnością. Stał się mężczyzną. Może nawet był już gotów, by podzielić się tymi słabościami z inną, zaufaną osobą.

– Tak – odpowiedziała. – Cieszę się, że cię widzę, Piers. Wróciłeś w idealnym momencie.

Naprawdę cieszyła się z jego powrotu. Cieszyła się, że chyba mu na niej zależało. To dobrze, że ją pocałował. Ten jeden raz, po tak długim rozstaniu. Bo dzięki temu zorientowała się, bez żadnych wątpliwości, że wybór, którego dokonała w sercu, naprawdę był jej własnym wyborem.

– Mam dla ciebie dokumenty do przejrzenia – odezwał się Rafe. Podniósł się z klęczek z ponurą miną. – Przyniosę je zaraz, a potem porozmawiamy.

– Rafe, zaczekaj.

Rafe machnął ręką i ruszył w stronę zamku.

Och, ten Piers. Zawsze taki sam. Nie dość, że zawsze był faworytem ojca. Nie dość, że wracał z jakiejś tajemniczej, niesamowitej misji w służbie Korony i pewnie zostanie zasypany nagrodami i tytułem rycerskim. Nie dość, że najpiękniejsza panna młoda w całej Anglii może z nim pójść do ołtarza choćby tego samego dnia.

Przyćmiłby tym wszystkich.

Ale nie, Piers musiał pójść jeszcze krok dalej.

Piers, który przywraca zmarłe psy do życia.

To było, psiakrew, za dużo. Mógł to przewidzieć.

Rafe wszedł do zamku od kuchni i ruszył w górę po spiralnych schodach.

Ale nie był tam sam.

– Dokąd się wybierasz? – dobiegł go głos Clio od podnóża schodów.

– Po papiery kończące wasze małżeństwo. Porozmawiam z Piersem. Jeszcze dziś wszystko załatwimy.

– To chyba nie…

Przerwał jej.

– Za późno. Nie próbuj się nawet kłócić. Oboje wiemy, że być może jesteś już ze mną w ciąży. Nie ma odwrotu.

– Ty… – Dogoniła go, stukając obcasami. – Myślisz, że zmieniłam zdanie?

– Nie winię cię za to. – Ruszył dalej. – Uwierz mi, to nic nowego. Każdy woli jego ode mnie. Włącznie z moim ojcem. Wszyscy nasi nauczyciele i nianie go uwielbiali. Nawet ten cholerny pies woli go ode mnie.

Usłyszał jej cichy śmiech.

– Myślałam, że już to zrozumiałeś. Ja nie jestem psem!

Doszedł do szczytu schodów i skręcił w korytarz.

– Próbowałem cię ostrzec. Mówiłem, że pożałujesz, że ze mną pojechałaś. Tłumaczyłem, że Piersowi na tobie zależy, choć tego nie okazuje.

– To nieważne. To nic nie zmienia.

Szarpnięciem otworzył drzwi do jej sypialni.

– Gdzie są twoje rzeczy? Pokojówka pewnie już je odłożyła do szafy.

Podszedł do biurka.

– Papiery pewnie włożyła tutaj.

– Dobry Boże, Rafe. Ty mnie w ogóle nie słuchasz.

Jednym skokiem znalazła się przed nim i usiadła na biurku, zanim zdążył przeszukać szuflady.

– Clio, odsuń się.

– Nie.

– Odsuń się, bo ja ciebie odsunę.

Złapała go za gors koszuli i zajrzała mu w oczy.

– Pamiętasz swoją walkę z Espinozą?

Co takiego?

To pytanie kompletnie zbiło go z tropu. Owszem, pamiętał walkę z Espinozą. Pamiętał wszystkie swoje walki w najdrobniejszych szczegółach. Ale co to miało do rzeczy?

– Wiem, że o mało go nie znokautowałeś w czwartej rundzie – powiedziała powoli, marszcząc brwi w skupieniu. – Ale doszedł do siebie. Walczyliście jeszcze kilka rund. Nie pamiętam tylko, jak go wykończyłeś. Ciosem w twarz w dziewiątej rundzie?

– Nie, uderzeniem w nerki. W trzynastej. Czemu pytasz?

– Bez powodu. – Znowu spojrzała mu w oczy. – Chciałam tylko, żebyś się uspokoił, bo musimy porozmawiać.

Wielki Boże. Jak ona go dobrze rozumiała. Umarłby dla niej z z miłości, wykrwawiłby się na śmierć, błagałby, pełzał na kolanach – tylko za tych parę słów. A ona myślała, że pozwoli jej odejść?

Prędzej go szlag trafi.

Wreszcie mógł się skupić. Może to przez tą rozmowę o boksie. Albo dlatego, że tu z nim była.

Była taka śliczna. Taka piękna panna młoda, w tej kremowej sukni. Z tym subtelnym rumieńcem na policzkach.

Oparł ręce o biurko, po obu jej stronach.

– Tam na dole. Wyglądałaś tak… i ja chciałem… I wtedy on się pojawił. Tyle miesięcy na to czekałem, tak bardzo chciałem, żeby mój brat wreszcie wrócił do domu. Pragnąłem się z nim wreszcie pogodzić. Ale kiedy cię dotknął, chciałem tylko dać mu w zęby.

– To zrozumiałe, że jesteś na niego zły.

– Właśnie to mnie najbardziej wkurza. Nie mogę nawet być na niego zły. – Uderzył pięścią w biurko. – Spójrz na niego. Nie dość, że jest dyplomatą. Nie dość, że ryzykował życiem w służbie Korony. I nie dość, że jest jakimś cholernym bohaterem, to jeszcze mnie zaczął przepraszać. Zawsze jest taki idealny. Zawsze lepszy ode mnie, choćbym nie wiem do czego doszedł. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Ale to jedno mu się nie udało. Zmarudził jeden dzień za długo i już jest za późno. Nie może już mieć ciebie.

– Nie. Nie może. Ale dlatego, że to ja go nie chcę. Rafe. Przecież wiesz, że ja cię kocham.

Szczerze mówiąc, nie wiedział. Wprawdzie ciągle mu to powtarzała, ale w dalszym ciągu nie mógł w to uwierzyć. Za każdym razem kiedy próbował dopuścić do siebie tę myśl, miał wrażenie, że serce chce mu się wyrwać z piersi.

Zupełnie bez sensu.

Ujęła jego twarz w dłonie i zmusiła, by na nią spojrzał.

– Owszem, Piers to dobry człowiek. I wygląda na to, że rzeczywiście zależało mu na mnie bardziej, niż myślałam. I może rzeczywiście jest bohaterem. Niezmiernie mi ulżyło, że wrócił bezpiecznie do Anglii i cieszę się, że przyjechał właśnie teraz. Ponieważ nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości.

– Tak jest. Bo wyjdziesz za mnie.

– Oczywiście, że tak, ty głuptasie. – Odetchnęła z ulgą. – Mówisz, że twój brat jest ideałem? No cóż, widać ja wolę ludzi z wadami. Może i Piers jest jednym z bohaterów naszego kraju. Ale ty, Rafe jesteś mój. – Mocniej zacisnęła palce na jego koszuli i przyciągnęła go do siebie. – Słyszysz? Jesteś mój. Wzięłam sobie ciebie na własność i nigdy cię nie oddam.

Boże. Aż do tej chwili nie miał pojęcia, że przez całe życie tęsknił właśnie za tym. Nie żeby brać w posiadanie, tylko żeby być w czyimś posiadaniu. Raz na zawsze. Żeby czuć się wolnym i móc kochać, i być kochanym bez obawy, że kilka nieopatrznych słów może wszystko zniszczyć.

– Jeśli chcesz się dalej boksować, nie będę ci w tym przeszkadzać. Ale potrzebny ci nowy pseudonim. – Posłała mu nieugięte, zdecydowane spojrzenie – Teraz jesteś Zaprzedany Clio. Nawet gdyby przyszedł po ciebie sam diabeł, miałby ze mną do czynienia.

To było za dużo. Za dużo. Jeszcze chwila, a jego serce tego nie wytrzyma.

– Słyszysz mnie, Rafe? Jesteś mój.

– Jesteś mój – powtórzyła. Podobało jej się brzmienie tych słów, a cierpienie i pragnienie malujące się na jego twarzy wzruszyło ją do głębi. – Mój bohater. Moja miłość. Mój przyszły mąż. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Zdecydowanie tak. Twój przyszły mąż.

Objął ją w talii.

– W takim razie jestem twój. A ty jesteś moja.

Skinęła głową.

– Powiedz to na głos. Niech usłyszę, że jesteś moja.

– Jestem twoja, Rafe. Na zawsze.

Nagle poczuła jego wargi na swoich. Zamknął ją w ciasnym uścisku. Stopili się ze sobą w pocałunku pełnym dzikiego pragnienia, czując, że nic nie zdoła ich rozdzielić.

Clio boleśnie pragnęła jego dotyku. Chciała czuć go wszędzie. Ujął w dłoń jej pierś przez jedwab, ale to było za mało. Szarpnęła tkaninę, żeby zsunąć ją niżej. Dziś nie miała cierpliwości do rozpinania guzików.

– Nie drzyj sukni. – Wsunął dłoń pod materiał i dotknął piersi. Kiedy musnął kciukiem naprężony sutek, westchnęła z rozkoszy.

– I tak jest zniszczona. – Na dowód oderwała brudny od ogrodowej ziemi pasek koronki. – Nie zależy mi na niej. I tak chciałam się w niej pokazać tylko tobie.

Kiedy to powiedziała, coś w nim pękło. Dzika część jego natury wzięła górę.

Pocałował ją w szyję. Pieścił wargami piersi. Jego dłonie były wszędzie. A jej wciąż było mało. W końcu pieszczoty stały się tak intensywne, że ją zadowoliły. Cierpliwość, która towarzyszyła jej zeszłej nocy, ustąpiła miejsca czystemu, niepohamowanemu pragnieniu, które napełniało ją radością.

Jego dłonie wędrowały coraz niżej, podnosząc wilgotne fałdy sukni do góry. Rozsunął jej nogi i ulokował się pomiędzy nimi.

– Pragnę cię – powiedział gardłowo, muskając palcami jej intymne miejsca. – Tu. I teraz.

– Tak

Wsunął dłoń między nich, żeby odpiąć klapę spodni.

Objęła nogami jego biodra, przyciągając go do siebie. Poruszyła biodrami, ocierając się o niego. Jęknęli oboje.

– Ja… – zaklął. – Ja nie dam chyba rady być delikatny.

– Nawet nie próbuj. Bądź sobą.

Mimo to wciąż się wahał.

– Nic mi nie zrobisz – skłamała.

Jej czułe miejsca wciąż były obolałe po ostatniej nocy. Nie była głupia, wiedziała, że jeśli weźmie ją na tym biurku, ból będzie jeszcze większy.

Ale i tak tego pragnęła.

Właśnie tego. Słodkiego ognia, który budził się, kiedy Rafe w niej był. Cudownego ciężaru jego silnego, umięśnionego ciała. Pożądania i władczości w jego oczach.

Pragnęła tego wszystkiego.

Odchylił ją, ułożył na biurku, wsunął ramiona pod jej uda i rozłożył je szeroko. Kontrast między jej bladymi nogami w pończochach i jego szerokimi, opalonymi ramionami był jak afrodyzjak.

Pchnął głęboko.

– Powiedz mi, kiedy będziesz miała dość.

– Nigdy nie będę miała dość. – Chwyciła się jego ramion.

– Kocham cię. – Wszedł jeszcze głębiej. – Kocham cię. Przyjmij i to.

Od tych słów zrobiło jej się ciepło na sercu.

Każdy jego ruch przyciskał jej kręgosłup do twardego mahoniu. Nie miała gdzie się przed nim skryć. Była całkowicie na jego łasce, i wszystkiego jej było mało.

Kiedy nadeszło spełnienie, krzyczała z bólu i rozkoszy. Wbiła mu paznokcie w szyję. Mruknął coś w odpowiedzi i przytrzymał ją mocno, dochodząc w jej ciele.

Później czule przytulił ją do siebie. Do swego bijącego serca.

– Byłem dziś rano strasznie głupi – szepnął. – Jeśli każesz mi przerzucać papierzyska, będę to robić. Jeśli każesz mi zrezygnować z boksu, to zrezygnuję. Zrobię wszystko, żeby tylko mieć cię przy sobie, Clio. Kocham cię. Szkoda, że nie umiem inaczej ci tego okazać. Mam tylko to głupie, nieokiełznane serce. Które należy do ciebie.

Spojrzała na niego.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– To dobrze. Mam nadzieję, że twoja miłość do mnie nie osłabnie po tym, co zrobię.

Wysunęła szufladę biurka, znalazła podpisane dokumenty rozwiązujące narzeczeństwo i wrzuciła je w ogień.

– Clio, nie.

Skoczył, żeby je uratować, ale było już za późno. Ogień błysnął i spopielił je w jednej chwili.

Rozcapierzył dłonie w powietrzu.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo nie pozwolę ci dziś odgrywać czarnego charakteru. Dzisiaj rano ja też zrobiłam głupstwo. A kiedy wrócił Piers, nagle zrozumiałam, że to wszystko dzieje się zbyt szybko. Potrzeba nam trochę czasu. Każdemu z nas. Ty musisz pokonać swoich wrogów. Ja swoich. Może nam się to uda, dzięki Piersowi.

– Mimo wszystko jesteście braćmi. Ktoś musi go powitać na progu domu, ale to nie będę ja. Gdybyśmy byli po ślubie, nigdy byście się nie pogodzili. Ale jeśli ja mu wszystko opowiem, a potem damy sobie czas… może pokona rozczarowanie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce znajdzie sobie inną żonę.

– Jest bogaty, ma tytuł i przywileje. Da sobie radę. A ja chcę się zatroszczyć o ciebie.

Dotknęła jego ramion.

– Wiem o tym. Ale jak mogłabym twierdzić, że cię kocham i zarazem kazać ci wybierać pomiędzy mną a twoim jedynym bratem? Jeśli trochę poczekamy, wcale nie będziesz musiał wybierać.

– Nie mogę od ciebie wymagać czekania. Wiem, jak bardzo nie lubisz tego słowa. Czekałaś już osiem lat.

– To poczekam jeszcze parę miesięcy. – Pogładziła go po policzku. – Będzie zupełnie inaczej. Tym razem będę wiedziała, że jestem warta czekania.

Wsunął palce w jej włosy i przytulił ją mocniej.

– Jesteś warta wszystkiego. Ale sama już to wiesz, prawda? Poszedłbym w ogień za ciebie.

– Och, to byłoby za łatwe. Chcę, żebyś zrobił coś o wiele gorszego. Żebyś spędził trochę czasu z własnym bratem.

26

Clio! Clio! – Zdyszana, zaczerwieniona Daphne dopadła ją w korytarzu. – Czy ja dobrze widziałam, że lord Granville z lordem Rafe wsiedli na konie i odjechali?

Clio ścisnęło się serce na wspomnienie niedawnego odjazdu Rafe'a. Ale jeśli już musiał to zrobić, przynajmniej pojechał z bratem.

– Owszem.

– Ale dlaczego? Pojechali po licencję ślubną?

– Nie, po prostu wyjechali. – Wzruszyła ramionami. Weszły do salonu, gdzie siedzieli sir Teddy i Phoebe.

– Pojechali? – Daphne potrząsnęła głową i zachichotała. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Clio wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Nadszedł właściwy moment, żeby im to powiedzieć.

– Zerwałam zaręczyny – oświadczyła.

Nareszcie. Powiedziała na głos te dwa słowa i wcale nie było to trudne. Jeśli udało jej się spokojnie poinformować Piersa o swojej decyzji, tym bardziej będzie umiała ją przekazać swojej najbliższej rodzinie.

– Co takiego? – Teddy hałaśliwie postawił stopy na podłodze – Chcesz powiedzieć, że pozwoliłaś mu zwiać?

– Nie ujęłabym tego w ten sposób ale…

– To niesprawiedliwe, kluseczko. – Jej szwagier wstał, wyraźnie zirytowany. – Przez niego byłaś w zawieszeniu przez osiem lat. Poniżył cię.

Zmarnował najlepsze lata twojego życia. Musisz się z nim za to rozliczyć.

– Mylisz się – powiedziała Clio, starając się utrzymać temperament na wodzy. – To ja zerwałam zaręczyny. To była moja decyzja. Nie chcę za niego wychodzić.

– Ty z nim zerwałaś? – Teddy śmiał się w głos. – Widzę, że próbujesz zachować twarz, ale nikt nie uwierzy w tę bajeczkę.

– To nie bajeczka, tylko prawda.

Tylko czy ta para kiedykolwiek była w stanie zaakceptować jakiekolwiek prawdy, które padały z ust Clio?

– Och, Boże. – Daphne z cichym jękiem upadła na sofę. – Tylko nie to.

Clio potrząsnęła głową. Na litość boską, Piers mniej histeryzował na tę wieść niż oni.

Właściwie przyjął ją całkiem dobrze. Był w zadowalającym stopniu rozczarowany, ale Clio wyraźnie widziała, że zraniła głównie jego dumę. Sercu nic nie groziło. Po tych wszystkich latach byli sobie właściwie obcy. Miała nadzieję, że z czasem zdołają się nawet zaprzyjaźnić.

Był dobrym człowiekiem. Tylko nie nadawał się dla niej na męża.

– Nie możesz jakoś tego naprawić? – spytała siostra. – Może jeszcze nie jest za późno. Albo… albo Teddy może pojechać za nimi i zażądać, żeby lord Granville dotrzymał obietnicy.

Clio potrząsnęła głową.

– Skończyłam z nim.

– To niemożliwe – włączył się Teddy. – Po tych wszystkich latach nie powinniśmy tak łatwo rezygnować. Nie możesz pozwolić mu uciec.

– Uciec? – wybuchnęła śmiechem. – Może mam go zamknąć w lochu?

– Śmiej się do woli, ale to wszystko twoja wina. – Siostra wydała zirytowane cmoknięcie. – Pozwoliłaś, żeby to wszystko ciągnęło się o wiele za długo. Powinnaś zacząć walczyć o swoje ładnych parę lat temu. Jesteś zbyt ugodowa.

Zastanowiła się nad jej słowami.

– Masz rację, Daphne. Jestem zbyt ugodowa.

– Cieszę się, że to wreszcie dostrzegłaś.

– To się zmieni – obiecała Clio. – Już od dzisiaj.

– Świetnie. Ruszajmy za nim. Zaraz każemy zaprzęgać. Teddy.

Strzeliła palcami, a jej mąż zerwał się z kanapy. Pośpiesznie wyszli na korytarz.

Clio ruszyła za nimi, ale kiedy dochodzili do wyjścia, zwolniła kroku.

– Twoja ostatnia szansa, żeby iść przodem – powiedziała do siostry ze słodkim uśmiechem. Kiedy wyjdę za Piersa, będę miała pierwszeństwo.

Daphne odpowiedziała uśmiechem.

– Tak trzymaj.

Odczekała, aż Daphne i sir Teddy wyjdą na zewnątrz. A potem podbiegła do pobliskiej alkowy, podniosła obie ręce i pociągnęła dźwignię.

Krata opadła, ze zgrzytem i klekotem łańcuchów.

– To była niezwykle miła wizyta – powiedziała Clio, machając do nich ręką przez kratę. – Już teraz zapraszam was na święta.

– Co ty wyprawiasz, kluseczko? – spytał Teddy.

– Wykorzystuję mój zamek zgodnie z przeznaczeniem. Do obrony. I przestań nazywać mnie kluseczką. Rafe nauczył mnie boksować.

Teddy zamrugał z przerażeniem.

– Najpierw pozwalasz, by wymknął ci się lord Granville, a teraz tak nas traktujesz? – spytała Daphne. – Clio, czyś ty do reszty zwariowała?

– Być może. – Wzruszyła ramionami. – Daphne, kocham cię, bo jesteś moją siostrą. Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej. Ale czasami naprawdę mnie ranisz.

Clio musiała zatroszczyć się także o Phoebe. Nie mogła już być dłużej ugodowa. Teddy i Daphne byli do przyjęcia, ale w małych dawkach. Jak mielone goździki. Albo wietrzna ospa.

– Wiem, że po waszym wyjeździe będę za tobą tęsknić – dodała. – Nie mogę się już tego doczekać.

– Nie zrobisz tego! Daphne szarpnęła za kratę. – Nie wygnasz nas z tego zamku.

– Czemu nie? Może zostanę starą panną. Może nigdy nie będę damą, ani nawet niczyją żoną. Ale jestem panią na moim własnym zamku. Tutaj ja jestem prawem. A dziś czuję się nieco średniowiecznie.

Pomachała na pożegnanie swojej siostrze i szwagrowi. Byli wstrząśnięci.

– Dobrej drogi, moi mili. Mam nadzieję, że nie będzie korków przy moście.

Potem odwróciła się do Phoebe.

– Nie chciałabyś mi pomóc w otwarciu nowego browaru?

– Nie jestem pewna, do czego mogłabym ci się przydać – odparła Phoebe, wyciągając z kieszeni kawałek sznurka. – Ale wczoraj wygrałam w karty tysiąc osiemset funtów. I chciałabym je w coś zainwestować.

– Zarządcy powiedzieli mi, że twoje pola można obsiać lepszymi zbożami. – Rafe zatrzymał konia przy południowej granicy Oakhaven. – Co byś powiedział na jęczmień?

– Nie budzi we mnie żadnych głębszych uczuć.

– W tobie nic chyba nie budzi głębszych uczuć.

Piers ściągnął wodze i zacisnął szczęki.

– Owszem, budzi. Ale w tej chwili nie są to specjalnie serdecznie uczucia.

Rafe zatoczył na koniu ciasny krąg. Od wjazdu na ziemie należące do Oakhaven minęło nieledwie dziesięć minut, a już pojawiła się między nimi wrogość, towarzysząca im od dzieciństwa. Gdyby nie prośby Clio, inaczej by to rozwiązał…

– Może powinniśmy załatwić to między sobą? – zaproponował Rafe. – Zrzucić surduty, podwinąć rękawy. Mieć to już z głowy.

– Nie będę się z tobą bił. Toby było nie fair.

– Pewnie masz rację. – Rafe wypiął dumnie pierś. – Przez cztery lata z rzędu byłem mistrzem Anglii wagi ciężkiej.

– A ja wiem, jak zabić człowieka nożykiem do papieru i upozorować, żeby to wyglądało na wypadek – odparł chłodno jego brat. – Chciałem powiedzieć, że toby było nie fair wobec ciebie.

Rafe przewrócił oczami.

– Jesteś tak piekielnie przewidywalny. Od kiedy pamiętam, zawsze żyłem w twoim cieniu. Zawsze przegrywałem. Zawsze ci zazdrościłem. Tylko w walce byłem lepszy niż perfekcyjny, idealny Piers. Ale nie. W tym także musiałeś mnie przewyższyć.

– Oczywiście, że tak. Nie tylko ty byłeś zazdrosny.

– Dlaczego, do diabła, miałbyś mi zazdrościć?

– Miałem sto różnych powodów. Robiłeś, co chciałeś, mówiłeś, co ci się podobało. Dużo lepiej się bawiłeś w życiu. Miałeś o wiele więcej dziewczyn. Otacza cię zawadiacki urok, który je przyciąga, a twoje włosy mają w sobie to coś…

– Moje włosy mają coś w sobie? – Rafe skrzywił się z lekka. – Co takiego?

Brat odmówił odpowiedzi.

– Przyjmowałem zadania, których normalnie bym się nie podjął. Niebezpieczną robotę. Bo chociaż dzielił nas cały kontynent, a to co robiłem, trzeba było trzymać w ścisłej tajemnicy, cały czas miałem poczucie, że ścigam się z moim małym braciszkiem. Jak się okazało, naprawdę tak było. Przynajmniej w jednej sprawie. I jakkolwiek by patrzeć, przegrałem tę sprawę.

Wygląda na to, że zrozumiał w końcu, o co chodziło Clio. Tę rundę wygrał Rafe, prawda?

W samą porę.

– Nie czuję się winny – powiedział. – Daleko mi do ideału, ale potrafię dać tej kobiecie taką miłość, o której ty nawet nie marzysz. Znam ją tak, jak ty jej nigdy nie poznasz. Potrzebuję jej na sto sposobów, których ty nigdy nie zrozumiesz. I będę o nią walczył do ostatnich sił.

Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Ale ona nie chce, żebyśmy ze sobą walczyli. Chce, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? Nie sądzę, żeby to się kiedykolwiek udało – stwierdził Piers.

– Masz rację. Nie warto nawet próbować.

Do diabła. Znowu to robił. Mówił w gniewie, co mu ślina przyniosła na język.

Musi się zmierzyć z tą nieokreśloną, bezkształtną chmurą urazy, która przepełniała jego pierś od chwili wyjazdu z Twill Castle. To był gniew – pogarda dla samego siebie, i złość, że zmarnował tyle czasu. Gdyby osiem lat temu miał dość hartu ducha, uprzedziłby brata i ożeniłby się z Clio.

Ale to byłaby katastrofa. Oboje byli wtedy za młodzi. Nie miałby środków na jej utrzymanie. Może ojciec dałby mu jakąś rentę, ale Rafe na pewno poniósłby widowiskową klęskę. Osiemnastoletnia Clio zostałaby sama, w ciąży, w dalszym ciągu zmuszana przez matkę do różnych drastycznych diet.

Teraz miał szansę dać jej szczęście, ale tylko dlatego, że musieli tak długo czekać. W sumie powinien być za to wdzięczny ojcu i Piersowi.

Ale całe to oczekiwanie pójdzie na marne, jeśli okaże się, że niczego go nie nauczyło.

– Nie mówiłem tego serio. – Popatrzył na brata. – Przepraszam cię. Powinniśmy spróbować.

– Zaprzyjaźnić się ze sobą? Nie wyobrażam sobie jak…

– Posłuchaj mnie teraz. Żaden ze mnie mówca, ale czasem nawet i ja mam coś do rozsądnego powiedzenia. Kariera bokserska nauczyła mnie jednego: że przyjaciół zdobywa się łatwo. Za to prawdziwi przeciwnicy – rywale, którzy zmuszają cię do cięższej pracy, szybszego myślenia, przekraczania granic własnych możliwości – to rzadkość. Jeżeli my jesteśmy tacy dla siebie, po co to zmieniać?

Jego brat zapatrzył się w dal.

– Może masz rację. Więc nie musimy być przyjaciółmi. Bądźmy zatem

„darzącymi się niechętnym uznaniem adwersarzami na całe życie”.

Rafe potrząsnął głową. Nawet gdyby Piersowi nie powierzano żadnych tajemniczych misji, i tak byłby dyplomatą do szpiku kości. Nikt inny nie dobierałby czterech długich słów, gdy wystarczy jedno proste.

– Niech i tak będzie – zgodził się, dosiadając konia. – Albo, dla oszczędności czasu, powiedzmy po prostu „bracia”.

– Doskonale. Zatem bądźmy sobie jak bracia.

27

W osiem lat, cztery miesiące i szesnaście dni od chwili, gdy przyjęła oświadczyny lorda Piersa Brandona, Clio odwiedziła go w nowym biurze w Izbie Lordów.

– Witaj, Ellingworth – przywitała wiekowego buldoga i poklepała go po głowie. – Jesteś w takiej formie jak za młodu.

– Wejdź. Siadaj, proszę – zaprosił ją Piers.

Clio usadowiła się w fotelu i wyjęła z kieszeni aksamitny woreczek.

– Zacznijmy od tego. Nie chcę ryzykować, że zapomnę. – Wytrząsnęła błyszczącą zawartość na bibułę leżącą na biurku.

– Nie musisz mi go zwracać. Zatrzymaj go sobie.

– Mam go zatrzymać? – Clio spojrzała na rubinowy pierścionek. A potem na psa.

– Wielkoduszny gest, milordzie. Ale nie mogę go przyjąć.

– Proszę.

Zbyła go machnięciem ręki.

– Naprawdę. Szczerze i uczciwie. Nie mogę go zatrzymać.

– Trudno. – Wzruszył ramionami i włożył pierścionek do zamykanej na klucz szuflady. Potem wyjął z niej plik papierów.

– Przepraszam, że musiałem cię ciągnąć aż do Londynu w tej sprawie.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że jesteś zajęty, a i tak miałam sprawy do załatwienia w mieście.

Clio rozejrzała się po jego biurze. Wszędzie stosy papierów, prawnicze

księgi i zapisy posiedzeń parlamentarnych, przygotowane do przejrzenia. Rzucił się w wir tej pracy z drobiazgowym zaangażowaniem typowym dla wszystkich Granville’ów. Powaga piastowanego stanowiska doskonale do niego pasowała. Nawet ze srebrnymi nitkami we włosach był przystojniejszy niż kiedykolwiek.

Ciekawe, czy istnieje kobieta, która mogłaby oderwać go od tych obowiązków. Ciekawe, z jakich sekretów zwierzałby się tej kobiecie ciemną nocą. Clio nigdy ich nie pozna. Nie ma żadnych szans.

Właściwie nigdy ich nie było.

– W żadnym razie nie próbuję wpłynąć na twoją decyzję – powiedział. – Pytam z czystej ciekawości: czy jest coś, co mogłem zrobić inaczej?

Uśmiechnęła się.

– Poza wyjechaniem z kraju na osiem lat bez szczerego wyjaśnienia, dlaczego musisz tak zrobić?

– Tak jest. Poza tym.

Potrząsnęła głową.

– Po prostu taki jesteś. A ja musiałam dorosnąć, żeby zrozumieć samą siebie. Może tak było najlepiej.

Podpisywanie dokumentów upłynęło w bardzo miłej atmosferze.

Kiedy skończyli, Piers usiadł wygodnie i rzucił jej pytające spojrzenie.

– Więc miałaś w mieście jakieś interesy. Chodzi o browar?

Skinęła głową.

– Idziemy do przodu. Pola chmielowe będą gotowe na wiosnę. Budowa nowych suszarni zaczyna się w przyszłym miesiącu. Właśnie oglądałam projekt.

Postanowiła nie przebudowywać starej wieży zamkowej. Wprawdzie architekt stwierdził, że mury wytrzymają, ale Clio po prostu nie mogła zniszczyć ulubionego miejsca schadzek miejscowej młodzieży. Tym bardziej, że kiedy wybrała się tam ze swoim zarządcą, spostrzegła na murze całkiem nowe miłosne inicjały.

RB+CW

Jasno i wyraźnie. Wyryte w kamieniu.

Na pewno spodziewał się, że je zobaczy. Ciekawe, kiedy je tam wyskrobał. Musiał zrobić to w jakiś czas po powrocie Piersa. Na pewno nie po ich pierwszym pocałunku.

A może właśnie wtedy?

Czekanie na Rafe’a okazało się o wiele trudniejsze niż czekanie na Piersa. Tęskniła za wszystkim, co się z nim wiązało – za jego niecierpliwością, łagodnością, siłą, dotykiem i zapachem. Ale nie zmarnowała tych kilku miesięcy. Żeby zająć czymś myśli, rzuciła się w wir pracy i w tym krótkim czasie osiągnęła o wiele więcej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać, włącznie z nią samą. Miała nadzieję, że Rafe pracuje równie intensywnie.

– Co słychać u twojego brata?

Nie mogła się oprzeć, by o to nie zapytać. Miała nadzieję, że pytanie zabrzmiało swobodnie i beztrosko, a nie jak rozpaczliwy krzyk tęsknoty.

– Bardzo dobrze – odparł Piers. – W każdym razie tak mi się wydaje.

– Tak ci się wydaje?

– Nie widziałem się z nim od kilku tygodni. Znowu zaczął trenować.

– Aha. To znaczy, że będzie niedługo walczył?

– Na to wygląda.

Poczuła dreszcz emocji wzdłuż kręgosłupa

– Z Dubose’em? Żeby odzyskać mistrzowski tytuł?

– Nie wiem. Ale wczoraj dostałem wiadomość… – Przeszukał stos papierów na biurku i w końcu znalazł to, czego szukał. – Aha. Mam.

Podał jej plakat z podobizną Rafe’a.

Boże, na sam jego widok czuła, jak wielkie, bokserskie łapska sięgają do jej serca i zaciskają się na nim.

Przesunęła wzrokiem po reklamowych frazach pod rysunkiem.

– Rafe Brandon… Zaprzedany Diabłu… pojedynek życia… za gospodą Krzywa Wieża w Queensridge… o godzinie…

Och, do licha ciężkiego.

Machnęła plakatem w stronę Piersa.

– To dziś, dziesięć mil za Londynem. Zaczyna się za parę godzin.

– Naprawdę?

– Owszem – odpowiedziała. – Co tu jeszcze robisz? Nie jedziesz mu kibicować?

– Ja… nie miałem tego w planach.

– Ale musisz tam być. – Clio wstała z fotela. – Po prostu musisz.

Piers, jako dżentelmen w każdym calu, wstał kiedy ona się podniosła. – Nie rozumiem dlaczego.

– Musisz tam być – powtórzyła stanowczo. – Piers, on nie bez powodu przysłał ci ten afisz. Jesteś jego jedyną rodziną. Chce, żebyś mu kibicował.

Zobaczyła kapelusz na wieszaku, wsadziła mu go na głowę, złapała go za rękę i pociągnęła, żeby wstał.

– Idziemy we dwójkę.

– We dwójkę? Nic z tych rzeczy. Walka bokserska to nie miejsce dla damy.

– Podobnie jak browar i Parlament. Chociaż mi to wmawiali, dzisiaj odwiedziłam oba te miejsca. Pośpiesz się. Zdążymy, ale musimy już ruszać.

– Dlaczego ci na tym tak zależy? – spytał, pochmurniejąc. – Co cię obchodzi bokserska walka mojego braciszka chuligana?

Pytanie przez chwilę zawisło w powietrzu.

– Bo go kocham – odpowiedziała, przerywając nagle zgęstniałą ciszę jedynymi słowami, które były dość mocne, by się przez nią przebić. – A ty powinieneś pojechać ze mną, bo też go kochasz.

– Od jak dawna kochasz się w moim bracie?

Piers zadał to pytanie, kiedy ich powóz mijał Gravesend, tocząc się z turkotem po Old Kent Road. Zupełnie jakby nie przerywali rozmowy, którą toczyli dwie godziny wcześniej w jego biurze.

– Chyba od zawsze. – Złożyła ręce. – Ale dopiero niedawno to do mnie dotarło.

Jego reakcja była stoicka. Mogła się tego zresztą spodziewać.

Zupełnie nie rozumiała, jak Piers może zachować taki spokój po tych słowach. I dlaczego nie denerwuje go ten korek. Wielkie nieba, na widok takiego tłumu powozów czekających na przejazd jej szwagier dostałby apopleksji.

Nawet Clio niecierpliwie przebierała palcami po siedzeniu i postukiwała pantofelkami o podłogę. Słońce przypiekało, jakby to nie była jesień, a gorąco wcale nie poprawiało jej nastroju. Powóz zatrzymał się nagle.

– Czemu stajemy? To już rogatka?

– Droga jest zablokowana aż do zakrętu – odparł Piers, wychylając się z okna. – Ale jesteśmy już blisko.

Clio spojrzała na zegarek. Było już prawie południe.

Nie miała czasu do stracenia.

Sięgnęła do klamki.

– W takim razie przejdę resztę drogi pieszo.

– Clio, zaczekaj.

Zaśmiała się tylko, otworzyła drzwi i wyskoczyła z powozu. Nie zamierzała reagować na to obraźliwe słowo. Też sobie wybrał.

„Clio, zaczekaj”.

Nie będzie już czekać ani sekundy dłużej.

Piers ruszył jej śladem, patrząc, jak biegnie poboczem, a potem przełazem przedostaje się na pole. Wysokie, impertynenckie trawy chwytały jej buciki i skraj sukni.

Kiedy dotarła do tawerny, zorientowała się, że mecz przyciągnął tłumy kibiców. Dosłownie setki. Wszyscy tłoczyli się wokół trawiastej łąki nieopodal gospody, jak stado wędrownych ptaków.

Uniosła skraj sukni i przebiegła pozostałą odległość, a potem zaczęła przedzierać się przez tłum.

Ktoś nadepnął jej na nogę.

Zacisnęła dłoń w pięść i odepchnęła postawnego kibica.

– Rusz się pan.

Przedostała się przez ostatni, najciaśniejszy krąg widzów i wyszła na łąkę.

Był tam.

Rafe.

Stał kilkanaście metrów od niej, wprawdzie odwrócony tyłem, ale wszędzie poznałaby te barczyste ramiona.

– Rafe! – Pobiegła do niego przez pole. – Rafe, zaczekaj!

Odwrócił się, przerywając dopinanie mankietów.

Zmarszczył brwi.

– Clio. Przyszłaś za wcześnie.

Za wcześnie?

Może powinna się zastanowić, dlaczego nie dziwi go jej obecność, ale właśnie ogarnęła ją fala ulgi, że się nie spóźniła. Walka wyraźnie miała się rozpocząć dopiero za jakiś czas. Rafe był zdecydowanie zbyt elegancko odziany jak na bokserski pojedynek – w granatowy frak, świeżo wykrochmalony fontaź i pasiastą jedwabną kamizelkę.

I w te swoje wysokie, błyszczące buty.

Wielkie nieba, ależ się wspaniale prezentował.

– Co ty tu robisz? – spytał, spoglądając na drogę. – Gdzie jest mój brat?

– Ja nie… – przerwała zdyszana i przyłożyła dłoń do brzucha. – Ja nie przyszłam tu, żeby ci przeszkodzić.

– Naprawdę?

Potrząsnęła głową.

– Nie będę nawet patrzeć, jeśli nie chcesz.

– Nie będziesz.

Pokręciła głową.

– Ale chciałam, żebyś wiedział, że tu jestem. I że ci kibicuję. I wierzę w ciebie. Ale przede wszystkim, coś ci chciałam pokazać.

Wyciągnęła z kieszeni kartkę, rozłożyła ją i podała mu.

– Zobacz.

Rzucił okiem na rysunki.

– To dla browaru – wyjaśniła. – Właśnie zamówiłam kilkaset baryłek z tym wzorem. Więc koniecznie musisz wygrać. Żebym nie musiała ich zmieniać.

– Champion Pale Ale – przeczytał na głos.

– Pokonasz go, Rafe. Wiem, że tak będzie. Jesteś najsilniejszym i najdzielniejszym mężczyzną, jakiego znam, i masz wielkie serce. Wspierałeś moje marzenia. Ja wierzę w twoje. Odzyskasz ten tytuł.

Wpatrywał się w kartkę bez słowa.

Przez nieskończenie długą chwilę.

– Czy mógłbyś… – Nerwowo przełknęła ślinę. – Czy mógłbyś coś powiedzieć? Albo zrobić? Cokolwiek. Nagle poczułam się strasznie osamotniona.

Odsunął jej pasmo włosów z czoła, i ten gest sprawił, że znowu zabrakło jej tchu. Od tak dawna jej nie dotykał…

– Nie jesteś osamotniona. I nigdy nie będziesz.

Złożył kartkę i dodał:

– Champion Pale Ale to wspaniała nazwa. Tylko… będziemy musieli poprosić Jacka Dubose, żeby ją firmował.

– Skądże znowu. To ty będziesz ją firmował. Dzisiaj pokonasz tego Dubose'a.

– To będzie trudne, zważywszy, że go tu nie ma.

Nie zrozumiała.

– Widziałam przecież afisz. Stało jak wół: „Bądźcie świadkami spotkania Rafe'a Brandona z jedyną osobą, która stawiła mu czoło. Z największym wyzwaniem jego życia”. To nie może być nikt inny, tylko Dubose, prawda?

Chłopięcy uśmiech zaigrał mu na wargach.

– Czy aby na pewno?

Clio kompletnie nie rozumiała, co się dzieje. Odsunęła się od niego i rozejrzała wokół, po raz pierwszy zwracając uwagę na otoczenie. Było tu sporo miejsca, ale nigdzie nie widać było przeciwnika Rafe'a. Uczestnicy byli wyjątkowo elegancko ubrani jak na mecz bokserski i…

Do licha. Czyżby to była jej kuzynka Elinor? Co ona, do diabła, robi na nielegalnej arenie?

– Gdzie tu jest ring? – spytała, odwracając się od Rafe'a. – Nie widzę żadnego ringu.

– Pokażę ci za to coś innego.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął błyszczący złoty przedmiot, a potem przytrzymał go wielkimi palcami.

Clio poczuła w gardle wielką grudę. Trzy śliczne, jasnozielone szmaragdy otoczone diamencikami.

– Mówiłaś, że zielony to twój ulubiony kolor. Mam nadzieję, że to była prawda.

– To dla mnie?

– To wszystko dla ciebie. Pierścionek. Goście. I ta gazeta. Przepraszam, ale uznałem, że masz serdecznie dość tych wszystkich przygotowań. A mnie brakuje cierpliwości do rozsyłania zaproszeń.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy w końcu zrozumiała, o co chodzi.

– To nie jest żaden mecz. Tylko ślub.

Skinął głową.

– Nasz. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Och. Och, co za typ.

Wzruszenie zaparło jej dech w piersiach.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Mówiłaś, że możesz wziąć ślub w szczerym polu. Pod warunkiem, że wyjdziesz za człowieka, którego kochasz.

Kochała go. Kochała go tak bardzo, że z trudem mogła oddychać.

Spojrzała z ukosa na Piersa, który ich właśnie dogonił.

– Wiedziałeś o wszystkim. Cały czas. Naprawdę jesteś przewrotny.

Wzruszył ramionami.

– Byłem ci dłużny ślub, po tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Uwierz mi, nawet w połowie nie wiesz, jaki to szczwany lis – zaśmiał się Rafe. – Pracowaliśmy nad tym od tygodni. Pomógł mi wszystko zaplanować.

– Jak każdy porządny drużba – przytaknął Piers.

Wymienili spojrzenia pełne braterskiego porozumienia. Gdyby Clio nie była tak uradowana tym widokiem, pewnie natarłaby im uszu za to, że tak ją dręczyli.

– A walka? I twój mistrzowski tytuł?

– Nie skończyłem jeszcze z boksem – powiedział Rafe. – Ale Bruiser prowadzi negocjacje z sekundantem Dubose'a. Może będziemy zarabiać na pokazowych walkach.

– Na pokazowych walkach?

– Może nawet na całej serii. Mistrz przeciw mistrzowi. Toby były prawdziwe pojedynki, ale legalne. Na prawdziwych arenach. W rękawicach, według przepisów, więc mniej niebezpieczne.

Clio spodobał się ten pomysł.

– A może przydałby się wam sponsor tych walk? Na przykład nowo powstały browar na dorobku?

– Bardzo możliwe.

Przechylił głowę, wskazując pobliski zajazd.

– Zmykaj. Daphne i Phoebe czekają tam na ciebie z suknią i kwiatami. Podobnie jak weselne śniadanie. Wszystko planował Bruiser, więc przygotuj się na najgorsze. Ja wybrałem tylko tort.

– Jaki tort?

Pochylił się i skubnął ją w ucho zębami.

– Różne rodzaje.

Musiała się roześmiać.

– Clio, jesteś moją bratnią duszą. Stawiasz mi wyzwania i nie boisz się

walczyć ze mną oko w oko. Sprawiasz, że chwieję się na nogach, ale ciągle mi mało. Motywujesz, żebym stawał się coraz lepszy. Chcę przez resztę życia wspierać cię w ten sam sposób.

Ujął jej dłoń i wsunął pierścionek na palec.

– Wyjdź za mnie. W szczerym polu. W tym tłumie.

Spojrzała na szmaragd, migocący w południowym słońcu. Potem podniosła wzrok i spojrzała prosto w te śmiałe, zielone oczy, pełne szalonej, niezachwianej miłości.

Wsunęła dłoń w jego rękę.

– Na co jeszcze czekamy?

Epilog

Kilka miesięcy później

Czyżby to był on?

Clio, usadowiona wygodnie w saloniku Twill Castle, przysunęła się do szyby i wbiła wzrok w dal.

Na końcu drogi pojawiła się chmura kurzu. W miarę jak zbliżała się do zamku, można już było dostrzec gniadego wałacha i ciemnowłosego, tajemniczego jeźdźca.

To nie mógł być nikt inny.

Gdy zatrzymał konia na podjeździe, opuściła szybę i pomachała do niego.

Uniósł rękę gestem powitania.

– Tylko rozsiodłam konia.

Na litość boską, nie było go przez całe trzy dni, w ciągu których objeżdżał tawerny i gospody, potwierdzając zamówienia. Naprawdę każe jej czekać jeszcze pół godziny dłużej?

Kiedy ruszył w stronę stajni, zawołała:

– Czy ten jeden jedyny raz nie możesz zaufać stajennym? Mam dla ciebie coś na górze.

– Dobrze, już dobrze. – Skłonił się znacząco. – Jak sobie życzysz, milady.

Podskakiwała z niecierpliwości, słysząc jego powolne kroki na schodach.

– Tędy – zawołała. – Tylko się nie zgub. Idź za moim głosem.

Żartowała sobie. Po kilku miesiącach mieszkania w tym zamku Rafe znał

na pamięć drogę do ich sypialni. Szczerze mówiąc, od czasu miodowego miesiąca wydeptali w chodniku wyraźny ślad. Trzeba go będzie niedługo wymienić.

Kiedy znalazł się w drzwiach, oparł się o framugę, jakby poraził go jej widok.

Z uśmieszkiem przesunął wzrokiem po jej sylwetce.

– No, no, to mi dopiero powitanie.

– Mam dla ciebie niespodziankę – odpowiedziała, wciągając go do małżeńskiego apartamentu. – A właściwie trzy niespodzianki.

– Mój dzień z każdą chwilą staje się coraz lepszy.

Podprowadziła do do stolika nakrytego elegancko na dwie osoby najlepszą zamkową zastawą z porcelany, srebra i kryształu.

– Czas na pierwszą niespodziankę. – Podniosła serwetę, odsłaniając dębową baryłkę, przygotowaną do nalania trunku. – Oto pierwsza oficjalna partia Champion Pale Ale. Chcesz spróbować?

– Jakżeby nie. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – To fantastyczne.

– Nie chwal z góry. Może się okazać okropne. Na szczęście wtedy druga niespodzianka będzie o wiele smaczniejsza. – Podniosła srebrną przykrywkę, pod którą kryło się lukrowane, kaimakowo-orzechowe ciasto. – Czymże jest piwo bez ciasta?

– W tym domu? – zapytał. – Smętną namiastką trunku.

– Otóż to.

– Powiedziałaś, że będą trzy niespodzianki – przypomniał.

– Bo będą. Ale trzecia poczeka, aż skończymy z tymi dwiema.

Usiadła za stołem i ukroiła im po solidnym kawałku ciasta. Rafe wbił czop i nalał im po szklance ale z baryłki.

– Denerwuję się – wyznała, biorąc swoją do ręki.

– Kolor dobrze wróży. – Podniósł piwo do światła. – Nie jest mętne.

Był tylko jeden sposób, by ocenić smak. Zebrała się na odwagę i podniosła szklankę wyżej.

– Za Champion Ale.

– Za Champion Ale.

Szkło brzęknęło w toaście. Każde z nich pociągnęło ostrożny łyk.

Nastąpiła cisza pełna namysłu.

– Jest… nie najgorsze – powiedział w końcu.

Roześmiała się.

– Ale nie jest też doskonałe. To tylko pierwsza próba. Trzeba je nieco dłużej leżakować. Następnym razem podrasujemy też recepturę. – Znowu pociągnęła łyk. – Szczerze mówiąc, im więcej piję, tym lepiej mi smakuje.

– Jakie to dziwne, prawda?

Kiedy znowu podniosła szklankę, wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać.

– Czekaj – powiedział. – Jesteś pewna, że nie zaszkodzi?

Zmarszczyła brwi.

– Może to nie jest najlepsze ale w Anglii – jeszcze. Lecz jestem całkiem pewna, że nie jest trujące.

– Na pewno. Chodzi mi o to, że może zaszkodzić… wiesz czemu.

Zamrugała.

– Słowo honoru, że nie wiem.

– Nie udawaj niewiniątka. Trzecia niespodzianka, prawda? Mam co do niej pewne podejrzenia.

– Naprawdę?

– Chodź no tu, Clio. Od dwóch tygodni zachowujesz się bardzo tajemniczo.

Wstał z krzesła, podszedł do niej i ukląkł, otaczając jej talię wielkimi dłońmi. Odwrócił ją ku sobie, a potem pogładził po policzku.

– Zauważyłem w tobie zmianę – powiedział. – Twoje rumieńce nabrały nowego odcienia różu. Takiego niemowlęcego.

O, Boże. Myślał, że ona jest…

– Rafe…

– Nie przejmuj się – powiedział. – Wiem, że wcześniej mówiłem, że

moglibyśmy odczekać rok albo dwa, aż skończą się targi i browar stanie na nogi. Ale szczerze mówiąc… – Spojrzał jej prosto w oczy. – Clio, jestem taki…

Nie skończył zdania. Ale jego namiętny pocałunek nie pozostawiał wątpliwości, jak się w tej chwili czuł.

Był szczęśliwy. Głęboko, prawdziwie szczęśliwy.

Tak jak ona.

Gdy ich wargi się zetknęły, wydała leniwy pomruk. Rafe smakował ale i pachniał znajomą mieszanką skóry i golterii. Strasznie za nim tęskniła. Na szczęście przyjechał w ostatniej chwili, bo jego zapach prawie już zwietrzał w koszuli, w której sypiała nocą. Pogładziła palcami jego włosy i przyciągnęła go bliżej.

Choć te małżeńskie pieszczoty sprawiały jej wielką przyjemność, zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Bo w pokoju był pewien maluch, który coraz bardziej się niecierpliwił, nie mogąc się doczekać końca tych czułości.

– Zauważyłem w tobie tę zmianę – zamruczał Rafe, przesuwając językiem po jej wygiętej szyi. – Nawet smakujesz inaczej. Słodziej.

Z trudem powstrzymała się od śmiechu.

– Rafe.

Drażnił się z nią, skubiąc płatek jej ucha.

– Mmm.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Będziemy mieli dziecko. Wiem, kochanie. Wiem.

– My… – Westchnęła z rozkoszy, gdy skubnął mocniej. – Mylisz się. Nie będziemy mieć dziecka.

Podniósł głowę, muskając brwiami jej policzek.

– Naprawdę?

– Naprawdę – uśmiechnęła się. – Tylko szczeniaka.

To bezbrzeżne zdumienie na jego twarzy… Och, było naprawdę bezcenne.

Zlitowała się nad nim, wstała i sięgnęła po koszyk, który schowała po

drugiej stronie łóżka.

Kiedy podniosła wieczko, wygramolił się z niego szczeniak.

A konkretnie szczeniak buldoga, z płaskim czarnym noskiem i futerkiem jak aksamitny filc.

– Widzisz? – powiedziała. – To trzecia niespodzianka dla ciebie. Dzisiaj skończył dziewięć tygodni. Już mógł pójść do ludzi.

Włożyła mu w ramiona biało-brązowe, pulchne stworzonko.

Spojrzał na nie.

– Piesek.

– Owszem.

– Nie będzie dziecka.

– Jeszcze nie. Ojej, jesteś rozczarowany. – Dotknęła czoła dłonią. – Nie powinnam tego przed tobą ukrywać.

– Nie jestem rozczarowany. Tylko… – Szczeniak polizał jego kciuk, a potem zaczął go obgryzać. – Naprawdę mnie zaskoczyłaś.

Uśmiechnęła się.

– To świetnie.

– Ma jakieś imię?

– Jeszcze nie.

Zastanawiał się chwilę, drapiąc pieska za uchem.

– Możemy go nazwać Champion, ale to takie oczywiste…

– Zgadzam się. Jeden czempion w domu wystarczy w zupełności. Imię samo przyjdzie z czasem.

W godzinę później psiak zasnął smacznie na jednej z satynowych poduszek Clio. Rafe uparł się, że w końcu znajdzie praktyczne zastosowanie dla każdej z nich.

Siedzieli na podłodze, oparci o ścianę i popijali ale, z przyjemnością wsłuchując się w pochrapywanie buldożka.

Clio przechyliła głowę.

– Myślę, że powinniśmy go nazwać Diabeł.

– Diabeł? Tego malucha? – Rafe ze śmiechem potarmosił kupkę aksamitnych fałdek… – Dlaczego?

– Bo ty sam jesteś Zaprzedany Diabłu. A ten szczeniak zawrócił ci w głowie, w sercu i w duszy. To widać na pierwszy rzut oka.

Nawet nie próbował zaprzeczać.

– Zazdrosna?

– Mogę się tobą podzielić. Jesteś taki wielki, że dla każdego wystarczy.

Był nie tylko potężnie zbudowany, ale miał też wielkie, niezwykle wierne serce. Wiedziała, że jest w nim tyle miłości, że wystarczy dla żony i dla brata, dla paru bratanic, przyjaciół, dla szczeniaka… i jeszcze zostanie.

Uścisnęła jego dłoń.

– Mogę cię o coś zapytać?

– O co tylko chcesz.

– Czy mówiłeś poważnie, że nie miałbyś nic przeciwko dziecku?

Odstawił swoje ale i skoczył na równe nogi. Pochylił się, porwał ją w ramiona i zaniósł na łóżko.

– Zaraz ci udowodnię, jak bardzo poważnie.

Przypisy

[1] Aluzja do angielskiego przysłowia: Lepszy diabeł znajomy niźli nieznajomy (przyp. tłum.).